

Harlan Coben

Niewinny

(The Innocent)

Zbigniew A. Królicki

Pamięci
Stevena Z. Millera.

Do tych z nas, którzy mieli szczęście być jego przyjaciółmi:
Próbujemy dziękować za wspólnie spędzone chwile, ale tak trudno się z tym pogodzić.

A do rodziny Steve'a, szczególnie do Jessego, Mai T. i Nica:
Kiedy poczujemy się na siłach, porozmawiamy o waszym ojcu,
ponieważ był najlepszym ze znanych nam ludzi.

Prolog

Wcale nie zamierzałeś go zabić.

Nazywasz się Matt Hunter. Masz dwadzieścia lat. Wychowałeś się w zamieszkanym przez wyższą klasę średnią podmiejskiej dzielnicy na północy New Jersey, niedaleko Manhattanu. Mieszkasz w biedniejszej części miasta, ale to bardzo bogate miasto. Twoi rodzice ciężko pracują i bezgranicznie cię kochają. Masz starszego brata, którego podziwiasz, i młodszą siostrę, którą tolerujesz.

Jak każdy dzieciak w sąsiedztwie dorastasz, niepokojąc się o swoją przyszłość i college, do którego się dostaniesz. Solidnie pracujesz i otrzymujesz naprawdę dobre stopnie. Twoja średnia to piątka z minusem. Nie mieścisz się w pierwszej dziesiątce, ale niewiele ci brakuje. Nie stronisz od prac społecznych, przez jedną kadencję byłeś nawet skarbnikiem szkolnym. Nieźle grasz w futbol i w kosza – wystarczająco dobrze, by występować w drużynie szkolnej, ale nie dość dobrze, żeby przyznali ci stypendium. Jesteś sprytny i czarujący. W rankingach popularności zajmujesz miejsce w czołówce. Twoje doskonałe wyniki testów kwalifikacyjnych zadziwiają szkolnego psychologa.

Ubiegasz się o przyjęcie do najlepszych uczelni, ale te są poza twoim zasięgiem. Harvard i Yale odrzucają twoje podanie od razu. Penn i Columbia umieszczają cię na listach oczekujących. W końcu idziesz do Bowdoin, niewielkiego elitarnego college'u w Brunswick. Podoba ci się tam. Klasy są niewielkie. Znajdujesz przyjaciół. Nie wiążesz się na stałe z żadną dziewczyną, ale pewnie dlatego, że nie chcesz. Już na pierwszym roku występujesz jako obrońca w uczelnianej drużynie futbolowej. Świetnie grasz w kosza i teraz, kiedy środkowy rozgrywający skończył studia, masz poważną szansę na stałe miejsce w drużynie.

I właśnie wtedy, gdy wracasz do miasteczka uniwersyteckiego w przerwie między pierwszym a drugim semestrem, zabijasz kogoś.

Spędziłeś cudowne wakacje ze swoją rodziną, ale musisz trenować. Żegnasz się z matką i ojcem, po czym wracasz do miasteczka uniwersyteckiego ze swoim najlepszym przyjacielem i współlokatorem, Duffem. Duff jest z Westchester w stanie Nowy Jork. To krępy osiłek o kłocowatych nogach. W futbol gra na prawym skrzydle, a na meczach koszykówki przeważnie siedzi na ławce rezerwowych. Jest największym opojem na uczelni – Duff nigdy nie przepuści okazji do wypitki. Ty prowadzisz.

Duff chce po drodze wpaść na Umass w Amherst. Jego kolega z liceum jest tam członkiem bractwa studenckiego. Organizują wielką bibę.

Nie jesteś entuzjastycznie nastawiony, ale zawsze tak reagujesz. Wolisz kameralne imprezy, na których wszystkich znasz. Na Bowdoin uczy się około tysiąca sześciuset studentów. Na Umass prawie czterdzieści tysięcy. Jest początek stycznia i piekielnie zimno. Na ziemi leży

śnieg. W drodze do siedziby bractwa widzisz w powietrzu parę swojego oddechu.

Razem z Duffem rzucacie płaszcze na stertę innych. Będziesz o tym rozmyślał przez kilka lat, o tym niedbałym rzuceniu płaszczy. Gdybyś został w płaszczu, gdybyś zostawił go w samochodzie albo położył gdzie indziej... Jednak nie.

Impreza jest niezła. Owszem, trochę zwariowana, ale masz wrażenie, że to wymuszone szaleństwo. Przyjaciel Duffa chce, żebyście obaj przenocowali w jego pokoju. Zgadzasz się. Sporo wypieś – w końcu to studencka zabawa – chociaż na pewno nie tyle co Duff. Zabawa się kończy. W pewnej chwili obaj idziecie po płaszcze. Duff trzyma piwo. Bierze płaszcz i zarzuca sobie na ramię.

Kiedy to robi, wylewa trochę piwa.

Niedużo. Tylko trochę. Jednak to wystarcza.

Piwo ląduje na czerwonej kurtce bez rękawów. To jeden ze szczegółów, które zapamiętasz. Na zewnątrz temperatura spadła poniżej zera, a jednak ktoś przyszedł tu w kurtce bez rękawów. Nie zapomnisz także tego, że bezrękawnik jest nieprzemakalny. Ta odrobina piwa nie mogła go zabrudzić. Nie pozostawiłaby plamy. Z łatwością dałoby się ją wytrzeć.

– Hej! – krzyczy ktoś.

To właściciel czerwonego bezrękawnika; postawny, ale nieprzerośnięty. Duff wzrusza ramionami. Nie przeprasza. Facet, Pan Czerwony Bezrękawnik, uderza go w twarz. To błąd. Ty wiesz, że Duff uwielbia się bić i łatwo wpada w złość. W każdej szkole jest taki Duff – facet, który nigdy nie przegrywa.

Oczywiście, o to właśnie chodzi. W każdej szkole jest taki Duff. I czasem jeden Duff trafia na drugiego Duffa.

Próbujesz to przerwać, obrócić w żart, ale masz przed sobą dwóch pijanych, czerwonych na twarzy facetów, którzy zaciskają pięści. Jeden z nich rzuca wyzwanie. Nie pamiętasz który. Wszyscy wychodzą na mroźne powietrze i uświadamiasz sobie, że wpadłeś w tarapaty.

Postawny facet od bezrękawnika ma przyjaciół.

Jest ich ośmiu lub dziewięciu. Ty i Duff jesteście sami. Rozglądasz się za szkolnym przyjacielem Duffa – Markiem czy też Mikiem – ale nigdzie go nie widać.

Bójka zaczyna się szybko.

Duff opuszcza głowę i atakuje Czerwonego Bezrękawnika. Ten robi unik i łapie go za szyję. Wali Duffa w nos. Wciąż jedną ręką ścisną jego szyję, a drugą uderza ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Duff ślania się. Zadaje chaotyczne, niecelne ciosy. Po siódmym czy ósmym uderzeniu przestaje je zadawać. Przyjaciele Czerwonego Bezrękawnika zaczynają wiwatować. Ręce Duffa bezwładnie zwisają wzdłuż boków.

Chcesz to powstrzymać, ale nie wiesz jak. Czerwony Bezrękawnik metodycznie zabiera się

do roboty, wymierzając zamaszyste uderzenia. Kumple go dopingują. Wydają głośnie ochy i achy przy każdym ciosie.

Jesteś przerażony.

Twój przyjaciel zbiera cięgi, ale ty bardziej obawiasz się o siebie. To cię zawstydza. Chcesz coś zrobić, ale boisz się, naprawdę się boisz. Nie możesz się poruszyć. Nogi masz jak z waty. Przechodzi cię dreszcz. I nienawidzisz się za to.

Czerwony Bezrękawnik kolejny raz wali Duffa w twarz. Puszczą go. Duff pada na ziemię, bezwładnie jak worek z ciuchami do prania. Czerwony Bezrękawnik kopie go w bok.

Jesteś najgorszym z przyjaciół. Zbyt przestraszonym, żeby pomóc. Nigdy nie zapomnisz tego uczucia. Tchórzostwo. To gorsze od bicia, myślisz. Twoje milczenie. To okropne uczucie zhańbienia.

Następny kopniak. Duff z jękiem przetacza się na plecy. Twarz ma zalaną szkarłatnymi strumykami krwi. Później się dowiesz, że odniósł tylko powierzchowne obrażenia. Podbite oczy i liczne siniaki. Tylko tyle. Teraz jednak wygląda paskudnie. Ty wiesz, że on nigdy by tak nie stał, gdyby to ciebie tak okładano.

Nie możesz już tego znieść. Wyskakujesz z tłumu.

Wszystkie głowy odwracają się w twoją stronę. Przez moment nikt się nie rusza. Nikt się nie odzywa. Czerwony Bezrękawnik ciężko dyszy. Widzisz parę jego oddechu, unoszącą się w mroźnym powietrzu. Drżysz. Próbujesz przemówić mu do rozumu. Hej, mówisz, on ma już dość. Koniec z tym. Wygrałeś, mówisz Czerwonemu Bezrękawnikowi.

Ktoś skacze na ciebie z tyłu. Obejmuje cię w niedźwiedzim uścisku.

Zostałeś unieruchomiony.

Teraz Czerwony Bezrękawnik rusza na ciebie. Serce tłucze ci się w piersi jak ptak w zbyt małej klatce. Uderzasz głową w tył. Z trzaskiem walisz czaszką w czyjś nos. Czerwony Bezrękawnik jest coraz bliżej. Odskakujesz w bok. Znów ktoś wyłania się z tłumu. Ma jasne włosy i rumianą cerę. Domyślasz się, że to kolejny kumpel Czerwonego Bezrękawnika.

Nazywa się Stephen McGrath.

Usiłuje cię złapać. Rzucasz się jak ryba na haczyku. Za nim ruszają następni. Wpadasz w panikę. Stephen McGrath łapie cię za ramiona. Próbujesz się wyrwać. Gwałtownie obracasz się na pięcie.

A potem łapiesz go za szyję.

Czy rzuciłeś się na niego? Czy on cię pociągnął, czy też ty go popchnąłeś? Nie wiesz. Czy jeden z was stracił równowagę? Czy powodem był oblodzony chodnik? Będziesz wracał do tego myślni mnóstwo razy, lecz nigdy nie znajdziesz odpowiedzi.

Tak czy inaczej, obaj padacie.

Ty wciąż trzymasz go za szyję. Za gardło. Nie puszczasz.

Lądujecie z łoskotem. Głowa Stephena McGratha uderza o krawężnik. Słysząc trzask, okropny dźwięk, rodzaj plaśnięcia połączonego z głuchym łoskotem, odgłos, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałeś.

Ten dźwięk oznacza kres znanego ci życia.

Zawsze będziesz go pamiętał. Nigdy cię nie opuści ten okropny dźwięk.

Wszystko zastyga. Patrzysz w dół. Oczy Stephena McGratha są otwarte i nieruchome. Jednak ty już wiesz. Poznajesz to po nagłym zwiotczeniu jego ciała i po tym okropnym trzasku.

Tłum się rozpierzcha. Ty zostajesz. Nie ruszasz się bardzo długo.

Potem wszystko dzieje się szybko. Przybywa ochrona kampusu. Potem policja. Mówisz im, co się stało. Twój rodzic wynajmuje dobrą prawniczkę z Nowego Jorku. Ona radzi ci zeznać, że działałeś w samoobronie. Tak robisz.

I wciąż słyszysz ten okropny trzask.

Oskarżyciel marszczy brwi. Wysoki Sądzie, mówi, oskarżony poślizgnął się, ściskając oburącz gardło Stephena McGratha? Czy on naprawdę oczekuje, że w to uwierzemy?

Proces ma niepomyślny przebieg.

Ciebie nic nie obchodzi. Kiedyś przejmowałeś się stopniami i grą. Żałosne. Przyjaciele, dziewczyny, popularność, zabawy, postępy w nauce, wszystko. Jakże ulotne. Zastąpił je ten okropny trzask czaszki uderzającej o krawężnik.

Podczas procesu słyszysz płacz rodziców, ale nawiedzać cię będą twarze Soni i Clarka McGrathów, rodziców ofiary. Sonya McGrath przez cały czas przeszywa cię wzrokiem. Usiłuje zmusić, żebyś spojrzał jej w oczy. Nie możesz.

Próbujesz słuchać werdyktu, ale przeszkadzają ci te inne odgłosy. One nigdy nie cichną, nigdy nie ustają, nawet wtedy kiedy sędzia mierzy cię surowym wzrokiem i wydaje skazujący wyrok. Prasa pilnie obserwuje proces. Nie zostaniesz wysłany do łagodnego wiejskiego więzienia dla białych chłopców. Nie teraz, kilka miesięcy przed wyborami.

Twoja matka mdleje. Ojciec stara się być silny. Siostra wybiega z sali sądowej, a brat, Bernie, stoi jak skamieniały.

Zakładają ci kajdanki i zostajesz wyprowadzony. Nie jesteś przygotowany na to, co cię czeka. Oglądałeś telewizję i słyszałeś tyle opowieści o gwałtach w więzieniach. To cię nie spotyka – nie napastują cię seksualnie – ale nim minie tydzień, zostajesz pobity. Popełniasz błąd, identyfikując napastnika. Zostajesz pobity jeszcze dwukrotnie i spędzasz dwa tygodnie na izbie chorych. Jeszcze po latach czasem znajdujesz krew w moczu – pamiątkę po ciosie w nerki.

Żyjesz w nieustannym strachu. Kiedy wracasz na łono więziennej społeczności, przekonujesz się, że możesz przetrwać tylko wtedy, gdy przyłączysz się do upiornego odłamu Aryan Nation. Jej członkowie nie mają żadnych wielkich idei ani cudownych recept na przyszłość Ameryki. Po prostu kochają nienawidzić.

Sześć miesięcy po procesie twój ojciec umiera na atak serca. Wiesz, że to twoja wina. Chcesz płakać, ale nie możesz.

Spędzasz w więzieniu cztery lata. Cztery lata – tyle samo, ile większość studentów spędza w college'u. Zbliżają się twoje dwudzieste piąte urodziny. Ludzie mówią, że się zmieniłeś, ale ty nie jesteś tego pewny.

Kiedy wychodzisz, ostrożnie stawiasz kroki. Jakby grunt mógł usunąć ci się spod nóg, jakby ziemia w każdej chwili mogła się pod tobą rozstać.

To wrażenie już nigdy cię nie opuści.

Twój brat Bernie czeka na ciebie przy bramie. Właśnie się ożenił. Jego żona Marsha nosi ich pierwsze dziecko. Bernie bierze cię w ramiona. Niemal czujesz, jak ostatnie cztery lata odpływają w dal. Brat rzuca jakiś żart. Śmiejesz się, naprawdę się śmiejesz, po raz pierwszy od tak dawna.

Pomyliłeś się – twoje życie nie zakończyło się tamtej mroźnej nocy w Amherst. Brat pomoże ci wrócić do normalnego życia. Z czasem spotkasz nawet piękną kobietę. Ma na imię Olivia. Uczyni cię bezgranicznie szczęśliwym.

Ożenisz się z nią.

Pewnego dnia – dziewięć lat po wyjściu z więzienia – dowiesz się, że twoja piękna żona jest w ciąży. Postanawiasz kupić telefon komórkowy z aparatem fotograficznym, żeby być z nią w nieustannym kontakcie. Jesteś w pracy, kiedy dzwoni telefon.

Nazywasz się Matt Hunter. Telefon dzwoni po raz drugi. A kiedy go odbierasz...

DZIEWIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

1

RENO, NEVADA

18 KWIETNIA

Dzwonek do drzwi wyrwał Kimmy Dale z głębokiego snu. Poruszyła się na łóżku, jęknęła i spojrzała na zegar stojący na nocnym stoliku. 11.47. Chociaż dochodziło południe, w przyczepie mieszkalnej było ciemno jak w nocy. Kimmy to lubiła. Pracowała w nocy i miała lekki sen. Za dawnych czasów w Vegas dopiero po kilku latach prób z zasłonami, żaluzjami, roletami, kotarami i przepaskami na oczy znalazła taką kombinację, która naprawdę nie pozwalała prażącemu słońcu Nevady wyrwać jej z drzemki. Słońce Reno nie było tak bezlitosne, lecz mimo to potrafiło znaleźć i wykorzystać nawet najmniejszą szparę.

Kimmy usiadła na szerokim łożu. Telewizor, produkt jakiejś anonimowej firmy, który kupiła, kiedy pobliski motel w końcu postanowił wymienić sprzęt na lepszy, wciąż grał z wyłączoną fonią. Postacie na ekranie przepływały niczym widma w jakimś odległym świecie. Teraz spała sama, ale bywało różnie. Kiedyś każdy gość, każdy przyszły kochanek, przynosił do tego łóżka nadzieję. Myślała wtedy optymistycznie „może to właśnie ten”, ale po jakimś czasie doszła do wniosku, że oddaje się marzeniom.

Teraz już straciła nadzieję.

Powoli wstała. Przy tym ruchu zabolęły ją piersi, powiększone kolejną operacją plastyczną. Kimmy przeszła już trzeci taki zabieg, a nie była młoda. Nie chciała tego, ale Chally, który uważał się za eksperta w tych sprawach, bardzo nalegał. Dostawała coraz mniejsze napiwki. Jej popularność malała. Tak więc zgodziła się.

Jednak skóra piersi była zbyt rozciągnięta po poprzednich zabiegach chirurgicznych. Kiedy Kimmy leżała na plecach, przekłute cycki opadały na bok i wyglądały jak rybnie ślepie. Dzwonek zadzwieczał ponownie.

Kimmy spojrzała w dół, na swoje hebanowe nogi. Trzydzieści pięć lat, nigdy nie miała dziecka, a żyłaki, które się jej porobiły, wyglądały jak płatanina żerujących larw. Zbyt wiele lat pracy na nogach. Chally chciał, żeby i z tym coś zrobiła. Wciąż była w formie, miała świetną figurę i niesamowity tyłek, ale cóż, trzydzieści pięć lat to nie osiemnaście. Początki cellulitis. I te żyłaki. Niczym jakaś cholerna mapa.

Wetknęła w usta papierosa. Pudełko z zapalnikami pochodziło z jej obecnego miejsca pracy, lokalu striptizowego Eager Beaver. Kiedyś była gwiazdą Vegas, występowała pod pseudonimem Black Magie. Nie tęskniła za tamtymi czasami. Prawdę mówiąc, nie tęskniła za żadnymi czasami.

Kimmy Dale narzuciła szlafrok i otworzyła drzwi sypialni. Frontowy pokój nie był zabezpieczony przed słońcem. Zaatakowało ją wściekle. Osloniła oczy i zamrugęła. Kimmy nie miewała wielu gości – nigdy nie sprowadzała gachów do domu – doszła więc do wniosku, że to

zapewne świadkowie Jehowy. W przeciwieństwie do niemal wszystkich innych obywateli wolnego świata Kimmy nie miała nic przeciwko ich sporadycznym wizytom. Zawsze zapraszała tych krzewicieli religii do swego domu i uważnie wysłuchiwała, co mieli do powiedzenia. Zazdrościła im tego, co znaleźli, i żałowała, że nie potrafi przekonać się do ich wiary. Tak samo jak z mężczyznami jej życia, miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej, że tym razem zdołają ją przekonać i uwierzy.

Otworzyła drzwi, nie pytając, kto tam.

– Pani jest Kimmy Dale?

Dziewczyna w drzwiach była młoda. Osiemnaście, dwadzieścia lat, coś koło tego. Nie, to nie świadek Jehowy. Nie miała na ustach tego bezmyślnego uśmiechu. Przez moment Kimmy zastanawiała się, czy to jedna z dziewcząt zwerbowanych przez Chally'ego, ale nie. Ta dziewczyna nie była brzydka ani nic takiego, ale też nie w jego typie. Jak na Chally'ego, za mało seksowna.

– Kim jesteś? – zapytała Kimmy.

– To nieważne.

– Proszę?

Dziewczyna opuściła oczy i przygryzła dolną wargę. Kimmy dostrzegła w tym zachowaniu coś dziwnie znajomego i poczuła mrowienie w piersiach.

– Pani znała moją matkę – oznajmiła dziewczyna. Kimmy bawiła się papierosem.

– Znam wiele matek.

– Moją matką była Candace Porter. Kimmy skrzywiła się. Było ponad trzydzieści stopni, ale nagle mocniej otuliła się szlafrokiem.

– Mogę wejść?

Czy przytaknęła? Sama nie wiedziała. Odsunęła się na bok i dziewczyna weszła do środka.

– Nie rozumiem – rzekła Kimmy.

– Candace Potter była moją matką. Oddała mnie do adopcji w tym samym dniu, w którym się urodziłam.

Kimmy usiłowała zachować spokój. Zamknęła drzwi przyczepy.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję.

Obie kobiety przyglądały się sobie. Kimmy założyła ręce na piersi.

– Nie wiem, czego chcesz – powiedziała.

– Dwa lata temu dowiedziałam się, że jestem adoptowana – zaczęła dziewczyna, jakby wcześniej przygotowała sobie przemowę. – Kocham moją przybraną rodzinę, więc nie chcę, żeby wyciągnęła pani niewłaściwe wnioski. Mam dwie siostry i cudownych rodziców. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Nie chodzi o nich. Po prostu... kiedy człowiek dowiaduje się czegoś takiego, musi

wiedzieć.

Kimmy kiwnęła głową, chociaż nie była pewna dlaczego.

– Tak więc zaczęłam szukać jakichś informacji. To nie było łatwe. Jednak są ludzie, którzy pomagają adoptowanym dzieciom odnaleźć rodziców.

Kimmy wyjęła papierosa z ust. Trzęsła jej się ręka.

– Jednak wiesz, że Candi... to znaczy twoja matka... Candace...

– Nie żyje. Tak, wiem. Została zamordowana. Dowiedziałam się w zeszłym tygodniu.

Kimmy poczuła, że nogi ma jak z waty. Usiadła. Wspomnienia napłynęły bolesną falą.

Candace Potter. Znana w klubach jako Candi Cane.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała Kimmy.

– Rozmawiałam z policjantem, który prowadził śledztwo. Nazywa się Max Darrow. Pamięta go pani?

Och tak, pamiętała dobrego starego Maksa. Znała go jeszcze przed tym morderstwem. Z początku detektyw Max Darrow zajmował się tą sprawą jakby od niechcenia. Kwestia priorytetów. Martwa striptizerka, bez rodziny. Jeszcze jeden uschnięty kaktus na pustyni, oto czym Candi była dla Darrowa. Kimmy postanowiła zmienić jego podejście do sprawy, wymieniła przysługę za przysługę. Taki już jest ten świat.

– Taak – powiedziała. – Pamiętam go.

– Przeszedł na emeryturę. Mówię o Maksie Darrowie. Mówi, że wiedzą, kto ją zabił, tylko nie wiedzą, gdzie jest. Kimmy poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– To było dawno temu.

– Pani i moja mama byłyście przyjaciółkami?

Kimmy zdołała kiwnąć głową. Wciąż pamiętała tamte czasy, oczywiście. Candi była dla niej kimś więcej niż przyjaciółką. Na tym świecie rzadko znajduje się ludzi, na których naprawdę można liczyć. Candi była jedną z takich osób – może jedyną, od kiedy mama umarła, gdy Kimmy miała dwanaście lat. Były nierozłączne, Kimmy i ta biała laska, czasem używały, przynajmniej na scenie, pseudonimów Pić i Sayers, z tego starego filmu Pieśń Briana. A potem, tak samo jak na filmie, jej biała przyjaciółka umarła.

– Była prostytutką? – zapytała dziewczyna.

Kimmy potrząsnęła głową i skłamała:

– Nigdy.

– Jednak była striptizerką.

Kimmy milczała.

– Ja jej nie osądzam.

– No to czego chcesz?

– Chcę się dowiedzieć czegoś o mojej matce.

– Teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma.

Kimmy pamiętała, kiedy usłyszała tę wiadomość. Była na scenie na przedmieściu Tahoe, wykonując powolny numer dla gości w porze lunchu, największej bandy nieudaczników w historii ludzkości, facetów mających na butach kurz, a w sercach dziury, które jeszcze się powiększały na widok nagich kobiet. Nie widziała Candi od trzech dni, ale Kimmy była w trasie. Tam, na tej scenie, po raz pierwszy usłyszała plotki. Wiedziała, że stało się coś złego. Modliła się, żeby to nie dotyczyło Candi.

Na próżno.

– Twoja matka miała ciężkie życie – oznajmiła Kimmy. Dziewczyna siedziała, czekając.

– Candi myślała, że uda nam się jakoś wyrwać, wiesz? Z początku uważała, że dzięki facetom z klubu. Poznają nas i zabiorą ze sobą. Co za bzdury. Niektóre dziewczyny tego próbują. Nigdy nie wychodzi. Facet pragnie spełnienia swoich fantazji, nie ciebie. Twoja matka nauczyła się tego bardzo szybko. Była marzycielką, ale miała wytyczony cel.

Kimmy zamilkła i zapatrzyła się w dal.

– I?

– I wtedy ten drań zatłukł ją, jakby była robakiem. Dziewczyna wierciła się na krześle.

– Detektyw Darrow powiedział, że nazywał się Clyde Rangor? Kimmy pokiwała głową.

– Wspomniał również o kobiecie, niejkiej Emmie Lemay.

Ona była jego współniczką? – W pewnych sprawach, owszem. Jednak nie znam szczegółów.

Kimmy nie płakała, kiedy pierwszy raz usłyszała tę wiadomość. Nie mogła. Jednak doszła do siebie. Zaryzykowała życie, mówiąc temu cholernemu Darrowowi wszystko, co wiedziała.

Człowiek w życiu na ogół się nie stawia. Jednak Kimmy nie zdradziłaby Candi nawet wtedy, kiedy już nie mogła jej pomóc. Ponieważ wraz ze śmiercią Candi umarła najlepsza część Kimmy.

Dlatego rozmawiała z glinami, szczególnie z Maksem Darrowem. Ktokolwiek to zrobił – a tak, była pewna, że to sprawka Clyde'a i Emmy – mógł ją skrzywdzić lub zabić, ale nie zdoła jej powstrzymać.

W końcu Clyde i Emma nie zemścili się na niej. Zamiast tego uciekli.

Od tamtych wydarzeń minęło już dziesięć lat.

– Wiedziała pani o mnie? – spytała dziewczyna. Kimmy powoli skinęła głową.

– Twoja matka powiedziała mi, ale tylko raz. To było dla niej zbyt bolesne, żeby o tym mówić. Musisz zrozumieć. Candi była młoda, kiedy to się stało. Miała piętnaście lub szesnaście lat. Zabrali cię, gdy tylko przyszedł na świat. Nawet nie wiedziała, czy urodziła chłopca, czy dziewczynkę.

Zapadła grucha cisza. Kimmy chciała, żeby dziewczyna już sobie poszła.

– Jak pani sądzi, co się z nim stało? Z Clyde'em Rangorem – Pewnie nie żyje – odparła

Kimmy, chociaż sama w te nie wierzyła. Takie karaluchy jak Clyde nie umierają. Po prostu chowają się, żeby znów krzywdzić ludzi.

– Chcę go odnaleźć – oznajmiła dziewczyna. Kimmy tylko spojrzała na nią.

– Chcę odszukać mordercę mojej matki i postawić go przed sądem. Nie jestem bogata, ale mam trochę pieniędzy.

Obie milczały przez chwilę. Powietrze było ciężkie i lepkie. Kimmy zastanawiała się, jak to ująć w słowa.

– Mogę ci coś powiedzieć? – zaczęła.

– Oczywiście.

– Twoja matka próbowała walczyć z tym wszystkim.

– Z czym?

Kimmy nie rezygnowała.

– Większość dziewcząt poddaje się. Rozumiesz? Twoja matka nigdy tego nie zrobiła. Nie ugięła się. Marzyła. Jednak nie mogła wygrać.

– Nie rozumiem.

– Jesteś szczęśliwa, dziecko?

– Tak.

– Jeszcze chodzisz do szkoły?

– Zaczynam naukę w college'u.

– W college'u – powiedziała z rozmarzeniem Kimmy. I zaraz dodała: – Ty.

– Co w tym dziwnego?

– Widzisz, twoja matka zwyciężyła. Dziewczyna milczała.

– Candi, twoja matka, nie chciałaby, żebyś była w to zamieszana. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Zaczekaj chwilkę. – Kimmy otworzyła szufladę. To było tam, oczywiście. Już nie trzymała tego zdjęcia na wierzchu, ale wciąż je miała. Ona i Candi śmiejące się do całego świata. Pić i Sayers. Kimmy popatrzyła na siebie i uświadomiła sobie, że ta młoda dziewczyna, którą nazywali Black Magic, to obca osoba, jakby Clyde Rangor i ją zatłukł na śmierć.

– Weź je – powiedziała.

Dziewczyna delikatnie wzięła zdjęcie, jakby było z porcelany.

– Była piękna – szepnęła.

– Bardzo.

– Wygląda na szczęśliwą.

– Nie była. Jednak dziś byłaby szczęśliwa. Dziewczyna stanowczo podniosła głowę.

– Nie wiem, czy zdołam trzymać się od tego z daleka.

Może więc jesteś bardziej podobna do matki, niż ci się wydaje, pomyślała Kimmy.

Potem uściskały się i obiecały, że pozostaną w kontakcie. Kiedy dziewczyna poszła, Kimmy ubrała się. Pojechała do kwaciarni i poprosiła o tuzin tulipanów, ulubionych kwiatów Candi. Odbyła czterogodzinną podróż na cmentarz i uklękła przy grobie przyjaciółki. Wokół nie było nikogo. Kimmy startła kurz z niewielkiego nagrobka. Sama opłaciła kamieniarza!

Candi nie będzie leżeć w anonimowym grobie. – Dziś odwiedziła mnie twoja córka – rzekła głośno. Wiał łagodny wietrzyk. Kimmy zamknęła oczy i nasłuchiwała. Wydało jej się, że słyszy głos Candi, tak długo niesłyszany, proszący ją, żeby zadbała o bezpieczeństwo jej córki. I klęcząc tak w prażącym słońcu Nevady, Kimmy obiecała, że to zrobi.

2

IRVINGTON, NEW JERSEY

20 CZERWCA

Wideotelefon – wymamrotał Matt Hunter, kręcąc głową. Wypatrywał jakiegoś znaku, lecz ujrzał jedynie ogromną butelkę piwa. Był to znajomy widok, który Matt widywał za każdym razem, gdy wychodził ze swojego niszczonego dwurodzinnego domku, obłożonego z farby. Z szyjką sterczącą na wysokość niemal sześćdziesięciu metrów, słynna butelka dominowała nad horyzontem. Firma Pabst Blue Ribbon założyła tutaj browar, ale zamknęła go w 1985 roku. Przed laty ta butla była wspaniałą wieżą ciśnień, z powłoką z miedziowanej stalowej blachy, emaliowaną etykietą i złotym kapslem. W nocy butelkę oświetlały reflektory, żeby mieszkańcy Jersey mogli podziwiać ją z odległości wielu kilometrów.

Teraz miała brązowy kolor butelki z piwem, który w rzeczywistości zawdzięczała rdzy. Etykieta dawno znikła. Idąc za przykładem tej flaszki, niegdyś kwitnąca okolica nie tyle popadła w ruinę, ile powoli podupadła. Już od dwudziestu lat nikt nie pracował w browarze. Patrząc na resztki hal, można by pomyśleć, że znacznie dłużej.

Matt przystanął na najwyższym stopniu. Olivia, miłość jego życia, nie. Kluczyki od samochodu pobrzękiwały jej w ręku.

– Chyba nie powinniśmy – powiedział. Olivia nie zwołała kroku.

– Chodź. To będzie zabawne.

– Telefon powinien być telefonem – rzekł Matt. – A kamera, kamerą.

– Och, co za głęboka myśl.

– Jeden gadżet spełniający obie funkcje... to zboczenie.

– Ekspert się odezwał – zauważyła Olivia.

– Cha, cha. Nie dostrzegasz zagrożenia?

– Nie, żadnego.

– Kamera i telefon jednocześnie... – Matt urwał, szukając odpowiednich słów. – To... sam nie wiem, co o tym myślał, to coś w rodzaju krzyżówki międzygatunkowej, jak jeden z tych eksperymentów z filmów klasy B, który wymyka się spod kontroli i niszczy wszystko na swej drodze.

Olivia tylko obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Jesteś niesamowity.

– Po prostu nie jestem pewien, czy powinniśmy kupować wideotelefon, to wszystko.

Nacisnęła przycisk pilota i drzwi samochodu się otworzyły. Złapała klamkę. Matt wahał się.

Olivia spojrzała na niego.

– Co? – zapytał.

– Gdybyśmy oboje mieli takie telefony – powiedziała Olivia – mogłabym ci przysyłać gołe fotki, kiedy jesteś w pracy.

Matt otworzył drzwiczki.

– Yerizon czy Sprint?

Olivia obdarzyła go uśmiechem, od którego serce zabiło mu mocniej.

– Kocham cię, wiesz.

– Ja też cię kocham.

Oboje byli już w samochodzie. Obróciła się do niego. Zobaczył jej zatroskane spojrzenie i o mało nie odwrócił głowy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Olivia. – Wiesz o tym, prawda?

Przytaknął i udało mu się uśmiechnąć. Nie zwiódł Olivii, ale liczył się dobre chęci.

– Olivio? – rzekł.

– Tak?

– Powiedz mi coś więcej o tych gołych fotkach.

Dała mu kuksańca.

Niepokój Matta jednak powrócił, gdy tylko weszli do salonu Sorinta i usłyszeli wykład o dwuletniej umowie. Uśmiech sprzedawcy wydawał się dziwnie sataniczny, jak u diabła na jednym z tych filmów, w których naiwny facet sprzedaje swoją duszę. Kiedy sprzedawca wyciągnął mapę Stanów Zjednoczonych i informował ich, że obszary leżące poza zasięgiem sieci są oznaczone jasnoczerwonym kolorem, Matt zaczął się wahać.

Co do Olivii to nic nie mogło ostudzić jej zapału, lecz jego żona z natury była entuzjastką. Należała do tych rzadko spotykanych osób, które znajdują radość zarówno w rzeczach dużych, jak i małych, co z pewnością u nich dwojga było jedną z cech ilustrującą teorię o przyciąganiu się przeciwieństw.

Sprzedawca wciąż gadał. Matt wyłączył się, lecz Olivia uważnie słuchała. Zadała kilka pytań, tak dla formalności, ale sprzedawca wiedział, że rybka nie tylko połknęła haczyk, ale została wyłowiona, oprawiona, upieczona i na pół zjedzona.

– Państwo pozwolą, że przygotuję umowę – rzekł i wymknął się. Olivia z promiennym uśmiechem złapała Matta za ramię.

– Czy to nie fajne? Matt zrobił dziwną minę.

– Co?

– Naprawdę użyłaś określenia „gołe fotki”?

Roześmiała się i oparła głowę na jego ramieniu.

Oczywiście euforia Olivii i nieustanny dobry humor były wywołane czymś więcej niż zmianą operatora telefonii komórkowej. Zakup wideotelefonów stanowił tylko symbol, zapowiedź tego, co nadchodziło.

Dziecka.

Dwa dni temu Olivia wykonała domowy test ciążowy i na białym tle w końcu pojawił się czerwony krzyżyk, co Matt uznał za przedziwnie obciążone symboliką religijną. Oniemiał. Od roku próbowali począć dziecko – właściwie od dnia ślubu. Napięcie wywołane ciągłymi porażkami zmieniło to, co zawsze było raczej spontanicznym, jeśli nie wręcz mistycznym przeżyciem, w starannie przestrzegany rytuał mierzenia temperatury, sprawdzania kalendarza, wymuszonej abstynencji i skupionego wysiłku.

Teraz to wszystko było za nimi. Jeszcze wcześniej, ostrzegł ją. Nie uprzedzajmy wypadków. Jednak otaczająca Olivię aura mówiła sama za siebie. Jej euforia była jak żywioł, burza, przyływ. Matt nie potrafił jej powstrzymać.

Właśnie dlatego znaleźli się tutaj.

Wideotelefony, naciskała Olivia, pozwolą ich wkrótce trzyosobowej rodzinie prowadzić takie życie rodzinne, jakiego pokolenie ich rodziców nawet nie umiało sobie wyobrazić. Dzięki wideotelefonom żadne z nich nie przegapi decydujących, a nawet zupełnie zwyczajnych chwil w życiu ich dziecka – pierwszego kroku, pierwszych słów, zabaw i czego tylko chcecie.

A przynajmniej taki był plan.

Godzinę później, kiedy wrócili do swojej połówki bliźniaka, Olivia cmoknęła go i zaczęła wchodzić po schodach na piętro.

– Hej! – zawołał Matt, chwytając swój nowy telefon i unosząc brew. – Chcesz spróbować... hm... jak działa wideo?

– Można nim nakręcić piętnastosekundowy film.

– Piętnastosekundowy. – Rozważył to, wzruszył ramionami i rzekł: – A zatem wydłużymy grę wstępną.

Olivia jęknęła, co najzupełniej zrozumiałe.

Mieszkali w okolicy, którą większość ludzi uznałaby za wiejską, w dziwnie przyjemnym cieniu olbrzymiej butelki piw w Irvington. Zaraz po wyjściu z więzienia Matt uważał, że na nic lepszego nie zasługuje (łatwo mu było tak mówić, ponieważ na nic lepszego nie było go stać) i pomimo protestów rodzin; wynajął tu mieszkanie. Irvington to znużone miasto, w którym mieszka wielu Afroamerykanów – ponad osiemdziesiąt procent. Ktoś mógłby wyciągnąć oczywisty wniosek o poczuciu winy wywołanym pobytem w więzieniu.

Matt wiedział, że te sprawy nigdy nie są takie proste, ale nie potrafił wyjaśnić tego w inny sposób, twierdził jedynie, że jeszcze nie jest gotowy, wrócić na bogate przedmieścia. Zmiana byłaby zbyt gwałtowna, zbyt wyczerpująca.

Tak więc ta okolica – stacja benzynowa Shella, stary sklep z artykułami gospodarstwa domowego, delikatesy na rogu, menele na popękany krawężniku, drogi dojazdowe do lotniska Newark, tawerna schowana w pobliżu starego browaru pabsta – stała się ich domem.

Kiedy Olivia przeniosła się z Wirginii, przypuszczał, że będzie chciała przeprowadzić się do lepszej dzielnicy. Wiedział, że przywykła, jeśli nie do czegoś lepszego, to na pewno innego. Wychowała się w małym miasteczku Northways, w Wirginii. Ledwie zaczęła chodzić, a matka porzuciła męża i ją.

Trochę za stary jak na młodego ojca – bo kiedy Olivia przyszła na świat, miał pięćdziesiąt jeden lat – Joshua Murray ciężko pracował, żeby zarobić na siebie i swoją córeczkę. Joshua był jedynym lekarzem w Northways i zajmował się dosłownie wszystkim, od wyrostka robaczkowego u sześciolatniej Mary Kate Johnson po gościec starego Ritemana.

Według Olivii Joshua był miłym i łagodnym człowiekiem oraz cudownym ojcem, zauroczonym jedynaczką. Byli tylko we dwoje, ojciec i córka, mieszkali w domu z czerwonej cegły przy głównej ulicy. Gabinet ojca mieścił się w przybudówce, po prawej stronie podjazdu. Olivia przeważnie po szkole pędziła do domu, żeby pomóc przy pacjentach. Uspokajała przestraszone dzieci lub gawędziła z Cassie, ich długoletnią rejestratorką i pielęgniarką. Cassie była również „jakby nianią”. Jeśli ojciec był zbyt zajęty, Cassie gotowała obiad i pomagała Olivii odrabiać lekcje. Olivia uwielbiała ojca. Jej marzeniem – i tak, teraz uważała, że to brzmi beznadziejnie naiwnie – było zostać lekarką i pracować z ojcem.

Kiedy jednak była na ostatnim roku college’u, wszystko się zmieniło. Ojciec, będący jedynym jej krewnym, zmarł na raka płuc. Ta wiadomość podcięła skrzydła Olivii. Dawne marzenie – żeby pójść na medycynę i w ślady ojca – umarło razem z nim. Olivia zerwała zaręczyny z chłopakiem, z którym chodziła w college’u, przyszłym lekarzem o imieniu Doug, i wróciła do rodzinnego domu w Northways. Ale życie tam bez ojca było zbyt bolesne. W końcu sprzedała dom i wprowadziła się do kompleksu mieszkalnego w Charlottesville. Podjęła pracę w firmie komputerowej, wymagającą częstych podróży, dzięki czemu w pewnym stopniu odnowiła dziwną i krótką znajomość z Mattem.

Irvington w New Jersey niezbyt przypominało Northways czy Charlottesville w Wirginii, ale Olivia go zaskoczyła. Chciałaby pozostać tutaj, w tej kiepskiej okolicy, żeby mogli zaoszczędzić pieniądze na wymarzony i już zamówiony dom. Trzy dni po tym jak kupili nowe telefony komórkowe, Olivia wróciła do domu i od razu skierowała się na górę. Matt nalał sobie szklaneczkę cytrynowej wody sodowej i wziął kilka tych precelków w kształcie cygar. Pięć minut później poszedł za nią. Olivii nie było w sypialni. Zajrzał do małego gabinetu. Siedziała przy komputerze, tyłem do drzwi.

– Olivio?

Odwróciła się do niego uśmiechnęła. Matt zawsze gardził tym wyświechtanym powiedzeniem o uśmiechu rozjaśniającym pokój, ale Olivia naprawdę potrafiła to zrobić – „przemienić swym uśmiechem cały świat”. Jej uśmiech był zaraźliwy. Był jak katalizator, dodający barw i wyrazu jego życiu, zmieniający wszystko wokół.

- O czym myślisz? – zapytała Olivia.
- O tym, że jesteś nieodparcie pociągająca.
- Nawet w ciąży?
- Szczególnie w ciąży.

Olivia stuknęła w klawisz i ekran zgasł. Wstała i delikatnie pocałowała Matta w policzek.

- Muszę się spakować. Wyjeżdżała służbowo do Bostonu.
- O której wylatujesz? – zapytał.
- Myślę, że raczej tam pojedę.
- Dlaczego?

– Jedna z moich znajomych poroniła po podróży samolotem. Nie chcę ryzykować. Och, a jutro rano przed podróżą zamierzam odwiedzić doktora Haddona. Chcę ponownie wykonać test i upewnić się, że wszystko w porządku.

- Mam iść z tobą? Pokręciła głową.
- Musisz iść do pracy. Pójdiesz następnym razem, kiedy będą robili sonogram.
- W porządku.

Olivia pocałowała go ponownie, tym razem nieco dłużej.

- Hej – szepnęła. – Szczęśliwy?

Zamierzał znów zażartować, rzucić jakąś aluzję. Jednak nie zrobił tego. Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział:

- Bardzo.

Olivia odsunęła się, on wciąż stał w drzwiach i obserwował ten uśmiech.

- Lepiej się spakuję.

Matt patrzył, jak odchodzi. Było mu dziwnie lekko na sercu. Naprawdę był szczęśliwy, co piekielnie go przerażało. Szczęście jest takie kruche. Dowiadujesz się tego, kiedy zabijasz chłopaka. Dowiadujesz się tego, kiedy spędzasz cztery lata w więzieniu o zaostrowym rygorze. Szczęście jest tak delikatne, tak nietrwałe, że może je zniszczyć byle podmuch. Lub dzwonek telefonu.

Matt był w pracy, gdy poczuł wibracje wideotelefonu. Spojrzał na numer dzwoniącego i zobaczył, że to Olivia. Wciąż siedział przy swoim starym podwójnym biurku, chociaż druga strona była wolna już od trzech lat. Jego brat Bernie kupił to biurko, kiedy Matt wyszedł z więzienia. Przed tym, co rodzina eufemistycznie nazywała „wypadkiem”, Bernie wiązał wielkie nadzieje z nimi dwoma, Braćmi Hunter. Nie chciał z nich rezygnować. Matt miał zapomnieć o tych czterech latach. Ten wypadek był tylko wybojem na drodze, niczym więcej, a teraz Bracia Hunter znowu siedzieli w siodle. Bernie był tak przekonujący, że Matt prawie w to uwierzył.

Bracia siedzieli przy tym biurku przez sześć lat. Prowadzili w tym pokoju kancelarię prawniczą – Bernie zajmował się lukratywnymi zleceniami korporacyjnymi, a Matt, jako skazany

przestępca niemający prawa wykonywania zawodu, przejmował sprawy leżące na przeciwnym biegunie, ani lukratywne, ani korporacyjne. Wspólnicy Berniego uważali to za dziwactwo, że żaden z braci nie odczuwał potrzeby samotności. Jako dzieci mieli wspólny pokój, w którym Bernie spał na górze parowego łóżka i był dla Matta głosem dobiegającym z góry, z ciemności. Obaj tęsknili za tymi czasami – a przynajmniej tęsknił za nimi Matt. Sam zawsze czuł się nieswojo. Miło było dzielić pokój z Bernieem. Przez sześć lat.

Matt położył dłonie na mahoniowym blacie. Powinien już pozbyć się tego biurka. Od trzech lat nikt nie siedział po stronie Berniego, lecz Matt wciąż czasem zerkał tam, spodziewając się go zobaczyć. Wideotelefon znów zawibrował.

W jednej chwili Bernie miał wszystko – wspaniałą żonę, dwóch wspaniałych chłopców, duży dom na przedmieściu, partnerstwo w dużej kancelarii prawniczej, zdrowie i popularność – a w następnej rodzina sypała ziemię na jego grób i usiłowała zrozumieć, co się stało. Tętniak mózgu, powiedział lekarz. Możesz chodzić z nim latami, a potem bach i umierasz.

Telefon był ustawiony na wibrowanie, dopiero potem rozległ się dzwonek. Przestał wibrować i zaczął odgrywać stary motyw z Batmana, ten z ambitnym tekstem składającym się głównie z „na, na, na”, zakończonym okrzykiem „Barman”! Matt odczepił nowy aparat od paska. Zatrzymał palec tuż nad przyciskiem odbioru. To było dziwne. Olivia, chociaż pracowała w firmie komputerowej, zupełnie nie radziła sobie z elektroniką. Rzadko używała telefonu, a jeśli już, to przecież wiedziała, że Matt jest w biurze i zadzwoniłaby na stacjonarny.

Matt nacisnął klawisz odbioru, lecz na ekraniku pojawił się komunikat, że „nadchodzi” zdjęcie. To również było dziwne pomimo początkowego entuzjazmu Olivia jeszcze nie nauczyła się korzystać z kamery. Odezwał się interkom.

Rolanda – Matt mógłby nazwać ją sekretarką lub asystentką ale wtedy zrobiłaby mu krzywdę – odkaszlnęła.

– Matt?

– Tak?

– Marsha na drugiej linii.

Wciąż patrząc na ekran, Matt podniósł słuchawkę biurowego telefonu, żeby porozmawiać ze swoją bratową, wdową po Bernieem.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparła Marsha. – Czy Olivia wciąż jest w Bostonie?

– Uhm. W rzeczy samej, chyba właśnie przesyła mi zdjęcie przez nowy telefon komórkowy.

– Och. – Na moment zapadła cisza. – Jednak będziecie dziś w pobliżu?

W kolejnym geście sygnalizującym więź rodzinną Matt i Olivia przymierzali się do zakupu domu niedaleko Marshy i chłopców. Dom znajdował się w Livingston, gdzie Matt i Bernie dorastali.

Matt kwestionował sens tego powrotu. Ludzie mają dobrą pamięć. Bez względu na to, ile minie lat, zawsze będą szeptać za jego plecami. Z jednej strony Matt już dawno przestał się przejmować takimi drobiazgami, z drugiej zaś martwił się o Olivię i ich przyszłe dziecko. Przekleństwo przechodzące z ojca na syna i tym podobne rzeczy.

Olivia zdawała sobie sprawę z ryzyka. Chciała tego dziecka.

Co więcej zawsze trochę nadpobudliwa Marsha miała – Matt zastanawiał się, jak to najłagodniej ująć – humory. Rok po nagłej śmierci Berniego przeszła załamanie nerwowe. „Musiała odpocząć” – kolejny eufemizm – przez dwa tygodnie, a na ten czas Matt wprowadził się do jej domu i zajął chłopcami. Teraz Marsha była w dobrej formie – przynajmniej tak wszyscy twierdzili – ale Matt wciąż wolał trzymać się w pobliżu.

Dziś mieli obejrzeć osobiście nowy dom.

– Powiniennem niedługo tam być. Czemu pytasz, czy coś się stało?

– Mógłbyś tu wpaść?

– Do ciebie?

– Tak.

– Pewnie.

– Jeśli ci nie pasuje...

– Nie, skądże.

Marsha był piękną kobietą o owalnej twarzy, która czasem miała okropnie smutny wyraz. Jego bratowa często nerwowo spoglądała w górę, jakby upewniając się, że czarna chmura jest na swoim miejscu. Oczywiście był to tylko odruch, tak samo nic niemówiący o prawdziwej osobowości jak niski wzrost czy szramy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Mart.

– Tak, świetnie. To nic takiego. Po prostu... Mógłbyś przez parę godzin zająć się dziećmi? Muszę być w szkole, a Kyra ma dziś wieczorem wychodne.

– Chcesz, żebym zabrał je na obiad?

– Byłoby wspaniale. Tylko nie do McDonalda, dobrze?

– Chińszczyzna?

– Idealnie – powiedziała.

– Bombowo, będę.

– Dzięki.

Na ekranie wideotelefonu zaczął pojawiać się obraz.

– Zobaczymy się później – powiedział Matt. Pożegnała się i rozłączyła.

Matt znów skupił uwagę na wideotelefonie. Zmrużył oczy, patrząc na ekran. Ten był maleńki. Miał może ponad trzy centymetry, nie więcej niż cztery. Dzień był słoneczny. Zastłony odsunięte. W słonecznym blasku trudno było coś dostrzec. Matt osłonił dłonią maleńki

wyświetlacz i pochylił się nad nim, rzucając cień. Poskutkowało. Na ekraniku pojawił się jakiś człowiek. Nadal trudno było dostrzec szczegóły. Mężczyzna miał najwyżej trzydzieści kilka lat – tak samo jak Matt – i bardzo ciemne, niemal granatowe włosy. Nosił czerwoną koszulę, zapinaną na guziki. Jedną rękę miał uniesioną, jakby nią machał. Znajdował się w pokoju o białych ścianach, z szarym niebem widocznym za oknem. Twarz wykrzywił mu kpiący uśmiech – jeden z tych oznaczających „Jestem sprytniejszy od ciebie”. Matt przyglądał mu się uważnie. Ich spojrzenia się spotkały i Matt mógłby przysiąc, że w oczach nieznanego dostrzegł drwinę. Matt nie znał go.

Nie wiedział, dlaczego jego żona zrobiła zdjęcie temu człowiekowi.

Ekran zgasł. Matt nie ruszał się. W uszach wciąż szumiało mu jak w muszli wyłowionej z morza. Wciąż słyszał inne – odległy pisk faksu, ciche głosy, uliczny ruch – ale jakby przefiltrowane przez watę.

– Matt?

To Rolanda Garfield, asystentka-sekretarka. Firma prawnicza nie była zachwycona, kiedy Matt ją zatrudnił. Rolanda była nieco zbyt „pospolita” dla wykrochmalonych kołnierzyków z Carter Sturgis. Jednak Matt się uparł. Była jedną z jego pierwszych klientek i w jej sprawie odniósł sukces, a tych miał na koncie niewiele.

Odsiadując wyrok, Matt zdołał ukończyć studia prawnicze. Dyplom uzyskał niedługo po zwolnieniu. Bernie, będący motorem napędowym prosperującej firmy prawniczej Carter Sturgis, sądził, że uda mu się przekonać palestrę, żeby uczyniła wyjątek i przyjęła do swego grona jego brata kryminalistę.

Mylił się.

Jednak Berniego niełatwo było zniechęcić. Namówił swoich wspólników, żeby przyjęli Matta jako „radcę”. Wspaniały, ogólnikowy tytuł, który najczęściej oznaczał człowieka od czarnej roboty.

Partnerom z Carter Sturgis z początku to się nie podobało. Żadna niespodzianka. Były skazaniec w ich schludnej kancelarii prawniczej? Nie ma mowy. Jednak Bernie odwołał się do ich jedyne ludzkiego uczucia, twierdząc, że zatrudnienie Matta robi dobre wrażenie. Dowiedzie, że firma ma serce i wierzy – przynajmniej teoretycznie – w resocjalizację. Matt jest sprytny. Będzie dobrym nabytkiem. Co więcej, mógłby przejąć większą część spraw, które firma musi prowadzić dla dobra publicznego, co pozwoliłoby partnerom drenować kieszenie bogatych, nie irytując klasy średniej.

I dwa najmocniejsze argumenty: Matt będzie tani – bo jaki ma wybór? A poza tym jego braciszek Bernie, będący w firmie kurą znoszącą złote jajka, odejdzie, jeśli się nie zgodzą.

Jego wspólnicy rozważyli ten scenariusz. Może naprawdę zrobią dobry uczynek i jednocześnie dobry interes? Właśnie na takiej logice opiera się większość przedsięwzięć

charytatywnych.

Matt nie odrywał oczu od ciemnego wyświetlacza. Puls toczę mu przyspieszył. Zastanawiał się, kim jest ten facet o kruczoczarnych włosach.

Rolanda wzięła się pod boki.

– Ziemia do „Challengera” – powiedziała.

– Co? – otrząsnął się z zadumy Matt.

– Dobrze się czujesz?

– Ja? Doskonale.

Rolanda obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

Wideotelefon znowu zaczął wibrować. Rolanda stała podparta pod boki. Matt spojrzał na nią. Nie zareagowała na aluzję. Rzadko reagowała. Telefon znów zabuczał, a potem zaczął wygrywać melodię z Batmana.

– Nie zamierzasz odebrać? – zapytała Rolanda. Zerknął na telefon. Na wyświetlaczu znowu migał numer komórki jego żony.

– Hej, Batmanie.

– Już odbieram – rzekł Matt.

Dotknął kciukiem zielonego przycisku i przytrzymał go chwilę, po czym nacisnął. Ekranik znów się rozjaśnił. Pojawił się film.

Technologia poczyniła postępy, lecz filmy oglądane na wyświetlaczu o słabej rozdzielczości zwykle miały jakość dwie klasy niższą od filmów Zaprudera. Przez sekundę lub dwie Matt starał się skupić wzrok na tym, co działo się na ekranie. Wiedział, że ten film będzie krótki. Dziesięć, najwyżej piętnaście sekund.

To był jakiś pokój. Na pewno. Kamera ukazała telewizor stojący na stoliku. Na ścianie wisiał obraz. Matt nie potrafił stwierdzić, co przedstawia to płótno, ale odniósł wrażenie, film ukazuje pokój w hotelu. Kamera zatrzymała się w drzwiach łazienki. I wtedy pojawiła się kobieta.

Miała platynowe włosy. Nosila ciemne okulary i obcisłą niebieską suknię. Matt zmarszczył brwi. Co jest, do diabła?

Kobieta przez moment stała nieruchomo. Matt odniósł wrażenie, że nie wiedziała, iż jest filmowana. Obiektów poruszał się razem z nią. Obraz znikł w błysku światła – chyba promienie słoneczne wpadały przez okno – a potem pojawił się znowu.

Kiedy kobieta ruszyła w kierunku łóżka, Mattowi zapało dech.

Rozpoznał ten chód.

Poznał też sposób, w jaki usiadła na łóżku, jej ostrożny uśmiech, sposób, w jaki uniosła brodę i założyła nogę na nogę.

Zastygł.

Z drugiego końca pokoju usłyszał głos Rolandy, teraz łagodniejszy:

– Matt?

Zignorował ją. Kamera została postawiona na czymś, zapewne na biurczku. Nadal była wycelowana w łóżko. Mężczyzna ruszył w kierunku platynowej blondynki. Matt widział tylko jego plecy. Tamten miał czerwoną koszulę i kruczoczarne włosy. Podchodząc, zasłonił kobietę. I łóżko.

Oczy Matta zaczęły zasnuwać się mgłą. Zamrugał, skupiając wzrok. Ekran ciekłokrystaliczny wideotelefonu zaczął ciemnieć. Obraz zamigotał i znikł, Matt siedział skamieniały, Rolanda spoglądała na niego dziwnie, a fotografie po tej stronie biurka, która należała do Berniego, wciąż stały na swoim miejscu. Był pewien – no cóż, prawie pewien, bo przecież to zaledwie ponadtrzycentymetrowy ekranik – że kobieta w obcym pokoju hotelowym, ta kobieta w obcisłej niebieskiej sukni, nosiła blond perukę, a naprawdę była brunetką, na imię miała Olivia i była jego żoną.

3

NEWARK, NEW JERSEY

22 CZERWCA

Loren Muse, inspektor z biura prokuratora okręgu Essex, siedziała w gabinecie szefa.

– Zaczekaj chwilkę – powiedziała. – Chcesz mi powiedzieć, że ta zakonnica miała implanty w piersiach?

Ed Steinberg, prokurator okręgowy, siedział za biurkiem, masując sobie wielkie brzuszysko. Miał taką budowę ciała, że patrząc na niego nawet od tyłu, nie widziało się jego tuszy, tylko szeroki tyłek. Odchylił się na fotelu i założył ręce za głowę. Koszulę miał poźótkłą pod pachami.

– Owszem, na to wygląda.

– Jednak umarła z przyczyn naturalnych? – zapytała Loren.

– Tak uważaliśmy.

– Już tak nie uważacie?

– Ja już tak nie uważam – rzekł Steinberg.

– W tym momencie mogłabym rzucić cięty dowcip, szefie – Jednak nie rzucisz. – Steinberg westchnął i założył okulary do czytania. – Siostra Mary Rose, ucząca socjologii, została znaleziona martwa w swoim klasztorным pokoju. Żadnych śladów walki, żadnych ran, sześćdziesiąt dwa lata. Pozornie zwyczajna śmierć w wyniku ataku serca, udaru, czegoś takiego. Nic podejrzanego.

– Ale? – wtrąciła Loren.

– Ale pojawił się pewien nowy fakt.

– Chyba mówi się „ślad”.

– Przestań, dobijasz mnie.

Loren podniosła rękę.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie ściągnęłaś.

– Może dlatego, że jesteś najlepszym inspektorem dochodzeniowym w całym... hmm... okręgu?

Loren skrzywiła się.

– Tak, wcale nie myślałem, że to przejdzie. Ta zakonnica... – Steinberg znów zdjął okulary. –

Uczyła w St Margarefs High.

Spojrzał na Loren.

– I co z tego?

– To, że byłaś jej uczennicą, mam rację?

– Powtarzam: i co z tego?

– To, że matka przełożona ma znajomości. Zażądała ciebie.

– Matka Katherine? Zajrzał do papierów.

– Tak ma na imię.

– Żartujesz, prawda?

– Wcale. Poprosiła o przysługę. Zażądała, żeby przysłano ciebie. Loren pokręciła głową.

– Zakładam, że ją znasz?

– Matkę Katherine? Tylko dlatego, że wciąż wysyłano mnie do niej na dywanik.

– Chwila, byłaś niegrzeczną dziewczynką? – Steinberg przycisnął dłoń do piersi. – Wytatuuj mi na czole „wstrząśnięty”.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego chciała właśnie mnie.

– Może pomyślała, że będziesz dyskretna.

– Nienawidziłam tego miejsca.

– Dlaczego?

– Nie chodziłeś do katolickiej szkoły, prawda? Podniósł stojącą na biurku tabliczkę z nazwiskiem i postukał w nią palcem.

Steinberg – przeczytał powoli. – Zauważ: Stein i Berg. Często spotyka się takie nazwiska wśród katolików? Loren skinęła głową.

– No właśnie, więc równie dobrze mogłabym wyjaśniać głuchemu, czym jest muzyka. Któremu prokuratorowi mam podlegać?

– Mnie.

To ją zaskoczyło.

– Bezpośrednio? – Bezpośrednio i wyłącznie. Nikomu innemu, jasne? Kiwnęła głową.

– Jasne.

– Jesteś gotowa?

– Na co?

– Na matkę Katherine.

– Co z nią?

Steinberg wstał i wymaszerował zza biurka.

– Jest w sąsiednim pokoju. Chce porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Kiedy Loren Muse była uczennicą szkoły dla dziewcząt St Margarefs, matka Katherine miała cztery metry wzrostu i ze sto lat. Z upływem czasu skurczyła się i odmłodziła – ale niewiele. Kiedy Loren chodziła do St Margarefs, matka Katherine nosiła habit. Teraz też miała na sobie bezsprzecznie skromny strój, chociaż znacznie mniej rzucający się w oczy. Reakcja zakonnic na styl obowiązujący w republikach bananowych, domyśliła się Loren. – Zostawię was same – powiedział Steinberg. Matka Katherine stała z rękami złożonymi jak do modlitw. Drzwi się zamknęły. Żadna z kobiet się nie odezwała. Loren dobrze to знаła. Nie zamierzała odezwać się pierwsza.

W pierwszej klasie szkoły średniej w Livingston Loren została uznana za „trudną uczennicę” i posłana do St Margarefs. Była drobna i miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, a i później niewiele urosła. Inni inspektorzy, banda dowcipnych samców, nazywali ją Pętakiem.

Inspektorzy. Tylko im pozwól, to zaraz wezmą cię na języki.

Z Loren nie zawsze były kłopoty. W szkole podstawowej była żywą jak iskra dziewczyną, która grała w nogę jak chłopak.

Prędzej by umarła, niż włożyła coś różowego. Jej ojciec miał się różnych zajęć, przeważnie związanych ze spedycją. Był miłym, spokojnym mężczyzną, który popełnił błąd, zakochując się w zbyt pięknej kobiecie.

Rodzina Muse mieszkała w Livingston w stanie New Jersey, w dzielnicy Coventry, na przedmieściu, gdzie mieli domy ludzie znacznie od nich zamożniejsi. Matka Loren, olśniewająca i wymagająca pani Muse, uparła się, ponieważ – do licha – zasługiwała na to. Nikt, absolutnie nikt, nie będzie patrzył z góry na Carmen Muse.

Orała ojcem Loren, wymagając, by pracował ciężiej, brał więcej kredytów i jakoś sobie z tym radził, aż pewnego dnia – dokładnie dwa dni po tym, jak Loren skończyła czternaście lat – jej tata strzelił sobie w głowę w przydomowym, wolno stojącym garażu na dwa samochody.

Z biegiem lat doszła do wniosku, że ojciec był niezrównoważony. Teraz to rozumiała. Powodem były zaburzenia procesów chemicznych w jego mózgu. Taki człowiek zabija się i nie należy obwiniać o to innych. Jednak Loren to robiła. Winiła swoją matkę. Zastanawiała się, jak wyglądałoby życie jej miłego, spokojnego ojca, gdyby poślubił osobę mniej wymagającą niż Carmen Yalos z Bayonne.

Młoda Loren zareagowała na tę tragedię tak, jak można było oczekiwać: zbuntowała się przeciwko całemu światu. Zaczęła pić, palić, zadawać się z nieodpowiednim towarzystwem i sypiać z kim popadnie. Loren uważała, że to potworna niesprawiedliwość, iż chłopcy mający liczne kontakty seksualne są podziwiani, podczas gdy robiące to samo dziewczyny są uważane za głupie dzidzi. Prawda wyglądała jednak tak – chociaż Loren niechętnie to przyznawała – że pomimo wszystkich feministycznych usprawiedliwień doskonale zdawała sobie sprawę z tego, iż częstotliwość jej kontaktów, seksualnych jest ściśle związana z poczuciem własnej wartości – Kiedy jej samoocena była niska, rósł współczynnik... uległości. Z mężczyznami było chyba inaczej, a jeśli nie lepiej to ukrywali.

Matka Katherine przełamała impas. Miło cię widzieć, Loren.

– Też się cieszę – powiedziała ostrożnie Loren, co było zupełnie nie w jej stylu. O rany, co dalej? Czy znów zaczniesz gryzać paznokcie? – Prokurator Steinberg mówił, że chce pani ze mną porozmawiać.

– Możemy usiąść?

Loren wzruszyła ramionami. Jak pani chce. Usiadły. Loren założyła ręce na piersi

i wyciągnęła się na krześle. Założyła nogę na nogę. Przypomniała sobie, że ma w ustach gumę do żucia. Ściągnięta twarz matki Katherine wyrażała dezaprobatę. Loren przekornie zaczęła energiczniej poruszać szczękami, tak że dyskretne żucie zaczęło przypominać zaciekle przeżuwanie.

– Zechce mi pani wyjaśnić, o co chodzi?

– To bardzo delikatna sytuacja – zaczęła matka Katherine. – Wymaga...

Uniosła oczy ku niebu, jakby prosiła Wielkiego Szefa o pomoc.

– Delikatności? – podsunęła Loren.

– Tak. Delikatności.

– Dobrze – powiedziała Loren, przeciągając to słowo. – Chodzi o tę zakonnice z powiększonymi cyckami, prawda? Matka Katherine zamknęła oczy i znów je otworzyła.

– Tak. Sądzę jednak, że czegoś nie zauważasz.

– Czego?

– Straciliśmy wspaniałą nauczycielkę.

– Czyli siostrę Mary Rosę – odparła Loren, myśląc: nasz Madonnę z Wielkim Cycem.

– Tak.

– Sądzi pani, że umarła z przyczyn naturalnych? – zapytała Loren.

– Tak uważam.

– A zatem?

– Bardzo trudno mi o tym mówić.

– Chciałabym pomóc.

– Zawsze byłaś dobrą dziewczyną, Loren.

– Nie, byłam wrzodem na tyłku.

Matka Katherine zdołała powstrzymać uśmiech.

– No cóż, to też.

Loren odpowiedziała takim samym uśmiechem.

Są różne rodzaje trudnych dzieci – kontynuowała matka Katherine. – Byłaś zbuntowana, owszem, ale zawsze miałaś dobre serce. Nigdy nie postępowałaś okrutnie wobec innych.

Dla mnie to zawsze było kluczową cechą. Często pakowałaś się w kłopoty, ponieważ ujmowałaś się za kimś słabszym.

Loren pochyliła się i zrobiła coś, co ją samą zdziwiło: ujęła dłoń zakonnicy. Matka Katherine też wyglądała na zaskoczoną tym gestem. Błękitnymi oczami popatrzyła na Loren.

– Obiecuj mi, że zatrzymasz dla siebie to, co ci powiem – rzekła matka Katherine. – To bardzo ważne. Szczególnie w tym klimacie. Najłżejszy powiew skandalu...

– Nie będę niczego ukrywać.

– Nigdy bym tego od ciebie nie żądała – odparła matka przełożona lekko urażonym tonem. –

Musimy dotrzeć do prawdy. Poważnie się zastanawiałam, czy... – Machnęła ręką. – Czy po prostu tak tego nie zostawić. Siostra Mary Rosę zostałaby pochowana po cichu i na tym wszystko by się skończyło.

Loren nadal trzymała ją za rękę. Dłoń starej kobiety była czarna jak z hebanu.

– Zrobię co w mojej mocy.

– Musisz zrozumieć. Siostra Mary Rosę była jedną z naszych najlepszych nauczycielek.

– Uczyła socjologii?

– Tak.

Loren poszperała w pamięci.

– Nie pamiętam jej.

– Dołączyła do nas później, jak skończyła szkołę.

– Jak długo uczyła w Margarefs?

– Siedem lat. I pozwól, że coś ci powiem. Ta kobieta była święta. Wiem, że to nadużywane słowo, ale w inny sposób nie potrafię jej opisać. Siostra Mary Rosę nigdy nie pragnęła chwały. Nie była samolubna. Chciała po prostu robić to, co należy.. Matka Katherine zabrała rękę. Loren znów usiadła wygodnie i założyła nogę na nogę.

– Proszę mówić dalej.

– Kiedy ją znalazłyśmy... Mówiąc my, mam na myśli dwie siostry i siebie. Kiedy znalazłyśmy ją rano, siostra Mary Rosę miała na sobie nocny strój. Ona też, jak wiele z nas, była bardzo skromną kobietą.

Loren zachęcająco skinęła głową.

– Byłyśmy przestraszone, oczywiście. Nie oddychała. Spróbowałyśmy sztucznego oddychania i masażu serca. Niedawno odwiedził nas miejscowy policjant, który uczył dzieci tych metod pierwszej pomocy. Tak więc spróbowałyśmy je zastosować. To ja robiłam masaż serca i...

Zamilkła.

– I wtedy zorientowała się pani, że siostra Mary Rosę miała powiększane piersi? Matka Katherine skinęła głową.

– Czy wspomniała pani o tym innym siostrom?

– Och nie. Oczywiście, że nie. Loren wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie rozumiem, w czym problem – powiedziała.

– Jak to?

– Zanim została zakonnica, siostra Mary Rosę zapewne miała własne życie. Kto wie, jak wyglądało.

– W tym sęk – rzekła matka Katherine. – Nie miała.

– Chyba nie nadążam.

– Siostra Mary Rosę przybyła do nas z bardzo konserwatywnej parafii w Oregonie. W wieku

piętnastu lat została sierotą i wstąpiła do zakonu.

Loren zaczęła się zastanawiać.

– Zatem nie miała pani pojęcia, że...? Mimo woli przesunęła dłonią w powietrzu tuż nad swoimi piersiami.

– Absolutnie żadnego.

– No to jak pani to wyjaśni?

– Sądzę... – Matka Katherine przygryzła wargę. – Sądzę, że siostra Mary Rosę nas oszukała.

– W jakim sensie?

– Nie wiem.

Matka Katherine spojrzała wyczekująco na Loren.

– I dlatego – powiedziała Loren – ja mam wkroczyć do akcji?

– No cóż, tak.

– Chce pani, żebym się dowiedziała, o co jej chodziło.

– Tak.

– Dyskretnie.

– Na to liczę, Loren. Jednak przede wszystkim musimy poznać prawdę.

– Nawet jeśli jest nieprzyjemna?

– Szczególnie jeśli jest nieprzyjemna. – Matka Katherine wstała. – Właśnie tak należy czynić ze złem tego świata. Wyciągać je na boskie światło dnia.

– Tak – mruknęła Loren. – Na światło dnia.

– Ty już nie jesteś wierząca, prawda, Loren?

– Nigdy nie byłam.

– Och, nie jestem pewna. – Loren wstała, lecz matka Katherine wciąż nad nią górowała. Tak, pomyślała Loren, nadal ma cztery metry wzrostu. – Pomożesz mi?

– Dobrze pani wie, że tak.

4

Mijały sekundy. Matt Hunter zgadywał, że tylko sekundy. Gapił się na telefon i czekał. Nic się nie działo. Jego mózg przestał pracować. Otrząsnął się z tej stagnacji, ale wtedy zapragnął ponownie w nią zapaść.

Telefon. Obrócił go w rękę, przyglądając mu się tak, jakby jeszcze nigdy go nie widział. Wyświetlacz jest mały. Obraz niewyraźny. Kolory i nasycenie kiepskie. Odblaski również stanowiły problem.

Pokiwał głową. Kombinuj dalej.

Olivia nie była platynową blondynką.

Dobrze. Jeszcze coś...

Znał ją. Kochał. Nie był najlepszą partią. Były więzień, mający słabe perspektywy. Tendencje do zamykania się w sobie. Nie potrafił kochać ani bezgranicznie zaufać. Natomiast Olivia była jego przeciwieństwem – piękna, mądra, ukończyła summa cum laude uniwersytet stanowy w Wirginii. Miała nawet trochę pieniędzy, które zostawił jej ojciec.

To wcale nie pomagało.

A jednak. Pomagało, ponieważ mimo wszystko Olivia wybrała jego – byłego skazańca bez szczególnych perspektyw. Była pierwszą kobietą, której powiedział o swojej przeszłości. Żadna inna nie pozostała przy nim dostatecznie długo, żeby zdradził swoją tajemnicę. Jak zareagowała?

No cóż, nie wpadła w euforię. Jej uśmiech – ten powalający na kolana – na chwilę przygasł. Matt w tym momencie chciał skończyć. Zapragnął odejść, ponieważ w żaden sposób nie chciał czuć się odpowiedzialny za zgaszenie tego uśmiechu, nawet na krótką chwilę. Ale to nie trwało długo. Promienny uśmiech zaraz powrócił z pełną mocą. Matt z ulgą przygryzł wargę. Olivia wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła jego dłoń. W pewnym sensie nigdy jej nie puściła.

Teraz jednak, siedząc tutaj, Matt przypomniał sobie swoje pierwsze ostrożne kroki po opuszczeniu więzienia, kiedy zamrugał i przeszedł przez bramę, to wrażenie – którego tak naprawdę nigdy się nie pozbył – że cienki lód pod jego stopami w każdej chwili może pęknąć, wtrącając go do lodowato zimnej wody.

Jak miał wyjaśnić to, co właśnie widział?

Matt rozumiał ludzką naturę. Może inaczej rozumiał ludzki los. Dostatecznie często widział ciężące na jego rodzinie fatum, żeby pojąć lub, jeśli wolicie, nie pojmować, dlaczego wszystko idzie źle. Krótko mówiąc, nie da się tego wyjaśnić.

Świat nie jest ani okrutny, ani radosny. Jest po prostu chaosem pędzących na oślep cząsteczek, mieszaniną reagujących ze sobą substancji chemicznych. Nie ma w nim prawdziwego ładu. Nie ma uświęconego potępienia zła i zwycięstwa słusznej sprawy.

Chaos, dziecińco. To wszystko chaos.

A w jego wirze Matt miał tylko jedno oparcie – Olivię.

Siedząc w swoim gabinecie i wciąż wpatrując się w ten telefon, nie mógł przestać o tym myśleć. Teraz, właśnie teraz, dokładnie w tej sekundzie... co Olivia robiła w tym pokoju hotelowym?

Zamknął oczy, szukając jakiegoś wytłumaczenia.

Może to nie ona.

Ponownie przypomniał sobie, że wyświetlacz jest niewielki. I był kiepskiej jakości. Matt uchwycił się tego, budując na wąłym fundamencie gmach racjonalnych wyjaśnień w nadziei, że wytrzyma.

Niestety runął w pustkę, która otwarła się w jego piersi.

Falą napłynęły obrazy. Matt usiłował z nimi walczyć, ale próżno. Kruczoczarne włosy tego faceta. Ten jego cholernie cwany uśmiech. Matt myślał o tym, jak Olivia się pręży, kiedy się kochali, jak przygryzała dolną wargę i przymyka oczy, jak uwidaczniały się żyły na jej szyi. Wyobraził sobie jej jęki. Z początku ciche, potem przechodzące w okrzyk ekstazy...

Przestań.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Rolanda wciąż mu się przygląda.

– Chciałaś czegoś? – zapytał.

– Owszem.

– I co?

– Stałam tu tak długo, że zapomniałam.

Rolanda wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu. Nie zamknęła za sobą drzwi.

Matt wstał i podszedł do okna. Spojrzał na zdjęcie synów Berniego w pełnym piłkarskim rynsztunku. Przed trzema laty Bernie i Marsha przysłali mu je jako kartkę bożonarodzeniową.

Było oprawione w ramkę z imitacji mosiądzu, jaką kupuje się w Rite-Aid lub podobnym sklepie. Na tej fotografii synowie Berniego, Paul i Ethan, mieli odpowiednio pięć lat i trzy, i dziecięce uśmiechy. Teraz już się tak nie uśmiechali. Byli dobrymi dziećmi, dobrze przystosowanymi i w ogóle, lecz mieli w sobie ten nieuchronny, skrywany smutek. Kiedy ktoś dobrze się przyjrzał, mógł dostrzec nieco rezerwy w tych uśmiechach, a w oczach błysk lęku przed tym, co jeszcze może zostać im odebrane.

Co więc miał teraz zrobić?

To oczywiste, zdecydował. Oddzwonić do Olivii. Zobaczyć, na czym stoi.

Pod pewnymi względami wydawało się to racjonalne, a pod innymi śmieszne. Czego właściwie się spodziewał? Może ciężkiego dyszenia żony i męskiego śmiechu w tle? A może sądził, że usłyszy radosny głos Olivii, a wtedy... No co, czy zapytałby: „Hej, kochanie, co tam robisz w tym motelu ponieważ oczyma duszy nie widział już hotelu, tylko kiepski anonimowy

motel, i zmiana tej jednej litery «h» na «m» nadawała wszystkiemu zupełnie nowe znaczenie – w platynowej peruce z facetem o kruczoczarnych włosach?”. Nie brzmiało to najlepiej.

Dał się ponieść wyobraźni. To wszystko z pewnością miało jakieś logiczne wytłumaczenie. Może po prostu jeszcze nie zdołał go dostrzec, ale to wcale nie oznaczało, że go nie ma. Matt przypomniał sobie cykl programów telewizyjnych o prestidigitatorach. Widziałeś, jak robią sztuczki, ale nie potrafiłeś ich rozgryźć, a kiedy ci wyjaśnili, zastanawiałeś się, jak mogłeś być taki głupi i nie wpaść na to od razu. Z tym też pewnie tak będzie.

Nie widząc innego wyjścia, Matt postanowił zadzwonić.

Numer telefonu komórkowego Olivii był wpisany do książki telefonicznej jego aparatu jako pierwszy. Nacisnął przycisk jedynki i przytrzymał. Telefon zaczął dzwonić. Matt spojrzał za okno i zobaczył Newark. Miasto jak zwykle budziło w nim mieszane uczucia. Dostrzegasz potencjał i tętniące życie, ale przede wszystkim widzisz rozkład i kręcisz głową. Z jakiegoś powodu nagle wrócił myślami do tamtego dnia, kiedy Duff odwiedził go w więzieniu. Zaczął trąkotać, czerwony na twarzy, wyglądający tak dziecinnie. Matt tylko na niego patrzył. Nie miał mu nic do powiedzenia.

Telefon zadzwonił sześć razy, zanim włączyła się poczta głosowa. Dźwięk ożywionego głosu żony, tak znajomego, tak... swojskiego, sprawił, że serce zabiło mu mocniej. Cierpliwie czekał, aż Olivia skończy mówić. Potem rozległ się elektroniczny pisk.

Hej, to ja – powiedział Matt. Usłyszał napięty ton swego głosu i starał się rozluźnić. – Mogłabyś zadzwonić do mnie, kiedy znajdziesz chwilkę?

Zamilkł. Zwykle kończył rytualnym „kocham cię”, lecz tym razem nacisnął klawisz, nie dodając tego, co zawsze przychodziło mu z taką łatwością.

Wciąż spoglądał przez okno. W więzieniu najbardziej doskwierała mu nie brutalność czy odraza, tylko to, że stały się normą. Po pewnym czasie Matt polubił swoich braci z Aryan Nation, a nawet dobrze się czuł w ich towarzystwie. To był perwersyjny objaw syndromu sztokholmskiego. Najważniejsze jest przetrwanie. Umysł nagnie się, żeby przetrwać. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Właśnie dlatego Matt tak zakończył rozmowę.

Myślał o śmiechu Olivii. O tym, jak pod jego wpływem to wszystko zniknęło. Teraz zastanawiał się, czy ten śmiech był rzeczywistością, czy kolejnym okrutnym mirażem, drwiną z jego słabości. Potem Matt zrobił coś naprawdę dziwnego.

Trzymając w dłoni aparat, wyciągnął rękę i zrobił sobie zdjęcie. Nie uśmiechnął się. Tylko spoglądał w obiektyw. Teraz fotografia pojawiła się na małym wyświetlaczu. Patrzył na swoją twarz i nie był pewien, co widzi.

Wybrał numer telefonu Olivii i wysłał jej swoje zdjęcie.

Minęły dwie godziny. Olivia nie oddzwoniła.

Matt spędził te dwie godziny z Mikiem Kierem, rozpieszczonym starszym wspólnikiem, który nosił przydługie siwe włosy, zaczesane do tyłu. Pochodził z bogatej rodziny. Umiał szperać w sieci i niewiele więcej, ale to czasami wystarczało. Miał vipera i dwa harleye-davidsony. W kancelarii nazywano go Kawuś, w skrócie od kryzysu wieku średniego.

Kawuś był dostatecznie bystry, by wiedzieć, że nie jest najbystrzejszy. Dlatego wykorzystywał Matta. Wiedział, że Matt chętnie będzie odwałął większość czarnej roboty, pozostając w cieniu. Kawusiowi pozostawało tylko podtrzymywać dobre stosunki z korporacyjnymi klientami i odpowiednio wyglądać. Domyślał się, że Matt miał mu to za złe, ale nie na tyle, żeby coś z tym zrobić.

Przestępstwa gospodarcze może nie są dobre dla Ameryki, ale cholernie dochodowe dla szacownej kancelarii adwokackiej Carter Sturgis. Właśnie omawiali sprawę Mike'a Stermana, prezesa dużej firmy farmaceutycznej Pentacol, którego oskarżono między innymi o fałszowanie ksiąg w celu manipulowania ceną akcji.

– Podsumowując – rzekł Kawuś swoim najlepszym, przeznaczonym dla sędziów barytonem – naszą linią obrony będzie...?

Spojrzał na Matta, szukając odpowiedzi.

– Obwinić kogoś innego.

– Kogo?

– Właśnie.

– Hm?

– Obwinimy, kogo się da – powiedział Matt. – Wice – i prezesa (szwagra Stermana i byłego najlepszego przyjaciela), wiceprezesa i kogo tylko chcesz, ich księgowych, banki, zarząd, pracowników niższego szczebla. Będziemy twierdzić, że część z nich to przestępcy. Powiemy, że niektórzy popełnili błędy, które się srodze zemściły.

– Czy nie zaprzeczymy sami sobie? – zapytał Kawuś, splatając palce i opuszczając wzrok. – Mówiąc o złej woli; i błędach?

Umilkł, uśmiechnął się i kiwnął głową. Zła wola i błędy, i Kawusiowi spodobał się dźwięk tych słów. – Będziemy się starali narobić zamieszania – powiedział Matt. – Jeśli wskażemy wystarczająco wielu winnych, oskarżenie się nie utrzyma. Sędziowie będą wiedzieli, że coś poszło nie tak, ale nie wiadomo, kogo o to winić. Zarzucimy ich faktami i liczbami. Wywlecemy wszelkie możliwe pomyłki, każdy brak przecinka lub kropki nad i. Będziemy postępowali tak, jakby najdrobniejsza nieścisłość miała ogromne znaczenie. Będziemy kwestionowali każdy dowód. Nie dowierzali każdemu.

– A co z bar micwa?

Na przyjęcie z okazji bar micwy swojego syna Sterman wydał dwa miliony dolarów, między innymi na wyczarterowany samolot na Bermudy oraz koncert Beyonce i Ja Rule. Taśma wideo – teraz już przeigrana na płytę DVD w systemie Dolby Surround – miała być pokazana sędziom.

– Uzasadniony wydatek – oznajmił Matt.

– Słucham? – Spójrz, kto tam był. Członkowie zarządów hurtowni farmaceutycznych. Najlepsi nabywcy. Urzędnicy z ministerstwa, którzy dopuszczają leki do obrotu i przydzielają granty. Lekarze, naukowcy, tym podobni. Nasz klient zdobywał klientów, co jest w Ameryce legalną praktyką biznesową o tradycji dłuższej, niż ma bostońska herbatka. Kierowała nim troska o dobro firmy.

– A fakt, że przyjęcie wydano z okazji bar micwy jego syna?

Matt wzruszył ramionami.

– Ten fakt tylko przemawia na jego korzyść. Sterman okazał się błyskotliwy.

Kawuś zrobił zdziwioną minę.

– Tylko się zastanów. Gdyby Sterman powiedział: „Wydaję huczne przyjęcie, żeby zdobyć ważnych klientów”, no cóż, to nie pomogłoby mu w uzyskaniu efektu, o jaki mu chodziło. Tak więc Sterman, ten przebiegły geniusz, wymyślił coś subtelniejszego. Zaprasza swoich partnerów w interesach na bar micwę syna. W ten sposób ich zaskakuje. Uważają, że to miłe, że taki dobry ojciec zaprasza ich na rodzinną uroczystość, zamiast wlec na jakieś dęte przyjęcie dla ważniaków. Sterman, jak każdy dobry prezes, okazał kreatywność.

Kawuś uniósł brwi i powoli pokiwał głową.

– Och, to mi się podoba.

Matt był tego pewien. Zerknął na telefon, sprawdzając, czy nie wyczerpała się bateria. Sprawdził, czy nie ma jakichś wiadomości lub nieodebranych rozmów. Nie było.

Kawuś wstał.

– Jutro porozmawiamy znowu?

– Jasne – odparł Matt.

Wyszedł. Rolanda wychyliła głowę ze swojego pokoju. Popatrzyła w ślad za odchodzącym korytarzem Kawusiem, po czym udała, że wtyka palec w gardło i wymiotuje. Matt spojrzął na zegarek. Czas ruszać.

Pospieszył na służbowy parking. Błądził wzrokiem, nie patrząc na nic i wszystko widząc. Tommy, dozorca parkingu, pomachał do niego. Wciąż oszołomiony Matt chyba odpowiedział mu kiwnięciem ręką. Jego miejsce parkingowe znajdowało się z tyłu, pod ciekącymi rurami. Zdawał sobie sprawę z tego, że na tym świecie obowiązuje hierarchia, nawet na parkingach.

Ktoś czyścił zielonego jaguara, należącego do jednego z założycieli firmy. Matt skręcił. Zobaczył jeden z motocykli Kawusia, nakryty przezroczystą plandeką. Opodal leżał przewrócony

wózek z supermarketu. Brakowało mu trzech z czterech kółek. Po co komuś trzy kółka od wózka z supermarketu?

Matt przesunął wzrokiem po stojących na ulicy samochodach, przeważnie starych, i zapamiętał szarego forda taurus ponieważ ten miał rejestrację. MLH-472, co było bardzo podobne do pierwszych liter jego imion i nazwiska, MKH, a te drobiazgi odwracały uwagę od ponurej rzeczywistości.

Kiedy jednak wszedł do samochodu i znów został sam ze swoimi myślami, zaczęło go dręczyć coś nowego. W porządku, pomyślał, ze wszystkich sił starając się zachować spokój. Załóżmy najgorsze: że to, co widział w wideotelefonie, było początkiem miłosnej schadzki. Dlaczego Olivia przysłała mu ten film? Jaki miałoby to sens? Czy chciała zostać przyłapana? A może to było wołanie o pomoc? To naprawdę nie miało sensu. Nagle jednak coś sobie uświadomił: Olivia tego nie wysłała. Plik wysłano z jej telefonu, owszem, ale ona – zakładając, że to Olivia nosiła tę platynową perukę – chyba nie zdawała sobie sprawy, że jest w obiektywie kamery. Przypomniał sobie, że takie odniósł wrażenie. Była obiektem – filmowaną, a niefilmującą.

Zatem kto to przysłał? Czy Pan Kruczowłosey? Jeśli tak, to kto pstryknął pierwsze ujęcie, ukazujące Kruczowłosego? Czyżby zrobił je sam? Odpowiedź: nie.

Kruczowłosey miał podniesioną rękę, jakby nią machał, przypomniał sobie, że na jego palcu zauważył sygnet...; coś, co wyglądało jak sygnet. Naprawdę nie miał odwagi ponownie oglądać tego filmu. Mimo to zastanawiał się tym faktem. Czy to mogła być obrączka? Nie, ponieważ facet nosił ją na prawej ręce.

Tak czy inaczej, kto zrobił zdjęcie Kruczowłosemu? Olivia?

Dlaczego miałaby wysyłać je mężowi? A może zdjęcie przysłano mu przypadkowo? Na przykład w wyniku omyłkowego naciśnięcia klawisza?

Wydawało się to mało prawdopodobne.

Czy w pokoju przebywał ktoś trzeci?

Matt nie mógł tego pojąć. Rozmyślał jeszcze chwilę, ale nic się nie kleiło. Oba połączenia wyszły z komórki jego żony. To pewne. Jeśli jednak miała romans, to dlaczego chciała, żeby wiedział?...

Odpowiedź – i zdawał sobie sprawę z tego, że nic nienosząca – brzmiała: nie, nie chciałaby tego.

Kto więc chciał?

Matt przypomniał sobie cwany uśmiech Kruczowłosego. Na myśl o tym wywracało mu się w żołądku. Jako chłopiec był zbyt wrażliwy, wręcz nadwrażliwy. Płakał po przegranym meczu koszykówki, nawet treningowym. O każdej zniewadze pamiętał tygodniami. Wszystko się zmieniło tamtej nocy, kiedy umarł Stephen McGrath. Jeśli więzienie czegoś uczy, to tłumienia

własnych uczuć. Niczego po sobie nie pokazujesz. Nigdy. Nigdy nie pozwalasz sobie na żadne emocje, ponieważ to wykorzystają. Teraz Matt próbował to zrobić. Usiłował zignorować tę okropną pustkę, którą nagle poczuł.

Nie mógł.

Obrazy powróciły, okropne wspomnienia złane z cudownymi, które bolały najbardziej. Pamiętał ten weekend, który spędzili z Olivią w wiktoriańskim pensjonacie w Lenox w stanie Massachusetts. Pamiętał, jak rozłożyli poduszki i koce przed kominkiem i otworzyli butelkę wina. Przypomniawszy sobie, jak Olivia trzymała kieliszek za nóżkę, jak na niego patrzyła, sposób, w jaki cały świat, przeszłość i jego pierwsze ostrożne kroki odeszły w zapomnienie, to, jak płomienie odbijały się w jej zielonych oczach, a potem wyobraził ją sobie w ramionach innego mężczyzny.

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl, tak straszna, tak niezdolna, że o mało nie stracił kontroli nad kierownicą.

Olivia była w ciąży.

Zapaliło się czerwone światło. Matt o mało nie przejechał przez skrzyżowanie. Zahamował w ostatniej chwili. Mężczyzna, już miał przejść przez ulicę, odskoczył z powrotem pogroził mu pięścią. Matt nie oderwał rąk od kierownicy. Olivia długo nie mogła zająć w ciążę. Oboje byli po trzydziestce i z dniem Olivii jej zegar biologiczny już tykał. Dlatego bardzo chciała założyć rodzinę. Długi czas ich próby poczęcia dziecka kończyły się niepowodzeniem. Matt zaczął się zastanawiać – zupełnie poważnie – czy to nie jego wina. W więzieniu kilkakrotnie solidnie oberwał. W trzecim tygodniu pobytu czterej mężczyźni trzymali go za ręce i nogi, przyciskając do podłogi, a piąty mocno kopnął go w krocze. Matt o mało nie zemdlął z bólu. Teraz nagle Olivia była w ciąży.

Próbował o tym nie myśleć, ale nie mógł. Powoli budził się w nim gniew. Pomyślał, że to lepsze od bólu, od tego skręcającego wnętrza wrażenia, że odebrano mu coś, co tak bardzo cenił. Musiał ją odnaleźć. Musiał ją natychmiast znaleźć. Olivia była w Bostonie, pięć godzin jazdy stąd. Pieprzyć oględziny domu. Po prostu jedź i porozmawiaj z nią. Gdzie się zatrzymała?

Próbował sobie przypomnieć. Czy powiedziała mu gdzie? Nie pamiętał. Jeszcze jeden skutek posiadania telefonów komórkowych. Już nie musisz przejmować się takimi sprawami. Co za różnica, czy zatrzymała się w Marriotcie, czy w Hiltonie? Pojechała służbowo. Będzie w ruchu, na spotkaniach i obiadach, rzadko w swoim pokoju. Oczywiście, najłatwiej skontaktować się z nią przez komórkę. I co teraz?

Nie miał pojęcia, gdzie się zatrzymała. A nawet gdyby miał, czy nie byłoby rozsądnie najpierw zadzwonić? Ten pokój hotelowy, który widział na przysłanym filmie, wcale nie musiał być jej pokojem. Mógł go wynająć Kruczowłosa. A nawet założymy, że znałby nazwę hotelu. Założymy, że załomotałby w drzwi, i wtedy co, Olivia otworzyłaby w negliżu, a Kruczo włosy

stałby za nią, owinięty w pasie ręcznikiem? Co wtedy zrobiłby Matt? Stukłby go na kwaśne jabłko? Wycelował w nich palec i powiedział „Aha!”?

Spróbował jeszcze raz zadzwonić na jej komórkę. Wciąż nie odbierała. Nie zostawił następnej wiadomości.

Dlaczego Olivia nie powiedziała mu, gdzie się zatrzyma?

Teraz to zupełnie oczywiste, no nie, stary?

Czerwona mgła przesłoniła mu świat.

Dość tego!

Próbował zadzwonić do jej biura, ale został od razu połączony z pocztą głosową:

– *Cześć, tu Olivia Hunter. Do piątku nie będzie mnie w biurze. Jeśli to ważna sprawa, możesz skontaktować się z moją asystentką, Jamie Suh, wybierając wewnętrzny numer sześć, cztery, cztery...*

Matt zrobił to. Jamie odebrała po trzecim dzwonku.

– Biuro Olivii Hunter.

– Cześć, Jamie, tu Matt.

– Cześć, Matt.

Trzymał dłonie na kierownicy i rozmawiał przez zestaw głośno mówiący, przy czym zawsze czuł się trochę dziwnie – jak wariat gawędzący z wyimaginowanym przyjacielem. Kiedy rozmawiasz przez telefon, powinieneś trzymać w ręku słuchawkę.

– Mam do ciebie tylko jedno krótkie pytanie.

– Strzelaj.

– Czy wiesz, w którym hotelu zatrzymała się Olivia? Cisza.

– Jamie?

– Jestem – powiedziała. – Hm, mogę sprawdzić, jeśli zaczekasz. Tylko dlaczego do niej nie zadzwonisz? Zostawiła numer swojego telefonu komórkowego, na wypadek gdyby zjawił się jakiś klient ze sprawą niecierpiącą zwłoki.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, by nie sprawić wrażenia zdesperowanego. Gdyby jej powiedział, że próbował i połączył się z pocztą głosową, Jamie Suh zastanawiałaby się, dlaczego po prostu nie zaczeka na odpowiedź. Wyteżał umysł, szukając jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia.

– Tak, wiem – powiedział. – Ale chcę wysłać jej kwiaty. No wiesz, zrobić niespodziankę.

– Och, rozumiem. – W jej głosie słychać było nutę entuzjazmu. – Czy to jakaś szczególna okazja?

– Nie. – Po czym dodał wyjątkowo niezręcznie: – Wiesz, nasz miesiąc miodowy wciąż trwa. Zaśmiał się z tego żalosego żartu. Wcale nie zdziwiło go, że Jamie nie.

Zapadła długa cisza.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał Matt.

– Tak.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie się zatrzymała?

– Jeszcze sprawdzam. – Usłyszał stukanie klawiatury komputera. Potem: – Matt?

– Tak?

– Mam rozmowę na drugiej linii. Mogę zadzwonić, kiedy znajdę? – Jasne – odparł, chociaż wcale mu się to nie spodobało. Podał jej numer swojego telefonu i rozłączył się.

Co się dzieje, do diabła?

Jego telefon znowu zawibrował. Matt sprawdził numer. Z biura. Rolanda nie fatygowała się powitaniem.

– Jest problem – powiedziała. – Gdzie jesteś?

– Właśnie dojeżdżam do Siedemdziesiątej Ósmej.

– Zawracaj. Na Washington Street. Eksmitują Evę. Zaklął pod nosem.

– Kto?

– Pastor Jill jest tam z tymi swoimi synami mięśniakami. Grozili Evie. Pastor Jill. Kobieta, która uzyskała tytuł duchownego przez Internet i zakłada „przytułki”, gdzie młodzi ludzie mogą pozostawać dopóty, dopóki da się z nich wyciskać talony na żywność. Brak słów na określenie takiego wykorzystywania ubogich. Matt zawrócił.

– Już jadę – powiedział.

Po dziesięciu minutach zatrzymał samochód przy Washington Street. W pobliżu znajdował się Branch Brook Park. Jako chłopak Matt grywał tam w tenisa. Przez pewien czas występował na turniejach w Port Washington, na które rodzice posyłali go co dwa tygodnie. Nawet znalazł się na liście rankingowej graczy w wieku do czternastu lat. Jednak jego rodzina jakiś czas wcześniej przestała przychodzić do Branch Brook Park. Matt nigdy nie mógł pojąć, co stało się z Newark. To była kwitnąca, wspaniała społeczność. Bogatsi w końcu wynieśli się w czasie masowej migracji na przedmieścia na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Oczywiście, to było zupełnie naturalne. Tak działo się wszędzie. Jednak Newark wyludniło się. Ci, którzy je opuścili – nawet ci, którzy przenieśli się zaledwie kilka kilometrów dalej – nigdy tu nie wracali. Po części z powodu zamieszek pod koniec lat sześćdziesiątych. Po części z pobudek rasistowskich. Było w tym jednak coś więcej, coś znacznie gorszego, i Matt nie potrafił zrozumieć co.

Wysiadł z samochodu. W tej okolicy dominowali Afroamerykanie. Tak jak wśród jego klientów. Odsiadując wyrok, słyszał nieparlamentarne słowo „czarnuch” częściej niż jakiegokolwiek inne. Sam tak mówił, z początku, żeby się dopasować, ale z czasem stało się mniej odrażające, co rzecz jasna było najbardziej odrażające z tego wszystkiego.

W końcu był zmuszony zdradzić to, w co zawsze wierzył: powszechnie propagowane przez liberałów z przedmieść kłamstwo, że kolor skóry nie ma żadnego znaczenia. W więzieniu tylko

kolor skóry miał znaczenie. Za murami znaczył równie wiele, choć w zupełnie inny sposób.

Powiódł wokół spojrzeniem. Zatrzymał je na interesującym graffiti. Na murze z obtłuczonej cegły ktoś napisał sprayem olbrzymimi literami:

SUKI ŁŻĄ!

Zwykle Matt nie zatrzymałby się, żeby przestudiować taki napis. Dziś to zrobił. Litery były czerwone i pochyłe. Nawet gdyby ktoś nie umiał czytać, wyczułby wściekłość piszącego. Matta zaintrygowało, kim był twórca i co go zainspirowało. Zastanawiał się, czy ten akt wandalizmu złagodził gniew twórcy, czy też był pierwszym krokiem w kierunku jeszcze większych zniszczeń.

Poszedł w kierunku budynku Ewy. Samochód pastor Jill, mercedes 560 ze wszystkimi bajerami, już tam był. Jeden z jej synów pilnował go, stojąc z założonymi na piersi rękami i groźnie zmarszczonymi brwiami. Matt znów powiódł wokół wzrokiem. Sąsiedzi wyszli z domów i kręcili się w pobliżu. Małe, najwyżej dwuletnie dziecko siedziało na starej kosiarce do trawy. Jego matka używała jej jako wózka. Mamrotała coś do siebie i wyglądała na spiętą. Ludzie gapił się na Matta – biały człowiek był tu rzadko widywany.

Synowie Jill mierzyli go wzrokiem, kiedy podchodził. Na ulicy zrobiło się cicho jak na westernie. Ludzie spodziewali się pojedynku.

– Jak leci? – zapytał Matt.

Bracia wyglądali jak bliźniacy. Jeden wciąż się gapił. Drugi ładował rzeczy Ewy do bagażnika. Matt nawet nie mrugnął. Wciąż się uśmiechał i podchodził.

– Chcę, żebyście natychmiast to przerwali. Założone na piersi ręce jak pniaki zapytał:

– Kim pan jest?

Pastor Jill wyszła z budynku. Spojrzała na Matta i też zmarszczyła brwi.

– Nie możecie jej wyrzucić – powiedział Matt.

Pastor Jill obrzuciła go władcym i wyniosłym spojrzeniem.

– Jestem właścicielką tego budynku.

– Nie, to własność stanowa. Pani tylko prowadzi w nim przytułek dla ubogiej młodzieży.

– Eva nie przestrzegała zasad.

– Jakich zasad? – Jesteśmy religijną instytucją. Mamy surowy kodeks etyczny. Eva go złamała.

– W jaki sposób?

Pastor Jill uśmiechnęła się.

– Nie jestem pewna, czy to pańska sprawa. Mogę wiedzieć, jak pan się nazywa?

Jej dwaj synowie spojrzeli po sobie. Jeden postawił na chodniku rzeczy Ewy. Odwrócili się do niego.

Matt wskazał na mercedesa pastor Jill.

– Niezła bryka. Bracia marszczyli brwi i maszerowali na niego. Jeden wojowniczo wysunął szczękę. Drugi zaciskał i otwierał dłonie. Mattowi krew zaszumiała w uszach. To dziwne, ale śmierć Stephena McGratha – ten „wypadek” – nie wzbudziła w nim lęku przed przemocą. Może gdyby tamtej nocy był agresywniejszy, a nie taki pasywny... Jednak teraz to nie miało znaczenia. W więzieniu nauczył się czegoś o używaniu siły: nigdy nie można przewidzieć wyniku. Pewnie, zwykle zwycięża ten, kto zada pierwszy cios. I zazwyczaj zwycięzcą jest większy facet. Kiedy jednak zaczyna się bójka i jej uczestnicy wpadną w szał, wszystko może się zdarzyć. Wysunięta Szczęka zapytał ponownie:

– Kim pan jest?

Matt nie zamierzał ryzykować. Westchnął i wyjął wideotelefon.

– Jestem Bob Smiley z wiadomości kanału dziewiątego.

To ich zatrzymało.

Wycelowwał w nich aparat i udał, że go włącza.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zamierzam sfilmować to, co tu robicie. Wóz transmisyjny wiadomości kanału dziewiątego będzie tu za trzy minuty i nakręci lepszy materiał.

Bracia obejrżeli się na matkę. Na twarzy pastor Jill pojawił się uduchowiony, aczkolwiek kompletnie nieszczerzy uśmiech.

– Pomagamy Evie w przeprowadzce – powiedziała. – Do lepszej kwatery.

– Uhm.

– Jeśli jednak woli zostać tutaj...

– Woli – powiedział Matt.

– Milo, zanieś jej rzeczy z powrotem do mieszkania. Milo Wysunięta Szczęka zmierzył Matta spojrzeniem śniętej ryby. Matt uniósł wideotelefon.

– Zostań w tej pozie, Milo.

Milo i Zaciskacz Pięści zaczęli wyładowywać rzeczy Evy z furgonetki. Pastor Jill pospieszyła do swojego mercedesa i czekała na tylnym siedzeniu. Eva spojrzała na Matta z okna i podziękowała mu, bezgłośnie poruszając wargami. Matt kiwnął głową i odwrócił się.

Właśnie wtedy, odwracając się i nie patrząc na nic konkretnego, zauważył szarego forda taurusa.

Samochód stał mniej więcej trzydzieści metrów za nim. Matt zamarł. Oczywiście, jest mnóstwo szarych fordów taurusów, gdyż to chyba najpopularniejszy samochód w kraju. Widok dwóch takich jednego dnia trudno uznać za coś niezwykłego. Matt podejrzewał, że w pobliżu znalazłby jeszcze jednego forda taurusa. Może nawet dwa lub trzy. I wcale by się nie zdziwił, gdyby co najmniej jeden z nich był szary.

Tylko czy jego numery rejestracyjne zaczynałyby się od MLH, tak bardzo przypominając jego inicjały?

Wlepił spojrzenie w tablicę rejestracyjną.

MLH-472.

Ten sam wóz, który widział przed swoim biurem.

Matt starał się oddychać miarowo. Wiedział, że to może być po prostu zbieg okoliczności. W rzeczy samej to bardzo prawdopodobne. Przecież można napotkać ten sam samochód dwukrotnie jednego dnia. Znajdował się zaledwie kilometr od biura. W dość zaludnionej okolicy. W takim spotkaniu nie było nic dziwnego.

W zwykły dzień... Poprawka: w każdy inny dzień Matt zgodziłby się z logiką takiego rozumowania.

Jednak nie dziś. Zawahał się, ale tylko przez moment. Potem ruszył w kierunku samochodu.

– Hej! – zawołał Milo. – Dokąd pan idzie?

– Rób swoje, wielkoludzie.

Matt nie zdążył przejść pięciu kroków, gdy przednie koła forda zaczęły się obracać. Kierowca zamierzał odjechać. Matt przyspieszył kroku.

Taurus niespodziewanie ruszył z miejsca, przecinając ulicę. Białe światła stopu zapaliły się i wóz gwałtownie zahamował. Matt zrozumiał, że kierowca zamierza zawrócić kontrolowanym poślizgiem. Nadepnął pedał hamulca i szybko kręcił kierownicą. Matta dzieliły już tylko ze dwa metry od tylnej szyby.

– Czekaj! – krzyknął, jakby to miało mu coś dać, po czym zaczął biec.

Skoczył przed maskę samochodu.

Kiepskie posunięcie.

Opony taurusa zapisały na żwirze i wóz pomknął wprost na Matta.

Kierowca nie zwolnił ani nawet się nie zawahał. Matt rzucił się w bok. Taurus przyspieszył. Musnął przednim zderzakiem kostkę szybującego w powietrzu Matta, który poczuł przenikliwy ból. Uderzenie obróciło go w powietrzu. Wylądował twarzą do ziemi i przetoczył się po niej. W końcu znieruchomiał, leżąc na plecach i mrugając w oślepiających promieniach słońca.

Otoczył go krąg gapiów.

– Jest pan cały? – zapytał ktoś. Matt kiwnął głową i usiadł. Pomacał kostkę. Mocno stłuczona, ale niezłamana. Ktoś pomógł mu wstać.

Całe to wydarzenie, od chwili gdy zauważył samochód do momentu kiedy tamten próbował go przejechać, trwało pięć, może dziesięć sekund. Na pewno nie dłużej. Matt patrzył przed siebie pozbawionym wyrazu wzrokiem.

Ktoś go śledził, i to akurat dzisiaj.

Pomacał kieszeń. Komórka wciąż w niej była. Pokuśtykał z powrotem do mieszkania Ewy. Pastor Jill i jej synowie zniknęli. Sprawdził, czy z Evą wszystko w porządku. Potem wszedł do swojego samochodu i głęboko odetchnął. Zastanawiał się, co zrobić, i uświadomił sobie, że

pierwszy krok jest oczywisty.

Zadzwoił na jej prywatny numer. Kiedy Cingle odebrała, zapytał:

– Jesteś w swoim biurze?

– Yhm – powiedziała Cingle.

– Będę za pięć minut.

6

Gdy tylko inspektor Loren Muse otworzyła drzwi swojego mieszkania, w nozdrza uderzył ją zapach dymu papierosowego. Loren zrobiła głęboki wdech.

Mieszkała w ogrodowym bloku mieszkalnym przy Morris Avenue w Union, w New Jersey. Nigdy nie mogła zrozumieć tego określenia „ogrodowy”. Budynek był ponury: same cegły, kompletnie bez wyrazu i czegokolwiek, co by chociaż przypominało zielen. Oto wersja czyścica w wydaniu New Jersey: stacja tranzytowa, miejsce, gdzie ludzie zatrzymywali się na swej drodze w górę lub w dół drabiny społecznej. Młode pary mieszkaly tutaj, dopóki nie było ich stać na dom. Pechowi emeryci wracali tu, kiedy ich dzieci wyfrunęły z gniazda.

I oczywiście samotne kobiety na skraju staropanieństwa, mające za dużo pracy i za mało rozrywek – one też tu kończyły. Loren miała trzydzieści cztery lata i za sobą wiele randek. Cytując jej matkę, nałogową palaczkę, w tym momencie siedzącą na kanapie, „nigdy nie dobiła targu”. Z glinami tak to już jest. Z początku ten zawód pociąga mężczyzn, ale skłania ich do pospiesznej rejterady, kiedy wygasa okres próbny i trzeba podpisać papier. Obecnie chodziła z jakimś Peterem, którego jej matka nazywała „kompletnym nieudacznikiem”, z czym Loren nie polemizowała. Jej dwóch kotów, Oscara i Felixa, nie było nigdzie w pobliżu, ale to najzupełniej normalne. Matka, uroczą Carmen Valos Muse Brewster i nie tylko, leżała wyciągnięta na kanapie, oglądając Leopardy. Oglądała ten program codziennie i jeszcze nigdy nie udzieliła ani jednej poprawnej odpowiedzi.

– Cześć – powiedziała Loren.

– W mieszkaniu jest chlew – oznajmiła matka.

– To posprzątaj. Albo jeszcze lepiej, wyprowadź się.

Carmen niedawno rozeszła się z mężem numer cztery. Była atrakcyjną kobietą, wyglądającą znacznie lepiej niż jej córka, która po ojcu odziedziczyła pospolitą urodę. Wciąż seksowna, chociaż teraz trochę zaniedbana. Zaczynała się starzeć, ale i tak miała większe powodzenie niż Loren. Mężczyźni uwielbiali Carmen Yalos Muse i tak dalej.

Carmen ponownie wbiła wzrok w ekran i mocno zaciągnęła się papierosem.

– Tysiąc razy ci mówiłam, żebyś tu nie paliła – powiedziała Loren.

– Sama palisz.

– Nie, mam, rzuciłam.

Carmen skierowała na nią swe wielkie brązowe oczy, z przyzwyczajenia uwodzicielsko mrugając.

– Rzuciłaś?

– Tak.

– Och, daj spokój. Dwa miesiące temu? To żadne rzucanie.

– Pięć miesięcy.

– Wszystko jedno. Nie paliłaś tutaj?

– A nawet jakby, to co?

– No to w czym problem? Zapach wcale nie znikł ani nic takiego. To nie jest jeden z tych pokoi dla niepalących w ekskluzywnym hotelu. Prawda?

Matka obrzuciła ją znajomym taksującym spojrzeniem, jak zawsze oceniając Loren i jak zwykle stwierdzając, że jest zaniedbana. Loren czekała na nieuniknioną poradę w stylu, ja tylko próbuję ci pomóc: twoje włosy przydałoby się wymodelować, powinnaś nosić coś bardziej obcisłego, dlaczego musisz wyglądać jak chłopczyca, czy widziałaś te nowe biustonosze push-up Victoria's Secret, odrobina makijażu cię nie zabije, niskie dziewczęta powinny zawsze nosić szpilki...

Carmen otworzyła usta i zadzwonił telefon.

– Zaczekaj z tym – powiedziała Loren. Podniosła słuchawkę.

– Hej, Pętaku, to moi. Moi, czyli Eldon Teak, sześćdziesięciodwulatek, który słuchał wyłącznie rapu. Eldon był także patologiem okręgu Essex.

– Co jest, Eldonie?

– Załapałaś się na sprawę Silikonowej Zakonnicy?

– To po to dzwonicz?

– Dopóki nie wymyślimy czegoś śmieszniejszego. Podobała mi się Nasza Pani Pagórków albo Rowka, ale byłem osamotniony.

Delikatnie potarła oczy palcem wskazującym i kciukiem.

– Masz dla mnie coś?

– Mam.

– Na przykład?

– Na przykład to, że jej śmierć nie była przypadkowa.

– Została zamordowana?

– Yhm. Uduszona poduszką.

– Boże, jak, do diabła, mogli to przeoczyć?

– Kto, do diabła, miał co przeoczyć?

– Czy początkowo nie uznano tego za śmierć z przyczyn naturalnych?

– Owszem. – No cóż, Eldonie, teraz rozumiesz, co mam na myśli mówiąc, jak, do diabła, mogli to przeoczyć?

– A ja pytałem, kogo masz na myśli.

– Tego, kto poprzednio badał ciało.

– O to chodzi, że nikt jej poprzednio nie badał.

– Dlaczego nie?

– Żartujesz, prawda?

– Nie. No wiesz, czy to nie powinno być widoczne na pierwszy rzut oka? – Oglądasz za dużo telewizji. Codziennie umierają miliony ludzi, prawda? Żona znajduje męża martwego na podłodze. Myślisz, że przeprowadzamy autopsję? Sądysz, że sprawdzamy, czy nie został zamordowany? Przeważnie gliny nawet nie przyjeżdżają. Mój stary umarł z dziesięć lat temu. Mama zadzwoniła do domu pogrzebowego, lekarz uznał go za zmarłego i zabrali ciało. Tak zazwyczaj się dzieje, sama wiesz. Tak więc mamy tu nieżywą zakonnice i każdemu, kto nie wie, czego dokładnie szukać, wydaje się, że zmarła z przyczyn naturalnych. Nigdy nie znalazłaby się na moim stole, gdyby twoja matka przełożona nie szepnęła słówka, komu trzeba.

– Jesteś pewien, że to była poduszka?

– Yhm. Poduszka z jej pokoju, skoro o tym mowa. Mnóstwo włókien znalazłem w gardle.

– A pod paznokciami?

– Czysto.

– Czy to dziwne?

– Zależy.

Loren potrząsnęła głową, usiłując pozbić to w całość.

– Ustaliłeś tożsamość?

– Czyją?

– Ofiary.

– Myślałem, że to siostra Jakaś tam. Po co ją identyfikować? Loren spojrzała na zegarek.

– Jak długo jeszcze będziesz w pracy?

– Dwie godziny – odparł Eldon Teak.

– Już jadę.

Oto jak znajdujesz bratnią duszę.

Jest przerwa międzysemestralna na pierwszym roku studiów. Większość twoich kolegów kieruje się do Daytona Beach, lecz matka twojego kolegi ze szkoły średniej, Ricka, pracuje w biurze podróży. Załatwia wam super tani pobyt w Vegas, więc razem z sześcioma kolegami jedziesz na pięciodniowe wczasy do hotelu Flamingo.

Ostatniego wieczoru idziesz do nocnego klubu w Caesars Pałace, ponieważ słyszałeś, że to wakacyjne miejsce spotkań studentów obojga płci. W nocnym klubie, rzecz jasna, jest głośno i tłoczno. Świeci się zbyt wiele neonów. To nie miejsce dla ciebie. Siedzisz z kolegami, usiłując usłyszeć, co mówią, mimo hałaśliwej muzyki, kiedy nagle spoglądasz w kierunku baru. I wtedy po raz pierwszy widzisz Olivię. Nie, muzyka nie cichnie i nie zastępują jej anielskie harfy jednak coś się z tobą dzieje. Patrzysz na nią i czujesz to w piersi, tę ciepłą lekkość, i masz wrażenie, że ona reaguje podobnie. Zazwyczaj jesteś nieśmiały i niełatwo zawierasz znajomości, lecz tego wieczoru nie możesz popełnić błędu. Przedzierasz się do niej i przedstawiasz się. Każdy z nas ma taki szczególny wieczór jak ten, myślisz. Jesteś na przyjęciu i spostrzegasz piękną dziewczynę, a ona zauważa ciebie i zaczynacie rozmawiać, i nagle tak pasujecie do siebie, że zaczynasz myśleć w kategoriach całego życia, a nie tylko jednej nocy.

Rozmawiasz z nią. Mówisz godzinami. Ona patrzy na ciebie, jakbyś na tym świecie istniał tylko ty. Idziecie w jakieś spokojniejsze miejsce. Całujesz ją, odpowiada pocałunkiem. Obejmujecie się. Pieścicie się całą noc i nie macie ochoty posunąć się dalej. Trzymasz ją w ramionach. Znów mówisz. Kochasz jej śmiech. Kochasz jej twarz. Kochasz w niej wszystko.

Zasypiacie, trzymając się w ramionach, całkiem ubrani, i zadajesz sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś będziesz tak szczęśliwy. Jej włosy pachną bzem i jagodami. Nigdy nie zapomnisz tej woni.

Zrobiłbyś wszystko, żeby to trwało dalej, ale wiesz, że to niemożliwe. Tego rodzaju związki nie wytrzymują próby czasu. Ty masz własne życie, a Olivia ma gdzieś tam chłopaka, właściwie narzeczonego. Nie o to chodzi. To nie ma z tym nic wspólnego. Jesteście tylko wy dwoje i wasz świat, niestety, trwa to zbyt krótko. W ciągu tej jednej nocy przeżywacie całe jedno życie, kompletny cykl zalotów, związku i rozstania.

Potem ty wracasz do swojego życia, a ona do swojego.

Nawet nie wymieniacie numerów telefonów – żadne z was nie chce udawania – ale ona odprowadza cię na lotnisko, a ty namiętnie całujesz ją na pożegnanie. Kiedy ją puszczasz, ma oczy mokre od łez. Wracasz na studia.

Żyjesz dalej, oczywiście, ale nigdy nie zapominasz jej ani tamtej nocy, ani tego, jak ją całowałeś i wdychałeś zapach jej włosów. To wspomnienie cię nie opuszcza. Myślisz o niej. Nie

codziennie, może nawet nie co tydzień. Ale ona jest przy tobie. Wspomnienie to przywołujesz od czasu do czasu, kiedy czujesz się samotny, i nie wiesz, czy niesie ci pociechę, czy jest dokuczliwe.

Zastanawiasz się, czy ona robi to samo.

Mija jedenaście lat. Przez ten czas nigdy jej nie spotykasz.

Oczywiście, nie jesteś już tym samym człowiekiem. Śmierć Stephen'a McGratha wyrwała cię z kolein. Siedziałeś w więzieniu. Jednak teraz jesteś wolny. Zwrócono ci twoje życie – chyba. Pracujesz w kancelarii prawniczej Carter Sturgis.

Pewnego dnia siadasz przy komputerze i wprowadzasz do wyszukiwarki jej nazwisko.

Wiesz, że to głupie i niedojrzałe. Zdajesz sobie sprawę, że zapewne wyszła za swojego narzeczonego i ma już troje lub czworo dzieci, może przyjęła nazwisko męża. Jednak to nie szkodliwa próba. Nie posuniesz się dalej. Po prostu jesteś ciekaw.

Znajdujesz kilka Olivii Murray.

Szukasz dalej i stwierdzasz, że jedna z nich może być tą. Ta Olivia Murray kieruje działem sprzedaży DataBetter, firmy konsultingowej projektującej systemy komputerowe dla małych i średnich przedsiębiorstw. Na witrynie DataBetter znajdują się biografie pracowników. Jej jest krótka, ale zawiera wzmiankę, że ukończyła uniwersytet stanu Wirginia. To tam wybierała się Olivia Murray, kiedy poznaliście się przed laty. Próbujesz o tym zapomnieć.

Nie jesteś jednym z tych, którzy wierzą w los czy przeznaczenie – wprost przeciwnie – ale sześć miesięcy później wspólnicy z Carter Sturgis dochodzą do wniosku, że firmowy system komputerowy wymaga modernizacji. Kawuś wie, że w więzieniu uczyłeś się programowania. Sugeruje, żebyś wszedł w skład komisji projektującej nową sieć komputerową firmy. Ty proponujesz, żeby wybrać kilka firm i ogłosić przetarg. Jedną z tych firm jest DataBetter.

Dwie osoby z DataBetter przybywają do biura Carter Sturgis. Wpadasz w panikę. W końcu wykręcasz się nagłym wypadkiem i nie bierzesz udziału w prezentacji. To byłoby za wiele – takie spotkanie. Pozostawiasz rozmowy trzem innym członkom komisji. Sam zostajesz w swoim gabinecie. Trzęsą ci się łydki, ogryzasz paznokcie. Czujesz się jak idiota. W południe ktoś puka do drzwi twojego gabinetu. Odwracasz się, a to Olivia.

Poznajesz ją od razu. Jej widok spada na ciebie jak cios. Ciepła lekkość powraca. Prawie odbiera ci mowę. Patrzysz na jej lewą rękę. Na serdeczny palec. Nie ma na nim obrączki. Olivia uśmiecha się i mówi, że przybyła do Carter Sturgis na prezentację. Próbujesz kiwnąć głową. Ona mówi, że jej firma ubiega się o kontrakt na modernizację sieci komputerowej kancelarii. Zauważyła twoje nazwisko na liście ludzi, którzy powinni być na spotkaniu, i zastanawiała się, czy jesteś tym samym Mattem Hunterem, którego spotkała przed laty. Wciąż oszołomiony, pytasz ją, czy ma ochotę na kawę. Ona waha się, ale mówi tak. Kiedy wstajesz i przechodzisz obok niej czujesz zapach jej włosów. Nadal pachną bzem i jagodami i boisz się, że łyzy popłyną ci

z oczu.

Oboje pomijacie zbyteczne wstępy, co oczywiście bardzo ci odpowiada. Okazuje się, że przez te wszystkie lata też o tobie myślała. Narzeczony dawno znikł z horyzontu. Nigdy nie wyszła za mąż.

Twoje serce wypełnia radość, choć z ubolewaniem kręcisz głową. Wiesz, że to po prostu niemożliwe. Żadne z was nie wierzy w coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia.

Jednak jesteście tu.

W ciągu następnych tygodni dowiadujesz się, czym jest prawdziwa miłość. To ona cię tego uczy. W końcu mówisz jej o swojej przeszłości. Ona przyjmuje to spokojnie. Bieriecie ślub. Ona zachodzi w ciążę. Jesteś szczęśliwy. Oboje celebrowacie tę wiadomość, kupując wideotelefony.

A potem, pewnego dnia, odbierasz telefon i widzisz kobietę, którą spotkałeś po tak długiej rozłące – swoją jedyną miłość – w pokoju hotelowym z innym mężczyzną.

Do licha, dlaczego ktoś miałby go śledzić?

Matt mocno ścisnął kierownicę i w głowie kręciło mu się od nawału różnych odpowiedzi. Rozważył je wszystkie. Żadna nie pasowała.

Potrzebował pomocy, i to bardzo. A to oznaczało wizytę u Cingle.

Spóźni się na spotkanie z inspektorem budowlanym. Nie przejmował się tym. Nagle przyszłość, którą widział oczyma wyobraźni – dom, płot ze sztachet, zawsze piękna Olivia, udane dzieci, labrador – wydawała się zatrzważająco nierealna. Chyba sam się oszukiwał. Były więzień skazany za morderstwo wracający na przedmieście, na którym się wychował, i zakładający idealną rodzinę... Nagle zabrzmiało to jak fragment scenariusza kiepskiej telenoweli.

Matt zadzwonił do bratowej, Marshy, chcąc ją zawiadomić, że przyjedzie później, ale zgłosiła się automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość i wjechał na parking.

W eleganckim, przeszklonym budynku stojącym niedaleko biura Matta mieści się MVD – Most Valuable Detection, czyli duża prywatna agencja detektywistyczna, z której usług korzysta Carter Sturgis. Zasadniczo Matt nie przepadał za prywatnymi detektywami. W książkach byli niesamowicie fajnymi facetami. W prawdziwym życiu byli w najlepszym razie emerytowanymi gliniarzami (podkreślić słowo „emerytowanymi”), a w najgorszym facetami, którzy nie mogli dostać się do policji i zostali sfrustrowanymi niedoszłymi policjantami. Matt widział mnóstwo takich frustratów pracujących jako strażnicy więzienni. Poczucie klęski i potrzeba udowodnienia swej męskości tworzyły wybuchową i często niebezpieczną mieszankę.

Matt siedział w biurze osoby będącej wyjątkiem od tej reguły – uroczej pani Cingle Shaker. Przypuszczał, że to nie jest jej prawdziwe nazwisko, tylko pseudonim zawodowy. Cingle miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, niebieskie oczy, włosy koloru miodu i ładne rysy twarzy. Jej ciało mogło wywołać przyspieszone bicie serca – było niesamowite. Nawet Olivia westchnęła z uznaniem, kiedy ją spotkała. Plotka głosiła, że Cingle była jedną z chórzystek w Radio City

Musie Hali, ale inne dziewczęta narzekały, że „psuje symetrię”. Matt wcale w to nie wątpił.

Cingle trzymała nogi na biurku. Nosiła kowbojskie buty, dodające jej z pięć centymetrów i ciemne dżinsy, dopasowane jak legginsy. Ponadto czarny golf, który na niektórych kobietach wyglądałby na obcisły, lecz ją mógł całkiem słusznie kosztować wyrok skazujący za obrazę moralności.

– To była rejestracja z New Jersey – powtórzył po raz trzeci Matt. – MLH-472.

Cingle ani drgnęła. Oparła brodę na kciuku i wskazującym palcu. Patrzyła na niego.

– Co? – zapytał Matt.

– Któremu klientowi mam wystawić za to rachunek?

– Żadnemu – powiedział. – Mnie.

– Zatem to dla ciebie.

– Tak.

– Hmm. – Cingle opuściła stopy na podłogę, przeciągnęła się i uśmiechnęła. – A więc to sprawa osobista? – Rany – rzekł Matt – jesteś niesamowita. Mówię, żebyś wystawiła rachunek na mnie, że robisz to dla mnie, a ty już, że to sprawa osobista.

Lata dedukcji, Hunter. Nie popadnij w kompleksy. Matt uśmiechnął się z przymusem. Nie odrywała od niego oczu.

– Chcesz usłyszeć jedną z dziesięciu zasad z podręcznika detektywa autorstwa Cingle Shaker? – Nie, niezupełnie.

– Zasada numer sześć: kiedy mężczyzna z osobistych powodów prosi o sprawdzenie numerów rejestracyjnych jakiegoś wozu, są tylko dwie możliwości. Pierwsza... – Cingle podniosła palec. – Żona go zdradza i on chce wiedzieć z kim.

– A druga?

– Nie ma drugiej. Skłamałam. Jest tylko jedna.

– Nie w tym wypadku. Cingle potrząsnęła głową.

– Co?

– Byli więźniowie zwykle lepiej kłamią. Pozostawił to bez komentarza.

– W porządku, powiedzmy, że ci wierzę. Tak więc zechciej mi wyjaśnić, dlaczego chcesz, żebym się dowiedziała, do kogo należy ten samochód.

– To sprawa osobista. Pamiętasz? Ja płacę, robisz to dla mnie, sprawa osobista.

Cingle powoli wstała i wzięła się pod boki. Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. W przeciwieństwie do Olivii Matt nie jęknął na głos, ale może zrobił to w myślach.

– Potraktuj mnie jak swojego spowiednika – zaproponowała. – Spowiedź dobrze robi duszy, wiesz.

– Tak – mruknął Matt. – Wiara. Oto co przychodzi na myśl. – Wyprostował się. – Zrobisz to dla mnie?

– Się robi. – Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. Matt wytrzymał jej wzrok. Potem usiadła i znów położyła nogi na biurku. – Ten numer z braniem się pod boki. Zwykle powala facetów.

– Jestem z kamienia.

– Hm, cóż, to część problemu.

– Cha, cha.

Znów obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

– Kochasz Olivię, prawda?

– Nie zamierzam tego z tobą omawiać, Cingle.

– Nie musisz odpowiadać. Widziałam was razem.

– Zatem wiesz. Westchnęła.

– Podaj mi jeszcze raz ten numer rejestracyjny. Zrobił to. Tym razem Cingle go zanotowała.

– To nie powinno zająć mi więcej niż godzinę. Zadzwoń na twoją komórkę.

– Dzięki. Ruszył do drzwi.

– Matt? Odwrócił się do niej.

– Mam trochę doświadczenia w takich sprawach.

– Nie wątpię.

– Otwieranie tych drzwi – Cingle podniosła rękę, w której trzymała kartkę z zanotowanym numerem rejestracyjnym – jest jak próba przerwania bójk. Kiedy zaczniesz, nie wiadomo, co może się zdarzyć.

– O rany, Cingle, to naprawdę subtelne. Rozłożyła rękę.

– Przestałam być subtelna w dniu, kiedy osiągnęłam dojrzałość płciową.

– Po prostu zrób to dla mnie, dobrze?

– Dobrze.

– Dziękuję.

– Gdybyś jednak – wycelowała w niego palec – miał ochotę pociągnąć to dalej, chcę, abys mi obiecał, że pozwolisz sobie pomóc.

– Nie będę tego ciągnął – odparł, ale wyraz jej twarzy świadczył, że ani trochę mu nie wierzyła.

Matt właśnie wjeżdżał do swojego rodzinnego Livingston, kiedy znów odezwała się jego komórka. Jamie Suh, asystentkę Olivii, w końcu do niego oddzwoniła.

– Przykro mi, Matt, ale nie mogę znaleźć nazwy hotelu, jak to możliwe? – warknął bezmyślnie. Zapadła długa cisza. Próbował wycofać się rakiem.

– Przypuszczałem, że chyba zwykle mówi, gdzie się zatrzyma. Na wszelki wypadek. – Ma telefon komórkowy. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– I przeważnie – dodała Jamie – to ja rezerwuję jej pokój w hotelu.

– Tym razem nie?

– Nie. – I pospiesznie dorzuciła: – Jednak nie ma w tym nic niezwykłego. Olivia czasem robi to sama. Nie wiedział, co o tym myśleć.

– Miałaś dziś od niej jakąś wiadomość?

– Dzwoniła rano.

– Czy powiedziała, gdzie będzie?

Znów zapadła cisza. Matt wiedział, że jego zachowanie przekracza to, co można by uznać za zwykłe męzowskie zainteresowanie, ale doszedł do wniosku, że warto zaryzykować.

– Powiedziała tylko, że ma kilka spotkań. Nic konkretnego.

– W porządku, gdyby zadzwoniła...

– Powiem, że jej szukasz.

Jamie się rozłączyła.

Znów coś sobie przypomniał. Kiedyś okropnie pokłócił się z Olivią. Była to jedna z tych zawziętych sprzeczek, podczas których wyciągasz rozmaite idiotyzmy, dobrze wiedząc, że nie masz racji. Wybiegła z płaczem i nie dzwoniła przez dwa dni. Całe dwa dni. Kiedy do niej dzwonił, nie odbierała. Szukał jej, ale nie mógł znaleźć. Miał dziurę w sercu. Teraz przypomniał to sobie. Na myśl o tym, że ona może już nigdy do niego nie wrócić, czuł tak straszny ból, że ledwie mógł oddychać.

Kiedy dotarł do domu, inspektor budowlany właśnie kończył inspekcję. Dziewięć lat temu Matt wyszedł z więzienia po odsiedzeniu czterech lat za zabicie człowieka. Teraz, jakkolwiek niewiarygodne mogłoby się to wydawać, zamierzał kupić dom, zamieszkać w nim z ukochaną kobietą i wychować dziecko.

Potrząsnął głową.

Dom był jednym z wielu podmiejskich budynków wzniesionych tu w 1965 roku. Jak większość Liyngston postawiono je na terenie dawnej farmy. Wszystkie domy były do siebie podobne, ale jeśli to zniechęcało Olivię, dobrze ukrywała swoje odczucia. Spojrzała na dom niemal z nabożnym podziwem i szepnęła: „Jest idealny”. Jej entuzjazm rozwiał wszelkie wątpliwości, jakie Matt mógł mieć w kwestii powrotu.

Teraz stał tam, gdzie niebawem miał powstać podjazd i usiłował sobie wyobrazić, jak będzie tu mieszkać. Czuł się dziwnie. Już nie był częścią tego miejsca. Nie wiedział o tym, dopóki... No cóż, dopóki nie spotkał Olivii. Teraz wrócił.

Na ulicy zatrzymał się radiowóz. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Pierwszy był w mundurze. Młody i postawny. Obrzucił Matta podejrzliwym spojrzeniem. Drugi był po cywilnemu.

– Cześć, Matt – odezwał się ten w brązowym garniturze. – Dawno cię nie widziałem.

Rzeczywiście dawno, co najmniej od szkoły średniej, ale natychmiast poznał Lance'a

Bannera.

– Cześć, Lance.

Obaj policjanci jednocześnie zatrzasnęli drzwi samochodu, jakby długo to ćwiczyli. Umundurowany założył ręce na piersi i milczał. Lance podszedł do Matta.

– Wiesz co – powiedział Lance. – Mieszkam przy ulicy.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Matt nic nie powiedział.

– Teraz jestem detektywem.

– Gratuluję.

– Dzięki.

Jak długo znał Lance'a Bannera? Co najmniej od drugiej klasy. Nigdy nie byli przyjaciółmi ani wrogami. Przez trzy kolejne lata grali w tej samej drużynie. W ósmej klasie mieli razem lekcje wychowania fizycznego, a później wspólną pracownię. Szkoła w Liyngston była spora – uczęszczało do niej po sześćset dzieci z każdego rocznika. Po prostu obaj obracali się w różnych kręgach.

– Jak ci leci? – zapytał Lance.

– Wspaniale.

Inspektor budowlany wyszedł z domu. W ręku trzymał notatnik..– jak to wygląda, Haroldzie? – spytał Lance.

Harold oderwał wzrok od notesu i pokiwał głową. – Bardzo solidnie, Lance. – Na pewno?

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Harold cofnął się o krok. Lance znów spojrzął na Matta.

– To przyjemna okolica.

– Dlatego ją wybraliśmy.

– Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł, Matt?

– Co, Lance?

– Powrót tutaj.

– Odsiedziałem swoje.

– I myślisz, że to już koniec? Matt milczał.

– Ten chłopiec, którego zabiłeś. On wciąż nie żyje, no nie?

– Lance?

– Teraz jestem detektywem Bannerem.

– Detektywie Banner, wchodzę do środka.

– Czytałem twoje akta. Nawet zadzwoniłem do paru kumpli z policji, żeby dowiedzieć się wszystkiego.

Matt patrzył na niego. Tamten miał szare plamki w tęczęwkach. Przybrał na wadze.

Świerzbiły go ręce i Mattowi nie podobał się sposób, w jaki się do niego uśmiechał. Rodzina Lance'a Bannera nigdy uprawiała tę ziemię. Jego dziadek albo pradziadek sprzedał ją za grosze. Bannerowie nadal uważali Livingston za swoje miasto, a siebie za jego opokę. Stary Banner pił. Dwaj tępi bracia Lance'a również. Natomiast Lance zawsze wydawał się Mattowi bardzo bystry.

– Zatem wiesz, że to był wypadek – rzekł Matt. Lance Banner powoli pokiwał głową.

– Możliwe.

– No to dlaczego się czepiasz?

– Ponieważ jesteś byłym więźniem.

– Uważasz, że powinienem siedzieć w więzieniu?

– Trudno ocenić – rzekł, pocierając podbródek. – Jednak z tego, co czytałem, wynika, że miałeś pecha.

– I co?

– Nic. Wsadzili cię za kraty.

– Nie rozumiem.

– Jeśli społeczeństwo chce wciskać ludziom ten kit o resocjalizacji, to cóż, nic mi do tego. Jednak ja – stuknął się palcem w pierś – wiem lepiej. I ty – wskazał palcem Matta – też wiesz lepiej.

Matt nie odpowiedział.

– Może byłeś w porządku, kiedy cię tam wsadzili. Ale chyba nie chcesz mi powiedzieć, że teraz jesteś takim samym człowiekiem jak przedtem?

Matt wiedział, że na to pytanie nie ma prawidłowej odpowiedzi. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Może twój inspektor budowlany znajdzie jakiś feler. Będziesz mógł się wycofać – dorzucił Lance.

Matt wszedł do środka i załatwił sprawę z inspektorem. Było kilka usterek – jakieś problemy z rurami, jeden przeciążony wyłącznik – ale same drobiazgi. Pożegnał się z Haroldem i pojechał do domu Marshy.

Zaparkował przy wysadzonej szpalerem drzew ulicy, przy której mieszkali jego bratankowie i bratowa. (Czy po śmierci brata nadal jest jego bratową? „Była bratowa” – to naprawdę nie brzmiałoby najlepiej). Chłopcy, Paul i Ethan, tarzali się w liściach na trawniku przed domem. Pilnowała ich Kyra, opiekunka. Kyra Walsh w ramach wymiany studenckiej uczęszczała na letnie zajęcia na Uniwersytecie Williama Patersona. Wynajmowała pokój nad garażem Marshy. Została gorąco zarekomendowana przez kogoś z kościoła Marshy i chociaż Matt początkowo był bardzo sceptycznie nastawiony do pomysłu wynajmowania stałej opiekunki (a tym bardziej studentki), eksperyment zakończył się sukcesem. Kyra okazała się wspaniałą dziewczyną,

o świeżej, choć potrzebującej słońca cerze, z jakiegoś środkowo-zachodniego stanu na „I”. Matt nigdy nie pamiętał z którego.

Wysiadł z samochodu. Kyra osłoniła dłonią oczy, a drugą mu pomachała. Uśmiechnęła się tak, jak potrafią tylko młode dziewczęta.

– Cześć, Matt.

– Cześć, Kyra.

Chłopcy usłyszeli jego głos i obrócili głowy, jak psy słyszące szelest opakowania z przysmakami. Podbiegli do niego, wołając:

– Wujek Matt! Wujek Matt!

Mattowi nagle zrobiło się lekko na sercu. Na widok biegnących chłopców uśmiechnął się łagodnie. Ethan złapał go za prawą nogę, Paul za lewą.

– McNabb podaje – powiedział Matt, głosem Grega Gumbela. – Spójrzcie! Strahan przedziera się przez linię obrony i zaraz...

Paul znieruchomiał.

– Chcę być Strahanem! – zażądał. Ethan nie zamierzał na to pozwolić.

– Nie, to ja chcę być Strahanem!

– Hej, obaj możecie nim być – oznajmił Matt. Chłopcy spojrzeli na wujka jak na tępego ucznia, siedzącego w oślej ławce.

– Nie może być dwóch Michaelów Strahanów – powiedział Paul.

– Właśnie – wtrącił jego brat.

Następnie pochylili się i znów zaatakowali. Matt na chwilę wcielił się w mocno naciskanego rozgrywanego. Rozglądał się, rozpaczliwie szukając nieistniejących kolegów z drużyny, udał, że próbuje zwodem ominąć graczy z przeciwnej drużyny, aż w końcu powoli zwałił się na ziemię.

– Hej!

Chłopcy wstali, przybili sobie piątkę i załomotali piąstkami w piersi. Matt z jękiem usiadł na trawie. Kyra powstrzymywała chichot.

Paul i Ethan jeszcze nie zakończyli triumfalnych płasów, kiedy w drzwiach pojawiła się Marsha. Matt pomyślał, że wygląda bardzo ładnie. Miała na sobie suknię i była umalowana. Włosy w artystycznym nieładzie. W ręku już trzymała kluczyki od samochodu.

Kiedy umarł Bernie, Matt i Marsha byli tak przygnębieni i zrozpaczeni, że próbowali sklecić jakiś związek, w którym Matt ewentualnie mógłby przejąć rolę męża i ojca.

To była katastrofa.

Odczekali odpowiednio długi czas – dokładnie sześć miesięcy – a potem pewnego wieczoru, nie omawiając tego, ale dobrze wiedząc, co się stanie, oboje się upili. Marsha wykonała pierwszy ruch. Pocałowała go, naprawdę mocno, a potem zaczęła płakać. Na tym zakończyła się ta próba.

Do czasu „wypadku” rodzina Matta miała niezwykle szczęście. Kiedy Matt skończył dwadzieścia lat, wszyscy jego dziadkowie żyli i cieszyli się dobrym zdrowiem – jedni w Miami, drudzy w Scottsdale. Tragedie spadały na inne rodziny, ale Hunterów omijały. „Wypadek” wszystko zmienił. Nie byli przygotowani na to, co nastąpiło potem.

Tragedia przeważnie ma właśnie taki przebieg: kiedy już cię dopadnie, przełamie wszystkie linie obrony i uczyni łatwym celem dla rozpaczy, śmierci i tak dalej. Troje z czworga dziadków Matta umarło, kiedy siedział w więzieniu. To zabiło jego ojca i pozbawiło sił matkę. Matka Matta umknęła na Florydę. Siostra uciekła na zachód, do Seattle. Bernie dostał wylewu.

I nagle nie było nikogo.

Matt wstał. Pomachał do Marshy. Odpowiedziała tym samym.

– Mogę już iść? – zapytała Kyra. Marsha skinęła głową.

– Dzięki, Kyro.

– Żaden problem. – Kyra zarzuciła na ramię plecak. Pa, Matt.

– Pa, dzieciaku.

Zadzwonił telefon komórkowy Matta. Po numerze poznał, że to Cingle Shaker. Dał znak Marshy, że musi odebrać telefon. Wyszedł na chodnik i nacisnął klawisz.

– Halo!

– Mam trochę informacji o tym samochodzie – powiedziała Cingle.

– Mów.

– Jest wynajęty. W biurze Avisu na lotnisku Newark.

– Co oznacza, że to ślepa uliczka?

– Dla większości prywatnych detektywów na pewno. Jednak masz do czynienia z kimś, kto jest niemal legendą w swoim fachu.

– Niemal?

– Próbuję być skromna.

– Niezbyt ci wychodzi, Cingle.

– Tak, ale liczą się dobre chęci. Zadzwoniłam do swojego człowieka na lotnisku. Zajął się tym. Samochód wynajął niejaki Charles Talley. Znasz go?

– Nie.

– Myślałam, że to nazwisko coś ci powie.

– Nic.

– Mam sprawdzić tego Talleya?

– Tak.

– Zadzwoń.

Rozłączyła się. Matt zaczął chować telefon, gdy zauważył ten sam radiowóz, skręcający z głównej ulicy. Samochód zwolnił, mijając dom Marshy. Umundurowany policjant, który

towarzyszył Lance'owi, zmierzył Matta wzrokiem. Matt odpowiedział takim samym beznamiętnym spojrzeniem i poczuł, że piecze go twarz.

Paul i Ethan stali, obserwując radiowóz. Matt odwrócił się do Marshy. Ona też zauważyła radiowóz. Matt spróbował się uśmiechnąć i zbyć to wydarzenie machnięciem ręki. Marsha zmarszczyła brwi.

Wtedy znów zadzwonił telefon.

Wciąż obserwując Marszę, Matt przyłożył telefon do ucha, nie sprawdzając, kto dzwoni.

– Halo – powiedział.

– Cześć, kochanie, jak ci minął dzień? Dzwoniła Olivia.

8

Loren wiedziała, że telewizja przekonała ludzi, iż gliniarze zazwyczaj spotykają się z patologami w kostnicy, przy zwłokach. W rzeczywistości to prawie się nie zdarza. Loren dziękowała za to losowi. Nie była przewrażliwiona, ale chciała, żeby śmierć pozostała dla niej czymś szokującym. Nie żartowała na miejscu zbrodni. Nie próbowała się uodparniać ani uruchamiać mechanizmów obronnych. Dla Loren kostnica była zbyt prozaicznym, zbyt obojętnym, zbyt pospolitym miejscem na rozmowę o morderstwie.

Już miała otworzyć drzwi gabinetu Eldona, gdy wyszedł z nich Trevor Wine, jej kolega z wydziału zabójstw. Trevor był otyły i reprezentował starą szkołę. Tolerował Loren, jakby była domowym zwierzęciem, które czasem siusia na dywan.

– Cześć, Pętaku – powiedział do niej.

– Masz tu sprawę?

– Yhm. – Trevor Wine podciągnął spodnie. Miał ten dziwny rodzaj brzucha, na którym pasek nigdy nie znajduje oparcia. – Zastrzelony z dubeltówki. Dwa strzały w głowę, z bliska.

– Rabunek, porachunki gangów?

– Może rabunek, zdecydowanie nie porachunki gangów. Ofiarą jest biały emeryt.

– Gdzie znaleziono ciało?

– W pobliżu żydowskiego cmentarza opodal Czternastej Alei. Uważamy, że to turysta.

– Turysta w tej okolicy? – Loren skrzywiła się. – A co tam jest do oglądania?

Trevor udał, że się śmieje i położył potężne łapsko na jej ramieniu.

– Dam ci znać, jak się dowiem. – Nie dodał „panienko”, ale niewiele brakowało. – No to na razie, Pętaku.

– Tak, na razie.

Odszedł. Loren otworzyła drzwi.

Eldon siedział przy biurku. Miał na sobie czysty fartuch. Eldon zawsze nosił fartuch. Jego gabinet był kompletnie bezbarwny i bezosobowy. Kiedy Eldon objął tę posadę, zamierzał to zmienić, ale gdy ludzie przychodzili do tego pokoju, by poznać przyczyny śmierci, nie chcieli żadnych bodźców stymulujących zmysły. Tak więc Eldon zachował swój neutralny styl.

– Masz – powiedział. – Łap.

Rzucił coś. Loren odruchowo to złapała. Był to plastikowy woreczek, przezroczysty i żółty. W środku znajdował się jakiś żel. Drugi taki woreczek Eldon trzymał w ręku.

– Czy to...? Eldon skinął głową.

– Długo używany i dlatego przebarwiony implant piersi.

– Czy mogę powiedzieć „och”, tak dla formalności?

– Możesz.

Loren podniosła woreczek do światła i zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że implanty są przezroczyste.
- Na początku tak – przynajmniej te z roztworem soli fizjologicznej.
- Te nie są takie?
- Nie. Silikonowe. I tkwiły w ciele dłużej niż dziesięć lat.

Loren usiłowała powstrzymać grymas. Substancja w środku przypominała żel. Eldon uniósł brew i zaczął miętosić implant.

- Daruj sobie. Wzruszył ramionami.
- W każdym razie należały do tej twojej siostry z zakonu Nieskazitelnego Biustu.
- I pokazujesz mi je, ponieważ...?
- Ponieważ naprowadzają nas na ślad.
- Zamieniam się w słuch.
- Po pierwsze, są silikonowe.
- Już mówiłeś.
- Pamiętasz, jak pięć lat temu wybuchła panika na tle ich rakotwórczości?
- Implanty przeciekały.
- Właśnie. Tak więc producenci musieli przejść na roztwór soli fizjologicznej.
- Czy niektórzy nie wracają teraz do silikonowych?
- Owszem, ale to niczego nie zmienia. Te są stare. Bardzo stare. Mają dobrze ponad dziesięć lat. Pokiwała głową.
- No dobrze, zawsze to coś na początek.
- Jest jeszcze coś. – Eldon wyjął szkło powiększające. Odwrócił jeden implant. – Widzisz to?

Loren wzięła od niego lupę.

- To identyfikator.
- Widzisz ten numer na samym dole?
- Tak.
- To numer seryjny. Umieszczają je na większości implantów – stawów kolanowych, biodrowych, sztucznych piersiach, rozrusznikach serca i tym podobnych. Każdy musi mieć numer seryjny.

Loren pokiwała głową.

- A producent ma je w swoich księgach.
- Właśnie.
- Tak więc jeśli zadzwonimy do producenta i podamy numer seryjny...
- Dowiemy się, jak naprawdę nazywała się Matka Obfitości.

Loren podniosła głowę.

- Dzięki.

– Jest pewien problem. Usiadła z powrotem.

– Firma, która wyprodukowała te implanty, nazywała się SurgiCo. Splajtowała jakieś osiem lat temu.

– A ich rejestry?

Eldon wzruszył ramionami.

– Próbujemy się do nich dobrać. Postuchaj, już późno. Dziś wieczorem niczego nie ustalimy. Mam nadzieję, że rano dowiem się, co się stało z ich rejestrami.

– W porządku. Jeszcze coś?

– Pytałaś, dlaczego nie było włókien pod paznokciami ofiary.

– Tak.

– Jeszcze nie mam wszystkich wyników analiz toksykologicznych. Może była odurzona, ale nie podejrzewam.

– Masz inną teorię.

– Owszem.

– Jaką?

Eldon odchylił się do tyłu i założył nogę na nogę. Obrócił głowę i wbił wzrok w ścianę.

– Odkryłem niewielkie sińce na wewnętrznej części obu przedramion. Loren zmrużyła oczy.

– Nie nadażam.

– Bardzo silny i... hm... doświadczony mężczyzna mógł podkraść się do śpiącej kobiety – zaczął recytować monotonie, jakby mówił do dziecka. – Mógł odwrócić kobietę na plecy, a może spała w tej pozycji. Mógł usiąść jej na piersi, przycisnąć ręce kolanami – po czym, jeśli postępował ostrożnie i profesjonalnie, pozostałyby bardzo niewielkie sińce – a potem udusić ją poduszką.

Temperatura w pokoju obniżyła się o dziesięć stopni. Loren zapytała głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

– Sądysz, że tak właśnie było?

– Musimy zaczekać na wyniki analizy toksykologicznej – odparł Eldon, odwracając się od ściany i patrząc jej w oczy. – Tak, przypuszczam, że właśnie tak było.

Nic nie powiedziała.

– Jeszcze jeden fakt przemawia za moją teorią. To może nam pomóc. – Eldon położył na biurku fotografię. Zdjęcie zakonnicy. Miała zamknięte oczy, jakby czekała na masaż. Była po sześćdziesiątce, lecz śmierć wygładziła jej zmarszczki. – Wiesz coś o odciskach palców na skórze? – Tylko tyle, że trudno je zdjąć.

– To prawie niemożliwe, jeśli nie uda się tego zrobić natychmiast po śmierci ofiary. Większość podręczników zaleca zdejmowanie odcisków palców jeszcze na miejscu zbrodni, jeśli to możliwe. Powinno się natychmiast, jeszcze przed zapakowaniem zwłok, poddać je działaniu

oparów kleju, aby utrwalić odciski palców.

Takie detale pracy kryminalistyka niespecjalnie interesowały Loren.

– Uhm.

– No cóż, w przypadku naszej Konającej Zakonnicy było na to za późno. – Spojrzał na nią. – Załapałaś? Konająca Zakonnica zamiast Latającej.

– Mam wrażenie, że rozmawiam z Chrisem Rockiem. Mów dalej.

– No cóż, postanowiłem przeprowadzić mały eksperyment. Mieliśmy szczęście, że ciało nie zostało zamrożone. Para wodna skraplająca się na skórze przekreśliłaby sens takiego testu. W każdym razie postanowiłem wykonać próbę z półsztywną płytką z tereftalanu polietylenowego. To ta wykorzystująca fakt, że ładunek elektrostatyczny przyciąga cząsteczki kurzu...

– O rany. – Loren podniosła rękę w klasycznym geście policjanta zatrzymującego ruch. – Dajmy spokój zdjęciom próbnym do Kryminalnych zagadek. Zdjąłeś te odciski z ciała?

– Tak i nie. Znalazłem smugi na obu skroniach, jedną wyglądającą na ślad kciuka, a drugą – na ślad środkowego palca.

– Na jej skroniach?

Eldon skinął głową. Zdjął okulary, przetarł je, umieścił z powrotem na czubku nosa i popchnął w górę.

– Myślę, że napastnik jedną ręką złapał ją za twarz. Chwycił ją jak baseballista, naciskając nasadą dłoni jej nos.

– Jezu.

– Przypuszczalnie przyciskał jej głowę do łóżka, kiedy na niej siadał.

– A te odciski palców. Możesz je zidentyfikować?

– Wątpię. W najlepszym razie są niepełne. Nie wystarczyłyby sądowi, ale jest nowe oprogramowanie, które pomaga... nie wiem... uzupełnić brakujące fragmenty. Można spróbować, jeśli chcesz. Jeśli coś się znajdzie, może to pozwoli wytypować lub wyeliminować podejrzanego.

– Może warto spróbować. Wstał.

– Zaraz się do tego zabiorę. Zapewne zajmie mi to dzień lub dwa. Dam ci znać, kiedy będę miał coś więcej.

– W porządku – odezwała się Loren. – Jeszcze coś? Nagle spochmurniał.

– Eldonie?

– Tak. Jest jeszcze coś.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałaś.

– Mnie też się to nie podoba, wierz mi. Jednak ten, kto to zrobił, nie tylko ją uduślił.

– O czym ty mówisz?

– Wiesz coś o paralizatorach?

– Co nieco.

– Myślę, że go użyli. – Przełknął ślinę. – W niej.

– Mówiąc „w niej”, chcesz powiedzieć...

– Chcę powiedzieć dokładnie to, co przypuszczasz – przerwał jej. – Wiesz, ja też jestem wychowankiem katolickiej szkoły.

– Są ślady oparzeń?

– Słabe. Jeśli jednak ktoś wie, co robi – szczególnie w takim wrażliwym miejscu – właściwie nie powinien ich zostawić. To był paralizator jednostykowy, jeśli to ci pomoże. Większość paralizatorów, tak jak te używane przez policję, ma dwa styki. Jeszcze nie skończyłem testów, ale podejrzewam, że umarła w męczarniach.

Loren zamknęła oczy.

– Hej, Pętaku?

– Co?

– Zrób coś dla mnie – rzekł Eldon. – Dorwij tego sukinsyna, dobrze?

9

– Cześć, kochanie, jak ci minął dzień? – zapytała Olivia. Matt tylko ścisnął telefon.

– Matt?

– Jestem – powiedział.

Radiowóz już odjechał. Matt obejrzał się przez ramię. Marsha stała na ganku podparta pod boki. Paul gonił Ethana i obaj zaśmiewali się do rozpuku.

– A więc – kontynuowała Olivia, jakby był to zupełnie zwyczajny dzień – gdzie jesteś?

– U Marshy.

– Wszystko w porządku?

– Właśnie mam zabrać chłopców na obiad.

– Tylko nie znowu do McDonalda. Te frytki są ta niezdrowe.

– Racja.

Ostrożnie stawiać kroki. Niepewny grunt. Matt trzymał telefon i myślał: Przecież nie naskoczę na nią, krzyżąc: „Mam cię!”.

– No więc, co się dzieje? – spytała Olivia.

– Nic specjalnego – odparł. Kyra wsiadała do samochodu. Uśmiechnęła się i pomachała do niego. Odpowiedział kiwnięciem głowy. – Dzwoniłem do ciebie wcześniej. – Matt silił się na obojętny ton.

– O!

– Tak. – Kiedy?

– Około południa.

– Naprawdę?

– Nie, zmyślam. Naprawdę.

– No, to dziwne.

– Dlaczego?

– Nie słyszałam, żeby dzwonił telefon.

– Może byłaś poza zasięgiem – podsunął, dając jej szansę.

– Może – powiedziała powoli.

– Zostawiłem wiadomość.

– Zaczekaj. – Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. – No tak, mam tu trzy nieodebrane wiadomości.

– To ode mnie.

– Przepraszam, kochanie. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale jeszcze nie nauczyłam się odsłuchiwać wiadomości. W starym telefonie wystarczyło wpisać sześć siedem sześć, a potem gwiazdkę, ale w tym to nie działa.

– Pewnie – rzekł Matt. – Nowy kod to cztery ostatnie cyfry twojego numeru telefonu i przycisk odbioru.

– Och, tak. Zwykle po prostu sprawdzam wykaz nieodebranych połączeń.

Matt zamknął oczy. To nie do wiary, jakie to wszystko jałowe i prozaiczne.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Co?

– Kiedy dzwoniłem. Gdzie byłaś?

– Och, na seminarium.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? Jestem w Bostonie.

– O czym było?

– O jakimś nowym oprogramowaniu uniemożliwiającym pracownikom wykorzystywanie Internetu do prywatnych celów w godzinach pracy. Nie wyobrażasz sobie, ile pracodawcy tracą przez to roboczogodzin.

– Uhm.

– Słuchaj, muszę lecieć. Mam się spotkać z klientami na kolacji.

– Znam kogoś?

– Nie, nie znasz ich. – Olivia westchnęła, nieco przesadnie. – Poprawka: nie, nie chciałbyś ich znać.

– Nudni?

– Bardzo.

– W którym hotelu się zatrzymałaś?

– Nie mówiłam ci?

– Nie.

– W Ritzu. Jednak cały czas jestem w ruchu. Łatwiej mnie złapiesz, dzwoniąc na komórkę.

– Olivio?

– Och – powiedziała. – Zaczekaj chwilkę.

Zapadła, długa cisza. Marsha przeszła przez trawnik, podchodząc do niego. Pokazała na swój samochód, pytając w ten sposób, czy może jechać. Machnięciem ręki dał jej znać, że tak. Ethan i Paul, zmęczony się bieganiem, ruszyli na niego. Ethan złapał go za prawą nogę, Paul za lewą. Matt zmarszczył brwi i wskazał na telefon, mając nadzieję, że zrozumieją, iż jest zajęty. Nie zrozumieli.

– Ktoś przysłał mi zdjęcie – poinformowała go Olivia. – Powiedz mi jeszcze raz, który klawisz mam nacisnąć?

– Ten po prawej stronie.

– Poczekaj. Już przechodzi. – A potem: – Hej, to ty! O rany, wyszłam za cholernego

przystojniaka!

Matt mimo woli się uśmiechnął, ale jej słowa jeszcze bardziej go zabołały. Kochał ją. Mógł spróbować złagodzić cios, ale w żaden sposób nie mógł go uniknąć.

– Nie zamierzam się z tobą spierać – rzekł.

– Chociaż to nie jest twój najlepszy uśmiech. Do licha, ty wcale się nie uśmiechasz.

I następnym razem zdejmij koszulę.

– Ty też.

Roześmiała się, ale tym razem jej śmiech nie podziałał na niego tak jak zazwyczaj.

– A najlepiej nałóż platynową perukę – dorzucił (czyżby to zaplanował?). Milczenie.

Tym razem przerwał jej – Olivio?

– Jestem.

– Przedtem, kiedy dzwoniłem...

– Tak?

– Oddzwaniałem do ciebie.

Jakby wyczuwając napięcie, chłopcy puścili jego nogi. Paul zerknął na Ethana.

– Przecież ja do ciebie nie dzwoniłam.

– Owszem, dzwoniłaś. Otrzymałem wiadomość z twojego telefonu.

– Kiedy?

– Tuż przedtem, nim do ciebie zadzwoniłem.

– Nie rozumiem.

– Ktoś przysłał mi zdjęcie. Czarnowłosego mężczyzny. I film.

– Film?

– Byłaś w jakimś pokoju. A przynajmniej kobieta wyglądająca jak ty. Tylko że miałaś na głowie platynową perukę. Znowu cisza. Potem:

– Nie wiem, o czym mówisz.

Czy jej wierzył? Tak bardzo chciał, tak chciał po prostu przejść nad tym...

– Dzisiaj rano. Tuż przedtem, nim do ciebie zadzwoniłem, otrzymałem wiadomość z twojego telefonu. To był film wideo...

– Nie, to rozumiem, tylko...

– Tylko co?

– Och, zaczekaj – powiedziała Olivia. – Może to coś wyjaśni.

Paul i Ethan znów zaczęli biegać w kółko. Rozrabiali jak szaleni i to zbyt blisko ulicy. Matt zakrył dłonią mikrofon i przywołał ich.

– Co wyjaśni? – zapytał.

– Myślę... cóż, naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie odebrałam twojego pierwszego telefonu. Mam zasięg. Sprawdziłam wykaz nieodebranych połączeń i wiesz co? Jamie też

dzwoniła. Jej telefonu też nie słyszałam.

– Więc?

– Zastanawiam się. Ci faceci na seminarium. To sami dowcipnisie. Może któryś z nich zrobił mi kawał.

– Kawał.

– No, podczas seminarium. Przysnęłam. Było nudne jak, diabli. Kiedy się zbudziłam, zauważyłam, że ktoś przesunął moją torebkę. Tylko odrobinę – Jednak teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, jestem przekonana, że ktoś ją ruszał. Wtedy nie przywiązywałam do tego uwagi.

– A teraz myślisz...?

– Właśnie, że wzięli ją, zrobili coś, a potem odłożyli na miejsce. Sama nie wiem, to też wydaje się idiotyczne.

Matt nie wiedział, co o tym myśleć, ale wyjaśnienie Olivii było nieprzekonujące.

– Kiedy wracasz do domu?

– W piątek.

Przełożył telefon do drugiej ręki.

– Przyjadę do ciebie.

– Nie musisz być w pracy?

– Nie mam żadnych spraw, które nie mogłyby poczekać.

– Ale... – zaczęła i odrobinę zniżyła głos – czy jutro nie masz... hmm... tej czwartkowej wizyty w muzeum? O mało nie zapomniał.

– Nie możesz nie iść.

Przez trzy lata nie opuścił ani jednej. Przez długi czas Matt nikomu nie mówił o tych czwartkowych spotkaniach w muzeum. Ludzie nigdy by tego nie zrozumieli. To był dziwny związek, powstały z konieczności i cementowany przez tajemnicę. Trudno powiedzieć coś więcej. Te spotkania po prostu były dla niego ważne.

Mimo to odparł:

– Mogę to przełożyć..

– Nie powinienes, Matt, dobrze o tym wiesz.

– Mógłbym przylecieć teraz...

– Nie trzeba. Pojutrze będę w domu.

– Nie chcę czekać.

– I tak jestem tu okropnie zalatana. Słuchaj, muszę już iść. Porozmawiamy o tym później, dobrze?

– Olivio?

– W piątek – powiedziała. – Kocham cię.

A potem się rozłączyła.

– Wujku?

Paul i Ethan zostali bezpiecznie ulokowani na tylnym siedzeniu. Zamocowanie fotelików dla dzieci zajęło Mattowi prawie kwadrans. Kto, do diabła, projektował te fotele – NASA?

– Co jest, współniku?

– Wiesz, co mają teraz w McDonalddie?

– Już wam mówiłem. Nie jedziemy do McDonalda.

– Och, wiem. Tak tylko pytam.

– Uhm.

– Wiesz, co mają teraz w McDonalddie?

– Nie – odrzekł Matt.

– Widziałeś ten nowy film o Shreku?

– Tak.

– Mają zabawki z tego filmu – zaćwierkał Ethan.

– Naprawdę?

– W dodatku za darmo.

– Nie za darmo – zaprzeczył Matt.

– Właśnie, że tak. Są w cenie Szczęśliwego Dania.

– Mającego bardzo wygórowaną cenę.

– Jaką cenę?

– Nie jedziemy do McDonalda.

– Och, wiemy.

– Tak tylko mówiliśmy.

– Rozdają tam zabawki.

– Z tego nowego filmu o Shreku.

– Pamiętasz, kiedy oglądaliśmy pierwszy film o Shrek wujku?

– Pamiętam – odparł.

– Ja lubię Osła – oznajmił Ethan.

– Ja też – przyznał Matt.

– W tym tygodniu zabawką jest Osioł.

– Nie jedziemy do McDonalda.

– Tak tylko mówię.

– Bo chińszczyzna też jest dobra – powiedział Paul.

– Chociaż tam nie dają zabawek.

– Tak, lubię pieczone żeberka.

- I dim sum.
- Mama lubi fasolkę szparagową.
- Pfe. Ty nie lubisz fasolki szparagowej, prawda, wujku?
- Jest zdrowa – odparł Matt.
- To oznacza nie – rzekł Ethan do brata.

Matt uśmiechnął się i próbował zapomnieć o wydarzeniach tego dnia. Paul i Ethan byli w tym bardzo pomocni.

Pojechali do Cathay, staromodnej chińskiej restauracji, gdzie podawano takie klasyczne potrawy jak chów mein i kaczka po pekińsku, siedziało się na popękanych plastikowych krzesłach, a za ladą stała zrędliva staruszka, która obserwowała jedzących tak czujnie, jakby się bała, że ukradną sztucce.

Jedzenie było tłuste, ale takie powinno być. Chłopcy zjedli tonę. U McDonalda wybierali. Zjadali najwyżej po pół hamburgera i po tuzinie frytek. Tutaj wyczyścili talerze. Chińskim restauracjom dobrze by zrobiło, gdyby rozdawano w nich zabawki.

Ethan jak zwykle był ożywiony. Paul był trochę spokojniejszy. Zostali wychowani prawie tak samo, korzystali z tej samej puli genów, a jednak nie mogliby bardziej różnić się od siebie. Ethan był żartownisiem. Nie potrafił usiedzieć spokojnie. Był roztrzepany, tryskał życiem i starał się nie okazywać uczuć. Paul lubił koloryzować, Ethan zawsze trzymał się faktów, irytował się, kiedy coś źle zrobił. Był rozważnym chłopcem, dobrym sportowcem i lubił się przytulić.

Geny zawsze biorą górę nad wychowaniem.

Po drodze do domu wstąpili do Dairy Queen. Pod koniec Ethan miał więcej kremu waniliowego na sobie niż w żołądku. Kiedy Matt wjechał na podjazd przed domem, ze zdziwieniem zobaczył, że Marsha jeszcze nie wróciła. Wprowadził chłopców do środka – miał klucz – i wykapał. Była ósma.

Puścił odcinek Fairly OddParents, który dorosłych naprawdę bawił, a potem – wykorzystując swoje umiejętności negocjacji, nabyte w trakcie praktyki prawniczej – namówił obu chłopców, żeby poszli spać. Ethan bał się ciemności, Matt włączył więc lampkę w kształcie spongeBoba.

Spojrzał na zegarek. Ósma trzydzieści. Nie miał nic przeciwko temu, żeby zostać dłużej, ale zaczynał się niepokoić.

Poszedł do kuchni. Ostatnie dzieła Paula i Ethana wisały przyklejone magnesikami do lodówki. Były tam także zdjęcia w takich plastikowych ramkach, z których zawsze wypadają fotografie. Tutaj też w większości powysuwały się z nich do połowy. Matt starannie umieścił je na swoich miejscach.

Prawie na samej górze, za wysoko, by dzieci mogły dosięgnąć (a może dostrzec?), znajdowały się dwa zdjęcia Berniego. Matt znieruchomiał i zapatrzył się na brata. Po chwili odwrócił się i podniósł słuchawkę stojącego w kuchni telefonu. Wybrał numer komórki Marshy.

Marsha miała włączoną identyfikację dzwoniącego i odezwała się od razu.

- Matt? Właśnie miałam do ciebie dzwonić.
- Cześć.
- Jesteś w domu?
- Jestem. A chłopcy są wykapani i w łózkach.
- Och, wspaniały jesteś.
- Dziękuję.
- Nie, to ja ci dziękuję. Przez chwilę oboje milczeli.
- Chcesz, żebym został dłużej?
- Jeśli możesz.
- Żaden problem. Olivia wciąż jest w Bostonie.
- Dziękuję – powiedziała i wyczuł coś w jej głosie. Przycisnął słuchawkę do drugiego ucha.
- Hm, jak sądzisz, o której...
- Matt?
- Tak?
- Okłamałam cię. Nic nie powiedział.
- Nie mam wywiadówki. Czekał.
- Jestem na randce.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Matt uciekł się, do bezpiecznego „och”.

- Powinnaś powiedzieć ci wcześniej. – Zniżyła głos. – I to nie jest nasza pierwsza randka.

Odnalazł wzrokiem fotografie brata na lodówce.

- Uhm.
- Spotykam się z kimś. Już prawie dwa miesiące. Oczywiście chłopcy nic o tym nie wiedzą.
- Nie musisz mi się tłumaczyć.
- Owszem, Matt. Muszę. Milczał.
- Matt?
- Jestem tu.
- Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zostać na noc? Zamknął oczy.
- Nie – powiedział.
- Wrócę do domu, zanim chłopcy się zbudzą.
- W porządku.

Potem usłyszał szloch. Płakała.

- W porządku, Marsha.
- Naprawdę?
- Tak – rzekł. – Zobaczymy się rano.
- Kocham cię, Matt.

– Ja też cię kocham.

Odłożył słuchawkę. To dobrze, że Marsha kogoś ma. Bardzo dobrze. Jednak znów spojrzął na zdjęcie brata. Chociaż nie powinien, Matt mimo wszystko pomyślał, że Bernie nigdy nie wydawał się bardziej nieżywy.

11

Chyba każdy ma czasem ten okropny sen: nagle ma zdawać końcowy egzamin z zajęć, na które nie chodził przez cały semestr. Matt nie. Zamiast tego, w dziwnie podobny sposób, śniło mu się, że znowu jest w więzieniu i nie ma pojęcia, za co tam trafił. Nie pamiętał żadnego przestępstwa ani procesu, tylko czuł, że w czymś zawinił i tym razem nigdy nie wyjdzie na wolność.

Budził się zalany potem. Miał łzy w oczach. Dygotał.

Olivia przyzwyczała się do tego. Obejmowała go i szeptała, że wszystko w porządku, że już nikt go nie skrzywdzi. Jego śliczna żona również miewała złe sny, ale wydawało się, że nie chce i nie potrzebuje tego rodzaju pociechy.

Położył się na kanapie w salonie. W pokoju gościnnym na piętrze było składane łóżko, które wydawało mu się dziwnie duże, kiedy spał w nim sam. Teraz, patrząc w ciemność, czując się tak samotny, jak nie czuł się do chwili, gdy Olivia weszła do jego gabinetu, Matt po prostu bał się zasnąć. Leżał z szeroko otwartymi oczami. O czwartej rano na podjazd wjechał samochód Marshy.

Kiedy Matt usłyszał zgrzyt klucza w zamku, zamknął oczy i udawał, że śpi. Marsha podeszła do niego na palcach i pocałowała go w czoło. Wokół niej unosił się zapach szamponu i mydła. Gdziekolwiek była, wzięła prysznic. Zadał sobie pytanie, czy brała prysznic sama. Zastanawiał się, dlaczego go to interesuje.

Poszła do kuchni. Wciąż udając, że śpi, Matt powoli otworzył jedno oko. Marsha szykowała śniadanie dla chłopców. Z wprawą smarowała chleb dżemem. Policzki miała mokre od łez Matt leżał nieruchomo. Zaczekał, aż skończy, i słuchał jej cichych kroków, gdy szła po schodach na górę.

O siódmej rano zadzwoniła do niego Cingle.

– Próbowałam dzwonić pod twój domowy numer – powiedziała. – Nie było cię.

– Jestem u szwagierki.

– Och.

– Tylko pilnowałem dzieci.

– Czy ja o coś pytałam? Potarł twarz.

– No, co się dzieje?

– Będziesz w biurze?

– Tak, trochę później. Dlaczego pytasz?

– Znalazłam tego, który cię śledził. Charlesa Talleya. Usiadł.

– Gdzie?

– Porozmawiamy o tym, jak się zobaczymy, dobrze?

- Dlaczego?
- Muszę jeszcze coś sprawdzić.
- Co?
- Charlesa Talleya. Spotkamy się w twoim biurze w południe, w porządku?
I tak miał dziś to czwartkowe spotkanie w muzeum.
- Tak, w porządku.
- I wiesz co, Matt?
- Co?
- Mówiłeś, że to sprawa osobista? Cokolwiek to jest, z tym Talleyem?
- Tak.
- No to siedzisz po uszy w gównie.

Matt był członkiem Towarzystwa Muzealnego. Machnął swoją kartą członkowską, chociaż nie było takiej potrzeby. Strażnicy przy drzwiach już dobrze go znali. Skinął im głową i wszedł. Tak wczesnym rankiem w muzeum było niewielu jadających. Matt skierował się do galerii w zachodnim skrzydle. Minął najnowszy nabytek muzeum, kolorowe płótno Wosene Worke Kosrofa, po czym skierował kroki na drugie piętro.

Tam była tylko ona.

Widział ją już z drugiego końca korytarza. Stała tam, gdzie zawsze – przed obrazem Edwarda Hoppera. Głowę lekko przechyliła w lewo. Była atrakcyjną kobietą, zbliżającą się do sześćdziesiątki, bardzo wysoką, o wydatnych kościach policzkowych i tego rodzaju blond włosów, jakie wydają się mieć tylko bogate kobiety. Jak zwykle była elegancka, wymuskana i zadbana.

Nazywała się Sonya McGrath. Była matką Stephena McGratha, tego chłopca, którego zabił Matt.

Sonya zawsze czekała przy płótnie Hoppera. Było zatytułowane Sheridan Theater i w tym wyobrażeniu kina malarz zdołał zawrzeć ogrom smutku i rozpacz. Zdumiewające. Wisiły tu inne słynne dzieła, ukazujące okropności wojny, śmierć i zniszczenia, lecz w tym pozornie prostym obrazie, przedstawiającym prawie pustą lożę było coś, co przemawiało do nich obojga z wyjątkową mocą.

Sonya McGrath słyszała jego kroki, ale nie odwróciła się. Matt minął Stana, strażnika, który zawsze pilnował tego piętra w czwartkowe poranki. Wymienili uśmiechy i ukłony. Matt zastanawiał się, co Stan myśli o jego cichych schadzkach z tą atrakcyjną starszą panią.

Stanął obok niej i spojrzał na Hoppera. Jakby spojrzał w krzywe zwierciadło. Ujrzał w nim dwie samotne postacie – siebie jako odzwierne i ją jako patronkę Hoppera. Przez długą chwilę milczeli. Matt zerknął na profil Soni McGrath. Kiedyś widział jej zdjęcie w niedzielnym wydaniu „New York Timesa”, w dziale poświęconym modzie. Sonya McGrath była znaną osobą. Na

tamtym zdjęciu uśmiechała się olśniewająco. Nigdy nie widział, żeby tak się śmiała. Prawdę mówiąc, zastanawiał się, czy ten uśmiech nie istniał tylko na tej fotografii.

– Nie wyglądasz najlepiej – powiedziała Sonya.

Nie patrzyła na niego i miał wrażenie, że nawet nie zerknęła w jego stronę, ale skinął głową. Sonya odwróciła się do niego, ich znajomość – chociaż słowo „znajomość” nie oddawało w pełni istoty łączącej ich więzi – rozpoczęła się kilka lat po wyjściu Matta z więzienia. Dzwonił jego telefon, on odbierał i nikt się nie odzywał. Żadnego trzasku odkładanej słuchawki. Ani słowa. Matt miał wrażenie, że słyszy czyjś oddech, ale przeważnie była tylko głucha cisza.

W jakiś dziwny sposób wiedział, kto dzwoni.

Za piątym razem Matt dopiero po kilku głębokich oddechach zdobył się na odwagę.

– Przykro mi – rzekł.

Odpowiedziała mu długa cisza. Potem Sonya się odezwała:

– Niech mi pan wyjaśni, co naprawdę się stało.

– Wyjaśniłem. W sądzie.

– Niech pan powie jeszcze raz. Wszystko. Spróbował. Zajęło mu to sporo czasu. Ona milczała. Kiedy skończył, odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia zadzwoniła znowu.

– Chcę panu opowiedzieć o moim synu – zaczęła bez żadnych wstępów.

I zrobiła to.

Matt teraz wiedział o Stephenie McGrathu więcej, niżby chciał. Ten nie był już dla niego tylko chłopakiem, który wmieszał się do bójki, kłoda, która upadła na szyny i wykoleiła pociąg życia Matta Huntera. McGrath miał dwie młodsze siostry które go uwielbiały. Lubił grać na gitarze. Miał hippisowskie ciagoty – odziedziczył je, powiedziała z nikłym uśmiechem Sonya – po niej. Umiał słuchać, tak zawsze mówili jego przyjaciele. Jeśli mieli jakiś problem, szli do Stephena. Nigdy nie lubił być ośrodkiem zainteresowania. Wolał trzymać się w cieniu. Śmiać się z czyichś dowcipów. Tylko raz w życiu wpakował się w tarapaty, gdy policjant przyłapał go, jak z kilkoma kolegami pił na tyłach szkoły, ale nigdy się nie bił, nawet jako mały chłopiec. Jakby śmiertelnie się bał wszelkiej przemocy.

Podczas tej samej rozmowy telefonicznej Sonya go zapytała – Czy pan wie, że Stephen nie znał żadnego z tych chłopców, którzy byli świadkami bójki?

– Wiem.

Wtedy zaczęła płakać.

– To dlaczego się wtrącił?

– Nie mam pojęcia.

Po raz pierwszy spotkali się tutaj, w muzeum, przed trzema laty. Wypili kawę, prawie nie rozmawiając. Po kilku miesiącach zostali na lunch. Zaczęli spotykać się w każdy czwartkowy

ranek przed obrazem Hoppera. Oboje nie opuścili żadnego z tych spotkań.

Z początku nie mówili o nich nikomu. Mąż i córki Soni nigdy by tego nie zrozumieli. Oczywiście, oni oboje też tego nie pojmowali. Matt nie umiałby wyjaśnić, dlaczego te spotkania były dla niego takie ważne. Większość ludzi założyłaby, że robił to z poczucia winy, dla niej, szukając odkupienia lub czegoś podobnego. Jednak wcale tak nie było.

Przez dwie godziny – ponieważ tyle trwało każde ich spotkanie – Matt czuł się dziwnie wolny, ponieważ czuł ból i żal. Nie wiedział, co ona czuje, ale zakładał, że coś podobnego. Rozmawiali o tamtej nocy. Rozmawiali o swoim życiu. Rozmawiali o ostrożnych krokach, o wrażeniu, że ziemia może w każdej chwili rozstąpić się pod nogami. Sonya nigdy nie powiedziała „przebaczam ci”. Nigdy nie powiedziała, że to nie jego wina, że to był wypadek i Matt odsiedział już swoje.

Teraz ruszyła korytarzem. Matt jeszcze przez chwilę spoglądał na obraz, po czym poszedł za nią. Zeszli po schodach do atrium. Wzięli kawę i usiedli przy tym stoliku co zawsze.

– A więc – zaczęła – powiedz mi, co się dzieje.

Nie była to z jej strony uprzejmość czy chęć przełamania lodów. Ani zdawkowe zdanie mające rozpocząć rozmowę. Matt opowiedział jej o wszystkim. Powiedział Soni McGrath o tym, o czym nie mówiłby nikomu innemu. Nigdy jej nie skłamał, niczego nie przekręcał ani nie ubarwiał.

Kiedy skończył, zapytała:

– Myślisz, że Olivia ma romans?

– Fakty zdają się na to wskazywać.

– Tylko że...?

– Tylko że nauczyłem się, iż fakty rzadko tworzą pełny obraz.

Sonya pokiwała głową.

– Powinieneś zadzwonić do niej jeszcze raz.

– Zrobiłem to.

– Nie było jej?

– Nie zameldowała się w hotelu.

– W Bostonie są dwa hotele Ritz-Carlton.

– Sprawdziłem w obu.

– Aha. – Usiadła wygodniej i podparła brodę dłonią. – Zatem wiesz, że tak czy inaczej Olivia nie mówiła prawdy.

– Tak.

Sonya zastanowiła się. Nie znała Olivii, ale o małżeństwie Matta wiedziała więcej niż ktokolwiek. Odwróciła wzrok.

– Co? – spytał.

– Ja tylko próbuję znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie jej zachowania.

– I?

– Na razie nie znalazłam żadnego. – Wzruszyła ramionami i upiła łyk kawy. – Zawsze uważałam wasz związek za niezwykle.

– Dlaczego?

– Takie płomienne uczucie dziesięć lat po jednej schadzce.

– To nie była schadzka. Nie spaliśmy ze sobą.

– Może właśnie dlatego.

– Nie rozumiem.

– Gdybyście przespali się ze sobą, może czar by prysnął. Ludzie twierdzą, że seks jest najbardziej intymną czynnością ze wszystkich. W rzeczywistości jest wprost przeciwnie.

Czekał.

– Cóż, to dziwny zbieg okoliczności – powiedziała.

– Co?

– Clark też ma romans.

Matt nie spytał, czy jest tego pewna ani skąd o tym wie.

– Bardzo mi przykro.

– Wcale tak nie myślisz. Nic nie powiedział.

– To nie ma nic wspólnego z tym, co przydarzyło się naszemu synowi.

Matt próbował kiwnąć głową.

– Lubimy składać wszystkie nasze problemy na karb śmierci Stephena. Stał się dla nas przykładem niesprawiedliwości tego świata. Jednak powód romansu Clarka jest o wiele bardziej prozaiczny.

– Jaki?

– Mój mąż jest napalony. Uśmiechnęła się. Matt próbował zrobić to samo. – Och, czy wspomniałam, że ona jest młoda? Ta dziewczyna, z którą sypia Clark?

– Nie.

– Ma trzydzieści dwa lata. Mamy córkę w tym wieku.

– Przykro mi – powtórzył Matt.

– Niepotrzebnie. To jest nierozdzielnie związane z tym, o czym mówiliśmy wcześniej. Z intymnością i seksem.

– Jak to?

– Prawdę mówiąc, jak większość kobiet w moim wieku niezbyt interesuje mnie seks. Tak, wiem, że „Cosmopolitan” i tym podobne gazety twierdzą coś innego, te rozmaite bzdury o tym, że mężczyźni osiągają szczyt swoich możliwości w wieku dziewiętnastu lat, a kobiety po trzydziestce. Jednak w rzeczywistości mężczyźni zawsze są bardziej napaleni. Kropka. Dla mnie

seks nie ma już nic wspólnego z intymnością. Natomiast Clark go potrzebuje. Oto do czego potrzebna mu ta młoda dziewczyna. Do seksu. Zaspokojenia cielesnych potrzeb.

– I to cię nie martwi?

– Tu nie chodzi o mnie. Matt się nie odezwał.

– Kiedy się nad tym zastanowić, to proste: Clark potrzebuje czegoś, co mnie nie interesuje i czego nie mogę mu dać. Tak więc szuka tego gdzie indziej. – Sonya zauważyła wyraz jego twarzy. Westchnęła i położyła dłonie na udach. – Pozwól, że podam ci przykład. Gdyby Clark, na przykład, uwielbiał grać w pokera, a ja nie chciałabym grać...

– Daj spokój, Sonyu. To nie to samo.

– Och, na pewno?

– Seks i poker?

– No dobrze, więc trzymajmy się zaspokojenia cielesnych potrzeb. Profesjonalny masaż. Clark co tydzień idzie w swoim klubie do Gary'ego, masażysty...

– To również nie to samo.

– Nie rozumiesz? To jest to samo. Seks z tą dziewczyną to nie jest intymne doznanie. Czysto fizyczne. Jak masaż pleców albo uścisk dłoni. Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu.

Sonya spoglądała na niego i czekała.

– Ja nie umiałbym tak tego traktować – powiedział Matt Uśmiechnęła się. Sonya uwielbiała takie słowne pojedynki. Lubiła wyzwania. Zastanawiał się, czy naprawdę tak myślała czy też tylko chciała sprawdzić, jak Matt zareaguje.

– Co więc zamierzasz zrobić? – zapytała.

– Olivia jutro wraca do domu.

– Sądzisz, że wytrzymasz do jej powrotu?

– Spróbuję.

Nie spuszczała z niego wzroku.

– Co takiego? – spytał.

– Nie możemy uciec, prawda? Myślałam... – Urwała.

– Co myślałaś?

Ich spojrzenia się spotkały.

– Wiem, że to okropnie wyświechtany zwrot, ale miałam wrażenie, że to zły sen. Ta wiadomość o Stephenie. Proces. Wciąż myślałam, że zaraz się zbudzę i przekonam, że to wszystko to jakiś okrutny żart, że wszystko będzie dobrze.

On czuł się tak samo. Utknął w sennym koszmarze, czekając, aż ktoś krzyknie: „Jesteś w ukrytej kamerze!”, i Stephen pojawi się cały i zdrowy.

– Teraz jednak już czujemy coś wręcz przeciwnego prawda, Matt?

Kiwnął głową.

– Zamiast wierzyć, że to tylko koszmar, z którego zaraz się zbudzisz – ciągnęła – myślisz, że snem jest wszystko to, co dobre. I właśnie tak było z tym twoim wideotelefonem. Wyrwał cię z miłego snu.

Matt nie mógł nic na to odpowiedzieć.

– Wiem, że nigdy nie pogodzę się z tym, co się stało – rzekła Sonya McGrath. – To po prostu niemożliwe. Jednak myślałam... miałam nadzieję, że może ty zdołasz.

Matt spodziewał się, że coś doda, ale nie zrobiła tego. Nagle wstała, jakby powiedziała za dużo. Razem poszli w kierunku wyjścia. Sonya pocałowała go w policzek, a kiedy się uścisnęli, przytrzymała go odrobinę dłużej niż zwykle. Jak zawsze wyczuwał otaczającą ją aurę kłęski. Śmierć Stephena była tam w każdej chwili, w każdym geście. Siedziała z nimi przy stoliku, nieodłączna towarzyszka.

– Gdybyś mnie potrzebował – szepnęła – zadzwoń. O każdej porze.

– Zrobię to.

Patrzył, jak odchodziła. Myślał o tym, co powiedziała, o tej cienkiej linii oddzielającej przyjemne sny od koszmarów, a potem, kiedy w końcu znikła za rogiem, odwrócił się.

12

Matt podszedł do biurka Rolandy.

– Cingle czeka w twoim gabinecie – poinformowała go – Dzięki.

– Kawuś chciał, żebym zawiadomiła go, jak tylko przyjdiesz. – Rolanda podniosła głowę. –

Już przyszedłeś?

– Daj mi pięć minut.

Znów skupiła wzrok na terminalu komputerowym i zaczęła stukać w klawiaturę. Matt wszedł. Cingle Shaker stała i spoglądała przez okno.

– Ładny widok – powiedziała.

– Tak uważasz?

– Nie. Chciałam tylko rozpocząć luźną pogawędkę.

– Nieźle ci idzie.

– Myślałam, że jesteś tylko doradcą.

– Jestem.

– To skąd taki fajny gabinet?

– Urzędował tu mój brat.

– I co z tego?

– Bernie był kurą znoszącą złote jajka.

– I co z tego? – Cingle odwróciła się do niego. – Nie chcę być nieuprzejma, ale on nie żyje.

– Chyba byłaś dla siebie niesprawiedliwa. Naprawdę jesteś niezła w luźnych pogawędkach.

– No nie, chciałam powiedzieć, że przecież on nie żyje już chyba od trzech lat. Nie wierzę, że pozwolili zatrzymać ten o gabinet byłemu więźniowi, zatrudnionemu jako doradca. Matt uśmiechnął się.

– Wiem, co chciałaś powiedzieć.

– No to czemu?

– Może przez szacunek dla mojego zmarłego brata..– Prawnicy? – Cingle skrzywiła się. – Daj spokój. – Prawdę mówiąc, odnoszę wrażenie, że podoba im się to, że tu jestem.

– Ponieważ taki miły z ciebie facet? – Ponieważ jestem byłym więźniem. Dziwolągiem. Cingle pokiwała głową.

– Coś jak para lesbijek na wieczorku sztywniaków.

– Kimś w tym rodzaju, tylko jeszcze dziwniejszym. To zabawne. Pod pewnymi względami budzę niesamowite zainteresowanie. Kiedy się upiją, wszyscy mnie pytają, jak to jest, kiedy jeden z nich idzie... – Nakreślił w powietrzu cudzysłów. – Do kicia.

– Jesteś lokalną ciekawostką.

– W pewien dziwny sposób, owszem.

– I dlatego nie wyrzucili cię z tego gabinetu? Wzruszył ramionami.

– Może trochę się ciebie boją – zasugerowała. – Już zabiłeś jednego człowieka gołymi rękami. Westchnął i usiadł na swoim fotelu. Cingle zajęła drugi.

– Przepraszam – powiedziała. Zbył to machnięciem ręki.

– No, co masz?

Cingle skrzyżowała długie nogi. Wiedział, że zrobiła to dla efektu, ale zastanawiał się, czy świadomie.

– Powiedz mi – zaczęła. – Dlaczego chciałeś ustalić, kto jest właścicielem samochodu o takiej rejestracji? Rozłożył ręce.

– Czy naprawdę musimy znowu definiować znaczenie zwrotu „sprawa osobista”?

– Tylko jeśli chcesz się dowiedzieć tego, co wiem.

– Teraz zajmujesz się szantażem?

Widział jednak, że Cingle nie żartuje.

– Myślę, że mnie śledził – Dlaczego tak uważasz?

– A jak sądzisz? Byłem w kilku miejscach i jego samochód też tam był.

– I przypadkiem go zauważyłeś?

– Miał rejestrację podobną do moich inicjałów.

– Słucham?

Matt wyjaśnił jej, że litery rejestracji były podobne do jego inicjałów, i opowiedział, jak samochód szybko odjechał, kiedy próbował do niego podejść. Cingle słuchała, nie przerywając.

Kiedy skończył, zapytała:

– Dlaczego Charles Talley cię śledził?

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę?

Nie powtarzał. Zbyt dobrze wiedział, co oznaczają zbyt gorące protesty. Milczenie w tym wypadku było najlepszą odpowiedzią.

– Talley był notowany.

Matt miał ochotę powiedzieć, „ja też”, ale powstrzymał się. Obecność w policyjnych kartotekach – z adnotacją godną uwagi Cingle – miała pewne znaczenie. Przypadek Matta był wyjątkiem potwierdzającym regułę. Matt nie chciał myśleć w ten sposób – bo czyż Lance Banner nie kierował się właśnie takimi uprzedzeniami? – ale trzeba być bardzo zdesperowanym, żeby spierać się z rzeczywistością.

– Za napad – wyjaśniła Cingle. – Z użyciem kastetu. Nie zatłukł ofiary, ale spowodował takie obrażenia czaszki, że postąpiłby litościwiej, gdyby ją zabił.

Matt zastanowił się, próbując jakoś dopasować te informacje do innych.

– Ile dostał?

– Osiem lat.

– Dużo.

– Miał już wcześniej na koncie przestępstwa. I nie należał do wzorowych więźniów.

Matt usiłował jakoś poukładać fakty. Dlaczego ktoś taki miałby go śledzić?

– Chcesz zobaczyć, jak on wygląda? – zapytała Cingle.

– Masz jego zdjęcie?

– Policyjne, owszem.

Cingle miała na sobie niebieski blezer i džinsy. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjęła fotografie i sprawiła, że świat Matta znów zadrżał w posadach.

– Jak, do licha...?

Wiedział, że ona mu się przygląda, sprawdzając jego reakcję, ale nie mógł się opanować. Ujrzał dwa policyjne klasyczne ujęcia od przodu oraz z profilu i o mało nie jęknął z wrażenia. Ścisnął palcami biurko. Miał wrażenie, że spada.

– A więc poznałeś go – zauważyła Cingle.

Pewnie. Ten szyderczy uśmiezek. Te same kruczoczarne włosy.

Charles Talley był mężczyzną z filmu przesłanego przez wideotelefon.

13

Loren Muse znalazła się w wehikule czasu.

Wizyta w St Margarefs, jej dawnej szkole średniej, budziła typowe w takich sytuacjach myśli: korytarze wydawały się węższe, sklepienia niższe, szafki mniejsze, nauczyciele mniejsi. Jednak inne rzeczy, te naprawdę ważne, niewiele się zmieniły. Wkraczając w szkolne mury, Loren przeszła przez wrota czasu. Poczła w brzuchu znajome mrowienie, nieustanne poczucie zagrożenia, potrzebę aprobaty, a jednocześnie buntu.

Zapukała do drzwi matki Katherine.

– Wejść.

W gabinecie siedziała jakaś młoda dziewczyna. Miała na sobie taki sam szkolny strój, jaki Loren nosiła przed laty: białą bluzkę i kraciastą spódnicę. Boże, jakże nienawidziła tego stroju. Dziewczyna miała opuszczoną głowę, najwyraźniej dopiero co została skarcona przez matkę Katherine. Pasemka włosów zasłaniały jej twarz niczym zasłona z koralików.

– Możesz już wyjść, Carla.

Carla opuściła gabinet zgarbiona i ze wzrokiem wbitym w podłogę. Loren pokiwała jej głową, kiedy dziewczyna ją mijała, jakby mówiąc: „Rozumiem cię, siostrze”. Carla nie napotkała jej spojrzenia. Zamknęła za sobą drzwi.

Matka Katherine obserwowała to z lekkim rozbawieniem, a zarazem przygnębieniem, jakby czytała w myślach Loren.

Na biurku leżał stosik bransoletek, każda w innym kolorze. Kiedy Loren wskazała na nie palcem, z twarzy matki przełożonej zniknęło rozbawienie. – To bransoletki Carli? – zapytała Loren.

– Tak.

Nieprzepisowy strój, pomyślała Loren, powstrzymując nagłą chęć pokręcenia głową. Ludzie, ta szkoła nigdy się nie zmieni. – Nie słyszałaś o tym? – zapytała matka Katherine.

– O czym nie słyszałam?

– O grze... – nabrała tchu – w bransoletkę.

Loren wzruszyła ramionami.

Matka Katherine zamknęła oczy.

– To ostatnia... zdaje się, że nazywają to modą.

– Hm.

– Te bransoletki... Nawet nie wiem, jak to powiedzieć... Ich różne kolory oznaczają rozmaite akty seksualne. Na przykład czarna ma oznaczać... hmm... jeden. A czerwona...

Loren wybawiła ją, unosząc dłoń.

– Chyba rozumiem. Dziewczyny noszą je jako... nie wiem, oznakę swoich osiągnięć?

– Gorzej. Loren czekała.

– Nie przyszedł tu, żeby tego słuchać.

– Mimo to proszę mi powiedzieć.

– Takie dziewczęta jak Carla noszą te bransoletki przy chłopcach. Jeśli chłopcu uda się ściągnąć bransoletkę z ręki dziewczyny, ona musi... no cóż, zrobić to, co symbolizuje kolor tej bransoletki.

– Proszę mi powiedzieć, że to żart.

Matka Katherine obrzuciła ją posępnym spojrzeniem.

– Ile lat ma Carla? – zapytała Loren.

– Szesnaście. – Matka Katherine wskazała na inny zestaw bransoletek, jakby bała się ich dotknąć. – Jednak te zabrałam ósmoklasistce.

To trudno było skomentować.

Matka Katherine sięgnęła do szafki.

– Oto wykaz rozmów telefonicznych, o który prosiłaś. W budynku wciąż unosił się zapach kredy, zawsze kojarzący się Loren z pewną naiwnością okresu dojrzewania. Matka Katherine wręczyła jej plik kartek.

– Jest nas osiemnaście i mamy trzy telefony – wyjaśniła matka Katherine.

– Zatem po sześć na jedną. Matka Katherine uśmiechnęła się.

– A mówią, że nie umiemy uczyć matematyki.

Loren spjrzała na ukrzyżowanego Chrystusa na ścianie, wiszącego nad matką przełożoną. Przypomniała sobie stary kawał, który słyszała, kiedy zaczęła chodzić do tej szkoły. Chłopiec dostaje z matematyki same dwójki i jedynki, więc rodzice posyłają go do katolickiej szkoły. Kiedy otrzymują jego pierwszy wykaz ocen, ze zdumieniem widzą, że syn ma same piątki. Pytają go, jak to możliwe, na co on mówi: „No cóż, kiedy wszedłem do kaplicy i zobaczyłem tego faceta przybitego do plusa, wiedziałem, że nie żartuję”.

Matka Katherine odkaszlnęła.

– Mogę o coś spytać?

– Niech pani strzela.

– Czy wiadomo, jak umarła siostra Mary Rosę?

– Jeszcze nie skończyli analiz. Matka Katherine czekała.

– Tylko tyle mogę teraz powiedzieć.

– Rozumiem.

Teraz Loren czekała. Matka Katherine odwróciła się do niej plecami.

– Pani wie więcej, niż nam powiedziała – rzekła Loren – O?

– O siostrze Mary Rosę. O tym, co się z nią stało.

– Czy wiecie już, jak naprawdę się nazywała?

– Nie. Jednak się dowiemy. Założę się, że jeszcze dziś. Matka Katherine wyprostowała się.

– To byłby dobry początek.

– Nic więcej nie ma mi pani do powiedzenia?

– Właśnie, Loren.

Loren odczekała chwilkę. Ta stara kobieta... Kłamała, to zbyt mocne słowo. Jednak Loren wyczuwała, że przełożona nie mówi całej prawdy.

– Przejrzała pani ten wykaz rozmów?

– Tak. I kazałam przejrzeć go tym pięciu siostram, które wspólnie z nią korzystały z tego telefonu. Większość to połączenia z członkami rodzin. Dzwoniły do rodzeństwa, rodziców, czasem do przyjaciół. Kilka rozmów z miejscowymi dostawcami. Czasem zamawiały pizzę. Albo chińszczyznę.

– Myślałam, że zakonnice jedzą... hmm... klasztorne jedzenie.

– Źle myślałaś.

– W porządku – rzekła Loren. – Jakies numery rzucające się w oczy?

– Tylko jeden.

Matka Katherine miała okulary do czytania zawieszane na łańcuszku. Założyła je na nos i skinęła ręką. Loren oddała jej wykaz rozmów. Przełożona przejrzała pierwszą stronę, pośliniła palec i przewróciła kartkę. Wzięła pióro i zakreśliła coś.

– Tutaj.

Oddała wykaz Loren. Numer był poprzedzony kierunkowym 973. To w New Jersey, niecałe pięćdziesiąt kilometrów od szkoły. Rozmowa odbyła się przed trzema tygodniami. Trwała sześć minut.

Zapewne bez znaczenia.

Loren zauważyła komputer stojący na kredensie za plecami matki Katherine. Dziwnie było wyobrazić sobie matkę przełożoną surfującą po sieci, ale wyglądało na to, że świat i tu nie stał w miejscu.

– Mogę skorzystać z tego komputera? – zapytała Loren.

– Oczywiście.

Loren spróbowała po prostu wpisać ten numer do wyszukiwarki Google. Nic.

– Sprawdzasz ten numer? – chciała wiedzieć matka Katherine.

– Tak.

– Według linku z witryny internetowej Yerizon to numer zarezerwowany.

Loren spojrzała na nią ze zdziwieniem. – Już pani próbowała?

– Sprawdziłam wszystkie numery.

– Rozumiem – powiedziała Loren.

– Tylko żeby się upewnić, że niczego nie przeoczono.

- To bardzo zapobiegliwie z pani strony. Matka Katherine sztywno skinęła głową.
- Zakładam, że masz swoje sposoby sprawdzania takich zastrzeżonych numerów.
- Mam.
- Czy chciałabyś teraz zobaczyć kwaterę siostry Mary Rose?
- Tak.

Pokój wyglądał tak, jak oczekiwała – mały, spartański, o białych cementowych ścianach, z dużym krzyżem wiszącym nad łóżkiem i jednym oknem. Typowa cela. Miał w sobie tyle ciepła i indywidualności co pokój w motelu. Nie dostrzegła w nim niemal żadnych osobistych akcentów, niczego, co mówiłoby coś o lokatorce, jakby właśnie do tego dążyła siostra Mary Rose.

– Technicy z biura kryminalistyki będą tu za jakąś godzinę – powiedziała Loren. – Muszą sprawdzić odciski palców, poszukać włosów, tego rodzaju rzeczy.

Matka Katherine powoli podniosła dłoń do ust.

– Zatem uważacie, że siostra Mary Rose została...?

– Proszę nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków, dobrze?

Jej komórka zagrała melodyjkę. Loren odebrała telefon. Dzwonił Eldon Teak.

– Hej, słodziutka, wpadniesz dzisiaj? – zapytał.

– Za godzinę – odparła. – Masz coś?

– Znalazłem aktualnego właściciela naszej firmy produkującej silikonowe implanty. SurgiCo jest teraz częścią Lockwood Corporation.

– Tej wielkiej z Wilmington?

– Gdzieś w Delaware, owszem.

– Dzwoniłeś do nich?

– Tak.

– I co?

– I niezbyt dobrze mi poszło.

– Jak to?

– Powiedziałem im, że mamy zwłoki oraz numer seryjny implantu piersi i musimy zidentyfikować ciało.

– I?

– Nie chcą udzielić żadnych informacji.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Kręcili i bardzo często używali sformułowania „tajemnica lekarska”.

– Co za gó... – Matka Katherine wydeła wargi. Loren ugryzła się w język. – Zdobędę nakaz.

– To duża firma.

– Nie będą się stawiać. Chcą się tylko zabezpieczyć.

– Jednak to potrwa.

Zastanowiła się. Eldon miał rację. Lockwood Corporation miała siedzibę w innym stanie. Zapewne potrzebowałyby nakazu podpisanego przez sędziego sądu federalnego.

– Jest jeszcze coś – rzekł Eldon.

– Co?

– Z początku wydawało się, że nie będzie z tym problemu. Zadzwoiłem, pogadałem z kimś, kto miał sprawdzić dla mnie ten numer. Nie mówię, że to rutynowe czynności, ale nie powinno być z tym żadnych kłopotów.

– Ale?

– Ale nagle oddzwonił do mnie jakiś prawnik o ważniackim nazwisku i bardzo stanowczo odmówił. Loren zaczęła się zastanawiać.

– Wilmington jest, zaczekaj, dwie godziny jazdy stąd?

– Tak jak ty jeździsz, to może piętnaście minut.

– Zastanawiam się, czy nie sprawdzić tej teorii. Pamiętasz nazwisko tego ważniaka?

– Mam je gdzieś zapisane. Zaczekaj, tak, to Randal Horne z kancelarii Horne, Buckman i Pierce.

– Zadzwoń do pana Horne'a. Powiedz mu, że jadę, aby wepchnąć mu nakaz w tyłek.

– Nie masz nakazu.

– Ty o tym nie wiesz.

– Och, racja.

Rozłączyła się i wybrała inny numer. Odebrała kobieta.

– Chcę sprawdzić zastrzeżony numer – powiedziała Loren.

– Proszę nazwisko i numer odznaki.

Loren podała. Potem odczytała głośno zastrzeżony numer pod który dzwoniła siostra Mary Rosę.

– Proszę zaczekać – powiedziała kobieta.

Matka Katherine udawała zajęta. Spoglądała w górę, a potem przed siebie. Bawiła się różańcem. Loren słyszała w słuchawce stukanie klawiatury.

– Ma pani długopis? – odezwał się głos w słuchawce. Loren wyjęła z kieszeni gruby ołówek. Wzięła kwit ze stacji benzynowej i odwróciła go.

– Proszę mówić.

– Numer, o który pani chodzi należy do Marshy Hunter, mieszkającej przy Darby Terrace trzydzieści osiem, Livingston w New Jersey.

– Matt?

Spoglądał na policyjne zdjęcia Charlesa Talleya. Ten sam przekłety cwany uśmiech, który widział na filmie przysłanym przez komórkę. Matt znów miał wrażenie, że spada, ale wziął się w garść.

– Znasz go, prawda? – zapytała Cingle.

– Chcę, żebyś wyświadczyła mi przysługę – rzekł.

– Nie wyświadczam przysług. To moja praca. Wystawię ci za to rachunek, o czym dobrze wiesz.

– Jeszcze lepiej. – Spojrzał na Cingle. – Chcę żebyś dowiedziała się dla mnie wszystkiego o tym Charlesie Talleyu. Wszystkiego.

– A czego mam szukać?

Dobre pytanie. Matt zastanawiał się, jak to rozegrać.

– Po prostu mi powiedz – zaproponowała Cingle.

Matt wyjął telefon komórkowy. Zawahał się, ale cóż, jaki sens nadal to ukrywać? Otworzył klapkę, nacisnął klawisz włączający funkcję kamery, a potem ten z czarną strzałką, aż pojawiło się zdjęcie Charlesa Talleya w pokoju hotelowym. To był ten sam człowiek, bez cienia wątpliwości. Przez moment patrzył na zdjęcie.

– Matt?

Zaczął powoli mówić, dobierając słowa.

– Wczoraj odebrałem wiadomość z wideotelefonu Olivii. – Podał jej komórkę. – Właśnie tę.

Cingle sięgnęła po wideotelefon. Spojrzała na ekranik. Matt zobaczył, jak jej oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Przez chwilę spoglądała to na policyjne zdjęcia, to na mały wyświetlacz. W końcu popatrzyła na niego.

– Co to jest, do diabła?

– Naciśnij klawisz odtwarzania.

– Ten po prawej?

– Tak. Przejdiesz do filmu wideo, który przysłano mi zaraz po tym zdjęciu.

Cingle w głębokim skupieniu obejrzała film. Kiedy się skończył, zapytała:

– Jeśli naciśnę klawisz odtwarzania, puszcze go jeszcze raz?

– Tak.

Zrobiła to. Potem jeszcze dwukrotnie odtworzyła filmik. Kiedy skończyła, ostrożnie odłożyła telefon.

– Możesz to jakoś wyjaśnić? – zapytała.

– Nie.

Cingle zastanowiła się.

– Spotkałam Olivie zaledwie raz.

– Wiem.

– Nie potrafię stwierdzić, czy to ona.

– Myślę, że to ona.

– Myślisz?

– Prawie nie widać twarzy.

Cingle przygryzła dolną wargę. Sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej grzebać.

– Czego szukasz? – zapytał.

– Nie tylko ty radzisz sobie z nowoczesną techniką – odparła.

Wyjęła mały palmtop, niewiele większy od telefonu Matta.

– Palm pilot?

– Kieszonkowy pecet najnowszej generacji – poprawiła. Wyjęła przewód. Jeden jego koniec wetknęła do telefonu, drugi do palmtopa. – Masz coś przeciwko temu, że skopiuję to zdjęcie i film?

– Po co?

– Wezmę je do biura. Mamy różne programy, którymi można powiększyć poszczególne klatki filmu, poprawić rozdzielczość, przeprowadzić analizę.

– To ma zostać między nami.

– Rozumiem. – Po dwóch minutach materiał został skopiowany. Cingle zwróciła telefon. – Jeszcze jedno.

– Słucham.

– Dowiadując się wszystkiego o naszym przyjacielu Charlesie Talleyu, możemy nie zdobyć tego, o co nam chodzi. – Pochyliła się w stronę Matta. – Musimy nakreślić obraz sytuacji. Powinniśmy ustalić powiązanie między Talleyem a...

– Olivie – dokończył za nią.

– Tak.

– Chcesz śledzić moją żonę. Usiadła i znów założyła nogę na nogę.

– Gdyby to była typowa sprawa, zwyczajny skok w bok, zapewne nie byłoby takiej potrzeby. Chcę powiedzieć, że może po prostu się spotkali. Wpadli na siebie w barze, nie wiem. Jednak Talley cię śledzi. A ponadto przesyła zdjęcia, jakby rzucał ci je w twarz.

– Co oznacza?

– Co oznacza, że chodzi w tym o coś więcej – odparła Cingle. – Pozwól, że o coś cię spytam, i nie obrażaj się, dobrze?

– Dobrze.

Usiadła wygodniej. Każdy jej ruch, celowo czy nie, był niczym zawoalowana aluzja.

– Co naprawdę wiesz o Olivii? Mam na myśli fakty z jej życiorysu.

– Wiem o niej wszystko – skąd pochodzi, gdzie chodziła do szkoły...

– A co z rodziną?

– Matka porzuciła ją, kiedy Olivia była mała. Ojciec zmarł, kiedy miała dwadzieścia jeden lat.

– Rodzeństwo?

– Żadnego.

– Zatem ojciec wychowywał ją sam?

– Zasadniczo tak. A co? Cingle pytała dalej.

– Gdzie dorastała?

– W Northways w Wirginii. Cingle to zapisała.

– Tam poszła do college'u, zgadza się? Matt skinął głową.

– Skończyła uniwersytet.

– Co jeszcze?

– Jak to, co jeszcze? A co ma być? Przez osiem lat pracowała dla DataBetter Associates. Jej ulubiony kolor to niebieski. Ma zielone oczy. Czyta więcej, niż jakakolwiek znana mi ludzka istota. Grzeszną przyjemność sprawia jej oglądanie erotycznych filmów na Hallmarku. A ponadto powiem ci, chociaż może cię zemdlić – że kiedy rano budzę się przy niej, wiem, po prostu wiem, że nie ma szczęśliwszego człowieka na ziemi. Notujesz to?

Drzwi gabinetu otwały się gwałtownie. Oboje odwrócili się. Do środka wszedł Kawuś.

– Och, przepraszam, nie chciałem przeszkadzać.

– Nic nie szkodzi – powiedział Matt.

Kawuś spojrzął na zegarek, robiąc z tego całe przedstawienie.

– Naprawdę muszę omówić z tobą sprawę Stermana. Matt skinął głową.

– I tak miałem zaraz do ciebie zadzwonić. Obaj spojrzeli na Cingle. Wstała. Kawuś odruchowo poprawił krawat i przygładził włosy.

– Mike Kier – powiedział, wyciągając rękę.

– Taak – mruknęła Cingle, starając się nie podnieść oczu ku niebu. – Miło mi. – Spojrzała na Matta. – Porozmawiam później.

– Dziękuję.

Popatrzyła na niego sekundę dłużej niż trzeba, obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Kawuś pospiesznie zszedł jej z drogi. Kiedy wyszła, zajął jej miejsce, gwizdnął i zapytał:

– Wielkie nieba, kto to taki?

– Cingle Shaker. Pracuje dla MVD.

– Chcesz powiedzieć, że jest prywatnym łapsem? Kawuś roześmiał się ze swojego żartu. Kiedy Matt nie poszedł w jego ślady, zamaskował śmiech kaszlem i założył nogę na nogę. Siwe

włosy miał równo rozczesane na boki. Siwe włosy pomagają prawnikom – przynajmniej jeśli nie są mocno przerzedzone. Dodają im powagi w oczach sędziów przysięgłych.

Matt otworzył szufladę biurka i wyjął akta Stermana. Przez trzy godziny rozmawiali o sprawie, o przesłuchaniu wstępnym i tym, co może zaproponować im prokurator. Prawie skończyli, gdy zadzwonił telefon Matta. Matt spojrzął na numer dzwoniącego. Na wyświetlaczu widniało: „zastrzeżony”. Przyłożył telefon do ucha.

– Halo!

– Cześć – szepnął męski głos. – Zgadnij, co robię teraz z twoją żoną?

Tego dnia Loren Muse nie mogła się pozbyć uczucia déjà vu. Zaparkowała przed domem Marshy Hunter, przy Darby Terrace trzydzieści osiem w Livingston, swoim rodzinnym miasteczku. Doszła do wniosku, że dorastanie nigdy nie jest łatwe. Okres dorastania to czas działań wojennych bez względu na to, gdzie mieszkasz. Ciche miasteczka, takie jak Livingston, mają łagodzić uderzenia. Może tym, którzy mają tutaj swoje korzenie. Dla Loren było to tylko miejsce zamieszkania po tym, jak jej ojciec zdecydował, że nie czuje się związany z niczym, nawet ze swoją córką.

Livingston miało wszystkie małomiasteczkowe pułapki: duże szkoły, wspiane programy sportowe, prężny Kiwanis Club, doskonałe PTA [Parents Teachers Association – organizacja założona w 1897 roku, będąca ważnym czynnikiem w życiu społecznym, zwłaszcza w małych miastach i na przedmieściach.]. Wysoki poziom nauczania w szkole średniej. Kiedy Loren tu dorastała, wśród najlepszych uczniów przeważały dzieci pochodzenia żydowskiego. Teraz ich miejsce zajęli Azjaci i Hindusi, następne pokolenie emigrantów, nowi wygłodniali. Było to tego rodzaju miejsce. Przybywasz tu, kupujesz dom, płacisz podatki, zarażasz się wielkim amerykańskim snem. Jednak znasz to powiedzenie: uważaj ze swymi marzeniami, bo mogą się spełnić.

Zapukała do drzwi domu Marshy Hunter. Loren nie ustaliła jeszcze żadnego powiązania między tą samotną matką, co stanowi rzadkość w Livingston, a siostrą Mary Rosę – żadnego poza tą sześciominutową rozmową telefoniczną. Zapewne powinna była najpierw trochę powęszyć, sprawdzić kilka rzeczy, ale nie było na to czasu. Tak więc stała na tym frontowym ganku, w prażącym słońcu, kiedy otworzyły się drzwi.

– Marsha Hunter?

Kobieta, atrakcyjna, lecz nie olśniewająco piękna, skinęła głową.

– Tak, zgadza się. Loren pokazała odznakę.

– Inspektor Loren Muse z biura prokuratora okręgu Essex. Chciałabym zająć pani chwilę. Marsha Hunter zamrugnęła zaskoczona.

– A o co chodzi?

Loren wypróbowała swój rozbrajający uśmiech.

– Mogę wejść na chwilę?

– Och, tak. Oczywiście.

Cofnęła się. Loren weszła do domu i znów poczuła déjà vu. Te wnętrza. Równie dobrze pasowałyby do dowolnego roku pomiędzy 1964 a obecnym. Nic się nie zmieniło. Może telewizor był nowocześniejszy, dywan nie tak gruby, kolory bardziej stonowane, ale w powietrzu wciąż unosiło się to wrażenie powrotu do dawnego świata jej dzieciństwa.

Spojrzała na ściany, szukając krzyża, Madonny lub innego katolickiego symbolu, czegoś, co

mogłoby natychmiast wyjaśnić tę rozmowę telefoniczną z osobą kryjącą się pod przybranymi imionami Mary Rosę. Nic nie świadczyło, że mieszka tu ktoś wierzący. Loren zauważyła złożone prześcieradło i koc na kanapie, jakby ktoś tu niedawno spał.

W pokoju była młoda kobieta, najwyżej dwudziestoletnia, oraz dwaj mali chłopcy. Starszy nie miał więcej niż osiem lub dziewięć lat.

– Paul, Ethan – powiedziała ich matka. – To jest inspektor Muse.

Obaj dobrze wychowani chłopcy posłusznie uścisnęli dłoń Loren, a nawet nawiązali z nią kontakt wzrokowy.

– Jest pani policjantem? – zapytał mniejszy, chyba Ethan.

– Policjantką – poprawiła odruchowo Loren. – Owszem kimś w tym rodzaju. Jestem inspektorem z biura prokuratora okręgowego. To tak jakbym była policjantką.

– Ma pani broń?

– Ethanie! – skarciła go Marsha. Loren odpowiedziałaby mu i pokazałaby broń, ale wiedziała, że niektóre matki tego nie lubią. Loren to rozumiała – wszystko byle tylko uchronić „kochanie” przed przemocą – ale negowanie na dłuższą metę istnienia broni palnej jest żałośnie niewystarczającą taktyką.

– A to jest Kyra Sloan – przedstawiła Marsha Hunter. – Pomaga mi opiekować się dziećmi.

Młoda dziewczyna pomachała Loren z drugiego końca pokoju, zbierając zabawki. Loren odpowiedziała podobnym machnięciem.

– Kyra, mogłabyś na chwilę zabrać chłopców na dwór?

– Jasne. – Kyra zwróciła się do malców: – Hej, chłopaki, może zagramy w piłkę?

– Ja wybijam pierwszy!

– Nie, ty byłeś pierwszy ostatnio! Teraz moja kolej! Wyszli, wciąż spierając się o kolejność wybijania. Marsha spojrzała na Loren.

– Czy coś się stało?

– Nie, nic takiego.

– Zatem o co chodzi?

– To tylko rutynowe czynności w trakcie prowadzonego dochodzenia.

Bardzo enigmatyczne wyjaśnienie, ale Loren przekonała się już, że okazuje się niezwykle skuteczne.

– Jakiego dochodzenia?

– Pani Hunter...

– Proszę mówić mi Marsha.

– Świetnie, przepraszam. Marsha, jest pani katoliczką?

– Słucham?

– Nie chcę być wścibska. Tu nie chodzi o pani religię. Chcę tylko ustalić, czy jest pani

w jakiś sposób związana z parafią St Margaret's w East Orange.

– St Margarefs?

– Tak. Jest pani członkiem tej parafii? – Nie. Należymy do St Philomena's w Livingston.

Dlaczego pani pyta?

– Czy jest pani w jakikolwiek sposób związana z St Margarefs? – Nie. – I zaraz dodała: –

A co pani rozumie przez „związana”? Loren nie przerywała, nie chcąc wypaść z rytmu.

– Czy zna pani kogoś, kto uczęszcza do tamtejszej szkoły?

– Do St. Margarefs? Nie, nie sędzę.

– Zna pani którąś z nauczycielek w tej szkole?

– Nie przypuszczam.

– A siostrę Mary Rosę?

– Kogo?

– Czy zna pani którąś z zakonnicek z St Margarefs?

– Nie. Znam kilka z St PhiPs, ale żadnej siostry Mary Rosę.

–, Zatem to imię nic pani nie mówi?

– Zupełnie nic. A o co chodzi?

Loren nie odrywała oczu od jej twarzy, szukając legendarnego „nerwowego tiku”. Nie dostrzegła żadnego, ale to niczego nie dowodziło.

– Mieszka pani tu sama z dziećmi?

– Tak. No, Kary ma pokój nad garażem, ale ona jest z innego stanu.

– Jednak mieszka tutaj?

– Wynajmuje pokój i pomaga mi. Studiuje na Uniwersytecie Williama Patersona.

– Jest pani rozwódką?

– Wdową.

Coś w sposobie, w jaki Marsha Hunter to powiedziała, sprawiło, że kilka kawałków łamigłówek znalazło się na swoich miejscach. Absolutnie nie wszystkie. I o wiele za mało. Loren zakłęła w duchu. Powinna była sprawdzić kilka faktów.

Marsha skrzyżowała ręce na piersi.

A o co właściwie chodzi?

– Siostra Mary Rosę niedawno umarła.

– I pracowała w tej szkole?

– Tak, była nauczycielką. W St Margarefs.

– Nadal nie rozumiem, co to...

– Kiedy przejrzelśmy wykaz rozmów telefonicznych, znaleźliśmy jedną, której powodu nie potrafiliśmy wyjaśnić.

– Dzwoniła tutaj?

– Tak.

Marsha Hunter wyglądała na zaniepokojoną.

– Kiedy?

– Trzy tygodnie temu. Dokładnie drugiego czerwca. Marsha pokręciła głową.

– Może wykręciła zły numer.

– I rozmawiała sześć minut?

To sprawiło, że Marsha się zastanowiła.

– Proszę powtórzyć datę.

– Drugiego czerwca. O ósmej wieczorem.

– Mogę sprawdzić w kalendarzu, jeśli pani chce.

– Bardzo bym chciała, dziękuję.

– Mam go na górze. Zaraz wrócę. Jednak jestem pewna, że nikt z nas nie rozmawiał z tą zakonnice.

– Nikt z nas?

– Przepraszam?

– Powiedziała pani „nas”. Kogo miała pani na myśli?

– Nie wiem. Chyba wszystkich w domu. Loren nie komentowała tego.

– Ma pani coś przeciwko temu, że zadam kilka pytań opiekunce pani dzieci? Marsha Hunter zastanowiła się.

– Chyba nie będzie z tym żadnego problemu. – I dodała z wymuszonym uśmiechem: – Tylko chłopcy wpadną w szal, jeśli w ich obecności powie pani „dzieci”.

– Rozumiem.

– Zaraz wracam.

Loren przeszła przez kuchnię, kierując się do tylnych drzwi. Spojrzała przez okno. Kyra rzucała, Ethan wybijał. Zamachnął się z całej siły i chybił. Kyra podeszła o krok, pochyliła się i rzuciła ponownie. Tym razem trafił.

Loren odwróciła się. Już dochodziła do drzwi, kiedy coś sprawiło, że stanęła jak wryta.

Lodówka.

Loren nie była zameźna, nie miała dzieci i nie wychowała się w jednym z tych słodkich szczęśliwych domów, ale jeśli było coś bardziej amerykańskiego – bardziej rodzinnego – niż drzwi lodówki, to ona nie miała pojęcia, co to takiego. Wszystkie jej przyjaciółki miały takie lodówki, ona nie i zdawała sobie sprawę z tego, jakie to smutne. Loren miała dwa koty i żadnej rodziny, oprócz skłonnej do dramatyzowania, całkowicie zaabsorbowanej sobą matki.

W większości amerykańskich domów, jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o lokatorach, spoglądasz właśnie tam – na drzwi lodówki. Tam wiszą dziecięce rysunki. I szkolne wypracowania, z przeciętnymi ocenami, uznawane za genialne. Są tam zaproszenia na przyjęcie

urodzinowe, jedno w lokalu zwanym Little Gym, drugie w kręgielni w East Hanover. Są tam formularze zgody na udział w szkolnej wycieczce, szczepienia ochronne, grę w szkolnej lidze.

I – oczywiście – rodzinne zdjęcia.

Loren była jedynaczką i obojętnie, jak często widywała te unieruchomione magnesami uśmiechy, zawsze wydawało jej się to trochę nierealne, jakby oglądała kiepski program telewizyjny albo czytała kartkę ze świńskimi życzeniami.

Podeszła do zdjęcia, które przykuło jej wzrok. Kolejne fragmenty ułożyły się na swoich miejscach.

Jak mogła to przeoczyć?

Powinna od razu na to wpaść. Hunter. Nazwisko niezbyt rzadkie, ale i nie nazbyt pospolite. Obejrzała inne zdjęcia, lecz co chwilę wracała do tego pierwszego, tego po lewej, zrobionego chyba na meczu baseballowym. Wciąż przyglądała się temu zdjęciu, gdy wróciła Marsha.

– Wszystko w porządku, inspektor Muse? Loren drgnęła. Próbowała poskładać wszystkie te dane, ale otrzymała tylko niewyraźny szkic.

– Znalazła pani ten kalendarzyk?

– Nic w nim nie ma. Naprawdę nie pamiętam, gdzie byłam tamtego dnia.

Loren kiwnęła głową i popatrzyła na lodówkę.

– Ten mężczyzna – pokazała ręką i znów popatrzyła na Marshę – to Matt Hunter, prawda? Twarz Marshy zmieniła się w kamienną maskę.

– Pani Hunter?

– Czego pani chce?

Przedtem w tym głosie pobrzmiwały ciepłe nutki, teraz znikły.

– Znałam go – powiedziała Loren. – Dawno temu. Marsha nie zareagowała.

– W szkole podstawowej. Oboje chodziliśmy do Burnett Hill.

Marsha założyła ręce na piersi. Nie wierzyła w ani jedno słowo.

– Co was łączy?

– Jest moim szwagrem – powiedziała Marsha. – I dobrym człowiekiem.

Tak, pewnie, pomyślała Loren. Prawdziwy książe. W aktach widziała wyrok skazujący za zabójstwo. Matt Hunter siedział w więzieniu o zastrzonym rygorze. Z tego, co pamiętała, przesiedział kilka lat. Przypomniała sobie pościel i koce złożone na kanapie.

– Czy Matt często was odwiedza? No wie pani, jest przecież wujkiem chłopców.

– Inspektor Muse?

– Tak?

– Chciałabym, żeby pani już sobie poszła.

– Dlaczego?

– Matt Hunter nie jest przestępcą. To był nieszczęśliwy wypadek. Drogo za to zapłacił.

Loren milczała, mając nadzieję, że usłyszy coś więcej. Nie doczekała się. Po chwili zrozumiała, że w ten sposób zapewne niczego już się nie dowie. Lepiej wypróbować nieco inną taktykę.

– Lubiłam go – powiedziała.

– Słucham?

– Kiedy byliśmy dziećmi. Był miły.

Mówiła prawdę. Matt Hunter był bardzo dobrym chłopcem, jeszcze jednym z tych, którzy bardzo chcieli pasować do Livingston. Może nie powinni tak się starać.

– Pójdę już – powiedziała Loren.

– Dziękuję.

– Gdyby dowiedziała się pani czegoś o tej rozmowie telefonicznej z drugiego czerwca...

– Dam pani znać.

– Ma pani coś przeciwko temu, że po drodze porozmawiam z opiekunką?

Marsha westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Dziękuję pani.

Gdy Loren doszła do drzwi. Marsha ją zawołała.

– Mogę o coś zapytać? Loren odwróciła się do niej.

– Czy ta zakonnica została zamordowana?

– Dlaczego pani pyta?

Marsha ponownie wzruszyła ramionami.

– To chyba oczywiste. Inaczej po co by pani tu przyszła?

– Nie mogę o tym rozmawiać. Przykro mi.

Marsha nic nie powiedziała. Loren otworzyła drzwi i wyszła na podwórze. Słońce wciąż stało wysoko na niebie, czerwcowe dni są długie. Chłopcy biegali, w cudownym skupieniu grając w piłkę. Dorośli nie potrafią tak grać. Nigdy. Loren przypomniawszy sobie własne dziecięce lata, kiedy godzinami można było grać w piłkę i nigdy, ani przez sekundę, się nie nudzić. Zastanawiała się, czy Marsha Hunter kiedykolwiek to zrobiła, czy wyszła i zagrała w piłkę ze swoimi synami. Na myśl o tym znów poczuła ukłucie żalu.

Teraz nie pora na takie rozważania.

Marsha z pewnością obserwowała ją przez kuchenne okno. Loren powinna zrobić to szybko. Podeszła do dziewczyny. Jak Jej na imię? Kylie, Kyra? Kelsey? Podniosła rękę.

– Cześć.

Dziewczyna osłoniła dłońmi oczy i zamrugnęła. Była śliczna, z blond włosami w tym odcieniu, jaki można znaleźć tylko u młodych dziewcząt.

– Cześć.

Loren nie traciła czasu na wstępy.

– Czy Matt Hunter często tu przychodzi?

– Matt? Pewnie.

Dziewczyna odpowiedziała bez wahania. Loren powstrzymała uśmiech. Ach ta młodość.

– Jak często?

Kyra – na pewno tak miała na imię – przestąpiła z nogi na nogę, stając się czujna, ale była jeszcze młoda. W jej oczach Loren reprezentowała władzę, więc dziewczyna będzie z nią rozmawiać.

– Nie wiem. Chyba kilka razy w tygodniu.

– To dobry człowiek?

– Co?

– Matt Hunter. Czy to dobry człowiek? Kyra uśmiechnęła się.

– Jest wspaniały.

– Dobry dla dzieci?

– Najlepszy.

Loren kiwnęła głową, udając brak zainteresowania.

– Był tu ostatniej nocy? – zapytała tak obojętnie, jak umiała.

Jednak teraz Kyra przechyliła głowę na bok.

– Nie pytała pani o to pani Hunter?

– Chcę tylko potwierdzić. Był tutaj, prawda?

– Tak.

– Całą noc?

– Z kilkoma przyjaciółmi urządziliśmy sobie wypad miasta, więc nie wiem.

– Widziałam pościel na kanapie. Kto na niej spał? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Pewnie Matt.

Loren zaryzykowała i spojrzała przez ramię. Marsha Hunter znikła z okna. Na pewno już szła w kierunku tylnych drzwi. Ta dziewczyna na pewno nie pamięta, co było drugiego czerwca. Loren zebrała już dość informacji, chociaż nie miała pojęcia, co z tego wyniknie.

– Czy wiesz, gdzie mieszka Matt?

– Zdaje się, że w Irvington.

Tylne drzwi się otworzyły. Wystarczy, pomyślała Loren.

Znalezienie Matta Huntera nie powinno stanowić problemu. Uśmiechnęła się i zaczęła odchodzić, starając się nie dać Marshy powodu do niepokoju, który kazałby jej zadzwonić i ostrzec szwagra. Usiłowała iść swobodnym krokiem. Pomachała Marshy, która zrobiła to samo.

Loren wyszła na podjazd i ruszyła do swojego samochodu, lecz przy nim zobaczyła następną twarz ze swojej odległej przeszłości. O rany, ta sprawa zmienia się w kiepski program typu „Loren Muse, oto twoje życie”. Opierał się o maskę wozu, papieros zwisał mu z ust.

– Cześć, Loren.

– Niech mnie licho – powiedziała. – Detektyw Lance Banner.

– We własnej osobie.

Rzucił papierosa na ziemię i przydepnął. Wskazała na niedopałek.

– Mogłabym wypisać ci za to mandat.

– Myślałem, że pracujesz w biurze prokuratura okręgowego.

– Papierosy zabijają. Nie czytałeś napisu na opakowaniu?

Lance Banner uśmiechnął się krzywo. Jego samochód, typowy nieoznakowany wóz policyjny, stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy.

– Minęło sporo czasu.

– Od tamtej konferencji na temat broni palnej w Trenton – przypomniała Loren. – Ile to, sześć czy siedem lat temu?

– Coś koło tego. – Założył ręce na piersi, nadal opierając się o maskę jej wozu. – Jesteś tu służbowo?

– Tak.

– Czy to ma coś wspólnego z naszym szkolnym kumplem?

– Może.

– Powiesz mi co?

– Powiesz mi, dlaczego tu jesteś?

– Mieszkam obok.

– I co?

– I zauważyłem wóz służbowy. Pomyślałem, że może pomogę.

– W czym?

– Matt Hunter chce tu wrócić – oznajmił Lance. Zamierza kupić dom niedaleko stąd. Loren nic nie powiedziała.

– Czy ten fakt pasuje do twojej sprawy?

– Nie widzę związku.

Lance uśmiechnął się i otworzył drzwiczki samochodu.

– Czemu nie powiesz mi, co się dzieje? Może wpadniemy na to razem.

16

– Cześć, zgadnij, co robię teraz z twoją żoną?

Matt trzymał słuchawkę przy uchu. Mężczyzna szepnął:

– Matt? Jesteś tam jeszcze? Matt nie odpowiedział.

– Słuchaj, Matt, zakapowałeś mnie? No wiesz, czy powiedziałaś żonie, że przysłałem ci te zdjęcia? Matt skamieniał.

– Bo Olivia zaczęła bardziej pilnować telefonu. Och, nie przestanie mi dawać. Nie ma mowy. Za bardzo to lubi, wiesz, o czym mówię?

Matt zamknął oczy.

– Nagle jednak powiedziała, że powinna być ostrożniejsza. Dlatego zacząłem się zastanawiać, czy... No wiesz, tak między nami mężczyznami, powiedziałaś jej coś?

Matt tak mocno ścisnął telefon, że miał wrażenie, iż pęknie mu w ręce. Próbował robić głębokie wdechy, ale nie mógł. W końcu odzyskał głos i powiedział:

– Kiedy cię znajdę, Charlesie Talley, urwę ci łeb i wepchnę ci go do gardła. Cisza.

– Jesteś tam jeszcze, Charles? Głos w telefonie wyszeptał:

– Muszę lecieć. Ona wraca. I wyłączył się.

Matt powiedział Rolandzie, żeby odwołała wszystkie popołudniowe spotkania.

– Nie masz żadnych spotkań – odparła.

– Nie bądź taka cwana.

– Powiesz mi, co się dzieje?

– Później.

Poszedł do domu. W dłoni wciąż trzymał wideotelefon. Na razie jednak nie dzwonił. Najpierw podjechał pod ich dom przy głównej ulicy w Irvington. I tak rzadka trawa prawie zupełnie wyschła podczas ostatniej suszy – przez trzy tygodnie na Wschodnim Wybrzeżu nie padał deszcz. Na takich przedmieściach jak Livingston stan trawnika traktuje się bardzo poważnie. Zaniedbywanie go i bezczynne przyglądanie się, jak trawa żółknie, zasługuje na solidną sąsiedzką burę przy nowym podwórkowym grillu Weber Genesis Gold B. Tutaj, w Indngton, nikt się tym nie przejmował. Trawniki to zabawka bogatych.

Matt i Olivia mieszkali w zaniebanym dwurodzinnym domku, który nie rozsypał się jeszcze tylko dzięki sidingowi. Zajmowali prawą część budynku. Lewa należała do Owenów, pięciosobowej afroamerykańskiej rodziny. W każdym z tych dwóch mieszkań znajdowały się dwie sypialnie, łazienka i ubikacja.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Kiedy wpadł do środka, natychmiast nacisnął klawisz z cyfrą 1, wybierając numer Olivii. Znów połączył się z jej pocztą głosową. To go nie zdziwiło. Zaczekał na sygnał.

– Wiem, że nie jesteś w Ritzu – powiedział. – Wiem, że to ty byłaś w tej platynowej peruce. Wiem, że to nie był kawał. Wiem nawet o Charlesie Talleyu. Tak więc zadzwoń do mnie i wyjaśnij.

Rozłączył się i spojrzał za okno. Na rogu była stacja benzynowa Shella. Przyglądał się jej. Oddychał szybko i płytko. Próbował się uspokoić. Wyjął z szafy walizkę, rzucił ją na łóżko i zaczął upychać w niej ubrania.

Przestał. Pakowanie walizki. Głupia i histeryczna reakcja. Daj sobie spokój.

Olivia jutro będzie w domu.

A jeśli nie?

Nie powinien tak myśleć. Będzie w domu. Tak czy inaczej wszystko się wyjaśni, za kilka godzin.

Teraz już nie mierziło go wścibstwo. Zaczął przeszukiwać szuflady Olivii. Nawet specjalnie nie był za to zły na siebie. Ten głos w telefonie naprawdę go rozwścieczył. Oto najlepszy scenariusz: Olivia coś przed nim ukrywała. Powinien dowiedzieć się co.

Nic nie znalazł ani w szufladach, ani w szafkach. Zaczął zastanawiać się, gdzie jeszcze mogła coś ukryć, kiedy o czymś sobie przypomniał.

Komputer.

Poszedł na górę i nacisnął włącznik. Komputer ożył. Wydawało się, że trwa to niemiłosiernie długo. Prawa noga Matta zaczęła się trząść. Położył dłoń na kolanie, tłumiąc drżenie.

W końcu kupili modem sieciowy – łączyli się przez kablówkę – więc po kilku sekundach już był w sieci. Znał hasło Olivii, ale nigdy nie sądził, że wykorzysta je w taki sposób. Załogował się na jej konto i przejrzał wiadomości. W poczcie przychodzącej nie znalazł żadnych niespodzianek. Spróbował zajrzeć do odebranej.

Katalog był pusty.

Zajrzał do folderu wysłanych. To samo – wszystkie zostały usunięte. Spróbował wejść do katalogu usuniętych, ale ten też został wyczyszczony. Zajrzał do historii przeglądarki, mając nadzieję, że się dowie, kiedy Olivia surfowała ostatni raz. Ten katalog także był wymazany.

Matt wyprostował się i doszedł do oczywistego wniosku: Olivia zacierała ślady. Nasuwało się pytanie: dlaczego?

Był jeszcze jeden obszar danych, który mógł sprawdzić: cookies.

Ludzie często kasują historię przeglądarki lub zawartość konta pocztowego, ale cookies to co innego. Gdyby Olivia je wykasowała, Matt natychmiast zorientowałby się, że coś jest nie tak. Na przykład nie włączyłaby się automatycznie jego strona w Yahoo! Portal Amazon nie wiedziałby, kim on jest. Osoba zacierająca ślady nie chciałaby tego.

Wykasowanie cookies za bardzo rzucałoby się w oczy.

Uruchomił Explorera i znalazł folder z internetowymi cookies. Było ich mnóstwo. Nacisnął

przycisk daty, sortując je chronologicznie, najnowsze na górze. Przesunął po nich wzrokiem. Większość rozpoznawał: Google, OfficeMax, Shutterfly – ale były też dwie nieznane domeny. Zapisał ich nazwy zminimalizował okno Explorera i wrócił do sieci.

Wpisał pierwszy adres i nacisnął „enter”. Pojawiła się „Nevada Sun News”, gazeta wymagająca rejestracji się w celu uzyskania dostępu do archiwum. Siedziba redakcji znajdowała się w Las Vegas. Sprawdził profil. Olivia zarejestrowała się pod fikcyjnym nazwiskiem i adresem e-mailowym. Nic w tym dziwnego. Oboje to robili, żeby uniknąć spamu i bronić swojej prywatności.

Tylko czego szukała?

Nie wiadomo.

Może to dziwne, ale drugi adres powiedział mu o wiele więcej.

Trwało chwilę, zanim przeglądarka rozpoznała adres, który wpisał. Po kilku przekierowaniach w końcu zatrzymała się na czymś zwanym Stripper-Fandom.com.

Matt zmarszczył brwi. Na witrynie umieszczono ostrzeżenie, że osoby niepełnoletnie nie powinny z niej korzystać. To źle wróżyło. Nacisnął klawisz „enter”. Zdjęcia, które się pojawiły, były – jak można oczekiwać – prowokacyjne. Stripper-Fandom było witryną oceniającą.....striptizerki?

Matt potrząsnął głową. Było tam mnóstwo miniikon z kobietami w strojach topless. Wywołał jedną. Najwidoczniej znajdowały się tam biografie wszystkich dziewcząt.

Bunny rozpoczęła karierę tancerki egzotycznej w Atlantic City, lecz dzięki sugestywnym ruchom i obcisłym kostiumom szybko stała się gwiazdą i przeniosła się do Las Vegas. „Kocham to miasto! I kocham bogatych mężczyzn!”. Specjalnością Bunny jest taniec na rurze w masce z uszami króliczka...

Matt kliknął link. Pojawił się adres e-mailowy, na wypadek gdyby ktoś chciał napisać do Bunny i zapytać o ceny „prywatnych audycji”. Właśnie tak – prywatnych audycji. Jakby Bunny była papieżem.

Co to ma znaczyć, do diabła?

Matt przeglądał witrynę miłośników striptizu, aż nie mógł już tego dłużej znieść. Nic nie rzuciło mu się w oczy. Nic się nie wyjaśniło. Teraz był jeszcze bardziej zdezorientowany. Może ta witryna nie miała żadnego znaczenia. Większość striptizerek była z okolic Vegas. Może Olivia weszła na tę witrynę, kliknąwszy jakiś link z ogłoszeniem w gazecie z Nevady. Może link nie był opisany jako witryna striptizerek i doprowadził ją tam.

Tylko po co w ogóle weszła na witrynę gazety z Nevady? Dlaczego wykasowała wszystkie swoje e-maile?

Na to nie znalazł odpowiedzi.

Matt pomyślał o Charlesie Talleyu. Wpisał to nazwisko do Google’a. Nie znalazł nic

interesującego. Zamknął wyszukiwarke i zszedł na dół. Szepczący w słuchawce głos wciąż odbijał mu się echem w głowie, pozbawiając go rozsądku:

Cześć, zgadnij, co robię teraz z twoją żoną?

Czas zaczerpnąć świeżego powietrza. Przydałoby się też coś mocniejszego.

Wyszedł i poszedł w kierunku South Orange Avenue. Już od Garden State Parkway nie można było przeoczyć gigantycznej brązowej butelki piwa, dominującej nad całą okolicą. Na tym odcinku GSP widziałeś także – może bardziej rzucający się w oczy od tej starej wieży ciśnien – rozległy cmentarz po obu stronach szosy. Ta wiodła prosto przez jego środek. Po obu stronach towarzyszyły ci niekończące się szeregi wyblakłych od słońca i deszczu nagrobków. Jadąc tędy, nie miało się wrażenia rozcinania cmentarza na dwie połowy, ale raczej łączenia ich w całość, jakby zasuwano się zamek błyskawiczny. A tam, w niezbyt odległej dali, stała gigantyczna butelka piwa, niczym milczący strażnik strzegący lub wyśmiewający pogrzebanych mieszkańców.

Zniszczenia browaru wyglądały nieco zagadkowo. Szyby w oknach były tylko częściowo porozbijane, niezupełnie wybite, jakby ktoś zadał sobie trud i w każde okno tego dwunastopiętrowego budynku rzucił jednym kamieniem i tylko raz. Wszędzie leżały kawałki szkła. Każde okno było groźnie szczerzącą kły paszczą. Ta mieszanina erozji i dumy, silnego szkieletu i bezzębnych, ślepych otworów powybijanych okien nadawała temu budynkowi wygląd znużonego wojownika.

Wkrótce rozbiorą tę starą fabrykę i zbudują tu ogromne centrum handlowe. Akurat tego potrzeba w Jersey, pomyślał Matt – jeszcze jednej galerii handlowej.

Matt skręcił w boczną uliczkę i skierował się do pokrytych wyblakłą czerwoną farbą drzwi. Ta knajpa nie miała szyldu. Tylko jedno okno z neonowym znakiem Pabst Blue Ribbon. Tak samo jak browar – a może całe to miasteczko? – neon nie działał.

Matt otworzył drzwi, wpuszczając słoneczny blask do pogrążonego w mroku wnętrza. Mężczyźni – bo była tam teraz tylko jedna kobieta, która uderzyłaby cię, gdybyś nazwał ją damą – zamrugali jak nietoperze oświetlone latarką. Nie było słyhać szafy grającej ani innej muzyki. Głosy rozmówców były równie przytłumione jak światła.

Mel wciąż stał za barem. Matt nie był tu od... chyba dwóch lub trzech lat, a jednak Mel nadal pamiętał jego imię. Ta tawerna była typową spelunką. Widuje się je wszędzie w Stanach Zjednoczonych. Ludzie – przeważnie mężczyźni – po zakończeniu takiej pracy, jaką udało im się znaleźć, szukali tu zapomnienia. Jeśli łączyły się z tym przechwałki lub przekomarzania, to dobrze, ale do takich lokali przychodzi się głównie po to, żeby się upić, a nie w poszukiwaniu pocieszenia czy konwersacji.

Przed swoją odsiadką Matt nigdy nie poszedłby do takiej meliny jak lokal Mela. Teraz lubił takie mordownie. Sam nie wiedział dlaczego. Przesiadawali w nich potężni, otyli mężczyźni.

Jesienią i w zimie nosili flanelowe koszule, a wiosną i latem podkoszulki uwydatniające obfite brzuszyska. Przez cały rok chodzili w dżinsach. Nieczęsto wybuchały tu bójki, ale nie wchodzisz do takich knajp, jeśli nie wiesz, jak się posługiwać pięściami.

Matt usiadł na stołku. Mel kiwnął głową.

– Piwo?

– Wódka.

Mel mu nalał. Matt podniósł kieliszek, spojrzał nań i potrząsnął głową. Topienie smutków. Czy może być bardziej wyświechtany zwrot? Wypił i pozwoliłby ciepło rozeszło mu się po całym ciele. Skinął na barmana, chcąc zamówić następnego drinka, ale Mel już wyczuł sprawę. Matt opróżnił drugi kieliszek.

Poczuł się lepiej. A w zasadzie zaczął mniej czuć. Powoli rozejrzał się po sali. Tak jak niemal wszędzie, czuł się tu nieswojo – jak szpieg na terytorium wroga. Teraz już nigdzie nie czuł się na swoim miejscu – ani w swoim dawnym łagodnym świetle, ani w tym nowym, twardym. Tak więc siedział okrakiem na płocie. Dobrze czuł się tylko – jakkolwiek żałośnie to brzmiało – kiedy był z Olivią.

Niech ją szlag.

Opróżnił trzeci kieliszek. Zaczął go swędzieć kark.

Hej, spójrzcie na tego draęala, który chłonie gorzałę jak gąbka.

Już był lekko wstawiony. Chciał tego. Żeby na chwilę zapomnieć, pomyślał. Nie na zawsze. Nie utopi problemów w alkoholu. Tylko odsunie je na jedną noc, dopóki Olivia nie wróci do domu i nie wyjaśni mu, dlaczego była w pokoju hotelowym z innym mężczyzną, dlaczego skłamała, skąd ten facet wiedział, że on powiedział jej o tych zdjęciach.

Takie sprawy. Takie drobiazgi.

Znów skinął na barmana. Mel, który nieskory był do rozmów lub dawania rad, nalał mu.

– Świetny z ciebie gość, Mel.

– Hej, dzięki, Matt. Często to słyszę, ale wciąż mnie to cieszy, wiesz?

Matt uśmiechnął się i spojrzał na kieliszek. Tylko na jedną noc. Tylko żeby zapomnieć.

Jakiś wielki pajac wyszedł z kibla i przechodząc obok, przypadkowo potracił Matta. Ten drgnął i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

– Uważaj – warknął.

Pajac przeprosił mrukliwie, nie dając mu okazji. Matt był prawie rozczarowany. Można by sądzić, że powinien być mądrzejszy – że on, Matt, lepiej niż ktokolwiek znał ryzyko związane z każdą bójką na pięści – ale nie tego wieczoru. Nie, teraz bójka byłaby wielce pożądana, naprawdę.

Pieprzyć konsekwencje, no nie?

Poszukał ducha Stephena McGratha. Ten często siedział na sąsiednim barowym stołku.

Jednak tego wieczoru Stephena nie było. Dobrze.

Matt nie umiał pić. Wiedział o tym. Nie miał mocnej głowy. Nie był już lekko wstawiony, ale prawie pijany. Oczywiście, przede wszystkim należy wiedzieć, kiedy przestać – wstawić się, ale nie upić. Wielu ludzi próbuje znaleźć tę granicę. Większości się to nie udaje.

Tego wieczoru wcale się tym nie przejmował.

– Jeszcze raz.

Plątał mu się język. Matt zdawał sobie z tego sprawę, jak również ze swego gniewnego tonu. Wódka budziła w nim agresję albo – co bardziej prawdopodobne – wyzwalała ją. Teraz miał ochotę na rozróbę, choć jednocześnie obawiał się bójki. Gniew pozwalał mu się skupić. A przynajmniej Matt chciał w to wierzyć. Już nie miał zamętu w głowie. Wiedział, czego chce. Chciał kogoś uderzyć. Pragnął fizycznej konfrontacji. Nieważne, czy kogoś stratuje, czy ktoś stratuje jego.

Nie obchodziło go to.

Matt zaczął się nad tym zastanawiać – nad tym upodobaniem przemocy. Nad tym, skąd się wzięło. Może jego stary kumpel detektyw Lance Banner miał rację. Więzienie zmienia człowieka. Kiedy cię zamykają, chociaż jesteś niewinny, wychodzisz z niego zupełnie...

Detektyw Lance Banner.

Ten strażnik bram Livingstone, ten głupi skurwiel.

Minęło trochę czasu. Nie potrafił powiedzieć ile. W koń dał Melowi znak, żeby podszedł i go podliczył. Kiedy Matt zeskoczył ze stołka, jego mózg boleśnie zaprotestował. Przytrzymał się baru, odzyskał równowagę.

– Na razie, Mel.

– Miło było cię widzieć, Matt.

Chwiejąc się, wyszedł. W głowie odbijało mu się echem tylko jedno nazwisko.

Detektyw Lance Banner.

Przypomniał sobie pewne zdarzenie z drugiej klasy, kiedy on i Lance byli siedmiolatkami. W trakcie zaciętej gry w cztery kwadraty – najgłupszej od czasów mausa – Lance'owi pękły spodenki. I jeszcze gorsze było to, że Lance tego dnia nie miał nic pod spodem. To uczyniło ten incydent jednym z najbardziej wstrząsających wydarzeń okresu dzieciństwa. Lance otrzymał przydomek, którego nie mógł się pozbyć aż do szkoły średniej: Lance Trzymaj Go w Gaciach.

Matt parsknął śmiechem.

Wtedy znów usłyszał głos Lance'a: „To przyjemna okolica”.

– Naprawdę? – powiedział głośno Matt. – Czy wszystkie dzieci noszą teraz bieliznę, Lance?

Znów roześmiał się ze swojego żartu. Śmiech odbił się głośnym echem po sali, ale nikt na niego nie spojrział.

Matt pchnął drzwi. Była już noc. Powlókł się ulicą, wciąż śmiejąc się ze swojego żartu. Jego

samochód stał pod domem. W pobliżu dwóch niby-sąsiadów popijało z flaszek ukrytych w brązowych papierowych torebkach.

Jeden z tych dwóch... Politycznie poprawnym słowem, które stosowano obecnie, było „bezdomni”, ale do tych facetów bardziej pasowało dawne określenie – „trunkowi”.

– Cześć, Matt! – zawołał jeden z nich.

– Jak leci, Lawrence?

– Dobrze, człowieku. – Pokazał torebkę. – Chcesz łyknąć?

– Nie.

– Taa. – Lawrence zrobił znaczący gest. – Wygląda na to, że masz już dość, no nie?

Matt uśmiechnął się. Sięgnął do kieszeni i wysupłał dwudziestkę.

– Kupcie sobie coś dobrego. Stawiam.

Na twarzy Lawrence’a pojawił się szeroki uśmiech.

– Matt, jesteś w porzo.

– Tak, pewnie. Jestem bardzo w porzo.

Lawrence roześmiał się, jakby to był najlepszy żart Richarda Pryora. Matt pomachał mu i odszedł. Włożył rękę do kieszeni i wyjął kluczyki. Popatrzył na nie, na samochód, a potem Przystanął.

Był pijany.

Nie myślał racjonalnie. Był odurzony. Chętnie stłukłby kogoś na kwaśne jabłko – Lance Banner znajdował się na drugim miejscu jego listy (na pierwszym był Charles Talley, ale Matt nie wiedział, gdzie go szukać) – ale nie był aż tak głupi. Nie wsiądzie do wozu w takim stanie.

– Hej, Matt, posiedzisz z nami? – zapytał Lawrence.

– Może później, chłopcy.

Matt zawrócił i poszedł na Grove Street. Autobus linii 70 dojeżdżał do Livingston. Stał na przystanku, kołysząc się na wietrze. Był jedynym czekającym. Większość ludzi jechała w przeciwnym kierunku – zmęczeni mieszkańcy wracający z bogatszych okolic do swych o wiele skromniejszych domostw.

Witajcie na przedmieściach.

Kiedy przyjechał autobus, Matt patrzył, jak wysiadają z niego znużone kobiety, zobojętniałe jak zombi. Nikt nie rozmawiał. Nikt się nie uśmiechał. Nikt nie czekał, żeby je powitać.

Autobus miał do pokonania może z piętnaście, ale jakich. Pozostawiając za sobą Newark oraz Indngton i nagle jakbyś znalazł się w innym świecie. Ta zmiana zachodziła w mgnieniu oka. Maplewood, Milburn, Short Hills i w końcu Livingston. Matt znów rozmyślał o odległości, o geografii, o najcieńszej z linii.

Oparł głowę o szybę autobusu i wibracje silnika były jak jakiś dziwny masaż. Myślał o Stephenie McGrath i tamtej strasznej nocy w Amherst. O swoich dłoniach zaciśniętych na jego

szy. Zastanawiał się, jak mocno ścisnął. Czy gdyby ją puścił, kiedy padali, wszystko potoczyłoby się inaczej. Czy też może, tylko może, ścisnął szyję jeszcze mocniej?

Bardzo wiele o tym myślał. Wysiadł przy rondzie Route 10 i poszedł w kierunku ulubionego lokalu mieszkańców Livingston – Landmark. Parking przy Northfield Avenue był zapchany minivanami. Matt prychnął. Tu nie było cienkiej granicy. To nie knajpa Mela. To cholerny bar dla lalusiów. Pchnął drzwi.

Lance Banner na pewno tu będzie.

Landmark, rzecz jasna, w niczym nie przypominał knajpy Mela. Jasno oświetlony. Hałaśliwy. Zespół Outkast śpiewał o różach pachnących jak niemowlęta – bezpieczna muzyka getta. Nie było popękanego winylu, obłazającej farby, trocin na podłodze. Neonowe reklamy Heinekena działały. Tak samo jak zegar Budweisera. Mało kto pił mocniejsze trunki. Na stolikach stały kufle z piwem. Co najmniej pół tuzina gości miało na sobie stroje softballowe różnych sponsorów – Frinedly's Ice Cream, Best Buy, Burrelle's Press Clippings – oblewali zakończony mecz z kolegami z drużyny i przeciwnikami. Na sali było sporo dzieciaków studiujących na Princeton, Rutgers lub – o rany – może nawet niedoszłej Alma Mater Matta, Bowdoin.

Matt wszedł do środka i nikt się nie odwrócił. Z początku. Wszyscy się śmiali. Wszyscy byli hałaśliwi, zaczerwienieni i zdrowi. Wszyscy mówili jednocześnie. Wszyscy uśmiechali się, rzucali mięsem i wyglądali na mięczaków.

Nagle zobaczył swojego brata, Berniego.

Oczywiście to nie był Bernie. Bernie nie żył. Jednak jaki ten gość był do niego podobny. Przynajmniej od tyłu. Matt i Bernie przychodzili tu kiedyś z podrobionymi dokumentami. Śmiali się, byli hałaśliwi, czerwoni na twarzach i kleli. Obserwowali innych facetów, tych softballistów, i słuchali ich opowieści o urządzeniach AGD, karierach, dzieciach, szafkach na stadionie Jankesów, doświadczeniach w trenowaniu juniorów, podupadającym pożyciu seksualnym.

Gdy tak stał tam, myśląc o swoim bracie, coś się zmieniło. Ktoś go rozpoznał. Powiedział innym. Zaczęto szeptać i odwracać głowy. Matt szukał Lance'a Bannera. Nie znalazł. Zauważył stolik gliniarzy – od razu było wiadomo, kim są – i w jednym z nich rozpoznał tego młodego policjanta, z którym poprzedniego dnia przyjechał Lance.

Wciąż mając mocno w czubie, Matt starał się iść prosto. Gdy podchodził, gliniarze przeszywali go swymi najgroźniejszymi spojrzeniami. Matt nie przejął się tym. Widział znacznie gorsze. Przy stoliku zapadła cisza, kiedy podszedł do młodego policjanta.

Stanął przed nim. Młody nie cofnął się. Matt starał się nie chwiać.

– Gdzie Lance? – zapytał.

– A kto chce wiedzieć?

– Dobrze. – Matt pokiwał głową. – Powiedz, kto ci pisze teksty?

– Co?

– „A kto chce wiedzieć?”. To naprawdę śmieszne. No wiesz, stoję przed tobą i zadaję pytanie, a ty wyskakujesz z czymś takim, jak „A kto chce wiedzieć?”. – Matt przysunął się bliżej.

– Przecież stoję tutaj, do diabła, więc jak myślisz kto chce wiedzieć?

Matt usłyszał stukanie odsuwanych krzeseł, ale nie obejrzał się. Młody policjant spojrzał na swoich kumpli, a potem znów na Marta.

– Jesteś pijany.

– I co z tego?

Teraz przysunął swoją twarz do twarzy Matta.

– To, że może chcesz, żebym wziął cię za dupę, zawiózł do centrum i kazał dmuchać w alkomat?

– Po pierwsze – Matt podniósł palec wskazujący – komisariat nie znajduje się w centrum Livingston. Raczej w śródmieściu. Obejrzałeś za dużo powtórek Nowojorskich gliniarzy. Po drugie, nie prowadzę tępaku, więc nie wiem, po co miałbym dmuchać w alkomat. Po trzecie, skoro mowa o dmuchaniu, a ty stoisz tak blisko mnie i w ogóle, to mam w kieszeni miętówki. Teraz powoli sięgnę po nie i dam ci jedną. Może nawet całą paczkę.

Inny gliniarz podniósł się z krzesła.

– Wynoś się stąd, Hunter.

Matt odwrócił się do niego i zmrużył oczy. Po chwili rozpoznał tego łasicowatego typu.

– Mój Boże, ty jesteś Fleisher, prawda? Młodszy brat Douga.

– Nie jesteś tu mile widziany.

– Naprawdę? – Matt obrzucił spojrzeniem obu policjantów. – Mówicie poważnie? A co, chcecie wypędzić mnie z miasta? Ty... – warknął Matt, pokazując palcem. – Młodszy bracie Fleishera, jak ci na imię?

Tamten nie odpowiedział.

– Nieważne. Twój brat Doug był największym ćpunem w mojej klasie. Zaopatrywał całą szkołę. Nazywaliśmy go Zioło, jak pragnę zakwitnąć.

– Oczerniasz mojego brata?

– Nikogo nie oczerniam. Mówię prawdę.

– Chcesz spędzić tę noc w areszcie?

– Za co, dupku? Zamierzasz aresztować mnie pod jakimś sfigowanym zarzutem? No już. Pracuję w kancelarii prawniczej. Zaskarżę cię i zażądam takiego odszkodowania, że przypomni ci się egzamin wstępny do szkoły średniej, którego pewnie nigdy nie zdałeś.

Stuk następnych odsuwanych krzeseł. Wstał następny gliniarz. I jeszcze jeden. Puls Matta gwałtownie przyspieszył. Ktoś podszedł i złapał go za rękę. Matt wyrwał się. Zacisnął pięść.

– Matt?

Łagodny głos poruszył jakąś strunę, głęboko w jego pamięci. Matt zerknął za bar. Pete Appel. Jego stary przyjaciel ze szkoły średniej. Bawili się razem w Riker Hill Park. Ten park był dawną bazą wojskową z okresu zimnej wojny. Razem z Pete'em odpalali rakiety z popękanych betonowych pasów startowych. Tylko w New Jersey.

Pete uśmiechał się do niego. Matt się odprężył. Policjanci nie ruszyli się z miejsc.

– Cześć, Pete.

– Cześć, Matt.

– Dobrze cię widzieć, człowieku.

– Ciebie też – rzekł Pete. – Słuchaj, kończę zmianę. Może podwiozę cię do domu, co?

Matt spojrział na gliniarzy. Niektórzy byli czerwoni ze złości, bliscy wybuchu. Odwrócił się do starego przyjaciela.

– W porządku, Pete. Sam trafię do domu.

– Na pewno?

– Tak. Słuchaj, człowieku, przepraszam, jeśli sprawiłem kłopot. Pete kiwnął głową.

– Miło było cię widzieć.

– Ciebie też.

Matt czekał. Dwaj policjanci się odsunęli. Nie oglądając się za siebie, wyszedł na parking. Głęboko wciągnął w płuca nocne powietrze i poszedł ulicą. Po chwili zaczął biec.

Miał jasno sprecyzowany cel.

Lance Banner wciąż się uśmiechał do Loren.

– No już, wsiadaj – powiedział. – Porozmawiamy.

Jeszcze raz spojrzała na dom Marshy Hunter, a potem wsunęła się na siedzenie pasażera. Lance zaczął objeżdżać stare kąty.

– No więc – zaczął – czego chciałaś od szwagierki Matta?

Kazała mu przysiąc, że zachowa to w tajemnicy, ale i tak podała mu tylko najważniejsze fakty – że prowadzi dochodzenie w sprawie podejrzanej śmierci siostry Mary Rose, ale jeszcze nawet nie mają pewności, czy to było morderstwo, że siostra Mary Rose prawdopodobnie dzwoniła do domu Marshy Hunter. Nie powiedziała mu o implantach ani tego, że jeszcze nie ustalili tożsamości zakonnicy.

Ze swojej strony Lance poinformował ją, że Matt Hunter jest teraz żonaty i zatrudniony jako „doradca niskiego szczebla” w dawnej firmie prawniczej brata. Żona Matta Huntera, powiedział Lance, pochodzi z Wirginii lub Marylandu, nie pamięta skąd. Ponadto dodał, nieco zbyt ochotczo, że chętnie pomoże Loren w rozwikłaniu tej sprawy.

Loren odparła, żeby się nie fatygował, że to jej śledztwo i gdyby coś mu przyszło do głowy, powinien ją zawiadomić. Lance kiwnął głową i podwiózł ją do jej samochodu. Zanim wysiadł, zapytała: – pamiętasz go? Jako dzieciaka?

– Huntera? – Zmarszczył brwi. – Tak, pewnie, że go pamiętam.

– Sprawiał wrażenie porządnego chłopca. – Jak wielu zabójców. Loren chwyciła klamkę, kręcąc głową. – Naprawdę w to wierzysz? Lance nie odpowiedział.

– Kiedyś czytałam pewien artykuł – ciągnęła Loren. – Nie pamiętam szczegółów, ale główną tezę było to, że w wieku pięciu lat nasza przyszłość jest już w znacznym stopniu określona: jak będziemy sobie radzić w szkołach, czy staniemy się przestępcami, czy będziemy umieli kochać. Kupujesz to, Lance?

– Nie wiem – odparł. – Mało mnie to obchodzi.

– Złapałeś wielu złych facetów, prawda?

– Tak.

– Sprawdzales ich przeszłość?

– Czasem.

– Mam wrażenie – powiedziała Loren – że zawsze coś w niej znajduję. Zazwyczaj jakiś oczywisty przypadek psychozy lub urazu. W wiadomościach sąsiedzi zawsze mówią: „O rany, nie miałem pojęcia, że ten miły człowiek ćwiartuje małe dzieci. Zawsze wydawał się taki uprzejmy”. Jeśli jednak sprawdzisz dokładniej, popytasz nauczycieli, przyjaciół z dzieciństwa, niemal zawsze mówią coś innego. Nigdy nie są zaskoczeni.

Lance skinął głową.

– No więc jak? – spytała. – Widzisz w jego przeszłości coś, co czyni Matta Huntera zabójcą?

Lance zastanowił się.

– Gdyby wszystko było przesądzone już w wieku pięciu lat, nie mielibyśmy co robić.

– To nie jest odpowiedź.

– Najlepsza, jaka mi przychodzi do głowy. Spróbuj opierać się na tym, jak trzecioklasista bawił się na podwórku, a wszyscy będziemy w bagnie.

Miał rację. Tak czy inaczej Loren powinna trzymać rękę na pulsie – co w tym momencie oznaczało, że powinna odnaleźć Matta Huntera. Wsiadła do swojego samochodu i pojechała na południe. Miała jeszcze czas, żeby przed zmrokiem dotrzeć do Lockwood Corporation w Delaware.

Próbowała złapać Matta Huntera w kancelarii, ale wyszedł na cały dzień. Zadzwoiła do jego domu i zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce:

– Matt, tu Loren Muse. Jestem inspektorem biura prokuratora okręgowego. Znamy się z dawnych lat w Burnett Hill. Możesz zadzwonić do mnie jak najszybciej?

Pozostawiła numery swojego telefonu komórkowego i służbowego, po czym się rozłączyła.

Pokonanie trasy do Delaware normalnie trwało dwie godziny, ale teraz zajęło jej godzinę i dwadzieścia minut. Nie włączyła syreny, lecz przez całą drogę miała zapalony niebieski migacz, przyczepiony do dachu. Lubiła szybką jazdę. Jaki byłby sens pracy w organach ścigania, gdyby nie można było szybko jeździć i nosić broni?

Biuro Randal Home'a było modelowym przykładem kancelarii wziętego prawnika. Jego firma zajmowała trzy piętra w skupisku biurowców, stojących jeden obok drugiego, w niekończącym się szeregu identycznych pudełek.

Recepcjonistka Horne'a, Buckmana i Pierce'a, typowa stara sekutnica w bezpiecznie podeszłym wieku, zmierzyła Loren takim wzorkiem, jakby rozpoznała w niej postać ściganą listami gończymi za obrazę moralności publicznej. Groźnie marszcząc brwi, kazała jej usiąść.

Randal Horne kazał na siebie czekać całe dwadzieścia minut klasyczne, jeśli nie oczywiste, zagranie prawnika. Spędził ten czas, przeglądając ekscytujący zestaw czasopism, składający się z różnych numerów „Third Branch”, czyli wiadomości z sądów federalnych, oraz „American Bar Association Journal”. Westchnęła. Wiele by dała za coś z Lindsayem lub Colinem na okładce. Horne w końcu zjawił się w recepcji, podszedł i stanął tuż przy niej. Był młodszy, niż oczekiwała, chociaż miał tę błyszczącą twarz, którą zwykle kojarzyła z kuracją botoksem. Włosy miał odrobinę za drugie, zaczesane do tyłu i podwinięte na karku. Garnitur nieskazitelny, choć o nieco za szerokich klapach. Może ta moda wracała.

– Naprawdę nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać, pani Muse – zaczął bez wstępów.

Randal Horne stał tak blisko niej, że nie mogła wstać z fotela. W porządku. Próbował

przytłoczyć ją swoim wzrostem. Loren miała metr pięćdziesiąt pięć, więc była do tego przyzwyczajona. Naszła ją jednak ochota, by walnąć go nasadą dłoni w krocze, tak tylko, żeby się cofnął, ale nie, pozwoliła mu na tę gierkę.

Sekutnica z recepcji – o jakieś piętnaście lat za stara na strażniczkę z więziennego filmu kategorii B – obserwowała tę scenę z ironicznym uśmieszkiem na wyschniętych, umalowanych wargach.

Loren powiedziała:

– Chciałabym poznać nazwisko kobiety, która nabyła implant piersi o numerze seryjnym osiem dziewięć siedem osiem trzy trzy cztery osiem.

– Po pierwsze – powiedział Horne – to bardzo stare rejestry. SurgiCo. nie notowała nazwisk nabywających, tylko lekarzy wykonujących zabieg.

– Świetnie, to mi wystarczy. Horne założył ręce na piersi.

– Ma pani nakaz, pani detektyw?

– Jest w drodze.

Obdarzył ją chytrym uśmiechem, który wiele jej powiedział.

– No cóż – rzekł. – Wrócę więc do mojego biura. Proszę zawiadomić Tiffany, kiedy go pani otrzyma, dobrze?

Sekutnica triumfowała, szeroko uśmiechnięta. Loren wycelowała w nią palec i powiedziała:

– Ma pani szminkę na zębach. – Potem znów skupiła uwagę na Randalu Hornie. – Zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego domaga się pan nakazu?

– Wprowadzono różne nowe przepisy chroniące prywatność pacjentów. Lockwood Corporation uważa, że powinno się ich przestrzegać.

– Przecież ta kobieta nie żyje. – Mimo to.

– To nie jest kwestia naruszenia tajemnicy lekarskiej. Wiem, że przeszła operację piersi. Chcemy tylko ją zidentyfikować.

– Musi być jakiś inny sposób, pani detektyw.

– Próbowaliśmy go znaleźć, może mi pan wierzyć. Na razie jednak... – Loren wzruszyła ramionami.

– Niestety, to nie zmienia naszego stanowiska.

– Tylko że wasze stanowisko, z całym szacunkiem, wydaje się nieco zmienne, panie Horne.

– Nie jestem pewien, czy panią dobrze rozumiem.

– Chwileczkę. – Loren zaczęła wyciągać z tylnej kieszeni poskładane kartki. – Jadąc tutaj, miałam chwilę czasu i sprawdziłam inne przypadki. Wygląda na to, że w przeszłości wasza firma zawsze współpracowała z przedstawicielami prawa. Ujawniliście nam wasze dane w przypadku zwłok znalezionych w lipcu zeszłego roku w okręgu Somerset. Panu Hamptonowi Wheelerowi, lat sześćdziesiąt sześć, obcięto głowę i palce, aby uniemożliwić identyfikację, ale zabójca

zapomniał o rozruszniku serca. Wasza firma pomogła zidentyfikować ofiarę. Inny przypadek...

– Pani detektyw... Muse, tak?

– Inspektor.

– Pani inspektor. Jestem bardzo zajęty. Proszę się rozgościć. Kiedy nadejdzie nakaz, proszę powiadomić Tiffany.

– Zaraz. – Loren zerknęła na sekretnicę. – Tiffany... To chyba nie jest jej prawdziwe imię, co?

– Pani wybaczy...

– Panie Horne, pan już wie, że nie uzyskałam nakazu i blefowałam.

Randal Horne nic nie powiedział.

Loren spojrzała w dół i zauważyła egzemplarz „Third Branch”. Zmarszczyła brwi i zwróciła się do Horne’a. Tym razem wstała z fotela.

– Pan się nie domyślił, że blefowałam – powiedziała powoli. – Pan to wiedział. Horne cofnął się o krok.

– Choć tak naprawdę – ciągnęła Loren, mówiąc bardziej do siebie niż do niego – to mogła być prawda. Trudno byłoby mi zdążyć, ale mogłam zadzwonić do sędziego federalnego, jadąc tutaj. Taki nakaz to nic skomplikowanego. Każdy sędzia wystawi go w pięć minut. I żaden zdrowy na umyśle sędzia nie odmówiłby, chyba że...

Randal Horne czekał. Niemal jakby miał nadzieję, że ona poskłada te wszystkie fakty.

– Chyba że ktoś na szczeblu federalnym – z FBI lub biura prokuratora federalnego – zamknął panu usta. Horne chrząknął i spojrzał na zegarek. – Naprawdę muszę już iść.

– Wasza firma z początku chętnie współpracowała. Tak powiedział Eldon. Nagle przestała. Dlaczego? Czy zmienilibyście tak nagle zdanie, gdyby nie kazali wam federalni? – Spojrzała mu w oczy. – Dlaczego federalni interesują się tą sprawą?

– To nie nasze zmartwienie – odparł Horne i zaraz przyłożył dłoń do ust, jakby przejęty swoją niedyskrecją. Ich spojrzenia spotkały się i zrozumiała, że oddał jej przysługę. Horne nic więcej jej nie powie. Ale wiedziała już dość.

FBI. To oni zamknęli mu usta.

I być może Loren wiedziała dlaczego.

Wsiadłszy do samochodu, Loren odtworzyła w myślach całą tę rozmowę.

Kogo znała w FBI?

Miała tam kilku znajomych, ale nikogo, kto mógłby jej pomóc w tej sytuacji. Poczła znajomy dreszczyk emocji typu „wpadłam na trop”. To była niewątpliwie duża sprawa. Interesowało się nią FBI. Z jakiegoś powodu chcieli wiedzieć, kto udawał siostrę Mary Rosę. Rozciągali wszędzie zasieki i ustawiali barykady, nawet w firmie produkującej implanty piersi.

Pokiwała głową. Jasne, to tylko spekulacje, ale niepozbawione sensu. Zaczniemy od ofiary: siostra Mary Rosę musiała być zbiegiem lub świadkiem. Kimś ważnym dla biura.

W porządku, dobrze. Dalej.

Dawno temu siostra Mary Rosę (czy jak tam naprawdę się nazywała) zdołała uciec. Trudno powiedzieć jak dawno, ale według słów matki Katherine uczyła w St Margarefs od siedmiu lat. Tak więc co najmniej przed siedmioma laty.

Loren zatrzymała się i rozważyła konsekwencje tego faktu. Siostra Mary Rosę ukrywała się co najmniej od siedmiu lat. Czy federalni szukali jej przez cały ten czas?

To by się zgadzało.

Siostra Mary Rosę ukryła się bardzo, bardzo głęboko. Z pewnością zmieniła tożsamość. Zapewne zrobiła to w Oregonie w tym konserwatywnym klasztorze, o którym wspomniała matka Katherine. Kto wie, jak długo w nim była?

Nieważne. Ważne jest to, że siedem lat temu z jakiegoś powodu postanowiła przenieść się na wschód. Loren zatarła ręce. Och, to dobre.

Tak więc siostra Mary Rosę przenosi się do New Jersey i zaczyna uczyć w St Margarefs. Wszystko świadczy o tym, że jest dobrą nauczycielką i zakonnicą, oddaną pracy i Bogu, wiodącą spokojne życie. Mija siedem lat. Może sądzi, że już jest bezpieczna. A może robi się nieostrożna i nawiązuje kontakt z kimś ze swoich dawnych znajomych. Kto to wie.

Gdzieś, jakoś dopada ją przeszłość. Ktoś dowiaduje się, kim ona jest. A potem ktoś włamuje się do klasztornej celi, torturuje Mary Rosę i dusi poduszką.

Loren przerwała ten łańcuch rozważań, niemal jakby chciała uczcić pamięć zamordowanej minutą ciszy. W porządku, pomyślała, co teraz? Musiała wydobyć informacje od federalnych. – Jak?

Przychodziło jej do głowy tylko klasyczne *qui pro quo*: dać im coś w zamian. Tylko co miała?

Na przykład Matta Huntera.

Federalni byli pewnie dzień lub dwa za nią. Czy sprawdzili już rejestr rozmów telefonicznych? Wątpliwe. A jeśli to zrobili, jeżeli wiedzieli o telefonie do Marshy Hunter, czy odkryli już powiązanie z Mattem Hunterem?

Bardzo wątpliwe.

Loren wyjechała na autostradę i chwyciła telefon komórkowy. Nie działał. Przeklęła to dziadostwo. Największym z kłamstw – obok „przyślemy czek” i „cieszymy się, że pani zadzwoniła” – jest podawany przez producenta czas pracy baterii. Jej miała wystarczyć na tydzień czuwania. Loren miała szczęście, jeśli to cholerstwo działało trzydzieści sześć godzin.

Otworzyła schowek na rękawiczki i wyjęła ładowarkę. Jeden koniec przewodu wetknęła do gniazdka zapalniczki, drugi do aparatu. Wyświetlacz ciekłokrystaliczny komórki ożył i poinformował ją, że ma trzy nieodebrane wiadomości, pierwsza była od matki.

– Cześć, kochanie – powiedziała mama dziwnie czułym głosem. Był to jej oficjalny ton, ten,

którym zazwyczaj posługiwała się, kiedy ktoś mógł ją usłyszeć i ocenić jej macierzyńskie zdolności. – Pomyślałam, że zamówię dla nas pizzę u Renato's i wypożyczę płytę w Blockbuster. Ten nowy film z Russelem Crowe jest już na DVD. No, nie wiem, może zrobimy sobie babski wieczór, we dwie. Chcesz?

Loren pokręciła głową, usiłując zachować spokój, ale łzy cisnęły się jej do oczu. Jej mama. Ilekroć próbowała spisać ją na straty, wykreślić ze swojego życia, żywić do niej urazę, obwinić raz na zawsze o śmierć taty, matka wyskakiwała z czymś tak zaskakującym, co powstrzymywało Loren.

– Tak – szepnęła Loren. – Bardzo bym chciała.

Druga i trzecia wiadomość przekreśliły taką możliwość. Obie były od jej szefa, prokuratora okręgowego Eda Steinberga. Były krótkie i rzeczowe. Pierwsza brzmiała: „Zadzwoń. Zaraz”. Druga była dłuższa: „Gdzie jesteś, do diabła? Zadzwoń do mnie. Obojętnie, o której godzinie. Szykują się kłopoty”.

Ed Steinberg nie należał do ludzi skłonnych do przesady i odbierania telefonów o każdej porze. Pod tym względem był bardzo konserwatywny. Loren miała gdzieś zapisany numer jego domowego telefonu, niestety, nie przy sobie – ale nigdy z niego nie korzystała. Steinberg nie lubił być niepokojony po godzinach. Jego motto brzmiało: trzeba żyć, to może poczekać. Zwykle o piątej opuszczał biuro, a nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go tam po szóstej.

Teraz była szósta trzydzieści. Loren postanowiła najpierw zadzwonić do biura. Może jest tam jeszcze Thelma, jego sekretarka. Ona będzie wiedziała, jak się z nim skontaktować. Po pierwszym dzwonku telefon odebrał sam Ed Steinberg.

To nie wróżyło dobrze.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Wracam z Delaware.

– Podjedź prosto do biura. Mamy problem.

LAS VEGAS, NEVADA

KWATERA FBI JOHN LAWRENCE BAILEY BUILDING BIURO DYREKTORA

Dla Adama Yatesa ten dzień zaczął się zupełnie zwyczajnie. A przynajmniej chciał w to wierzyć. W pewnym sensie żaden dzień nie był dla Yatesa taki sam jak inne – przynajmniej przez ostatnich dziesięć lat. Każdy wydawał się darowanym, w tym wiecznym oczekiwaniu, aż spadnie przysłowiowy topór. Nawet teraz, kiedy większość trzeźwo myślących ludzi uznałaby, że udało się naprawić dawne błędy, dręczący strach wciąż tkwił gdzieś w głębi jego podświadomości.

Yates był wtedy młodym agentem działającym pod przykrywką. Teraz, dziesięć lat później, zajmował jedno z kierowniczych stanowisk w FBI jako agent specjalny kierujący działaniami biura na terenie całej Nevady. Systematycznie awansował. I przez cały ten czas nic nie zapowiadało kłopotów. Tak więc kiedy tego ranka wybierał się do pracy, wydawał się, że będzie to kolejny dzień jak co dzień. Gdy jednak do gabinetu wszedł jego główny doradca Cal Dollinger, chociaż od prawie dziesięciu lat nie rozmawiali o tamtym incydencie, jakaś nieuchwytna zmiana wyrazu twarzy starego przyjaciela powiedziała mu, że oto nadszedł ten dzień, do którego prowadziły wszystkie poprzednie.

Yates zerknął na stojącą na biurku fotografię. Rodzinne zdjęcie – on, Bess i troje dzieci. Dziewczynki były teraz nastolatkami, a na to żaden rodzaj szkolenia nie jest w stanie przygotować ojca. Yates nie podniósł się z fotela. Miał sobie swój zwykły strój: ubranie khaki, buty noszone na gołych stopach i jaskrawą koszulkę polo.

Cal Dollinger stanął przed jego biurkiem i czekał. Cal był olbrzymi – miał dwa metry wzrostu i ważył prawie sto czterdzieści kilo. Adam i Cal znali się od dawna. Poznali się jako ośmioletni chłopcy w trzeciej klasie szkoły podstawowej w Collingwood, której wychowawczynią była pani Colbert. Niektórzy mówili na nich Lenny i George, porównując do postaci z książki Steinbecka Myszki i ludzie. Może tkwiła w tym odrobina prawdy, gdyż Cal był ogromny i niewiarygodnie silny, ale podczas gdy książkowy Lenny był delikatny, Cal na pewno nie. Był jak skała, ze względu na swoją siłę fizyczną i brak wszelkich uczuć. Istotnie mógłby zabić króliczka, głaszcząc go, ale wcale by się tym nie przejął.

Mimo to łączyła ich silna więź. Tak się dzieje, kiedy tyle z kimś przejdiesz, kiedy tyle razy wyciągacie się nawzajem z opałów. Niewątpliwie Cal potrafił być okrutny. Jednak jak u większości gwałtownych ludzi była to po prostu kwestia postrzegania rzeczy w kategoriach czerni i bieli. Tych objętych niewielką białą strefą – jego żonę, dzieci, Adama i jego rodzinę – broniłby do ostatniego tchnienia. Reszta świata była czarna i martwa, jak odległe i ciemne tło.

Adam Yates czekał, ale Cal się niecierpliwił.

– Co jest? – zapytał w końcu Adam.

Cal omiółt wzrokiem pokój. Bał się podsłuchów.

– Ona nie żyje – rzekł.

– Która?

– Starsza.

– Jesteś pewien?

– Jej ciało znaleziono w New Jersey. Zidentyfikowaliśmy je po numerze seryjnym implantów piersi. Była zakonnicą.

– Żartujesz.

Cal nie uśmiechnął się. Nigdy tego nie robił.

– A co z... – Yates nawet nie chciał wymawiać imienia Clyde'a. – Z nim? Cal wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– A kasetą?

Cal pokręcił głową. Tak jak Yates się spodziewał. To nie skończy się tak łatwo. Nigdy się nie skończy. Jeszcze obrzucił spojrzeniem zdjęcie żony i dzieci. Popatrzył na swój przestronny gabinet, listy pochwalne na ścianach, stojąca na biurku tabliczkę z nazwiskiem. Wszystko to – jego rodzina kariera, całe życie – wydawało się teraz ulotne jak dym.

– Powinniśmy pojechać do New Jersey – powiedział.

Sonya McGrath ze zdziwieniem usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Tego dnia, ponad dziesięć lat od śmierci syna, zdjęcia Stephena wciąż stały w tych samych ramach na tych samych stolikach pod ścianami. Oczywiście doszły inne zdjęcia. Kiedy Michelle, najstarsza córka Soni, w zeszłym roku wyszła za mąż, robiono zdjęcia. Niektóre z nich, oprawione w ramki, wisiały nad kominkiem. Nigdy jednak nie schowano żadnego ze zdjęć Stephena. Mogli spakować i rozdać jego rzeczy, inaczej pomalować pokój, oddać jego ubrania organizacji charytatywnej, sprzedać jego samochód, ale Sonya i Clark nigdy nie tknęłyby tych zdjęć.

Jej córka Michelle, jak wiele panien młodych, postanowiła zrobić grupowe zdjęcie przed ceremonią zaślubin. Pan młody, miły chłopak imieniem Jonathan, pochodził z bardzo licznej rodziny. Wszyscy chcieli robić zdjęcia. Sonya i Clark cierpliwie pozowali: z córką, z córką i przyszłym zięciem, z rodzicami Jonathana oraz panną młodą i panem młodym, nie chcieli tylko ujęcia, które fotograf nazwał „rodzinnym zdjęciem McGrathów”, na którym byłiby Sonya, Clark, Michelle i Cora, młodsza siostra Michelle, ponieważ każde z nich nawet w tym radosnym dniu widziałooby tę ogromną pustkę na zdjęciu rodzinnym, do której Stephen wciąż należał.

Tego wieczoru w wielkim domu panowała cisza. Tak było, od kiedy Cora poszła na studia. Clark znów „pracował po godzinach” – co było eufemizmem oznaczającym sypianie z tą wywłoką – ale Sonya tym się nie przejmowała. Nie kwestionowała jego wykrętów, ponieważ ich dom stawał się jeszcze bardziej pusty i cichy, kiedy Clark w nim przebywał. Sonya zakołysała brandy w koniakówce. Siedziała sama w nowym pokoju telewizyjnym, po ciemku, szykując się do oglądania filmu na DVD. Pożyczyła coś z Tomem Hanksem – jego obecność, nawet w kiepskich filmach, dziwnie ją uspokajała – ale jeszcze nie dotknęła klawisza odtwarzania. Boże, pomyślała, czy naprawdę jestem taka żałosna? Sonya zawsze była powszechnie lubiana. Miała wielu prawdziwych i wspaniałych przyjaciół. Łatwo można by ich winić, powiedzieć, że powoli odsunęli się od niej po śmierci Stephena, że próbowali spełnić swój obowiązek, ale nie mogli tego znieść; w każdym razie pod takim czy innym pretekstem stopniowo kontakty się rozluźniały.

Jednak takie podejście byłoby dla nich krzywdzące. Może w pewnej bardzo niewielkiej części była to prawda – z pewnością czuli się trochę nieswojo – ale wina leżała raczej po stronie Soni niż jej przyjaciół. Odepchnęła ich od siebie. Nie chciała pocieszeń. Nie pragnęła towarzystwa, przyjaźni ani współczucia. Nie chciała też być przygnębiona, lecz może była to najłatwiejsza, a więc i najlepsza możliwość. Otworzyły się drzwi frontowe.

Sonya włączyła lampę, stojącą obok kanapy. Na zewnątrz panował mrok, ale w tym dusznym pokoju nie miało to żadnego znaczenia. Rolety nie wpuszczały tu światła. Usłyszała kroki na

marmurowych płytach foyer, a potem na polerowanym dębowym parkiecie. Zbliżały się. Czekają.

Po chwili do pokoju wszedł Clark. Nic nie powiedział, tylko stanął w progu. Przyjrzała mu się. Jej mąż wyglądał dziwnie staro, a może po prostu od dawna nie przyglądała się mężczyźnie, za którego wyszła. Zdecydował, że nie chce szacownej siwizny, i zaczął farbować włosy. Ufarbował je bardzo starannie – wszystko robił starannie – ale i tak nie wyglądały naturalnie. Jego skóra miała barwę popiołu. Wydawał się chudszy.

– Właśnie miałam puścić film – powiedziała. Patrzył na nią.

– Clark?

– Ja wiem – odezwał się.

Nie miał na myśli tego, że zamierzała oglądać film. Mówił o czymś zupełnie innym. Sonya nie prosiła, żeby to sprecyzował. Nie musiała. Siedziała zupełnie nieruchomo.

– Wiem o twoich wizytach w muzeum – ciągnął. – Wiem o tym od dawna.

Sonya zastanawiała się, co odpowiedzieć. Odpowiedź, „ja też wiem, co robisz” sama się nasuwała, ale byłaby zbyt oczywista i całkowicie nieistotna. Nie chodziło o romans.

Clark stał ze spuszczonej rękami i nerwowo poruszał palcami.

– Od jak dawna wiesz? – zapytała.

– Od kilku miesięcy.

– No to czemu do tej pory nic nie mówiłeś? Wzruszył ramionami.

– Jak się dowiedziałeś?

– Kazałem cię śledzić.

– Śledzić? Chcesz powiedzieć, że wynajęłeś prywatnego detektywa?

– Tak.

Założyła nogę na nogę.

– Dlaczego? – Odrobinię podniosła głos, urażona tą dziwną zdradą. – Myślałeś, że sypiam z kimś?

– On zabił Stephena.

– To był wypadek.

– Naprawdę? Tak ci mówi, kiedy jecie razem lunch? Czy omawiasz z nim, jak przypadkowo zabił mojego syna?

– Naszego syna – poprawiła go.

Wtedy spojrzał na nią takim wzrokiem, jakim jeszcze nigdy na nią nie patrzył.

– Jak mogłaś?

– Jak mogłam co?

– Spotykać się z nim. Wybaczyć mu...

– Nigdy niczego mu nie wybaczałam.

– No to uspokajać.

– Wcale nie o to chodzi.

– No to o co?

– Nie wiem. – Sonya wstała. – Clark, posłuchaj: to, co się stało ze Stephenem, to był wypadek. Prychnął pogardliwie.

– W ten sposób się pocieszasz, Sonyu? Mówiąc sobie, że to był wypadek?

– Pocieszam się? – Przeszedł ją zimny dreszcz. – Nie ma dla mnie pociechy, Clark. Ani na sekundę. Wypadek, morderstwo. Tak czy inaczej Stephen nie żyje.

Nic nie odpowiedział.

– To był wypadek, Clark.

– Przekonał cię, tak?

– Prawdę mówiąc, wprost przeciwnie.

– A co to ma znaczyć?

– On już sam nie wie. Ma ogromne poczucie winy.

– Biedaczek. – Clark skrzywił się. – Jak możesz być taka naiwna?

– Pozwól, że o coś cię zapytam – powiedziała Sonya, podchodząc bliżej. – Gdyby upadli inaczej, pod innym kątem, albo gdyby Stephen obrócił się i to Matt Hunter uderzył głową o krawężnik...

– Nie zaczynaj gdybać.

– Nie, Clark, wysłuchaj mnie. – Podeszła jeszcze krok. – Gdyby stało się inaczej i to Matt Hunter został zabity, a Stephen upadł na niego...

– Nie jestem w nastroju, żeby bawić się w teoretyzowanie, Sonyu. To nie ma żadnego znaczenia.

– Może dla mnie ma.

– Dlaczego? – skontrował Clark. – Czy sama nie powiedziałaś, że tak czy inaczej Stephen nie żyje?

Milczała.

Clark przeszedł przez pokój, omijając ją tak, że nawet się o nią nie otarł. Opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Czekala.

– Czy pamiętasz tę kobietę z Teksasu, która utopiła swoje dzieci? – zapytał.

– A co to ma z tym wspólnego?

– Po prostu... – Na moment zamknął oczy. – Po prostu wysłuchaj mnie, dobrze? Czy pamiętasz ją? Przpracowana matka utopiła swoje dzieci w wannie. Zdaje się, że było ich czworo lub pięcioro. Okropna historia. Obrona wносиła o uznanie jej za niepoczytalną. Jej mąż ujmował się za nią. Pamiętasz, jak podawano to w wiadomościach?

– Tak.

– I co o tym myślałaś?

Nic nie powiedziała.

– Powiem ci, co ja pomyślałem – ciągnął. – Pomyślałem: kogo to obchodzi? Nie chcę, żeby to zabrzmiało nieczule. Pomyślałem: co za różnica? Czy ta matka zostanie uznana za szaloną i spędzi następne pięćdziesiąt lat w domu wariatów, czy za winną i spędzi resztę swoich dni w więzieniu lub w celi śmierci – co za różnica? Tak czy inaczej zabiła własne dzieci. Jej życie się skończyło, no nie?

Sonya zamknęła oczy.

– Dla mnie tak jest z Mattem Hunterem. On zabił naszego syna. Czy zrobił to rozmyślnie, czy przypadkowo, nieważne, ja wiem tylko, że nasz syn nie żyje. Reszta nie ma znaczenia. Rozumiesz?

Lepiej niż kiedykolwiek się dowie.

Sonya poczuła, że łzy płyną jej z oczu. Spojrzała na męża. Clark tak cierpiał. Po prostu idź, chciała mu powiedzieć. Zatop się w swojej pracy, w kochance, w czymkolwiek. Tylko idź.

– Nie próbuję cię zranić – powiedziała. Kiwnął głową.

– Chcesz, żebym przestała się z nim widywać? – zapytała.

– A miałyby to jakieś znaczenie, gdybym chciał?

Nie odezwała się.

Clark wstał i opuścił pokój. Po kilku sekundach Sonya usłyszała, jak zamykają się frontowe drzwi, ponownie pozostała zupełnie sama.

Drogę powrotną z Wilmington w stanie Delaware do Newark Loren Muse pokonała szybciej, niż gdy jechała w przeciwną stronę. Ed Steinberg był sam w swoim gabinecie na trzecim piętrze nowego gmachu sądu okręgowego.

– Zamknij drzwi – powiedział jej szef.

Steinberg wyglądał nieporządnie – poluzowany krawat, rozpięty guzik pod szyją, jeden rękaw podwinięty wyżej od drugiego – lecz właściwie był to jego normalny wygląd. Loren lubiła Steinberga. Był sprytny i grał fair. Nienawidził politykierstwa, ale rozumiał, że w tej pracy czasem jest konieczne. I umiał to robić.

Zdaniem Loren jej szef pasowałby na seksownego, niedźwiedzioatego weterana z Wietnamu, jeżdżącego na harleyu. Oczywiście, Steinberg był żonaty i miał dwoje dzieci w college'u. Wyświechtane, lecz prawdziwe: ci najlepsi zawsze są już zajęci.

Kiedy Loren była młoda, matka ostrzegała ją, żeby się nie spieszyła. „Nie wychodź za wcześniej za męża” – bełkotała przez alkoholowy opar. Loren nigdy świadomie nie stosowała się do tej rady, ale po pewnym czasie uświadomiła sobie, że to idiotyzm. Dobrzy mężczyźni, ci chcący się zadeklarować i wychowywać dzieci, byli zagarniani szybko. W miarę upływu lat ich pula stawała się coraz mniejsza. Teraz Loren musiała się zadowolić tym, co jedna z jej przyjaciółek nazywała „odzyskiem” – otyłymi rozwodnikami, nadrabiającymi lata miłosnych niepowodzeń w szkole lub wciąż przeżywającymi porażkę pierwszego małżeństwa, albo tymi niemal porządnymi facetami, co chcieli mieć – a czemu nie? – jakąś młodą kobietą, która by ich podziwiała.

– Co robiłaś w Delaware? – zapytał Steinberg.– Sprawdzalam ślad, który może nam pomóc w ustaleniu tożsamości naszej zakonnicy.

– Myślisz, że ona jest z Delaware?

– Nie.

Loren pospiesznie wyjaśniła sprawę numeru seryjnego implantu, początkową chęć współpracy, później opór i rolę federalnych. Steinberg gładził wąsy, jakby były domowym zwierzątkiem. Kiedy skończyła mówić, powiedział:

– Dyrektorem FBI na tym terenie jest niejaki Pistillo. Zadzwoń do niego rano i posłucham, co ma do powiedzenia.

– Dziękuję.

Steinberg znów pogładził wąsy. Wyglądał na zmęczonego.

– W tej sprawie chciałeś się ze mną widzieć? – zapytała. – Siostry Mary Rose?

– Tak.

– I co?

– Chłopcy z daktyloskopii sprawdzili jej pokój.

– Wiem.

– Znaleźli osiem kompletów odcisków – rzekł. – Jedne należały do siostry Mary Rosę. Sześć innych do różnych sióstr i pracowników St Margarefs. Na wszelki wypadek przepuściliśmy je przez bazę danych, sprawdzając, czy ktoś z nich nie był już notowany.

Zamilkł.

Loren podeszła do biurka i usiadła.

– Zakładam – powiedziała – że ten ósmy komplet to strzał w dziesiątkę?

– Owszem. – Napotkał jej spojrzenie. – Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem. Rozłożyła ręce.

– Cała zamieniam się w słuch.

– Te odciski należały do Maksa Darrowa.

Czekała, aż powie coś więcej. Kiedy wciąż milczał, zapytała.

– Zakładam, że ten Darrow był notowany? Ed Steinberg powoli pokręcił głową.

– Nie.

– No to jak zdołaliście to ustalić?

– Był funkcjonariuszem służby publicznej.

Loren usłyszała dzwoniący w oddali telefon. Nikt go nie odbierał. Steinberg wyciągnął się w swoim wielkim skórzanym fotelu. Podniósł brodę i spojrzał w sufit.

– Max Darrow jest nietutejszy – powiedział.

– Ach tak?

– Mieszkał w Raleigh Heights w Nevadzie. To niedaleko Reno.

Loren zastanawiała się przez moment.

– Reno to spory kawałek drogi od katolickiej szkoły w East Orange w New Jersey.

– Istotnie. – Steinberg wciąż patrzył w sufit. – Był jednym z nas.

– Darrow był policjantem? Skinął głową.

– Emerytowanym. Detektyw Max Darrow. Przez dwadzieścia pięć lat pracował w wydziale zabójstw w Vegas.

Loren próbowała dopasować to do swej wcześniejszej teorii, że siostra Mary Rosę ukrywała się. Może była z okolic Vegas lub Reno. Może kiedyś natknęła się na tego Maksa Darrowa.

Następny krok wydawał się oczywisty.

– Musimy zlokalizować tego Maksa Darrowa.

– Już to zrobiliśmy – powiedział cicho Ed Steinberg.

– Jak to?

– Darrow nie żyje.

Ich spojrzenia spotkały się i znów coś zaskoczyło na miejsce. Niemal zobaczyła Trevora

Wine'a podciągającego spodnie. Jak jej wyniosły kolega opisał ofiarę morderstwa?

Ofiarą był biały emeryt.

Steinberg kiwnął głową. – Znaleźliśmy ciało Darrowa w Newark, w pobliżu tego cmentarza przy Czternastej Alei. Dostał dwie kule w głowę.

W końcu zaczęło padać.

Matt Hunter wytoczył się z Landmark, baru z grillem, po czym skierował się z powrotem ku Northfield Avenue. Nikt go nie śledził. Było późno i ciemno, a on był pijany, ale to nie miało znaczenia. Zawsze znasz ulice dzielnicy, w której się wychowałeś.

Skreślił w prawo w Hillside Avenue. Po dziesięciu minutach znalazł się na miejscu. Tabliczka informacyjna wciąż była przed domem, głosząc ZAREZERWOWANE. Za kilka dni ten dom będzie należał do niego. Usiadł na krawężniku i patrzył. Krople deszczu wielkości czereśni spadały mu na głowę i ramiona.

Deszcz przypomniał mu więzienie. Zmieniał świat w szary, ponury, bezkształtny. Deszcz miał kolor asfaltu. Od kiedy Matt skończył szesnaście lat, używał szkieł kontaktowych – miał je i teraz – ale w więzieniu nosił okulary i często je zdejmował. To jakby pomagało, zmieniało więzienne otoczenie w rozmazaną, jeszcze bardziej anonimową szarość.

Wpatrywał się w dom, który zamierzał kupić – „z dachem jak przykrywka solniczki”, jak głosił anons. Niebawem wprowadzi się tu z Olivią, swoją piękną ciężarną żoną, i będą mieli dziecko. Potem zapewne więcej dzieci. Olivia chciała mieć troje.

Od frontu jeszcze nie było ogrodzenia ze sztachet, ale to da się zrobić. Piwnica była niewykończona, ale Matt dobrze sobie radził z narzędziami. Huśtawka za domem była stara i zardzewiała, więc trzeba ją będzie wyrzucić. Chociaż nowej nie kupią wcześniej niż za dwa lata, Olivia już zdecydowała, jakiej ma być firmy – i z cedrowego drewna, ponieważ z niego nie wejdzie drzazga.

Matt usiłował zobaczyć to wszystko, tę przyszłość. Próbował sobie wyobrazić trzypokojowy dom z kuchnią wymagającą remontu, trzaskające polana w kominku, śmiechy przy stole, dziecko pakujące się do ich łóżka, wystraszone przez zły sen, twarz Olivii z rana. Niemal to zobaczył, jakby jeden z duchów Scrooge'a pokazywał mu drogę, i przez sekundę prawie się uśmiechnął.

Jednak ten obraz zaraz znikł. Matt potrząsnął głową. Kogo chciał oszukać?

Nie miał pojęcia, co się działo z Olivią, ale jedno wiedział na pewno: to koniec. Koniec bajki. Jak powiedziała Sonya McGrath, obrazy w kamerze obudziły go, przywróciły do rzeczywistości, jak głos wołający: „To wszystko było tylko żartem!”, chociaż w głębi duszy zawsze to wiedział. Nie ma powrotu.

Stephen McGrath nigdy go nie opuści. Ilekroć Matt próbował się od niego uwolnić, martwy Stephen tam był – dopadał go znienacka i klepał w ramię.

Jestem tu, Matt. Wciąż przy tobie... Siedział na deszczu. Leniwie zastanawiał się, która godzina?. Nieważne. Myślał o przekętym zdjęciu Charlesa Talleya, o tym tajemniczym kruczowłosym mężczyźnie, o jego szyderyczy szepcie w słuchawce telefonu. Po co? Tego Matt

nie mógł zrozumieć ani wybaczyć. Pijany czy trzeźwy, w ciepłym domu czy w ulewnym deszczu, który spadł po tylu dniach... I w tym momencie przypomniał sobie. Deszcz. Matt odwrócił się i spojrział w niebo, zachęcając chmury. Deszcz. Wreszcie. Padał deszcz. Susza zakończyła się wrą z tą silną burzą.

Czy odpowiedź mogła być taka prosta? Zastanowił się nad tym. Przede wszystkim powinien wrócić do domu. Powinien zadzwonić do Cingle. Nieważne, że jest późno. Ona zrozumie.

– Matt?

Nie słyszał, jak zatrzymał się ten samochód, ale ten głos, nawet teraz, nawet w tej sytuacji... No cóż, Matt mimo woli się uśmiechnął. Nie ruszył się z krawężnika.

– Cześć, Lance.

Matt podniósł głowę, gdy Lance Banner wysiadł z minivana.

– Słyszałem, że mnie szukasz – powiedział Lance.

– Szukałem.

– Dlaczego?

– Chciałem się z tobą bić. Teraz uśmiechnął się Lance.

– Nie radzę.

– Myślisz, że się ciebie boję?

– Tego nie powiedziałem.

– Skopałbym ci tyłek.

– Co tylko by dowiodło, że miałem rację.

– W czym?

– W tym, że więzienie zmienia człowieka – powiedział Lance. – Ponieważ zanim cię zamknęli, pokonałbym cię nawet połamanymi rękami.

Miał trochę racji. Matt nadal siedział na krawężniku. Był wyczerpany i nie podobało mu się to.

– Wszędzie cię pełno, Lance.

– Staram się.

– I tak cholernie się starasz. – Matt pstryknął palcami. – Hej, Lance, wiesz, kogo mi teraz przypominasz? Tę Blokującą Mamuškę.

Lance nic nie powiedział.

– Pamiętasz tę Blokującą Mamuškę z Hobart Gap Road? – zapytał Matt.

– Panią Sweeney.

– Właśnie. Panią S. Zawsze wyglądała przez okno, o każdej porze. Z kwaśnym grymasem na gębie, wiecznie narzekająca na dzieciaki, które skracają sobie drogę przez jej podwórze. – wskazał na niego palcem. – Jesteś taki sam, Lance, jak wielka Blokująca Mamuška.

– Piłeś, Mat?

– Taa. Czy to jakiś problem?

– Sam w sobie nie.

– Dlaczego więc tak się starasz, Lance? Wzruszył ramionami.

– Po prostu próbuję trzymać złych facetów z daleka od tego miejsca.

– I myślisz, że możesz? Lance nie odpowiedział.

– Naprawdę sądzisz, że twoje minivany i dobre szkoły są, sam nie wiem, jakimś polem siłowym powstrzymującym zło? – Matt roześmiał się odrobinę zbyt głośno. – Do diabła, Lance, spójrz na mnie, jak rany. Jestem idealnym przykładem tego, że to głupie gadanie. Powinienem brać udział w waszych pogadankach ostrzegawczych dla nastolatków, no wiesz, takiej jak ta, kiedy byliśmy w szkole średniej i gliniarze kazali nam oglądać jakiś samochód rozbity przez pijanego kierowcę. Ja też powinienem być takim przykładem. Jednym z ostrzeżeń dla nastolatków. Tylko nie jestem pewien, przed czym.

– Na przykład, żeby nie wdawać się w bójki.

– Nie wdawałem się w bójki. Próbowałem przerwać jedną. Lance powstrzymał westchnienie.

– Chcesz przeprowadzić ponownie proces na tym deszczu, Matt?

– Nie.

– To dobrze. No to może podwiozę cię do domu?

– Nie zamierzasz mnie aresztować?

– Może innym razem.

Matt po raz ostatni spojrział na dom.

– Może masz rację.

– Co do czego?

– Tego, gdzie moje miejsce.

– Chodź, Matt. Jest mokro. Odwiozę cię do domu.

Lance stanął za nim. Wsunął mu ręce pod pachy i podniósł. Był silny. Matt chwiejnie stanął na nogach. Kręciło mu się w głowie. Burczało w żołądku. Lance usadził go z przodu samochodu.

– Jak się pochorujesz w moim samochodzie – ostrzegł – to pożałujesz, że cię nie aresztowałem.

O, twardziel.

Odrobinę uchylił okno, wystarczająco, by wpuścić świeże powietrze, ale nie deszcz. Trzymał nos tuż przy tej szparze, jak pies. Pomogło. Zamknął oczy i oparł głowę o szybę. Pod policzkiem poczuł zimne szkło.– Skąd ten atak pijaństwa, Matt?

– Miałem ochotę się napić.

– Często ci się to zdarza? Upijać i robić głupoty?

– Jesteś też doradcą Anonimowych Alkoholików, Lance? No wiesz, oprócz etatu Blokującej Mamuśki? Lance pokiwał głową.

– Masz rację. Zmieńmy temat.

Deszcz trochę zelżał. Wycieraczki odrobinę zwolniły. Lance trzymał obie ręce na kierownicy.

– Moja najstarsza córka ma trzynaście lat. Uwierzysz?

– Ile masz dzieci, Lance?

– Troje. Dwie dziewczynki i chłopca. – Zdjął jedną rękę z kierownicy i sięgnął po portfel. Wyjął z niego trzy fotografie i wręczył je Mattowi. Ten obejrzał je, jak zawsze szukając podobieństwa do rodzica. – Ten chłopak. Ile ma lat?

– Sześć.

– Wygląda tak jak ty w jego wieku. Lance uśmiechnął się.

– Devin. Nazywamy go Devil. To istny szatan.

– Jak jego stary.

– Chyba tak.

Zamilkli. Lance wyciągnął rękę, żeby włączyć radio, ale zrezygnował.

– Moja córka. Ta najstarsza. Zastanawiam się, czy nie wysłać jej do katolickiej szkoły.

– Teraz jest w Heritage?

Heritage to szkoła średnia, do której obaj uczęszczali.

– Tak, ale nie wiem, jest trochę niesforna. Słyszałem, że St Margarefs w East Orange podobno jest niezła. Matt spoglądał przez okno.

– Wiesz coś o tym?

– O katolickiej szkole?

– Tak. Albo o St Margarefs.

– Nie.

Lance znów trzymał obie dłonie na kierownicy.

– A wiesz, kto tam chodził?

– Gdzie chodził?

– Do St Margarefs.

– Nie.

– Pamiętasz Loren Muse?

Matt pamiętał. Tak to jest z tymi, z którymi chodziłeś do szkoły podstawowej, nawet jeśli już nigdy nie spotkałeś ich po jej ukończeniu. Natychmiast przypominasz sobie nazwisko i twarz.

– Pewnie. Dzika kotka, trzymała się z nami przez jakiś czas. Potem gdzieś znikła. Jej ojciec umarł, kiedy byliśmy mali, zgadza się?

– Nic nie wiesz?

– O czym?

– Jej stary popełnił samobójstwo. Palnął sobie w łeb w garażu, kiedy była w ósmej klasie.

Trzymali to w tajemnicy.

– Boże, to okropne.

– Tak, ale nieźle sobie radzi. Teraz pracuje w biurze prokuratora okręgowego w Newark.

– Jest prawnikiem?

Lance przecząco pokręcił głową.

– Inspektorem. Jednak po tym, co się stało z jej ojcem... No cóż, ona też miała trudny okres.

Chyba pomogła jej St Margarefs. – Ty nie znasz nikogo, kto chodziłby do tej szkół – Lance?

– Tak?

– Twoje subtelne próby. Nie wychodzą ci. O co właściwie chcesz mnie zapytać?

– Pytam, czy wiesz coś o St Margarefs.

– Chcesz, żebym napisał twojej córce list polecający?

– Nie.

– To czemu zadajesz mi te pytania?

– A co z siostrą Mary Rosę? Uczyła tam socjologii – Znasz ją?

Matt obrócił się twarzą do Lance'a.

– Czy jestem podejrzany o jakieś przestępstwo?

– Co takiego? Po prostu przyjacielsko sobie gawędzimy.

– Nie słyszę zaprzeczenia, Lance.

– Musisz mieć naprawdę nieczyste sumienie.

– A ty wciąż unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

– Nie chcesz mi powiedzieć, skąd znałeś siostrę Mary Rosę? Matt zamknął oczy. Byli już niedaleko Irvington. Znów oparł głowę o zagłówek.

– Opowiedz mi jeszcze coś o swoich dzieciach, Lance.

Lance milczał. Matt zamknął oczy i słuchał deszczu. To przypomniało mu, o czym myślał, zanim pojawił się Lance Banner. Powinien jak najszybciej zadzwonić do Cingle.

Niewykluczone, choć to zabrzmiało dziwnie, że deszcz mógł wyjaśnić, co Olivia robiła w tym pokoju hotelowym.

Matt podziękował Lance'owi za podwiezienie i patrzył, jak ten odjeżdża.

Gdy tylko minivan znikł mu z oczu, wszedł do środka, chwycił telefon i zaczął wybierać numer Cingle. Sprawdził godzinę. Była prawie jedenasta. Miał nadzieję, że ona jeszcze jest na nogach, ale nawet jeżeli śpi, to cóż, kiedy jej wyjaśni, zrozumie.

Telefon zadzwonił cztery razy, a potem włączył się krótki komunikat głosowy Cingle:

– Ja. Ty. Mów.

Niech to szlag.

Zostawił jej wiadomość: „Zadzwoń do mnie, to pilne”. Nacisnął klawisz „innych opcji” i wpisał numer swojego domowego telefonu. Może Cingle zauważy.

Chciał załadować obrazy z wideotelefonu na twardego dysku, ale jak głupek zostawił przewód USB w pracy. Poszukał w pokoju komputerowym kabla, który był na wyposażeniu telefonu Olivii, ale nie znalazł.

Dopiero wtedy zauważył mruganie automatycznej sekretarki. Podniósł ją i nacisnął klawisz odtwarzania. Była tylko jedna wiadomość i po całym tym dniu wcale go nie zaskoczyła.

Matt, tu Loren Muse. Jestem inspektorem w biurze prokuratora okręgu Essex. Zналиśmy się wieki temu, w Burnett Hill – Mógłbyś zadzwonić do mnie jak najszybciej?

Zostawiła dwa numery telefonów – biurowego i komórkowego.

Matt odłożył telefon na widełki. A zatem Lance próbował wyprzedzić swoją koleżankę z biura prokuratora. A może pracowali razem. Nieważne. Zastanawiał się, o co może chodzić. Lance mówił coś o St Margarefs z East Orange. Coś o jakiejś zakonnicy.

Co to mogło mieć z nim wspólnego?

Na pewno nic dobrego.

Nie miał ochoty na domysły. Nie chciał również dać się zaskoczyć nieprzygotowany. Tak więc poszedł do pokoju komputerowego i włączył klasyczne przeszukiwanie za pomocą Google'a.

Poszukał St Margarefs w East Orange i otrzymał zbyt wiele odpowiedzi. Spróbował sobie przypomnieć, jak nazywała się ta zakonnica. Siostra Mary jakaś tam. Dodał to do ciągu znaków. „Siostra Mary”, „St Margarefs” i „East Orange”.

Brak sensownych wyników.

Usiadł prosto i zaczął się zastanawiać. Nic nie przychodziło mu do głowy. Nie oddzwoni do Loren. Jeszcze nie. To może poczekać do rana. Może powie, że był pijany – Lance to potwierdzi – i zapomniał sprawdzić wiadomości.

Zaczął rozjaśniać mu się w głowie. Zastanawiał się nad następnym posunięciem. Chociaż był w domu sam, sprawdził korytarz i zamknął drzwi pokoju. Potem otworzył szafę, sięgnął na

samo dno i wyjął stalową kasetkę. Zamek szyfrowy otwierał się po ustawieniu 878, ponieważ kombinacja cyfr nie miała absolutnie żadnego związku z jego życiem. Wymyślił ją tylko w tym celu.

W kasetce znajdował się pistolet.

Matt popatrzył na broń. Półautomatyczny mauser M2. Matt kupił go na ulicy – co nie jest takie trudne – kiedy wyszedł z więzienia. Nie mówił o tym nikomu – ani Berniemu, ani Olivii, ani Soni McGrath. Sam nie wiedział, dlaczego kupił ten pistolet. Można by przypuszczać, że z własnego doświadczenia powinien wiedzieć, jakie to niebezpieczne. I chyba wiedział, tylko wyciągnął niewłaściwe wnioski. Teraz, kiedy Olivia miała urodzić dziecko, powinien pozbyć się tej broni. Nie był jednak pewien, czy zdoła to zrobić.

System więziennictwa ma wielu krytyków. Przeważnie związane z nim problemy są zupełnie oczywiste i w pewnym stopniu nieuniknione, związane z tym, że najczęściej zamyka się złych ludzi z innymi złymi ludźmi. Jednak z całą pewnością prawdziwe jest twierdzenie, że więzienie uczy rozmaitych złych umiejętności. Aby przetrwać, musisz być obojętny, odizolowany, obawiać się wszelkich kontaktów z innymi ludźmi. Nie pokazują ci, jak się przystosować czy stać przydatnym – wprost przeciwnie. Uczysz się, że nikomu nie można ufać, że można liczyć wyłącznie na siebie i trzeba przez cały czas być gotowym do walki o swoje życie.

Posiadanie broni dawało Mattowi dziwne poczucie bezpieczeństwa.

Wiedział, że to złudne wrażenie. Zdawał sobie sprawę, że ta broń prędzej ściągnie na niego nieszczęście, niż wybawi go z opresji. Mimo to miał ją. I teraz, kiedy walił się jego świat, spojrzął na nią po raz pierwszy od chwili, gdy ją kupił.

Drgnął, gdy zadzwonił telefon. Szybko zamknął kasetkę, jakby ktoś nagle wszedł do pokoju, i podniósł słuchawkę.

– Halo!

– Zgadnij, co robiłam, kiedy dzwoniłeś. Cingle.

– Przepraszam – powiedział Matt. – Wiem, że było późno.

– Nie, nie. Zgadnij. No, dalej. W porządku, zapomnij, sama ci powiem. Dawałam Hankowi. Trwało to nieznośnie długo. Nudziłam się tak, że o mało nie wyszłam w trakcie. Jednak mężczyźni są tacy przeczulenii.

– Cingle?

– Co się dzieje?

– Te zdjęcia, które skopiowałaś z mojego telefonu.

– Co z nimi?

– Masz je?

– Mówisz o plikach? Mam je w biurze.

– Powiększyłaś je?

– Zrobił to mój technik, ale jeszcze nie zdążyłam się im przyjrzeć.

– Muszę je zobaczyć – rzekł Matt. – Mówię o powiększeniach.

– Dlaczego?

– Coś mi wpadło do głowy.

– Yhm.

– Właśnie, yhm. Słuchaj, wiem, że jest późno, ale gdybyśmy mogli spotkać się w twoim biurze...

– Teraz?

– Tak.

– Już jadę.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Cały czas – powiedziała Cingle. – Zobaczymy się za czterdzieści pięć minut.

Chwycił kluczyki – wytrzeźwiał już na tyle, że mógł prowadzić – wepchnął do kieszeni komórkę i portfel i ruszył do drzwi. Nagle przypomniał sobie o pistolecie. Mauser wciąż leżał na biurku. Matt zastanowił się.

Wziął pistolet.

Oto coś, o czym nigdy ci nie mówią: gdy trzymasz broń w ręku, czujesz się świetnie. W telewizji przeciętny człowiek wzdraga się, kiedy podają mu broń. Krzywi się i mówi: „Nie chcę tego!”. Ale w rzeczywistości, kiedy trzymasz broń, czujesz, jaka jest chłodna, jak cięży w ręce, jaki ma kształt, jak twoja dłoń odruchowo zaciska się na rękojeści, a palec wskazujący wsuwa się pod osłonę spustu – czujesz się nie tylko wspaniale, ale nabierasz pewności siebie i przekonania, że dobrze, iż ją masz.

Jednak nie, nie powinien.

Gdyby został zatrzymany z bronią, na którą nie miał pozwolenia, jako notowany miałby ogromne problemy. Wiedział o tym.

Mimo to wepchnął pistolet za pasek spodni.

Kiedy otworzył drzwi, wchodziła po schodkach na ganek. Ich spojrzenia się spotkały.

Matt zadał sobie pytanie, czy poznałby ją, gdyby nie usłyszał o niej od Lance’a i nie wysłuchał wiadomości pozostawionej na automatycznej sekretarce. Trudno powiedzieć. Włosy nadal krótkie. I ten łobuzerski wygląd. Wydawało mu się, że niewiele się zmieniła. To również jest dziwne; kiedy spotykasz kogoś, kogo znałeś w szkole podstawowej, jak łatwo rozpoznać taką osobę, szukając w niej tamtego małego dziecka.

– Cześć, Matt – powiedziała Loren Muse.

– Cześć, Loren.

– Kopę lat.

– Tak.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Masz chwilę? Muszę zadać ci kilka pytań.

Stojąc na ganku, Matt Hunter zapytał:

– Czy chodzi o tę zakonnice z St Margarefs? To pytanie zaskoczyło ją, ale Hunter podniósł dłoń.

– Nie podniecaj się – powiedział. – Wiem o tej zakonnicy, ponieważ Lance już mnie przesłuchiwał. Powinna się domyślić.

– Zechcesz poinformować i mnie?

Matt wzruszył ramionami. Precyzyjnie się obok niego, weszła do przedpokoju i rozejrzała się. Wszędzie były sterty książek. Niektóre przewróciły się i wyglądały jak walące się wieże. Na stole stały oprawione w ramki fotografie. Loren obejrzała je. Podniosła jedną.

– To twoja żona?

– Tak.

– Ładna.

– Owszem.

Odstawiła zdjęcie i odwróciła się do niego. Banałem byłoby stwierdzenie, że miał przeszłość wypisaną na twarzy, że więzienie zmieniło nie tylko jego wnętrze, ale i wygląd zewnętrzny. Loren nie była miłośniczką takich tekstów. Nie wierzyła w to, że oczy są zwierciadłem duszy. Widywała zabójców o pięknych, łagodnych oczach. Spotykała błyskotliwych ludzi o nieobecnym spojrzeniu. Słyszała przysięgłych mówiących: „Gdy tylko wszedł na salę, wiedziałem, że jest niewinny. To od razu widać”. Zdawała sobie sprawę, że to kompletna bzdura.

Pomimo to było coś w postawie Matta Huntera, może w lekkim nachyleniu głowy lub zaciśniętych ustach. Wyczuwała te nieodwracalne zmiany, tę obronną postawę. Czy gdyby nie wiedziała, że w młodym wieku siedział w ciężkim więzieniu, również wyczułaby te charakterystyczne sygnały?

Pewnie tak.

Loren mimo woli przypominała sobie Matta jako chłopca, dobrego, niezgrabnego, miłego dzieciaka, i poczuła ukłucie smutku.

– Co powiedziałeś Lance’owi? – spytała.

– Zapytałem go, czy jestem podejrzany.

– Podejrzany o co?

– O cokolwiek.

– I co ci odpowiedział?

– Wykręcił się.

– Nie jesteś podejrzany – powiedziała. – Przynajmniej na razie.

– O!

– Czy to był sarkazm?

Matt Hunter wzruszył ramionami.

– Mogłabyś szybciej zadać te pytania? Muszę gdzieś pojechać.

– Musisz gdzieś pojechać – powtórzyła, demonstracyjnie spoglądając na zegarek. – O tej porze?

– Rozrywkowy ze mnie chłopak – odparł, znów wychodząc na ganek.

– Jakoś w to wątpię.

Loren wyszła za nim. Popatrzyła na okolicę. W pobliżu dwaj mężczyźni popijali z papierowych torebek i podśpiewywali stary przebój.

– Czy to Temptations? – dopytywała się.

– Four Tops – powiedział.

– Zawsze myślę te zespoły.

Znowu odwróciła się do niego. Rozłożył ręce.

– Nie jest to Livingston, no nie? – zapytał.

– Słyszałam, że tam wracasz.

– To dobre miejsce dla dzieci.– Tak uważasz?

– A ty nie? Potrząsnęła głową.

– Ja bym nie wracała.

– Czy to groźba?

– Nie, przyjmij to dosłownie. Ja, Loren Muse, nie chciałabym znów tam mieszkać.

– Zatem mamy odmienne poglądy. – Westchnął. – Czy już wymieniliśmy uprzejmości?

– Chyba tak.

– Świetnie. Cóż więc stało się z tą zakonnica, Loren?

– Jeszcze nie wiemy.

– Możesz to powtórzyć?

– Znałeś ją?

– Nawet nie pamiętam jej imion, chociaż Lance mi podał. Siostra Mary jakaś tam.

– Siostra Mary Rosę.

– Co się z nią stało?

– Nie żyje.

– Rozumiem. Ale co ja mam z tym wspólnego? Loren zastanawiała się, jak to rozegrać.

– A jak sądzisz? Westchnął i zaczął odchodzić.

– Dobranoc, Loren.

– Zaczekaj, w porządku, to było głupie. Przepraszam. Matt znów odwrócił się do niej.

– Rejestr jej rozmów.

– Co z nim?

– Siostra Mary Rosę wykonała jeden telefon, którego nie umiemy wyjaśnić. Twarz Matta niczego nie zdradzała.

– Znałeś ją czy nie? Matt pokręcił głową.

– Nie.

– Ponieważ z rejestru wynika, że dzwoniła do domu twojej bratowej w Livingston. Zmarszczył brwi.

– Dzwoniła do Marshy?

– Twoja bratowa twierdzi, że nie odbierała żadnych telefonów z St Margarefs. Rozmawiałam również z tą dziewczyną, Kylie, która wynajmuje u niej pokój.

– Kyra.

– Słucham?

– Ma na imię Kyra, nie Kylie.

– W porządku, niech będzie. W każdym razie wiem, że często tam bywasz. Wiem nawet, że nocowałeś tam zeszłej nocy.

Matt pokiwał głową.

– Tak więc doszłaś do wniosku – werbel proszę – że ta zakonnica musiała dzwonić do mnie. Wzruszyła ramionami.

– To ma sens. Matt westchnął.

– No co?

– Czy nie w tym momencie powinienem się rozżłościć i powiedzieć, że to ma sens tylko dlatego, że żywisz uprzedzenia wobec byłego więźnia, chociaż odsiedział swoje i spłacił dług wobec społeczeństwa?

To sprawiło, że się uśmiechnęła.

– Co, chcesz pominąć tę część? Przejść od razu do zaprzeczenia?

– To przyspieszyłoby sprawę – rzekł.

– Zatem nie znałeś siostry Mary Rosę?

– Nie. Możesz zanotować, że nie znam żadnej siostry Mary Rosę. Chyba nawet nie znam żadnej zakonnicy. Nie znam nikogo z St Margarefs, oprócz... No cóż, według Lance'a ty tam chodziłaś, więc chyba powinienem powiedzieć, że nikogo oprócz ciebie. Nie mam pojęcia, dlaczego siostra Mary Rosę miałaby dzwonić do domu Marshy ani nawet czy rzeczywiście tam dzwoniła.

Loren zdecydowała się zmienić temat.

– Czy znasz niejakiego Maksa Darrowa?

– Czy on też dzwonił do Marshy?

– Może odpowiesz mi na to pytanie, Matt? Czy znasz Maksa Darrowa z Raleigh Heights w Nevadzie, tak czy nie?

Trafiła. Loren dostrzegła to. Mała, niemal niezauważalna zmiana wyrazu twarzy. Mimo to dostrzegła to lekkie rozszerzenie oczu. W ułamku sekundy doszedł do siebie.

– Nie – powiedział.

– Nigdy o nim nie słyszałeś?

– Nigdy. Kto to taki?

– Jutro przeczytasz sobie w gazetach. Zechcesz mi powiedzieć, gdzie byłeś wczoraj? Zanim pojechałeś do domu Marshy.

– Nie zechcę.

– Może jednak?

Odwrócił wzrok, zamknął oczy i znów je otworzył.

– To zaczyna przypominać rutynowe przesłuchanie podejrzanego, pani detektyw Muse.

– Inspektor Muse – poprawiła.

– Tak czy inaczej chyba udzieliłem już wystarczająco wielu odpowiedzi jak na ten wieczór.

– Odmawiasz?

– Nie, odjeżdżam. – Teraz to Matt spojrzał na zegarek. – Naprawdę muszę już iść.

– I zakładam, że nie zechcesz mi powiedzieć, co planujesz?

– Masz rację.

Loren wzruszyła ramionami.

– Zawsze mogę cię śledzić.

– Oszczędzę ci fatygi. Jadę do biura MVD w Newark. Co będę tam robił, to moja sprawa.

Dobrej nocy. Zaczął schodzić po schodkach.

– Matt?

– Co?

– Może to dziwnie zabrzmiało, ale miło było cię spotkać. Co prawda wolałabym cię zobaczyć w innych okolicznościach. Prawie się uśmiechnęła.

– Ja też.

Nevada, pomyślał Matt. Loren Muse pytała go o człowieka z Nevady.

Po dwudziestu minutach od rozstania z Loren Matt dotarł do biura Cingle. Jadąc tam, odtwarzał w myślach przebieg rozmowy. Wciąż powtarzało się jedno słowo:

Nevada.

Max Darrow, kimkolwiek jest, był z Nevady.

A Olivia zaglądała na internetową witrynę gazety „Nevada Sun News”.

Przypadek?

Taak, pewnie.

W biurze MVD było cicho. Cingle siedziała za biurkiem w czarnym dresie Nike. Włosy miała związane w koński ogon. Wcisnęła włącznik, uruchamiając komputer.

– Czy słyszałaś coś o śmierci jakiejś zakonnicy z St Margarefs? – zapytał. Cingle zmarszczyła brwi.

– To ten kościół w East Orange?

– Tak. I szkoła.

– Nie.

– A może o czymś związanym z niejakim Maksem Darrowem?

– Na przykład?

Matt pospiesznie wyjaśnił jej, o co pytali go starzy znajomi, Lance Banner i Loren Muse. Cingle westchnęła i zanotowała. Nic nie powiedziała, tylko uniosła brwi, gdy wspomniał o znalezieniu cookie prowadzącego na stronę striptizerek.

– Zajrzę tam.

– Dzięki.

Obróciła monitor, tak by oboje mogli widzieć ekran.

– W porządku, więc co chcesz zobaczyć?

– Możesz powiększyć to zdjęcie Charlesa Talleya, które przysłano na moją komórkę?

Zaczęła poruszać i klikać myszą.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię.

– Słucham.

– To program retuszujący. Czasem potrafi działać cuda, a czasem kompletnie się wyklada. Kiedy robisz cyfrowe zdjęcie, jego jakość zależy od pikseli. Właśnie dlatego ludzie kupują kamerę o jak największej liczbie pikseli. Piksele to kropki. Im więcej tych kropek, tym lepsze zdjęcie.

– Wiem.

– Twój wideotelefon ma cholernie mało pikseli.

– O tym też wiem.

– Zatem wiesz, że im bardziej powiększasz zdjęcie, tym staje się mniej wyraźne. Ten program wykorzystuje jakiś algorytm... taak, wiem, to wielkie słowo. Krótko mówiąc, odgaduje, co powinno tam być, na podstawie jakich przesłanek. Barwę, odcień, krawędzie, linie, sama nie wiem. Nie jest dokładny. Często działa na zasadzie prób i błędów. Pomimo to...

Wywołała zdjęcie Charlesa Talleya. Tym razem Matt nie patrzył na kruczoczarne włosy, drwiący uśmiech, twarz. Zignorował czerwoną koszulę i białe ściany. Spoglądał tylko na jedno.

Pokazał jej.

– Widzisz to?

Cingle założyła okulary do czytania, zmrużyła oczy i spojrzała na niego.

– Tak, Matt – powiedziała, nie mrugnawszy okiem. – Nazywamy to oknem.

– Możesz jeszcze trochę powiększyć to zdjęcie?

– Mogę spróbować. A co, myślisz, że coś jest za tym oknem?

– Niezupełnie. Po prostu zrób to, proszę. Wzruszyła ramionami, przesunęła kursor i powiększyła fotografie. Teraz okno zajmowało połowę ekranu.

– Możesz wyostrzyć?

Cingle użyła czegoś, co nazywało się „precyzyjnym wyostrzaniem”. Potem popatrzyła na Matta. Uśmiechnął się do niej.

– Nie widzisz?

– Czego?

– Jest szare. Tyle widziałem już na wyświetlaczu telefonu. Popatrz teraz. Na szybie są krople deszczu.

– Co z tego?

– To, że to zdjęcie przysłano mi wczoraj. Czy widziałaś żeby wczoraj padało? Albo przedwczoraj?

– Zaczekaj, przecież Olivia miała być w Bostonie?

– Może tam była, może nie. Jednak w Bostonie też nie padało. Na całym północnym wschodzie nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Cingle wyprostowała się.

– I co to oznacza? – Zaczekaj, najpierw jeszcze coś sprawdzmy – powiedział Matt. – Wywołaj ten film z wideotelefonu i puść go w zwolnionym tempie.

Cingle zmniejszyła fotografię Charlesa Talleya. Znow zaczęła klikać ikony. Matt był podniecony. Drżały mu nogi powoli rozjaśniało się w głowie.

Zaczął się film. Matt próbował obserwować kobietę w platynowej peruce. Może później przyjrzy się dokładnie i upewni że to naprawdę Olivia. Przypuszczał, że to ona. Jednak nie to było teraz ważne.

Zaczekał, aż kobieta poruszy się, na ten błysk światła.

– Naciśnij pauzę.

Cingle była szybka. Nacisnęła stop, zanim ten błysk zgasł.

– Spójrz – powiedział Matt. Kiwnęła głową.

– Niech mnie licho.

Za oknem świeciło słońce.

– Zdjęcie i film nie zostały zrobione w tym samym czasie – doszła do wniosku.

– Właśnie.

– No to jak było? Załadowali pierwsze zdjęcie do telefonu Olivii albo zrobili zdjęcie zdjęcia?

– Coś w tym rodzaju.

– Nadal nie rozumiem.

– Ja też nie jestem pewien, czy to rozumiem. Jednak... puść ten film jeszcze raz. Powoli, Cingle to zrobiła.

– Zatrzymaj. – Przyjrzał się ujęciu. – Powiększ lewą rękę tego faceta.

Na ujęciu było widać krawędź dłoni. I tym razem z początku obraz pozostawał rozmazany.

Włączyła program retuszujący, wyostrzył się obraz dłoni.

– Nic tu nie ma – zauważył Matt.

– No i?

– Nie ma żadnego sygnetu ani obrączki. Przełącz na zdjęcie Charlesa Talleya.

To było wyraźniejsze. Zdjęcie miało lepszą rozdzielczość. Postać Charlesa Talleya była większa. Miał uniesioną dłoń, jakby wstrzymywał ruch.

Wyraźnie było widać spód sygnetu lub obrączkę.

– Mój Boże – powiedziała Cingle. – To fotomontaż. Matt skinął głową.

– No wiesz, nie mam pojęcia, jak to jest z tym filmem, ale chcieli, żebyś myślał, że ten Charles Talley ma romans z Olivią. Czy domyślasz się dlaczego?

– Nie. Dowiedziałaś się czegoś o tym Talleyu?

– Sprawdzę skrzynkę e-mailową. Coś powinno już przyjść.

Kiedy Cingle zaczęła sprawdzać pocztę elektroniczną, Matt wyjął telefon komórkowy. Znów wybrał numer Olivii. W piersi czuł tę dziwną lekkość. Uśmiechnął się. Owszem, były problemy – Olivia nadal przebywała w tym pokoju hotelowym z obcym mężczyzną – i owszem, wciąż pozostawał pod lekkim wpływem alkoholu, ale teraz pojawiła się nadzieja. Czarne chmury zaczęły się rozwiewać.

Tym razem nagrany głos Olivii wydał mu się melodyjny. Zaczekał na sygnał i powiedział:

– Wiem, że nie zrobiłaś nic złego. Proszę, zadzwoń. – Spojrzał na Cingle. Udawała, że nie słucha. – Kocham cię – dokończył.

– Och, jak słodko – skomentowała Cingle. Męski głos z jej komputera wrzasnął:

– Masz wiadomość!

– Masz coś? – spytał Matt.

– Daj mi chwilkę. – Zaczęła przeglądać pocztę. – Na razie niewiele, ale tak, coś tu jest. Talley był trzykrotnie skazany za napaść, a ponadto dwukrotnie zatrzymany i zwolniony z braku dowodów. Był podejrzany... Człowieku, co za świr! O pobicie na śmierć właściciela domu. Ostatnio siedział w więzieniu stanowym – uważaj – Lovelock.

– Ta nazwa coś mi mówi. Gdzie to jest? – Nie napisali. Poczekaj, zaraz sprawdzę. – Cingle zaczęła stukać w klawiaturę, nacisnęła „enter”. – Jezu.

– Co?

Spojrzała na niego.

– To Lovelock w Nevadzie.

Nevada. Matt poczuł, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Zaćwierkała komórka Cingle. Podniosła ją, popatrzył na wyświetlacz ciekłokrystaliczny.

– Daj mi chwilkę, dobrze?

Matt chyba kiwnął głową. Był oszołomiony.

Nevada...

I zaraz jeszcze coś przyszło mu do głowy – kolejne dziwne lecz możliwe powiązanie z Nevadą: Czy na pierwszym roku studiów nie pojechał z kolegami do Nevady?

A dokładnie do Las Vegas.

To tam, podczas tej wycieczki przed laty, poznał miłość swojego życia...

Potrząsnął głową. Nie, niemożliwe. Nevada to duży stan.

Cingle odłożyła telefon i zaczęła stukać w klawisze.

– I co? – spytał.

Nie odrywała oczu od monitora.

– Charles Talley.

– Co z nim?

– Wiemy, gdzie jest.

– Gdzie?

Nacisnęła klawisz „enter” i zmrużyła oczy.

– Według Mapquestu niecałe siedem kilometrów od miejsca, gdzie teraz się znajdujesz. – Zdjęła okulary do czytania i spojrzała na niego. – Talley zatrzymał się w hotelu Howard Johnson’s przy lotnisku Newark.

– Jesteś pewna? – zapytał Matt.

Cingle kiwnęła głową.

– Talley spędził tam co najmniej dwie noce. W pokoju pięćset piętnaście.

Matt próbował poskładać te informacje w całość. Nic nie pasowało.

– Masz numer telefonu?

– Hotelu Howard Johnson's? Mogę go znaleźć w sieci.

– Zrób to.

– Chcesz do niego zadzwonić?

– Tak.

– I co powiesz?

– Jeszcze nic. Chcę tylko sprawdzić, czy to ten sam głos.

– Ten sam?

– Faceta, który szeptał do mnie, że robi to z Oliwią, chcę tylko sprawdzić, czy to Charles Talley.

– A jeśli tak?

– Hej, myślisz, że mam jakiś długofalowy plan? – zapytał Matt. – Po prostu błędę po omacku.

– Zadzwonź z mojego aparatu. Ma zastrzeżony numer. Matt podniósł słuchawkę. Cingle podała mu numer motelu. Telefonistka zgłosiła się po trzecim sygnale.

– Howard Johnson's, lotnisko Newark.

– Z pokojem pięćset piętnaście proszę.

– Chwileczkę.

Przy pierwszym dzwonku serce zaczęło mu bić szybciej. Trzeci dzwonek urwał się w połowie. Matt usłyszał głos:

– Taak?

Spokojnie odłożył słuchawkę.

Cingle spojrzała na niego.

– No?

– To on – stwierdził Matt. – To ten sam facet. Zmarszczyła brwi i założyła ręce na piersi.

– I co teraz?

– Moglibyśmy dokładniej przyjrzeć się temu zdjęciu i filmowi – powiedział Matt. – Nie wiem jednak, co miałyby nam to dać. Załóżmy, że się mylę. Załóżmy, że Talley jest na filmie i na zdjęciu. Musimy z nim porozmawiać. Jeśli to były dwie różne osoby...

– I tak musimy z nim porozmawiać – dokończyła Cingle.

– Właśnie. Nie ma innego wyjścia. Muszę tam pojechać.

– My musimy tam pojechać.

– Wolałbym jechać sam.

– A ja wolałabym wziąć prysznic z Hugh Jackmanem – odparła Cingle, wstając. Zdjęła opaskę, ścisnęła mocniej koński ogon i znów ją zawiązała. – Jadę.

Dalsze spory tylko odwlekłyby nieuniknione.

– W porządku, ale zostaniesz w samochodzie. W cztery oczy, jak mężczyzna z mężczyzną, może zdołam coś z niego wyciągnąć.

– Świetnie, jak uważasz. – Cingle już zmierzała do drzwi. – Ja prowadzę.

Jazda zabrała im pięć minut.

Hotel Howard Johnson's mogli zbudować w paskudniejszej okolicy, ale nie bez pozwolenia na korzystanie z wysypiska śmieci. A może je mieli. Obok Frontage Road był zjazd z autostrady stanowej numer 14 i punkt pobierania opłat. Po drugiej stronie znajdował się parking dla pracowników Continental Airlines. Przejedź kilkadziesiąt metrów po Frontage Road, a znajdziesz się przy więzieniu stanowym, dogodnie usytuowanym – lepiej nawet niż hotel Howard Johnson's – w pobliżu lotniska. Idealnie do szybkiej ucieczki. Cingle zaparkowała przed głównym wejściem.

– Na pewno chcesz tam iść sam? – zapytała.

– Tak.

– Najpierw daj mi swój telefon komórkowy – powiedziała.

– Po co?

– Mam znajomego, który jest rekinem finansjery z Park Avenue. Nauczył mnie pewnej sztuczki. Włączasz telefon komórkowy. Dzwonisz do mnie. Zostawiasz aparat włączony i połączony z moim. Ja wyciszam swoją komórkę. Teraz mamy jednokierunkowy interkom. Słyszę każde twoje słowo. Gdybyś miał jakieś kłopoty, zawołaj.

Matt zmarszczył brwi.

– Rekin finansjery musi stosować takie sztuczki?

– Nie chcesz tego wiedzieć.

Cingle wzięła komórkę Marta, wybrała swój numer i odebrała połączenie. Potem oddała mu telefon.

– Przyczep sobie do paska. W razie kłopotów zawołaj na pomoc.

– Dobrze.

W holu było pusto. Nic dziwnego, zważywszy na godzinę. Usłyszał brzęk dzwonka, gdy rozsunęły się szklane drzwi. W polu widzenia pojawił się recepcjonista z nocnej zmiany, nieogolony kłoc przypominający wypchany wór z pralni. Mat pomachał mu, nie zwalniając kroku, starając się wyglądać na gościa. Recepcjonista odpowiedział mu takim samym gestem

i wytoczył się z powrotem.

Matt dotarł do wind i nacisnął guzik. Działała tylko jedna kabina. Usłyszał pomruk, gdy zaczęła do niego zjeżdżać, ale nie spieszyła się. Obrazy znów zaczęły mu przemykać przed oczami. Ten film. Platynowa peruka. Nadal nie miał pojęcia co to wszystko ma znaczyć.

Wczoraj Cingle porównała to z udziałem w bójce – nie możesz przewidzieć rezultatu. Był jednak tutaj i za chwilę miał otworzyć te drzwi, naprawdę nie wiedział, co za nimi znajdzie. Minutę później Matt stanął przed pokojem 515.

Wciąż miał przy sobie broń. Zastanawiał się, czy nie wyjąć jej i nie schować za plecami, ale nie, gdyby Talley zobaczył pistolet, wszystko by przepadło. Matt podniósł rękę i zapukał. Nadstawił ucha. W głębi korytarza usłyszał jakiś szmer, może otwieranych drzwi. Odwrócił się.

Nikogo.

Zapukał ponownie, tym razem mocniej.

– Talley? – zawołał. – Jesteś tam? Musimy porozmawiać.

Czekał. Nic.

– Proszę otwórz, Talley. Chcę z tobą tylko porozmawiać, to wszystko. I wtedy zza drzwi doleciał głos, ten sam, który słyszał przez telefon:

– Chwileczkę.

Drzwi pokoju 515 otworzyły się.

I nagle pojawił się przed nim Charles Talley z tymi kruczoczarnymi włosami i cwany uśmiechem.

Talley stał w drzwiach, rozmawiając przez telefon komórkowy.

– Racja – powiedział do kogoś. – Racja, dobrze. Ruchem głowy pokazał Mattowi, żeby wszedł.

I Matt to zrobił.

Loren rozmyślała o jego reakcji.

Matt próbował ją ukryć, ale zareagował, kiedy wymieniła nazwisko Maksa Darrowa. Pytanie dlaczego.

Nawet podjęła wyzwanie Matta i tak jakby zaczęła go śledzić – to znaczy wyprzedziła go i zaparkowała w pobliżu biura MVD. Wiedziała, że właścicielem tej prywatnej agencji detektywistycznej jest były federalny. Miał reputację dyskretnego, ale może da się go przycisnąć.

Kiedy Matt podjechał – dokładnie tak jak zapowiedział – na parkingu stały jeszcze dwa inne samochody. Loren zapisała numery rejestracyjne. Było późno. Nikt bez powodu nie siedział teraz w pracy.

Dwadzieścia minut później Loren dotarła do domu. Oscar, jej najstarszy kot, dopraszał się, żeby podrapać go za uchem. Loren zrobiła to, ale kot szybko się znudził, miauknął niecierpliwie i zniknął w ciemnościach. Kiedyś Oscar pomknąłby jak strzała, lecz teraz wiek i choroby nie pozwalały mu na to. Oscar był stary. Podczas ostatniej kontroli weterynarz posłał Loren spojrzenie oznaczające, że powinna się przygotować. Nie przyjęła tego do wiadomości. Na filmach to zawsze dzieci są załamane utratą ulubieńca. W rzeczywistości dzieci szybko się nudzą zwierzętami. Samotni dorośli dotkliwiej odczuwają stratę. Tak jak Loren.

W mieszkaniu było zimno. Klimatyzator turkotał, ociekając wodą i utrzymując w pomieszczeniu temperaturę, w której można by mrozić mięso. Matka spała na kanapie. Telewizor wciąż grał, pokazując sponsorowany program o jakimś urzędzie gwarantującym uzyskanie bicepsów kulturysty. Wyłączyła klimatyzację. Carmen ani drgnęła.

Loren stała w drzwiach i słuchała jej rżącego od papierosów chrapania. Ten zgrzytliwy dźwięk był nawet pocieszający – powstrzymywał Loren od palenia. Nie budziła matki. Nie poprawiła jej poduszki ani nie nakryła kocem. Po prostu patrzyła przez chwilę i po raz nie wiadomo który zastanawiała się, co właściwie czuje do tej kobiety.

Loren zrobiła sobie kanapkę z szynką, pochłonęła ją nad kuchennym zlewem i naląła szklankę chablis z butelki w kształcie dzbanka. Zauważyła, że trzeba wynieść śmieci. Worek był pełny, co nigdy nie powstrzymywało matki przed próbami wypchania go jeszcze bardziej.

Zmyła talerzyk pod kranem i z westchnieniem podniosła worek ze śmieciami. Matka nadal nie poruszała się i nic nie zmieniło ani nie zakłóciło rytmu jej chrapania.

Loren zaniósła worek do kubła przed domem. Powietrze było lepkie. Grały świerszcze. Rzuciła worek na stertę innych.

Kiedy wróciła do mieszkania, matka już nie spała.

– Gdzie byłaś? – zapytała Carmen.

– Otrzymałam wezwanie.

– I nie mogłaś zadzwonić?

– Przepraszam.

– Strasznie się niepokoiłam.

– Tak – mruknęła Loren. – Widziałam, jak to wpłynęło na twój sen.

– A co to ma znaczyć?

– Nic. Dobranoc.

– Jesteś taka nierozważna. Jak mogłaś nie zadzwonić? Czekałam i czekałam... Loren potrząsnęła głową. – Jestem tym trochę zmęczona, mamo.

– Czym?

– Nieustannie mnie karcisz.

– Chcesz mnie wyrzucić?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale tego chcesz, prawda? Żebyś sobie poszła.

– Tak.

Carmen otworzyła usta i przycisnęła dłoń do piersi. Zapewne kiedyś mężczyźni reagowali na takie teatralne gesty. Loren przypomniała sobie wszystkie te zdjęcia młodej Carmen – tak ślicznej, tak nieszczęśliwej, tak pewnej, że zasługuje na coś lepszego.

– Wyrzuciłabyś własną matkę?

– Nie. Pytałaś, czybym chciała. Owszem. Jednak nie zrobię tego.

– Jestem taka okropna?

– Po prostu... zejdź ze mnie, dobrze?

– Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Właśnie.

– Chcę, żebyś sobie kogoś znalazła.

– Masz na myśli mężczyznę.

– Tak, oczywiście.

Mężczyźni – oto recepta Carmen na wszystko. Loren miała ochotę powiedzieć: Tak, mamo, spójrz, jak mężczyźni bezgranicznie uszczęśliwili ciebie. Ale ugryzła się w język.

– Ja tylko nie chcę, żebyś była sama – kontynuowała matka.

– Tak jak ty – odparła Loren, i od razu tego pożałowała.

Nie czekała na odpowiedź. Poszła do łazienki i zaczęła szykować się do spania. Kiedy wyszła, matka znowu leżała na kanapie. Telewizor był wyłączony. Klimatyzacja znowu działała.

– Przepraszam – powiedziała Loren. Matka nie odpowiedziała.

– Były jakieś wiadomości? – spytała Loren.

– Tom Cruise dzwonił dwa razy.

– Świetnie, dobranoc.

– A co, myślałaś, że dzwonił twój chłopak?

– Dobranoc, mammo.

Loren poszła do sypialni i włączyła laptop. Kiedy komputer się uruchamiał, postanowiła sprawdzić, kto dzwonił. Nie, to nie Pete, jej nowy chłopak. Ten nie dzwonił już od trzech dni.

Prawdę mówiąc, nie było żadnych telefonów oprócz służbowych.

Rany, to żałosne.

Pete był dość porządnym facetem, trochę otyłym i spoconym. Pracował w tej samej dzielnicy w sklepie Stop & Shop. Loren nigdy nie mogła zrozumieć, co właściwie robił, zapewne dlatego, że wcale jej to nie interesowało. Nie było to nic stałego, nic poważnego, przelotny związek ilustrujący zasadę, że poruszające się ciało pozostaje w ruchu, dopóki nie zatrzyma go jakaś przeszkoda lub choćby najmniejsze tarcie.

Popatrzyła na pokój, na brzydką tapetę, byle jakie biurko, na składany nocny stolik z supermarketu.

Co to za życie?

Loren czuła się stara i pozbawiona perspektyw. Zastanawiała się nad przeprowadzką na zachód – do Arizony lub Nowego Meksyku, jakiegoś ciepłego i nowego miejsca. Rozpocząć wszystko od nowa w lepszym klimacie. Prawdę mówiąc, nie znosiła jednak otwartych przestrzeni. Lubiła deszcze i chłód, ponieważ dawały jej pretekst do pozostania w domu, gdzie bez poczucia winy mogła poczytać książkę lub obejrzeć film.

Komputer ożył. Sprawdziła pocztę. Była w niej wiadomość od Eda Steinberga, przysłana w ciągu ostatniej godziny:

Loren nie chce zaglądać do akt Maksa Darrowa za plecami Trevora Wine'a. Zrobimy to rano. Tu masz wstępne informacje. Prześpij się trochę. Zobaczymy się o dziewiątej. Szef.

W załączniku był jakiś plik. Postanowiła go wydrukować. Od zbyt długiego wpatrywania się w monitor komputerowy bolały ją oczy. Wyjęła kartki z drukarki i wślizgnęła się pod kołdrę. Oscar zdołał wskoczyć na łóżko, ale zauważyła, że skrzywił się z wysiłku. Stary kocur zwinął się przy niej w kłębek. Lubiła to.

Przejrzała dokumenty i ze zdziwieniem stwierdziła, że Trevor Wine już ma dość wiarygodną hipotezę wyjaśniającą przyczynę zbrodni. Według notatek Max Darrow, były detektyw policyjny z Las Vegas, ostatnio zamieszkały w Raleigh Heights w Nevadzie, został znaleziony martwy w wynajętym samochodzie w pobliżu żydowskiego cmentarza w Newark. Według raportu Max Darrow zatrzymał się w hotelu Howard Johnson's przy lotnisku. Wypożyczył samochód w formie LuxDrive. Według wskazań licznika ten samochód, ford taurus, przejechał zaledwie trzynaście kilometrów przez te dwa dni, w czasie których korzystał z niego Darrow.

Loren przewróciła kartkę. Na drugiej stronie robiło się ciekawie.

Maksa Darrowa znaleziono zastrzelonego za kierownicą wypożyczonego samochodu. Nikt

nie zawiadomił policji. Funkcjonariusze patrolujący ten teren radiowozem zauważyli krew na szybie. Darrowa znaleziono ze spodniami i bokserkami ściągniętymi do kostek. Jego portfel znikł. Raport stwierdzał, że Darrow nie miał żadnej biżuterii, co sugerowało, że ją też mu zrabowano.

Według wstępnego raportu – ponieważ w tej sprawie wszystko było jeszcze wstępne – ślady krwi znalezione w samochodzie, a szczególnie trajektoria pocisku, który przebił przednią szybę i boczne okno, wskazywały na to, że Darrow został zastrzelony, kiedy siedział za kierownicą. Rozbryzgi krwi znalezione także w jego spodniach i bokserkach, co świadczyło o tym, że zostały spuszczone, zanim padł strzał, a nie później.

Robocza teoria sama się nasuwała: Max Darrow postanowił poszukać szczęścia – a raczej kupić je sobie. Wybrał niewłaściwą prostytutkę, która zaczekała na odpowiedni moment – aż spuści spodnie – a wtedy chciała go obrabować. Coś poszło nie tak, chociaż trudno powiedzieć co. Może Darrow jako były policjant próbował odgrywać bohatera. Może prostytutka była po prostu zbyt spięta. Tak czy inaczej, strzeliła i zabiła Darrowa. Zabrała wszystko, co jej wpadło w ręce – portfel i biżuterię – po czym uciekła.

Ekipa dochodzeniowa, wspólnie z policją z Newark, przycisnie prostytutki. Któraś będzie wiedziała, co się stało. Powie. Sprawa rozwiązana. Loren odłożyła raport. Teoria Winę'a miała sens, jeśli ktoś nie wiedział, że ślady palców Darrowa znaleziono w pokoju siostry Mary Rose. Tylko że teraz, chociaż Loren wiedziała, iż ta teoria jest bzdurna, co jej zostawało? No cóż, po pierwsze, że ktoś zręcznie upozorował przypadkowe zabójstwo.

Odtwórzmy przebieg wydarzeń.

Chcesz zabić Darrowa. Wsiadasz z nim do samochodu. Przykładasz mu lufę do głowy. Każesz mu jechać do kiepskiej dzielnicy. Zmuszasz do spuszczenia spodni – każdy, kto choć raz oglądał jakiś telewizyjny program kryminalny, wie, że jeśli spuści się spodnie po strzale, plamy krwi to wykażą. Potem strzelasz mu w głowę i zabierasz pieniądze oraz biżuterię, pozorując napad rabunkowy.

Trevor Winę to kupił.

Nie mając innych poszlak, Loren zapewne doszłaby do takiego samego wniosku co on.

Tak więc jaki byłby następny ruch?

Usiadła na łóżku.

Według teorii Winę'a Max Darrow wyruszył na podryw i wybrał niewłaściwą dziewczynę. Jeśli jednak było inaczej – a Loren tak uważała – to w jaki sposób zabójca znalazł się w samochodzie z Darrowem? Czy nie byłoby logiczne założenie, że zabójca towarzyszył Darrowowi od początku jego samochodowej eskapady?

A to oznaczało, że Darrow zapewne go znał, a przynajmniej nie uważał za groźnego.

Ponownie zajrzała do raportu. Tylko trzynaście kilometrów. Zakładając, że korzystał

z samochodu poprzedniego dnia, nie odjechał daleko.

Należało rozważyć jeszcze coś: w pokoju siostry Mary Rosę znaleziono także inne odciski palców – konkretnie na jej ciele.

W porządku, pomyślała Loren, założmy, że Darrow pracował z kimś – może miał współnika. Trzymaliby się razem, prawda? A przynajmniej blisko siebie.

Darrow zatrzymał się w hotelu Howard Johnson's.

Zajrzała do akt LuxDrive, firma wypożyczająca samochody, miała punkt w tym samym hotelu.

A więc tam wszystko się zaczęło. W hotelu Howard Johnson's.

W większości hoteli są zainstalowane kamery. Czy Trevor Wine już sprawdził te u Howarda Johnsona?

Trudno powiedzieć, ale zdecydowanie powinna to sprawdzić.

Tak czy inaczej to może poczekać do rana, no nie?

Próbowała zasnąć. Z zamkniętymi oczami siedziała na łóżku. Nie ruszała się prawie przez godzinę. Z drugiego pokoju dolatywało chrapanie matki. Sprawa nabierała tempa. Loren czuła, że krew szybciej zaczyna krążyć w jej ciele. Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. W żaden sposób nie zdoła zasnąć. Nie teraz. Nie, kiedy wpadła na nowy trop. A jutro czeka ją mnóstwo innych problemów związanych z telefonem Eda Steinberga do federalnych i rolą Trevora Wine'a.

Może odsuną ją od tej sprawy.

Loren włożyła dres, chwyciła portfel i odznakę. Na palcach wyszła z domu, wsiadła do samochodu i pojechała do hotelu Howard Johnson's.

Nie ma nic gorszego niż nędzne porno.

Tak myślał Charles Talley, leżąc na hotelowym łóżku, kiedy zadzwonił telefon. Oglądał jakieś upiornie pocięte porno na płatnym kanale Spectravision. Kosztował go dwanaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, a wycięli z niego wszystkie najlepsze momenty, wszystkie zbliżenia genitaliów męskich i kobiecych.

Co to za gównno?

Gorzej, bo luki po wyciętych scenach zostały wypełnione powtórzeniami. Tak więc dziewczyna osuwała się na klęczki, a potem pokazywali, jak facet odchyła głowę do tyłu i znowu pokazywali klękającą dziewczynę, twarz faceta, klękającą dziewczynę...

Irytujące.

Talley już miał zadzwonić do recepcji i powiedzieć, co o tym myśli. Przecież to Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, do cholery! Człowiek ma prawo oglądać porno w zaciszu swojego pokoju hotelowego. A nie takie bzdety dla grzecznych Panienek. Prawdziwe porno, na którym coś się dzieje. Ten film to miękkie porno, równie dobrze mogliby puszczać na Disney Channel.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Talley spojrzął na zegarek.

Najwyższy czas. Już kilka godzin na niego czekał.

Talley sięgnął po słuchawkę, przyłożył ją do ucha. Na ekranie dziewczyna dyszała dokładnie tak samo jak przed dziesięcioma minutami. Ten syf był gorzej niż nudny. – Tak?

Kliknięcie. Sygnał.

Ktoś się rozłączył. Talley popatrzył na słuchawkę, jakby miała ożyć. Nic. Odłożył ją i usiadł. Czekał, aż telefon znów zadzwoni. Po pięciu minutach zaczął się niepokoić. Co tu się dzieje?

Nic nie szło zgodnie z planem. Przyleciał tu z Reno... kiedy, już trzy dni temu? Nie pamiętał dokładnie. Jego wczorajsze zadanie było jasne i proste: śledzić niejakiego Matta Huntera. Deptać mu po piętach. Po co?

Nie miał pojęcia. Powiedziano mu, gdzie ma zacząć – zaparkować przed jakąś dużą firmą prawniczą w Newark – i wszędzie jeździć za Hunterem.

Tymczasem ten facet, ten cały Hunter, niemal natychmiast go zauważył. Jak?

Hunter był amatorem. Jednak coś poszło nie tak, bo od razu spostrzegł, że jest śledzony. A potem było jeszcze gorzej – o wiele gorzej – bo kiedy Talley zadzwonił do niego kilka godzin temu, Matt Hunter wiedział, kim on jest. Zwrócił się do niego po nazwisku. To zdenerwowało Talleya.

Źle znosił stres. Wykonał kilka telefonów, próbując ustalić co się dzieje, ale nikt nie odpowiadał. To zdenerwowało go jeszcze bardziej. Talley niewiele umiał. Znał striptizerki

i wiedział, jak się z nimi obchodzić. Potrafił bić ludzi. To właściwie wszystko. Kiedy się dobrze zastanović, te dwie umiejętności właściwie łączyły się ze sobą. Jeśli chcesz prowadzić lokal ze striptizem musisz umieć bić ludzi.

Tak więc sytuacja wymykała się spod kontroli – tak teraz – zawsze reagował tak samo. Przemocą. Bił kogoś i robił mu krzywdę. Trzykrotnie siedział w więzieniu za napaść, ale w rzeczywistości pobił lub okaleczył chyba ponad pięćdziesiąt osób. Dwie z nich zmarły.

Jego ulubionymi narzędziami pracy były paralizator i kastet. Talley sięgnął do torby. Najpierw wyjął nowiutki paralizator. Nazywano to paralizatorem-komórką. Jak sugerowała nazwa, wyglądał identycznie jak telefon komórkowy. Kupiony przez Internet, kosztował Talleya sześćdziesiąt dziewięć dolców. Możesz nosić go wszędzie. Możesz go wyjąć i udawać, że przykładasz do ucha, a potem bach, naciskasz guzik i „antenka” na górze powala przeciwnika stu osiemdziesięcioma tysiącami woltów.

Potem wyjął kastet. Talley preferował nowsze, udoskonalone modele. Nie tylko miały większe pole kontaktu, ale w mniejszym stopniu odczuwało się impet uderzenia, zadając naprawdę silny cios.

Talley położył paralizator i kastet na nocnym stoliku. Znow zaczął oglądać porno, wciąż mając nadzieję, że w końcu pokażą jakieś dobre momenty. Od czasu do czasu spoglądał na swój oręż. To też go rajcowało.

Zastanawiał się, co dalej.

Dwadzieścia minut później ktoś zapukał do drzwi jego pokoju. Talley sprawdził godzinę na zegarze. Dochodziła pierwsza w nocy. Cicho wstał z łóżka.

Ktoś zapukał znowu, tym razem głośnie.

Talley na palcach podszedł do drzwi.

– Talley? Jesteś tam? Musimy porozmawiać. Zerknął przez judasza. Co do...? To był Matt Hunter!

Talley wpadł w panikę. Jak Hunter zdołał go wytropić, do diabła?

– Proszę otwórz, Talley. Chcę z tobą tylko porozmawiać, to wszystko. Talley nie zastanawiał się. Zaczął działać.

– Chwileczkę – powiedział.

Potem podkradł się z powrotem do łóżka i wsunął kastet na palce lewej ręki. W prawej trzymał komórkę-paralizator, jakby z kimś rozmawiał. Chwycił za klamkę. Zanim ją przekręcił, znow spojrzał przez wizjer.

Matt Hunter wciąż tam był.

Talley zaplanował trzy następne ruchy. Tak robią najlepsi. Planują swoje posunięcia.

Otworzy drzwi, udając, że rozmawia przez telefon. Dał Hunterowi znak, żeby wszedł. Gdy tylko znajdzie się w zasięgu ręki, Talley ogłuszy go paralizatorem. Będzie mierzył w pierś – duży

cel, szeroka powierzchnia. Jednocześnie zamachnie się lewą ręką, uzbrojoną w kastet. Uderzy hakiem pod żebra.

Charles Talley otworzył drzwi.

Zaczął mówić, udając, że z kimś rozmawia.

– Racja – powiedział do paralizatora. – Racja, ruchem głowy pokazał Mattowi, żeby wszedł.

I Matt to zrobił.

Stojąc w drzwiach pokoju 515, Matt zawahał się, ale tylko przez chwilę.

Nie miał innego wyjścia. Nie mógł rozmawiać z nim, stojąc na korytarzu. Tak więc wszedł do środka. Nadal nie wiedział, co powiedzieć, ani jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Talley. Postanowił rozegrać to jak najprościej i zobaczyć, do czego to doprowadzi. Czy Talley wiedział, że wykorzystano go do sfingowania romansu? Czy to on był na tym filmie, a jeśli tak, to dlaczego zdjęcie zrobiono znacznie wcześniej?

Matt wszedł.

Charles Talley wciąż rozmawiał przez telefon komórkowy. Gdy drzwi zaczęły się zamykać, Matt powiedział:

– Myślę, że możemy sobie wzajemnie pomóc.

W tym momencie Charles Talley dotknął jego piersi paralizatorem.

Matt poczuł się tak, jakby w całym jego ciele doszło do zwarcia. Wyprężył się. Rozcapierzył palce. Zesztywniał. Wytrzeszczył oczy.

Chciał odepchnąć od siebie ten telefon komórkowy. Jak najdalej. Ale nie mógł się ruszyć. Jego mózg krzyczał. Ciało nie chciało słuchać.

Broń, pomyślał Matt. Wyciągnij broń.

Charles Talley zamachnął się. Matt widział to. Ponownie spróbował się poruszyć, a przynajmniej obrócić, ale wyładowanie elektryczne najwidoczniej zablokowało niektóre połączenia nerwowe. Ciało po prostu przestało go słuchać.

Talley rąbnął go w klatkę piersiową, w dwa dolne żebra.

Cios był jak uderzenie kafara. Matt poczuł przeszywający ból. Zupełnie stracił równowagę i upadł na wznak.

Zamrugnął i przez napływające do oczu łzy zobaczył uśmiechniętą twarz Talleya.

Pistolet... wyjmij ten przeklęty pistolet...

Jednak wszystkie jego mięśnie chwycił skurcz.

Uspokój się. Rozluźnij...

Stojący nad nim Talley w jednej ręce trzymał komórkę-paralizator, w drugiej kastet.

Matt leniwie zastanowił się, co z jego własnym telefonem. Tym przy pasie. Cingle słuchała. Otworzył usta, żeby ją zawołać.

Talley ponownie dotknął go paralizatorem.

Ładunek elektryczny przemknął przez układ nerwowy. Wszystkie mięśnie, włącznie z mięśniami szczęki, kurczyły się i dygotały.

Słowa, wołanie o pomoc, nie przeszły mu przez gardło.

Charles Talley uśmiechnął się do niego. Pokazał mu pięść z kastetem. Matt mógł tylko

patrzeć.

W więzieniu niektórzy strażnicy nosili paralizatory. Matt dowiedział się, że zasada działania tej broni opiera się na przeładowaniu i w rezultacie zablokowaniu działania układu nerwowego. Ładunek nakłada się na naturalne impulsy elektryczne organizmu, zakłócając je i pobudzając mięśnie do pracy. Ofiara jest bezsilna.

Matt widział, jak Talley zamierza się do ciosu. Chciał wyjąć mausera i rozwalić drania. Pistolet tkwił za paskiem jego spodni, ale równie dobrze mógł być za granicą stanu.

Pięść pomknęła naprzód.

Matt chciał podnieść rękę, przetoczyć się na bok, zrobić coś. Nie mógł. Cios Talleya był wymierzony prosto w jego pierś. Matt patrzył na zbliżającą się jak w zwolnionym filmie pięść, trafiła go w splot słoneczny.

Miał wrażenie, że żebra wbiły mu się w serce. Jakby jego splot słoneczny był ze styropianu. Otworzył usta w bezgłośnym krzyku. Powietrze uszło mu z płuc. Postawił oczy w ślup.

Kiedy odzyskał zdolność widzenia, zobaczył kastet zbliżający się do jego twarzy.

Szarpnął się, ale był słaby. Zbyt słaby. Mięśnie wciąż nie chciały go słuchać. Układ nerwowy nadal był zablokowany. Jednak jakaś prymitywna, pierwotna wola życia wciąż tam była i ten instynkt pozwolił mu przynajmniej obrócić głowę.

Kastet zawadził o jego głowę. Pękła skóra. Pod czaszką eksplodował ból. Matt zamknął oczy. Tym razem już ich nie otworzył. Gdzieś w oddali słyszał głos, znajomy głos, krzyczący: „Nie!”. Pewnie mu się wydawało. Pod wpływem silnych wyładowań i uderzeń kora mózgowa zapewne tworzyła rozmaite dziwne złudzenia.

Spadł na niego następny cios. Może jeszcze jeden. Może więcej, ale Matt już ich nie czuł.

– Talley? Jesteś tam? Musimy porozmawiać.

Cingle Shaker uspokoiła się, kiedy usłyszała przez telefon głos Matta. Dźwięk nie był najlepszy, ale wystarczająco głośny.

– Proszę otwórz, Talley. Chcę z tobą tylko porozmawiać, to wszystko.

Słumiona odpowiedź. Zbyt słumiona, by zrozumieć. Cingle próbowała wziąć się w garść i skoncentrować. Jej samochód stał zaparkowany na drugiego przed frontowym wejściem. Było późno. Nikt nie będzie jej niepokoił.

Zastanawiała się, czy wejść do środka. To byłoby rozsądne posunięcie. Matt znajdował się na piątym piętrze. Gdyby poszło nie tak, trwałoby chwilę, zanimby tam dotarła. Jednak Matt nalegał. Uważał, że będzie najlepiej, jeśli sam porozmawia z Talleyem. Gdyby ten ją zauważył, wszystko by się skomplikowało.

Teraz jednak, słysząc ten słumiony głos, Cingle miała pewność, że Talleya nie ma w holu. W rzeczy samej, ze swojego stanowiska obserwacyjnego widziała, że w holu nie ma nikogo.

Postanowiła wejść do środka.

Śledzenie podejrzanych nie było specjalnością Cingle. Za bardzo rzucała się w oczy. Nigdy nie była chórzystką – owszem, wiedziała o tych plotkach – ale już od dawna nie próbowała maskować swoich wdzięków odpowiednimi strojami. Wcześniej zaczęła się rozwijać. Mając dwanaście lat, mogła uchodzić za osiemnastolatkę. Chłopcy uwielbiali ją, dziewczęta nienawidziły. Z biegiem lat nic się nie zmieniło.

Jedno i drugie niewiele ją obchodziło. Natomiast przejmowała się spojrzeniami mężczyzn, szczególnie kiedy była młodsza, nawet krewnych, nawet tych, których darzyła zaufaniem i kochała. Już za młodu dowiadujesz się, jak żądza potrafi zamącić w głowie. Skutki rzadko bywają przyjemne.

Cingle była prawie w środku, gdy przez głośniczek telefonu komórkowego usłyszała jakiś dziwny odgłos.

Co to było, do diabła?

Szklane drzwi holu rozsunęły się. Zadzwoił dzwonek. Cingle trzymała telefon przyciśnięty do ucha. Nic. Żadnego dźwięku ani rozmowy.

Niedobrze.

Nagle w słuchawce rozległ się głośny trzask. Drgnęła. Przyspieszyła kroku, a potem pobiegła w kierunku wind.

Pojawił się recepcjonista, zobaczył ją, wciągnął brzuch i uśmiechnął się.

– Mogę pani pomóc? Wcisnęła guzik.

W telefonie wciąż panowała głucha cisza. Przeszedł ją zimny dreszcz. Musiała zaryzykować.

Przyłożyła telefon do ust.

– Matt?

Nic.

Niech to szlag, przecież wcisnęła przycisk wyciszenia. Zapomniała o tym.

Znowu jakiś dziwny dźwięk – jakby stęknienie. Tylko bardziej stłumione. Zduszone.

Gdzie ta przeklęta winda?

I gdzie, do diabła, ten przycisk wyciszenia?

Cingle najpierw znalazła przycisk. Był w prawym dolnym rogu aparatu. Ledwie trafiła weń kciukiem. Ikonka wyciszenia znikła. Cingle przyłożyła telefon do ust.

– Matt! – zawołała. – Matt, wszystko w porządku? Kolejny zduszony jęk. Potem czyjś głos – nie Matta – powiedział:

– Kto, do diabła...?

Za jej plecami nocny recepcjonista zapytał:

– Czy coś się stało, proszę pani?

Cingle wciąż wciskała guzik windy. Szybciej, szybciej...

A do telefonu:

– Matt, jesteś tam?

Kliknięcie. Cisza. Głucha cisza. Serce waliło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Co robić?

– Proszę pani, naprawdę muszę prosić...

Drzwi windy się rozsunęły. Wpadła do środka. Recepcjonista wyciągnął rękę i zablokował drzwi. Cingle miała broń w kaburze pod pachą. Po raz pierwszy musiała użyć jej w pracy.

– Puść te drzwi – powiedziała.

Usłuchał i zabrał rękę, jakby nie należała do niego.

– Wezwij policję – rozkazała. – Powiedz im, że coś się stało na piątym piętrze.

Drzwi się zamknęły. Nacisnęła piątkę. Mart może będzie niezadowolony z tego, że wezwała policję, ale teraz to już jej sprawa. Winda z jękiem ruszyła do góry. Wydawało się, że jedzie pół metra w górę i metr w dół.

Cingle trzymała broń w prawej ręce. Z palcem daleko od spustu, raz po raz naciskała guzik piątego piętra. Jakby to miało pomóc. Jakby winda mogła zrozumieć, że jej się spieszy, i jechać szybciej.

W lewej ręce trzymała komórkę. Pospiesznie wybrała numer telefonu Matta.

Nie usłyszała sygnału, tylko nagrany głos: „Jestem teraz nieosiągalny...”.

Cingle zaklęła i rozłączyła się. Ustawiała się naprzeciw drzwi, tak żeby jak najszybciej precyzyjnie się przez szparę, gdy tylko zaczną się otwierać. Winda brzękiem dzwonka sygnalizowała każde piętro – sygnał dla niewidomych – i w końcu się zatrzymała.

Cingle skuliła się jak sprinter w bloku startowym. Kiedy drzwi zaczęły się otwierać, rozsunęła je oburącz i przecisnęła się przez szparę.

Znalazła się na korytarzu.

Usłyszała kroki, ale nikogo nie dostrzegła. Chyba ktoś uciekał w przeciwnym kierunku.

– Stój!

Ten ktoś się nie zatrzymał. Ona też nie. Pobiegnęła korytarzem. Jak dawno? Jak dawno straciła kontakt z Mattem?

W głębi korytarza Cingle usłyszała łoskot zatrzaskiwanych drzwi. Na pewno wyjście awaryjne, na klatkę schodową.

Biegając, Cingle sprawdzała numery pokoi. Już z daleka widziała, że drzwi pokoju 515, od których dzieliło ją jeszcze dwoje innych, są otwarte na oścież.

Zastanawiała się, co robić – biec za tym kimś, kto uciekał po schodach, czy zajrzeć do pokoju 515 – ale tylko przez moment.

Zajrzała do środka, chowając się za framugą i trzymając wycelowaną broń.

Matt leżał na plecach, miał zamknięte oczy. Nie ruszał się. Ale nie to ją zaszokowało.

Najbardziej zaskakujące było to, kto klęczał przy nim.

Cingle o mało nie upuściła pistoletu.

Przez chwilę tylko stała tam i gapiła się z niedowierzaniem. Potem weszła do pokoju. Matt wciąż się nie ruszał. Wokół jego głowy rozlewała się kałuża krwi.

Cingle nie odrywała oczu od jednej z obecnych w pokoju osób.

Od osoby klęczącej obok Matta.

Ta miała twarz zalaną łzami. I czerwone oczy.

Cingle natychmiast ją rozpoznała.

Olivia.

Loren zjechała z Route 78 na Frontage Road i wjechała na parking hotelu Howard Johnson's. Przed głównym wejściem jakiś samochód stał zaparkowany na drugiego.

Gwałtownie zahamowała.

Ten lexus niecałą godzinę temu stał na parkingu MVD.

To nie mógł być przypadek.

Ustawiła swój wóz przed frontowymi drzwiami i przyczepiła broń do pasa, obok odznaki. Z tyłu dyndały kajdanki. Pospieszyła do samochodu. W środku nie było nikogo. Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce. Drzwi lexusa nie były zamknięte.

Loren je otworzyła.

Czy to legalne przeszukanie? Uważała, że tak. Kluczyki tkwiły w stacyjce, dobrze widoczne. Samochód nie był zamknięty. Chciała pomóc. To jakby uzasadniało przeszukanie, no nie?

Naciągnęła rękawy na dłonie, robiąc z nich prowizoryczne mitenki, żeby nie zostawić odcisków palców. Otworzyła schowek na rękawiczki i spróbowała pogrzebać w papierach. Nie zajęło jej to dużo czasu. To był służbowy pojazd, należący dl MVD. Jednak kwit firmy „Midas” dowodził, że tłumik do tego samochodu nabyła niejaka Cingle Shaker.

Loren знаła to nazwisko. Faceci z biura prokuratora okręgowego rozmawiali o niej z odrobinę zbyt wielkim entuzjazmem. Mówili, że samo jej oglądanie powinno być dozwolone od lat osiemnastu.

Co ją łączyło z Hunterem?

Loren zabrała kluczyki. Nie mogła pozwolić, żeby Cingle odjechała stąd, zanim sobie z nią pogada. Weszła do środka i podeszła do kontuaru recepcji. Stojący za nim mężczyzna ciężko sapał.

– Wy znów tutaj? – zapytał.

– Znów?

Nie była to jej najlepsza linia przesłuchania, ale zawsze jakiś początek.

– Inni policjanci odjechali jakąś godzinę temu. Z karetką.

– Jacy inni policjanci?

– Pani nie jest z nimi? Podeszła bliżej.

– Jak pan się nazywa?

– Ernie.

– Ernie, może powiesz mi, co się tu stało?

– Już mówiłem tamtym.

– To teraz powiedz mnie. Ernie westchnął.

– Dobrze, w porządku, było tak. Najpierw ten facet wpada do hotelu.

– Kiedy? – przerwała mu Loren.

– Co?

– O której to było?

– Nie wiem. Chyba ze dwie godziny temu. Pani nie wie?

– Mów dalej.

– No więc ten facet idzie do windy. Jedzie na górę. Kilka minut później ta wielka laska wpada tu i biegnie do windy. – Odkasznął, zasłaniając usta pięścią. – No więc, pani wie, wołam do niej. Pytam, czy wszystko w porządku. No wie pani, wykonuję swoją pracę i tak dalej.

– A pytałeś tego faceta, czy wszystko w porządku?

– Co? Nie.

– Jednak zapytałeś o to tę... – Loren nakreśliła w powietrzu cudzysłów – tę „wielką laskę”?

– Chwila. Ona wcale nie była wielka. Była wysoka. Nie chcę, aby pani pomyślała, że ona była gruba albo co. To nie tak. Wcale nie była gruba. Wprost przeciwnie. Przypominała jedną z tych lasek z filmów o Amazonkach, wie pani?

– Taak, Ernie, chyba łąpię, o co chodzi. – Zdaje się, że mówił o Cingle Shaker. – Tak więc zapytałeś Miss Amazonek czy wszystko w porządku?

– No właśnie, owszem. I ta dziewczyna, ta wysoka dziewczyna, celuje we mnie z pistoletu i mówi, żebym wezwał policję.

Zamilkł, czekając, aż Loren rozdziawi usta ze zdziwienia.

– I zrobiłeś to?

– Do diabła, tak. No przecież celowała we mnie. Da pani wiarę?

– Spróbuję, Ernie. I co potem?

– Ona jest w windzie, no nie? Trzyma mnie na muszce, aż zamkną się drzwi. Potem wzywam policję. Dwaj chłopcy z Newark jedli w knajpie obok. Dotarli tu w mgnieniu oka. Powiedziałem im, że pojechała na piąte piętro. Wjechali na górę.

– Mówiłeś coś o karetce?

– Musieli ją wezwać.

– Kto? Policjanci?

– Nie. No, może oni. Myślę jednak, że to te kobiety zadzwoniły po nią z pokoju.

– Którego pokoju?

– Proszę posłuchać, ja nie byłem na górze. Nie widziałem tego ani nic. – Ernie zmrużył oczy, tak że zrobiły się z nich dwie szparki. – Otrzymuje pani wiadomości z drugiej ręki. Czy nie powinna pani pytać tylko o to, co sam widziałem lub słyszałem?

– To nie sala sądowa – warknęła. – Co się stało na górze?

– Nie wiem. Ktoś został pobity.

– Kto?

– Jak już powiedziałem, nie wiem.

– Mężczyzna, kobieta, czarny, biały?

– Och, rozumiem. Jednak niezupełnie. Dlaczego mnie pani wypytuje? Dlaczego nie...

– Po prostu mi powiedz, Ernie. Nie mam czasu wydzwaniać.

– Nie musi pani wydzwaniać. Wystarczy połączyć się przez radio z tymi policjantami z Newark, którzy tu byli... W jej głosie zadźwięczały stalowe nutki.

– Ernie.

– Dobrze, dobrze, spokojnie. To był jakiś mężczyzna, jasne? Biały, powiedziałbym, że po trzydziestce. Wywieźli go na noszach.

– Co mu się stało?

– Chyba ktoś go pobił.

– I wszystko to zdarzyło się na piątym piętrze?

– Zdaje się, że tak, owszem.

– Mówiłeś coś o kobietach w pokoju. Że to pewnie one wezwały karetkę.

– Tak. Tak powiedziałem.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie. Loren też miała ochotę wyciągnąć broń.

– Ile było tych kobiet, Ernie?

– Co? Ach, dwie.

– Czy jedną z nich była ta wysoka, która wycelowała w ciebie broń? A druga?

Ernie spojrział w lewo, potem w prawo. Później przysunął się do niej i szepnął:

– Myślę, że ona mogła być żoną tego faceta.

– Tego, który został pobity?

– Uhm.

– Dlaczego tak sądzisz? Wciąż mówił cicho.

– Ponieważ odjechała z nim w karetce.

– No to dlaczego szepczesz?

– No cóż, staram się zachować tak zwaną dyskrecję. Loren też zaczęła szeptać.

– Dlaczego, Ernie? Czemu starasz się zachować tak zwaną dyskrecję?

– Ponieważ ta druga kobieta – mam na myśli żonę – była tutaj przez ostatnie dwie noce. On, mąż, nie. – Przechylił się przez kontuar. Loren poczuła powiew tak zwanego chronicznie nieświeżego oddechu. – I nagle mąż tu wpada, zaczyna się bójka...

Urwał, unosząc brwi, jakby wniosek był oczywisty.

– A co się stało z tą Amazonką?

– Tą, która we mnie celowała?

– Tak, Ernie – powiedziała Loren, z trudem powstrzymując irytację. – Tą, która w ciebie celowała.

– Policja ją aresztowała. W kajdankach i w ogóle.

– Ta kobieta, która według ciebie mogła być jego żoną, ta, która przebywała tutaj przez ostatnie dwa dni. Znasz jej nazwisko?

Pokręcił głową.

– Nie, przykro mi, nie słyszałem.

– Nie zameldowała się? Ernie się rozpromienił.

– Jasne. Pewnie, że się zameldowała. Ponadto robimy kopię karty kredytowej i wszystko.

– Świetnie. – Loren potarła nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym. – Może więc zaryzykujesz, Ernie, i znajdziesz mi to nazwisko?

– Tak, pewnie, mogę to zrobić. Niech spojrzę. – Wrócił do komputera i zaczął stukać w klawisze. – Chyba mieszkała w pokoju pięćset dwadzieścia dwa... Chwileczkę, tu jest.

Obrócił monitor tak, żeby Loren mogła zobaczyć.

Mieszkanka pokoju 522 nazywała się Olivia Hunter. Loren przez chwilę tylko wpatrywała się w ekran.

Ernie pokazał jej rubrykę.

– Tu jest napisane Olivia Hunter.

– Widzę. Do którego szpitala pojechali?

– Zdaje się, że mówili o Beth Israel. Loren dała Erniemu wizytówkę z numerem swojego telefonu komórkowego.

– Zadzwoń do mnie, gdyby jeszcze coś ci się przypomniało.

– Och, na pewno to zrobię.

Loren pojechała do szpitala.

Matt Hunter ocknął się.

Dostrzegł twarz Olivii.

Nie miał cienia wątpliwości, że widzi ją naprawdę. Nie była to jedna z tych chwil, kiedy zastanawiasz się, czy to sen, czy jawa. Z twarzy Olivii odpłynęła krew. Miała zaczerwienione oczy. Widział w nich strach i mógł myśleć jedynie o tym, jak ją uspokoić.

W pokoju paliły się jasne światła. Twarz Olivii, wciąż piękna, była okolona czymś, co wyglądało jak biała zasłonka prysznicza. Próbował się do niej uśmiechnąć. Głowa łupała go, jak palec, gdy walnie się w niego młotkiem.

Olivia obserwowała go. Zobaczył, że łzy stają jej w oczach.

– Przepraszam – szepnęła.

– Nic mi nie jest – powiedział.

Był trochę na haju. Środki przeciwbólowe, pomyślał. Morfina albo coś podobnego. Żebra bolały go, ale był to tępy ból. Przypomniawszy sobie tego mężczyznę z pokoju hotelowego, Talleya, tego o kruczoczarnych włosach. Przypomniawszy sobie paraliżujący ból, upadek na podłogę, kastet.

– Gdzie jesteście? – zapytał.

– Na pogotowiu w Beth Israel. Uśmiechnął się.

– Urodziłem się tutaj, jak wiesz. – Tak, zdecydowanie był czymś odurzony: jakimś lekiem rozkurczającym mięśnie, środkiem przeciwbólowym, czymś takim. – Co się stało z Talleyem? – zapytał.

– Uciekł.

– Byłaś w jego pokoju?

– Nie. W głębi korytarza.

Na moment zamknął oczy. Tej ostatniej informacji nie pojął – w głębi korytarza? – więc starał się zebrać myśli.

– Mart?

Zamrugał kilkakrotnie i spróbował się skupić.

– Byłaś w głębi korytarza?

– Tak. Zobaczyłam, jak wchodzisz do jego pokoju, i poszłam za tobą.

– Zatrzymałaś się w tym motelu?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś rozsunał zasłonę.

– Ach – powiedział lekarz. Miał cudzoziemski akcent, chyba pakistański lub hinduski. – Jak się czujemy?

– Jak milion dolców – powiedział Matt. Lekarz uśmiechnął się do nich. Plakietka na piersi głosiła PATEL.

– Pańska żona mówiła mi, że został pan napadnięty i napastnik przypuszczalnie użył paralizatora.

– Chyba tak.

– Pod pewnym względem to dobrze. Paralizatory nie powodują trwałych obrażeń. Tylko chwilowo obojętniają.

– Tak – mruknął Matt. – Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. Patel zachichotał, sprawdził coś w karcie.

– Doznał pan wstrząśnienia mózgu. Żebro jest zapewne pęknięte, ale dowiem się tego dopiero po zrobieniu zdjęcia rentgenowskiego. Chociaż to nie ma znaczenia – siniak czy złamanie, można tylko czekać, aż samo się zagoi. Podałem już panu środek usmierzający ból. Może będzie trzeba to powtórzyć.

– W porządku.

– Zatrzymam pana na noc.

– Nie – rzekł Matt. Patel spojrział na niego.

– Nie?

– Chcę do domu. Żona się mną zajmie. Patel popatrzył na Olivię. Kiwnęła głową.

– Rozumiecie państwo, że tego nie polecam?

– Rozumiemy – odezwała się Olivia. W telewizji lekarz zawsze spiera się z pacjentem, który chce wyjść do domu. Patel nie zamierzał. Wzruszył ramionami.

– Dobrze, podpisze pan formularz wypisu i może pan iść.

– Dzięki, doktorze.

Doktor znów wzruszył ramionami.

– Życzę szczęścia.

– Ja panu też.

Doktor wyszedł z pokoju.

– Czy policja jest tutaj? – zapytał Matt.

– Dopiero co odjechali, ale wrócą.

– Co im powiedziałaś?

– Niewiele. Zakładali, że bójka wynikała na tle rozpadu małżeństwa. Przyłapałeś mnie z innym mężczyzną, coś takiego.

– Co się stało z Cingle?

– Aresztowali ją.

– Co?

– Wyciągnęła broń, żeby przestraszyć recepcjonistę. Matt pokręcił obolałą głową.

– Musimy wpłacić kaucję.

– Mówiła, żeby tego nie robić, że sama się tym zajmie. Spróbował usiąść. Pod potylicą

poczuł przeszywający ból, jakby utkwiał tam rozżarzony nóż.

– Matt?

– Nic mi nie jest.

Tak też było. Obrywał mocniej. Znacznie mocniej. To było nic. Poradzi sobie. Usiadł i napotkał jej spojrzenie. Wyglądała tak, jakby przygotowywała się na druzgoczący cios.

– To coś niedobrego, prawda? – zapytał Matt. Pierś Olivii gwałtownie zafalowała. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Ale tak. Tak, to coś bardzo niedobrego.

– Czy chcemy mieszać w to policję?

– Nie. – Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Przynajmniej dopóki nie powiem ci wszystkiego. Spuścił nogi z łózka.

– No to wynośmy się stąd w cholerę.

Loren naliczyła sześć osób w kolejce do izby przyjęć. Kiedy podeszła prosto do biurka rejestratorki, cała szóstka zaburczała z dezaprobatą. Loren to zignorowała. Trzasnęła odznaką o biurko.

– Niedawno przywieziono tu pacjenta.

– Żartuje pani. – Kobieta za biurkiem spojrzała na nią znad połówkowych szkieł do czytania i powiodła wzrokiem po zapchanej poczekalni. – Pacjenta, mówi pani? – Żuła gumę. – O rany, przyłapała nas pani. Rzeczywiście niedawno przywieziono nam tu pacjenta.

Kolejka zachichotała. Loren poczerwieniała.

– Ofiarę napadu. Z hotelu Howard Johnson's.

– A, tego. Chyba już go nie ma.

– Nie ma?

– Wypisał się kilka minut temu.

– Dokąd poszedł?

Kobieta spojrzała na nią obojętnie.

– Racja – powiedziała Loren. – Nieważne. Zadzwoił jej telefon komórkowy. Wyjęła go i warknęła:

– Muse.

– Hmm, cześć, czy pani jest tą policjantką, która była tu przedtem?

Loren rozpoznała głos.

– Tak, Ernie. Co się stało? Usłyszała cichy jęk.

– Musi pani tu wrócić.

– Co jest? Ernie?

– Coś się stało – powiedział. – Myślę... myślę, że on nie żyje.

Matt i Olivia wypełnili niezbędne formularze, ale nie mieli samochodu. Jego wóz był wciąż na parkingu MVD, a jej pod hotelem. Wezwali taksówkę i czekali na nią na zewnątrz, przed wyjściem.

Matt siedział w fotelu na kółkach. Olivia stała obok niego. Patrzyła prosto przed siebie. Było gorąco i duszno, ale wciąż obejmowała się ramionami. Miała na sobie bluzkę bez rękawów i spodnie khaki. Jej ręce były gładkie i opalone.

Podjechała taksówka. Matt podniósł się z trudem. Olivia chciała mu pomóc, ale machnął ręką. Oboje usiedli z tyłu. Ich ciała się nie dotykały. Nie trzymali się za ręce.

– Dobry wieczór – powiedział kierowca, spoglądając w lusterko. – Dokąd jedziemy?

Był czarnoskóry i mówił z jakimś afrykańskim akcentem. Matt podał mu domowy adres w Irvington. Taksówkarz był gadatliwy. Powiedział im, że jest z Ghany. Miał sześcioro dzieci. Dwoje z nich mieszkało razem z nim, pozostałe były z żoną w Ghanie.

Matt starał się reagować. Olivia spoglądała przez okno i milczała. W pewnej chwili Matt wziął ją za rękę. Pozwoliła mu na to, ale jej dłoń była bezwładna, bez życia.

– Byłaś u doktora Haddona? – zapytał ją Matt.

– Tak.

– I co?

– Wszystko w porządku. To powinna być normalna ciąża z przedniego siedzenia kierowca rzekł:

– Ciąża? Będziecie mieli dziecko?

– Tak – potwierdził Matt.

– To wasze pierwsze?

– Tak.

– Wszystkiego najlepszego, przyjacielu.

– Dziękuję.

Byli już w Irvington, na Clinton Avenue. Przed nimi zapaliło się czerwone światło. Kierowca zatrzymał taksówkę.

– Już prawie jesteśmy na miejscu, tak?

Matt wyglądał przez okno i już miał potwierdzić, gdy coś przykuło jego wzrok. Ich dom istotnie był niedaleko. Jednak to nie on zwrócił jego uwagę.

Na ulicy stał policyjny samochód.

– Zaczekaj chwileczkę – powiedział Matt.

– Słucham?

Matt opuścił szybę. Usłyszał cichy pomruk silnika radiowozu. Zastanowiło go to. Popatrzył

na róg. Pijaczek Lawrence chwiał się tam z nieodłączną brązową torebką, podśpiewując stary przebój Four Tops Bernadetta.

Matt wystawił głowę przez okno.

– Cześć, Lawrence.

– ...And never find the love I've found in... – Lawrence urwał w pół słowa. Przyłożył dłoń do czoła i zmrużył oczy. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Ruszył ku nim. – Matt, mój stary! Tylko patrzcie, w taksówce jak panisko.

– Taa.

– Znów wypieś, co? Pamiętam, jak było niedawno. Nie chciałeś jechać po kielichu, mam rację?

– Coś w tym rodzaju, Lawrence.

– O! – Lawrence wskazał bandaż na głowie Matta. – Co ci się stało? Wiesz, jak wyglądasz z tym turbanem na głowie?

– Lawrence...

– Jak ten facio z tego starego filmu, co maszeruje i gra na flecie. A może na bębnie? Nigdy nie pamiętam. On też miał tak owiniętą głowę. No zaraz, jaki tytuł miał ten film?

Matt spróbował sprowadzić go na ziemię.

– Lawrence, widzisz ten radiowóz, który tam stoi?

– A co? – Lawrence nachylił się do niego. – On ci to zrobił?

– Nie, nic podobnego. Nic mi nie jest, naprawdę.

Lawrence stanął tak, że zasłaniał Matta. Gdyby policjant przypadkiem spojrział w tym kierunku, zapewne doszedłby do wniosku, że Lawrence czymś handluje.

– Jak długo ten wóz tu stoi? – zapytał Matt.

– Nie wiem. Piętnaście, może dwadzieścia minut. Czas leci, Matt. Im jesteś starszy, tym szybciej. Posłuchaj Lawrence.

– Czy wysiadał z samochodu?

– Kto?

– Ten policjant.

– Och, pewnie. I dobijał się do ciebie. – Lawrence uśmiechnął się. – Och, rozumiem. Masz kłopoty, prawda, Matt?

– Ja? Ja jestem jednym z dobrych facetów. Lawrence'owi to się spodobało.

– Och, wiem o tym. No, dobrej nocy, Matt. – Pochylił się jeszcze bardziej. – Tobie też, Liv.

– Dziękuję ci, Lawrence – powiedziała Olivia. Lawrence zobaczył jej twarz i znieruchomiał.

Spojrzał na Matta i wyprostował się. Powiedział jeszcze ciszej:

– Uważajcie na siebie.

– Dzięki, Lawrence. – Matt obrócił się i powiedział do kierowcy. – Zmiana trasy.

– Będę miał przez to kłopoty? – zapytał taksówkarz.

– Żadnych. Miałem wypadek. Chcą porozmawiać ze mną o tym, jak to się stało. Wolimy to odłożyć do rana.

Taksówkarz nie kupił tego, ale też nie oponował. Zapaliło się zielone światło. Taksówka, zamiast skręcić w prawo, pojechała prosto.

– Dokąd mam jechać?

Matt podał mu adres MVD w Newark. Pomyślał, że wsiądą do jego samochodu, pojedą gdzieś i porozmawiają. Pytanie tylko gdzie? Sprawdził godzinę. Była trzecia rano.

Taksówkarz wjechał na parking MVD.

– Może być tutaj?

– Świetnie, dzięki. Wysiedli. Matt zapłacił.

– Ja poprowadzę – zaproponowała Olivia.

– Nic mi nie jest.

– Tak, akurat. Dopiero co zostałeś pobity i jesteś nafaszerowany prochami. – Olivia wyciągnęła rękę. – Daj mi kluczyki.

Dał. Wsiedli i ruszyli.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Olivia.

– Zadzwońię do Marshy, może przenocujemy u niej.

– Obudzisz dzieciaki. Zdołał się uśmiechnąć.

– Tych dwóch nie obudziłyby nawet wybuchy granatów pod ich poduszkami.

– A co z Marszą?

– Nie będzie miała nic przeciwko temu.

Nagle jednak Matt się zawahał. Naprawdę nie przejmował się tym, że zbudzi Marszę – w ciągu minionych lat było mnóstwo takich nocnych telefonów – ale nagle zaczął się zastanawiać, czy ona będzie sama, czy jej nie przeszkodzi. A ponadto – co było naprawdę dziwne – nagle zaczął martwić się czymś jeszcze.

Zalóżmy, że Marszą ponownie wyjdzie za mąż.

Paul i Ethan to jeszcze malcy. Czy będą nazywali faceta tatusiem? Matt nie wiedział, czy potrafiłyby to znieść. Co więcej, jaką rolę odgrywałyby wujek Matt w tym ich nowym życiu, w nowej rodzinie? Oczywiście, to były głupie myśli. Upredzał wydarzenia. Nie czas na to, teraz ma poważniejsze problemy. Ale te myśli wciąż krążyły mu po głowie, usiłując wyrwać się na wolność.

Wyjął telefon komórkowy i wybrał drugi numer ze swojej skróconej listy numerów telefonicznych. Kiedy wyjechali na Washington Avenue, Matt zauważył dwa samochody mijające ich i zjeżdżające w przeciwnym kierunku. Odwrócił się i patrzył, jak wjeżdżają na parking MVD. Samochody należały do biura prokuratora okręgu Essex. Ta sama marka i model

co wóz, którym przyjechała do niego Loren.

To źle wróżyło.

Marsha odebrała po drugim dzwonku.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś – powiedziała. Jeśli spała, dobrze to ukryła.

– Jesteś sama?

– Co?

– Ja tylko... wiem, że są tam dzieci...

– Jestem sama, Matt.

– Nie zamierzałem być wścibski. Chciałem się tylko upewnić, że nie przeszkadzam.

– Nie przeszkadzasz. Nigdy. To chyba powinno go uspokoić.

– Moglibyśmy przenocować dziś u ciebie, Olivia i ja?

– Oczywiście.

– To długa historia, ale krótko mówiąc, zostałem napadnięty i...

– Nic ci nie jest?

Ból znów zaczął sączyć się do jego głowy i żeber.

– Mam kilka guzów i sińców, ale nic mi nie będzie. Chodzi o to, że policja chce mi zadać kilka pytań, a my jeszcze nie jesteśmy gotowi.

– Czy to ma coś wspólnego z tą zakonnica? – zapytała Marshę.

– Jaką zakonnica?

Olivia gwałtownie obróciła się do niego.

– Była tu dziś inspektor z prokuratury okręgowej – powiedziała Marshę. – Powinnam do ciebie zadzwonić, ale chyba miałam nadzieję, że to nic poważnego. Zaczekaj, mam gdzieś jej wizytówkę...

Matt, zmęczony i obolały, natychmiast skojarzył.

– Loren Muse.

– Właśnie, tak się nazywała. Mówiła, że ta zakonnica dzwoniła do naszego domu.

– Wiem – rzekł.

– Muse skontaktowała się z tobą?

– Tak.

– Domyśliłam się, że to zrobi. Rozmawialiśmy, a potem, sama nie wiem, chyba zauważyła twoje zdjęcie przyklejone do lodówki i nagle zaczęła pytać Kyrę i mnie o to, jak często nas odwiedzasz.

– Nie martw się, wszystko wyjaśniłem. Posłuchaj, będziemy u ciebie za dwadzieścia minut.

– Przygotuję pokój gościnny.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Żaden kłopot. Zobaczymy się za dwadzieścia minut. Rozłączyła się.

– Co z tą zakonnica? – spytała Olivia.

Matt opowiedział jej o wizycie Loren. Olivia zbladła jeszcze bardziej. Zanim skończył mówić, dotarli już do Livingston. Drogi były zupełnie puste. Wokół żywej duszy. W domach jarzyły się tylko lampy na klatkach schodowych, zapalane przez włączniki czasowe mające oszukać włamywaczy.

Olivia milczała, gdy wjeżdżali na podjazd Marshy. Matt widział sylwetkę bratowej przez zasłonę w oknie w przedpokoju na parterze. Nad garażem paliło się światło. Kyra nie spała. Zobaczył, jak wyjrzała powodowana ciekawością. Matt opuścił szybę i pomachał do dziewczyny. Odpowiedziała tym samym.

Olivia zgasiła silnik. Matt spojrzał na swoje odbicie w lusterku. Wyglądał koszmarnie. Lawrence miał rację. Z głową owiniętą bandażem naprawdę przypominał żołnierza grającego na flecie w Spirit of '76 Willarda.

– Olivio?

Nie odpowiedziała.

– Czy znasz tę siostrę Mary Rose?

– Może.

Wysiadła z samochodu. Matt zrobił to samo. Na zewnątrz włączyły się światła – Matt pomógł Berniemu zainstalować detektory ruchu. Olivia obeszła samochód i podeszła do niego. Chwyliła go za rękę i mocno ją ścisnęła.

– Zanim powiem coś więcej – zaczęła – musisz o czymś wiedzieć. Matt czekał.

– Kocham cię. Jesteś jedynym mężczyzną, którego kochałam. Cokolwiek się teraz stanie, ty dałeś mi szczęście i radość, co kiedyś uważałam za niemożliwe.

Przyłożyła palec do jego ust.

– Chcę tylko jednego. Żebyś mnie przytulił. Obejmij mnie tylko przez minutę lub dwie. Ponieważ nie wiem, czy jeszcze kiedyś zechcesz mnie wziąć w ramiona, gdy powiem ci prawdę.

Kiedy przywieziono Cingle na posterunek, skorzystała z telefonu komórkowego i zadzwoniła do Malcolma Sewarda, prezesa Most Valuable Detection. Seward był emerytowanym pracownikiem FBI. Otworzył MVD przed dziesięcioma laty i zbijał majątek.

Nie był zachwycony nocnym telefonem.

– Celowałaś w niego?

– Nie zamierzałam strzelić.

– Jakie to pocieszające. – Seward westchnął. – Wykonam kilka telefonów. Wyjdiesz za godzinę.

– Jesteś najlepszy, szefie. Rozłączył się.

Wróciła do celi i czekała. Wysoki policjant otworzył drzwi aresztu.

– Cingle Shaker.

– Tu jestem.

– Proszę za mną.

– Wszędzie, przystojniaku.

Poprowadził ją korytarzem. Spodziewała się rutynowego powiadomienia o wpłaceniu kaucji i szybkiego zwolnienia, ale tak się nie stało.

– Proszę się odwrócić – polecił. Cingle uniósł brwi.

– Czy nie powinieneś najpierw postawić mi kolacji?

– Proszę się odwrócić. Zrobiła to. Skuł ją.

– Co robisz?

Nie odpowiedział. Wyprowadził ją z posterunku, otworzył drzwi radiowozu i wepchnął ją do środka.

– Dokąd jedziemy?

– Do nowego budynku sądu.

– Tego przy West Market?

– Tak, proszę pani.

Przejechali kilometr, co zajęło im chwilę. Dotarli windą na trzecie piętro. Zrobiony szablonem napis na szybie głosił: BIURO PROKURATORA OKRĘGU ESSEX. Przy drzwiach wisiała wielka gablota, taka, jaką widuje się w szkołach. Cingle zastanawiała się nad tym, co taka gablota robi w biurze prokuratora. Skazujesz zabójców, gwałcicieli i handlarzy narkotyków, a pierwszą rzeczą, którą widzisz po wejściu, jest kolekcja nagród za wygrane mecze softballu. Dziwne.

– Tędy.

Poprowadził ją przez poczekalnię i podwójne drzwi. Kiedy przystanęli, spojrzała na małe

pomieszczenie bez okien.

– Pokój przesłuchań?

Nie odpowiedział, tylko przytrzymał drzwi. Wzruszyła ramionami i weszła.

Minęło trochę czasu, w zasadzie całkiem sporo. Zabrali jej rzeczy osobiste, z zegarkiem włącznie, więc nie wiedziała, ile dokładnie. W pomieszczeniu nie było weneckiego lustra, jakie zazwyczaj widuje się w telewizji. Używali kamer. Jedna była zamocowana w kącie. Z sąsiedniego pokoju można było zrobić zbliżenie lub ustawić kamerę pod innym kątem. Do jednej ze ścian był przymocowany pod dziwnym kątem pulpit. Cingle wiedziała, że kładzie się na nim formularz, tak by kamera mogła sfilmować, jak go podpisujesz.

Kiedy drzwi w końcu otworzyły się, do pokoju weszła kobieta. Cingle założyła, że to cywilna funkcjonariuszka. Była mała, miała najwyżej z metr pięćdziesiąt pięć i ważyła jakieś pięćdziesiąt parę kilo. Spływała potem. Wyglądała tak, jakby wyszła z łaźni parowej. Bluzka lepiła jej się do piersi. Miała ciemne plamy pod pachami. Jej twarz lśniła, pokryta cienką warstwą potu. Przy pasku miała broń, a w ręku kartonową teczkę.

– Jestem inspektor Loren Muse – powiedziała. O, szybko. Cingle pamiętała to nazwisko – to Muse przed kilkoma godzinami przesłuchiwała Matta.

– Cingle Shaker.

– Tak, wiem. Mam kilka pytań.

– A ja na razie nie zamierzam na nie odpowiadać. Loren była jeszcze zasapana.

– Dlaczego?

– Pracuję jako prywatny detektyw.

– A kim jest pani klient?

– Nie muszę pani mówić.

– Prywatnego detektywa nie obejmuje tajemnica zawodowa.

– Znam prawo.

– I?

– I wolę w tym momencie nie odpowiadać na żadne pytania.

Loren rzuciła kartonową teczkę na stół. Nie otworzyła jej.

– Odmawia pani współpracy z biurem prokuratora?

– Ależ skąd!

– To proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Kim jest pani klient?

Cingle usiadła wygodniej. Wyciągnęła nogi i skrzyżowała je w kostkach.

– Wpadła pani do basenu czy co?

– Och, chwileczkę, rozumiem. Bo jestem mokra? A to dobre, naprawdę. Czy powinnam wyjąć długopis, na wypadek gdyby miała pani więcej takich błyskotliwych uwag?

– Nie trzeba. – Cingle wskazała na kamerę. – Może pani obejrzeć wideo.

– Nie jest włączona.

– Nie?

– Gdybym chciała to nagrywać, musiałabym dać pani do podpisania formularz.

– Czy ktoś jest w sąsiednim pokoju?

Loren wzruszyła ramionami i zignorowała to pytanie.

– Nie jest pani ciekawa, jak czuje się pan Hunter? Cingle nie złapała się na to.

– Powiem pani coś. Nie będę zadawała żadnych pytań, jeśli pani też się od nich powstrzyma.

– Nie sędzę.

– Proszę posłuchać, pani inspektor... Muse, czy tak?

– Tak.

– O co tyle zamieszania? To była zwykła napaść. W tym hotelu pewnie dochodzi do nich trzy razy w tygodniu.

– Jednak – zauważyła Loren – ta była na tyle poważna, że celowała pani do człowieka.

– Staralam się tylko dostać na górę, zanim sprawy przybiorą niebezpieczny obrót.

– Skąd pani wiedziała?

– Słucham?

– Bójka toczyła się na piątym piętrze. Pani siedziała w samochodzie przed hotelem. Skąd pani wiedziała, że ktoś ma kłopoty?

– Myślę, że zakończyliśmy rozmowę.

– Nie, Cingle, nie sędzę.

Spojrzały sobie w oczy. Cingle nie spodobało się to, co zobaczyła. Loren przysunęła krzesło i usiadła.

– Właśnie spędziłam pół godziny na klatce schodowej motelu Howard Johnson's. Tam nie ma klimatyzacji. Krótko mówiąc, jest tam gorąco jak w piekle. Dlatego tak wyglądam.

– Czy powinnam wiedzieć, o czym pani mówi?

– To nie była zwyczajna napaść, Cingle. Cingle spojrzała na kartonową teczkę.

– Co to takiego?

Loren wysypała na stół jej zawartość. W środku były zdjęcia. Cingle westchnęła, podniosła jedno z nich i zamarła.

– Zakładam, że go pani rozpoznaje?

Cingle wpatrywała się w zdjęcia. Pierwsze było fotografią głowy. Nie pozostawiało cienia wątpliwości – zabitym był Charles Talley. Jego twarz wyglądała jak surowy befsztyk. Drugie ukazywało całe ciało. Talley leżał na czymś, co wyglądało na metalowe schody.

– Co mu się stało?

– Dwa strzały w twarz.

– Jezu.

– Czy teraz masz ochotę pogadać, Cingle?

– Nic o tym nie wiem.

– Nazywał się Charles Talley. Jednak ty to wiesz, prawda?

– Jezu – powtórzyła Cingle, próbując poukładać to w całość. Talley nie żył. Jak to możliwe?

Czy nie napadł dopiero co na Matta?

Loren schowała zdjęcia do kartonowej teczki. Założyła ręce na piersi i nachyliła się.

– Wiem, że pracuje pani dla Matta Huntera. Wiem również, że tuż przedtem, zanim przyjechaliście do tego motelu, spotkaliście się w pani biurze na bardzo późną pogawędkę. Zechce mi pani powiedzieć, o czym rozmawialiście?

Cingle pokręciła głową.

– Czy zabiła pani tego człowieka, pani Shaker?

– Co takiego? Oczywiście, że nie.

– A co z Mattem Hunterem? Czy on go zabił?

– Nie.

– Skąd pani wie?

– Słucham?

– Nawet nie powiedziałam pani, kiedy został zabity. – Loren przechyliła głowę. – Skąd może pani wiedzieć, że nie był zamieszany w jego zabójstwo?

– Nie to miałam na myśli.

– A co?

Cingle zwlekąca. Loren nie.

– A co z emerytowanym detektywem Maksem Darrownem – Kim? – zdziwiła się Cingle, chociaż pamiętała, że Matt wymienił to nazwisko. Prosił, żeby go sprawdziła.

– Jeszcze jeden nieboszczyk. Zabiła go pani? A może zrobił to Hunter?

– Nie wiem, co to... – Cingle urwała i skrzyżowała ręce na piersi. – Muszę już iść.

– Nie ma mowy, Cingle.

– Oskarżacie mnie o coś?

– Skoro o tym mowa, tak. Groziła pani człowiekowi nabitą bronią.

Cingle próbowała odzyskać pewność siebie.

– Stare dzieje.

– No tak, ale nie wyjdzie pani stąd tak od razu. Zatrzymamy panią przez noc i przesłuchamy rano. Zrobimy wszystko, na co pozwala nam prawo. Jeśli będzie pani miała szczęście, tylko straci licencję, ale sądzę, że pójdzie pani do więzienia.

Cingle się nie odezwała.

– Kto dziś wieczorem napadł na pana Huntera?

– Dlaczego jego pani nie zapyta?

– Och, zapytam. Ponieważ – co jest bardzo interesujące – kiedy znaleźliśmy zwłoki pana Talleya, miał przy sobie paralizator i kastet. Na kastecie były świeże ślady krwi. – Loren znów przechyliła głowę i przysunęła się jeszcze bliżej. – Kiedy przeprowadzimy badanie DNA, jak pani sądzi, czyja to będzie krew?

Ktoś zapukał do drzwi. Loren Muse jeszcze przez chwilę patrzyła jej w oczy, a potem otworzyła drzwi. Stał w nich ten policjant, który przywiózł Cingle z posterunku. Trzymał telefon komórkowy.

– Do niej – powiedział, wskazując na Cingle. Ta spojrzała na Loren. Z jej twarzy niczego nie dało się wyczytać. Cingle wzięła aparat i przyłożyła do ucha.

– Halo!

– Zaczynaj mówić.

To był jej szef, Malcolm Seward.

– To delikatna sprawa.

– Siedzę przed komputerem – rzekł Seward. – Jaki jest numer tej sprawy?

– Jeszcze nie ma numeru.

– Co?

– Z całym szacunkiem, proszę pana, nie mam ochoty o tym mówić w obecności funkcjonariuszy. Usłyszała westchnienie Sewarda.

– Zgadnij, kto właśnie do mnie dzwonił, Cingle. Zgadnij, kto dzwonił do mnie o trzeciej rano.

– Panie Seward...

– Albo nie, nie zgaduj. Powiem ci, ponieważ jest trzecia w nocy i jestem zbyt zmęczony na takie zabawy. Ed Steinberg. Ed Steinberg we własnej osobie. Czy wiesz, kim on jest?

– Tak.

– Ed Steinberg jest prokuratorem okręgu Essex.

– Wiem.

– Jest również moim przyjacielem od dwudziestu ośmiu lat.

– O tym też wiem.

– Dobrze, Cingle, więc nadajemy na tej samej fali. MVD to interes, bardzo dobry interes, a przynajmniej tak mi się zdaje. I nasza skuteczność – twoja i moja – w znacznym stopniu zależy od współpracy z tymi ludźmi. Tak więc kiedy Ed Steinberg dzwoni do mnie do domu o trzeciej rano i mówi mi, że pracuje nad sprawą trzech morderstw...

– Chwileczkę – przerwała mu Cingle. – Powiedział pan trzech?

– Widzisz? Nawet nie wiesz, jak głęboko to sięga. Ed Steinberg, mój stary kumpel, bardzo chce, żebyś współpracowała. Czy wyrażam się jasno?

– Chyba tak.

– Chyba? Co, jestem zbyt subtelny, Cingle?

– Są pewne dodatkowe okoliczności.

– Nie według Steinberga. Mówi mi, że tu chodzi o jakiegoś byłego więźnia. To prawda?

– On pracuje dla Carter Sturgis.

– Jest prawnikiem?

– Nie, doradcą.

– I siedział za zabójstwo?

– Tak, ale...

– No to nie ma o czym mówić. Nie chroni go tajemnica zawodowa. Powiedz im wszystko, co chcą wiedzieć.

– Nie mogę.

– Nie możesz? – W głosie Sewarda usłyszała groźne nutki. – Nie chcę tego słyszeć.

– To nie jest takie proste, panie Seward.

– No to pozwól, że ci to uproszczę, Cingle. Masz dwie możliwości: mów albo zwolnij swoje biurko. Na razie.

Rozłączył się. Cingle zmierzyła wzrokiem Loren. Ta uśmiechnęła się do niej.

– Wszystko w porządku, pani Shaker?

– Najlepszym.

– Dobrze. Ponieważ kiedy tu rozmawiamy, nasi technicy jadą do biura MVD. Przejrzą twarde dyski w pani komputerze. Przeczytają każdy dokument, jaki tam pani trzyma. Prokurator Steinberg właśnie dzwoni do pani szefa. Dowie się, jakie pliki przeglądała pani ostatnio, z kim rozmawiała, gdzie była, nad czym pracowała. Cingle powoli podniosła się i stanęła nad Loren, ale drobna funkcjonariuszka się nie cofnęła.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Cingle?

– Co?

– Siadaj na dupie.

– Wolę stać.

– Świetnie. Postuchaj, bo zbliżamy się do końca tej rozmowy. Czy wiesz, że chodziłam z Mattem Hunterem do szkoły? Ściśle mówiąc, do podstawówki. Lubiłam go. Był miłym chłopcem. I jeśli jest niewinny, nikt bardziej ode mnie nie chce uwolnić go od zarzutów. Jednak twoje milczenie sugeruje, że możesz coś ukrywać. Mamy kastet Talleya. Wiemy, że Matt Hunter był wczoraj w pobliżu miejsca zbrodni. Wiem, że wdał się w bójkę w pokoju pięćset piętnaście – a to był pokój Talleya. Wiemy również, że pan Hunter tego wieczoru pił w dwóch barach. Wiemy, że badanie DNA krwi na kastecie wykaże, że to jego krew. I oczywiście wiemy, że pan Hunter, skazany za zabójstwo, ma zwyczaj wdawać się w bójki, które kończą się czyjąś śmiercią.

Cingle westchnęła.

– A puenta?

– Jasne, Cingle, zaraz będzie: czy naprawdę myślisz, że potrzebuję twojej pomocy, żeby go wsadzić? Cingle zaczęła stukać obcasem w podłogę, szukając jakiegoś wyjścia.

– To czego ode mnie chcecie?

– Pomocy.

– W czym?

– Powiedz prawdę – rzekła Loren. – Tylko o to proszę.

Hunter już tak jakby był skazany. Kiedy wpadnie w tryby maszyny sprawiedliwości – jako były więzień – no cóż, wiesz, jak to działa.

Wiedziała. Matt się załamie. Dostanie szafu, jeśli znów go zamkną, jeśli stanie się to, czego najbardziej się obawiał. Loren przysunęła się do niej.

– Jeśli wiesz o czymś, co mogłoby mu pomóc – podsunęła – najwyższy czas, żeby to powiedzieć.

Cingle zastanawiała się. Prawie wierzyła tej małej, ale wiedziała, że nie powinna. Właśnie tego chciała Muse, gdy odgrywała jednocześnie rolę dobrego i złego policjanta. Chryste, nawet amator rozszyfrowałby tę grę, a ona prawie była gotowa się na to nabrać. Kluczowe słowo: prawie.

Cingle zdała sobie jednak sprawę, że kiedy zajrzą do jej służbowego komputera, zaczną się problemy. Ostatnimi plikami, które przeglądała, były te ze zdjęciami z telefonu komórkowego Matta. Zdjęcia ofiary morderstwa. Film z zamordowanym i żoną Matta Huntera. Gwóźdź do trumny każdego byłego więźnia. Jak przypomniawszy inspektor Muse, już mieli dosyć dowodów. Te zdjęcia dostarczą im coś więcej: motyw.

Ponadto powinna martwić się o własną karierę. To zaczęło się jako przysługa dla przyjaciela, zwyczajna sprawa. Jak daleko była gotowa się posunąć? Co poświęcić? A jeśli Matt nie miał nic wspólnego z morderstwem Charlesa Talleya, czy współpraca z prokuraturą nie pomogłaby ujawnić prawdy? Cingle usiadła.

– Ma mi pani coś do powiedzenia?

– Chcę wezwać mojego prawnika – powiedziała Cingle. – Potem powiem pani wszystko, co wiem.

– O nic pani nie oskarżyłam – powiedziała Loren.

Cingle założyła rękę na piersi.

– Nie bawmy się w słowne gierki, dobrze? Zażądałam adwokata. Koniec wywiadu. Kropka.

– Skoro tak pani mówi.

– Mówię. Proszę przynieść mi telefon.

– Ma pani prawo zadzwonić do adwokata.

– Właśnie do niego zamierzam zadzwonić. Loren zastanowiła się. Nie chciała, żeby Cingle ostrzegła Huntera.

– Ma pani coś przeciwko temu, że wykręcę numer za panią?

– Jeśli pani chce – odparła Cingle. – Ale będzie mi potrzebna również książka telefoniczna.

– Nie zna pani na pamięć numeru telefonu swojego adwokata?

– Nie, przykro mi.

Zajęło to następnych pięć minut. Loren wybrała numer i wręczyła jej telefon. Zawsze mogła później przejrzeć rejestr rozmów i sprawdzić, czy Cingle ukradkiem nie zadzwoniła jeszcze gdzieś. Wyłączyła mikrofon i poszła do pokoju obok. Cingle, pamiętając o kamerze w kącie, odwróciła się plecami do obiektywu, na wypadek gdyby ktoś chciał czytać z ruchu jej warg.

Loren zaczęła wydzwaniać. Najpierw połączyła się z policjantem czekającym przed domem Hunterów w Irvington. Poinformował ją, że Matt i Olivia jeszcze nie wrócili. Loren wiedziała, że to zła wiadomość. Rozpoczęła ciche poszukiwania, ponieważ nie chciała wszczynać alarmu.

Powinna zdobyć nakaz wglądu w ostatnie operacje przeprowadzone za pomocą kart kredytowych Matta i Olivii Hunterów. Jeśli uciekli, to zapewne będą musieli pobrać pieniądze z bankomatu albo wystawić czek w motelu.

Na ekranie monitora zobaczyła, że Cingle skończyła rozmawiać. Cingle podniosła komórkę do kamery i dała znak, żeby ktoś wyłączył mikrofon. Loren to zrobiła.

– Tak?

– Mój adwokat jest już w drodze.

– Więc niech pani siedzi spokojnie.

Loren wyłączyła interkom. Usiadła. Zaczęła odczuwać zmęczenie. Zbliżała się do granicy wytrzymałości. Potrzebowała odpoczynku, inaczej przestanie trzeźwo myśleć. Adwokat Cingle nie dotrze tu wcześniej niż za pół godziny. Splotła rękę na piersi, położyła nogi na biurku i zamknęła oczy, mając nadzieję, że zdrzemnie się kilka minut przed przybyciem prawnika.

Zadzwonił jej telefon komórkowy. Ocknęła się i przyłożyła go do ucha.

Dzwonił Ed Steinberg.

– Cześć.

- Cześć – zdołała wykrztusić.
- Prywatny detektyw powiedziała coś?
- Jeszcze nie. Czeka na swojego prawnika.
- Niech czeka. Niech oboje poczekają.
- Dlaczego, coś się stało?
- Federalni, Loren.
- Co z nimi?
- Spotkamy się z nimi za pół godziny.
- Z kim konkretnie?
- Joan Thurston.

To sprawiło, że opuściła nogi na podłogę.

- Prokurator federalny?
- We własnej osobie. I z jakimś agentem specjalnym Nevady. Mamy spotkać się z nimi w biurze Thurston, żeby porozmawiać o twojej fałszywej zakonnicy.

Loren sprawdziła godzinę.

- Jest czwarta rano.
- Dzięki za informację.
- Nie, chciałam powiedzieć, że jestem zdziwiona, że o tej porze dzwoniłeś do Joan Thurston.
- Nie musiałem – odparł Steinberg. – To ona zadzwoniła do mnie.

Ed Steinberg przyszedł, spojrział na Loren i pokręcił głową. Rozprostowały jej się spocone włosy. Wprawdzie już wyschły, ale i tak wyglądała okropnie.

- Wyglądasz jak coś, co kiedyś zostawiłem na dnie mojej szafki w sali gimnastycznej – podsumował Steinberg.

- Dzięki za komplement. Wymownie pokazał rękami.
- Nie mogłabyś... sam nie wiem... zrobić czegoś ze swoimi włosami?
- A co, jesteśmy w klubie samotnych serc?
- Najwidoczniej nie.

Biuro prokuratora okręgowego znajdowało się zaledwie o trzy przecznice od siedziby prokuratora federalnego. Weszli przez dobrze strzeżony, prywatny, podziemny garaż. O tej porze stało na nim zaledwie kilka samochodów. Winda wywiozła ich na siódme piętro. Napis na szkle głosił:

PROKURATOR FEDERALNY STANU NEW JERSEY JOAN THURSTON
PROKURATOR FEDERALNY.

Steinberg wskazał na górną i dolną linijkę napisu.

- Nadmiar, nie uważasz?

Pomimo powagi urzędu poczekalnia wyglądała jak przychodnia dentystyczna. Wytarty

dywan. Meble ani modne, ani funkcjonalne. Na jednym stole leżał tuzin różnych egzemplarzy „Sports Illustrated” i nic więcej. Ściany prosiły się o malowanie. Były poplamione i gołe, jeśli nie liczyć fotografii poprzednich prokuratorów, które doskonale pokazywały, jak się nie ubierać i jakich nie robić min, pozując do zdjęć dla potomności.

O tej porze biura nie strzegła recepcjonistka. Zapukali i brzęczący domofon wpuścił ich do świątyni sprawiedliwości. W środku było znacznie przyjemniej i zupełnie inaczej, jakby przeszli przez mur do innego świata.

Skręcili w prawo i poszli w kierunku narożnego biura. Na korytarzu stał jakiś mężczyzna. Był olbrzymi. Miał włosy ostrzyżone na jeża i zmarszczone czoło. Stał zupełnie nieruchomo i wyglądał tak, jakby mógł pełnić funkcję ściany do squasha. Steinberg wyciągnął rękę.

– Cześć, jestem Ed Steinberg, prokurator okręgowy. Ściana do Squasha uściśnięła mu dłoń, ale bez entuzjazmu.

– Cal Dollinger, FBI. Czekają.

Na tym skończyła się rozmowa. Cal Dollinger został na swoim miejscu. Oni minęli załom korytarza. Joan Thurston powitała ich w drzwiach.

Mimo wczesnej godziny prokurator Joan Thurston prezentowała się doskonale w grafitowym kostiumie, wyglądającym na skrojony przez bogów. Czterdziestoparoletnia, rudowłosa, o szerokich ramionach i wąskiej talii – zdaniem Loren niezwykle atrakcyjna. Miała dwóch nastoletnich synów. Jej mąż pracował u Morgana Stanleya na Manhattanie. Mieszkali w zwykłej dzielnicy Short Hills i mieli domek letniskowy na Long Beach Island.

Krótko mówiąc: Joan Thurston była osobą, jaką Loren chciała być, kiedy dorośnie.

– Dzień dobry – powiedziała Thurston, co zabrzmiało nieco dziwnie, gdyż za oknami jej gabinetu było jeszcze zupełnie ciemno.

Mocno uściśnęła dłoń Loren, spoglądając jej w oczy i łagodząc to uśmiechem. Uściskała Steinberga i cmoknęła go w policzek.

– Poznajcie Adama Yatesa. To agent specjalny FBI, kierujący biurem w Las Vegas.

Adam Yates miał świeżo wyprasowane spodnie khaki i jaskraworóżową koszulę, która może nie raziła na Worth Avenue w Palm Beach, ale nie na Broad Street w Newark. Nosił mokasyny na bosych stopach i zbyt swobodnie zakładał nogę na nogę. Z tym wysokim czołem, wydatnymi kośćmi policzkowymi i oczami tak niebieskimi, że Loren zastanawiała się, czy nie nosi szkieł kontaktowych, roztaczał aurę Starego Świata niczym pasażer „Mayflower”. Jego woda kolońska pachniała jak świeżo skoszona trawa. Loren lubiła ten zapach.

– Usiądźcie, proszę – powiedziała Thurston.

Zajmowała przestronny narożny gabinet. Na jednej ścianie – tej najmniej rzucającej się w oczy – wisiała drobna część jej dyplomów i nagród. Thurston umieściła je w kącie, jakby chciała powiedzieć: „Hej, musiałam je tu powiesić, ale nie lubię się chwalić”. Reszta gabinetu

miała bardziej osobisty charakter. Zdjęcia dzieci i męża, którzy – co za niespodzianka – wszyscy byli bardzo urodziwi. Nawet pies. Za jej plecami wisiała biała gitara z autografem Bruce'a Springsteena. Na regale typowy zbiór książek prawniczych, razem z piłkami opatrzonymi autografami zawodników baseballu i futbolu. Samych sław z miejscowych drużyn, rzecz jasna. Joan Thurston nie trzymała na widoku swoich zdjęć, wycinków prasowych ani nagród.

Loren ostrożnie usiadła. Zazwyczaj podwijała nogi, żeby dodać sobie parę centymetrów, ale w pewnym poradniku przeczytała, że kobiety same pozbawiają się szansy zrobienia kariery, między innymi przez siadanie w taki sposób, gdyż to wygląda nieprofesjonalnie. Zwykle o tym zapominała, ale na widok Joan Thurston przypomniała sobie o tej zasadzie.

Thurston wyszła zza biurka i na pół usiadła, na pół oparła się o jego krawędź. Założyła ręce na piersi i skupiła uwagę na Loren.

– Powiedz mi, co macie.

Loren zerknęła na Eda Steinberga. Skinął głową.

– Mamy troje martwych ludzi. Pierwsza osoba... cóż, nie znamy jej prawdziwego nazwiska. Dlatego tu jesteśmy.

– Chodzi o siostrę Mary Rose? – spytała Thurston.

– Tak.

– Jak trafiliście na tę sprawę?

– Słucham?

– Rozumiem, że jej śmierć początkowo uznano za naturalną – powiedziała Thurston. – Co sprawiło, że się nią zainteresowaliście?

Steinberg przejął pałeczkę.

– Matka przełożona osobiście poprosiła inspektor Muse, żeby się tym zajęła.

– Dlaczego?

– Loren jest absolwentką St Margarefs.

– Rozumiem, ale co sprawiło, że ta matka przełożona... Jak się nazywa?

– Matka Katherine – wtrąciła Loren.

– Matka Katherine, właśnie. Co sprawiło, że zaczęła coś podejrzewać?

– Nie jestem pewna, czy coś podejrzewała – powiedziała Loren. – Kiedy matka Katherine znalazła ciało siostry Mary Rose, próbowała zrobić jej masaż serca i odkryła implanty piersi. To nie zgadzało się z życiorysem siostry Mary Rose.

– I dlatego zwróciła się do ciebie z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy?

– Coś w tym rodzaju, tak. Thurston skinęła głową.

– A drugie ciało?

– Max Darrow. Emerytowany policjant z Vegas, ostatnio zamieszkały w pobliżu Reno.

Wszyscy popatrzyli na Adama Yatesa. Ten milczał. A więc, pomyślała Loren, to będzie tak.

Mamy się łączyć, a wtedy może, tylko może, federalni w nagrodę rzucają nam jakiś ochłap.

– Jak połączyliście Maksa Darrowa z siostrą Mary Rosę? – spytała Thurston.

– Odciski palców – odparła Loren. – Ślady palców Darrowa znaleziono w pokoju zakonnicy.

– Co jeszcze?

– Darrowa znaleziono martwego w samochodzie. Dwa strzały z bliska. Spodnie miał spuszczone do kostek. Uważamy, że morderca starał się upozorować to na przypadkowe zabójstwo dokonane przez prostytutkę.

– Dobrze, szczegółami zajmiemy się później – zdecydowała Thurston. – Powiedz nam, co łączy Maksa Darrowa z trzecią ofiarą.

– Trzecią ofiarą jest Charles Talley. Po pierwsze, zarówno Talley, jak i Darrow mieszkali w pobliżu Reno. Po drugie, obaj zatrzymali się w hotelu Howard Johnson's przy lotnisku Newark. Mieli sąsiednie pokoje.

– I tam znalazłaś ciało Talleya? W tym hotelu?

– Nie ja. Nocny recepcjonista znalazł go na klatce schodowej. Dostał dwie kule.

– Tak jak Darrow?

– Podobnie, owszem.

– Czas zgonu?

– Wciąż nad tym pracują, ale gdzieś między jedenastą a drugą w nocy. Ta klatka schodowa nie ma klimatyzacji, okien ani wentylacji. Było tam chyba ponad czterdzieści stopni.

– Właśnie dlatego inspektor Muse tak wygląda – wtrącił Steinberg, tak ruszając rękami, jakby wręczał umazaną czymś nagrodę. – Po pobycie w tej saunie.

Loren przeszła go wzrokiem i z trudem powstrzymała chęć przyglądzenia włosów.

– Temperatura utrudniła naszemu patologowi dokładniejsze ustalenie czasu zgonu.

– Co jeszcze? – spytała Thurston.

Loren zawahała się. Podejrzewała, że Thurston i Yates zapewne już wiedzieli – lub bez trudu mogli przeczytać w raporcie – większość tego, co im powiedziała. Było to zaledwie wstępne podsumowanie sytuacji. Nie wiedzieli tylko o Hunterze.

Steinberg podniósł rękę.

– Mogę coś zaproponować? Thurston obróciła się do niego.

– Oczywiście, Ed.

– Nie chcę tu żadnych przepychanek w kwestii jurysdykcji.

– My też nie.

– Czemu więc nie zbierzemy w całość wszystkich naszych informacji? Dwustronna komunikacja. My mówimy wszystko co wiemy, wy mówicie, co wiecie. Niczego nie ukrywając.

Thurston zerknęła na Yatesa. Adam Yates odkaslnął i powiedział:

– Nie mamy nic przeciwko temu.

– Czy znacie prawdziwe nazwisko siostry Mary Rose? – zapytał Steinberg. Yates skinął głową.

– Tak, znamy.

Loren czekała. Yates się nie spieszył. Rozprostował nogi, szarpnął przód koszuli, jakby brakowało mu powietrza.

– Wasza zakonnica... chociaż ona naprawdę nie była zakonnica, możecie mi wierzyć, nazywała się Emma Lemay – powiedział Yates.

To nazwisko nic nie mówiło Loren. Popatrzyła na Steinberga. On też nie zareagował na dźwięk tego nazwiska.

Yates mówił dalej:

– Emma Lemay i jej partner, niejaki Clyde Rangor, zniknęli z Vegas dziesięć lat temu. Szukaliśmy ich dość energicznie, ale nie znaleźliśmy. Jednego dnia byli tam, a następnego – bach – i oboje znikli.

– Skąd wiedzieliście, że znaleźliśmy ciało Lemay? – zapytał Steinberg.

– Lockwood Corporation miała numer seryjny jej implantów piersi. Ci z kryminalistyki pakują teraz wszystko do krajowej bazy danych. O odciskach palców wiecie. DNA i rysopisy są już w niej od jakiegoś czasu. Teraz jednak opracowują ogólnokrajową bazę medyczną – protez stawów, implantów chirurgicznych, sztucznych jelit, rozruszników serca – głównie dla ułatwienia identyfikacji zwłok. Znajdujesz numer seryjny, pakujesz go do bazy. To nowy, eksperymentalny program. Testujemy go na wybranych osobach, które bardzo chcemy odnaleźć.

– A ta Emma Lemay – powiedziała Loren. – Tak bardzo chcieliście ją znaleźć? Yates miał ładny uśmiech.

– Och tak.

– Dlaczego? – zapytała Loren.

– Dziesięć lat temu Lemay i Rangor zgodzili się zeznawać przeciwko paskudnemu recydywiście, facetowi znanemu jako „Zaczesyany” Busher.

– Zaczesyany?

– Tak go nazywano, chociaż nie w jego obecności. Prawdę mówiąc, już od lat. To dlatego, że tak sobie układał włosy, kiedy zaczął łysieć. Włosy wciąż rosły, więc teraz układa je na głowie, tak że wyglądają jak gruba mycka.

Yates zachichotał. Nikt mu nie zawtórował.

Thurston podsunęła:

– Mówiłeś o Lemay i Rangorze?

– Racja. No cóż, zgarnęliśmy Lemay i Rangora za posiadanie dużej ilości narkotyków, przycisnęliśmy ich i po raz pierwszy mieliśmy haka na Zaczesanego. Clyde Rangor jest jego kuzynem. Zaczęli pracować dla nas, nagrywając rozmowy, zbierając dowody. A potem...

Yates wzruszył ramionami.

– Jak uważacie, co się stało?

– Najbardziej prawdopodobny scenariusz to taki, że Zaczęsany zwęszył coś i zabił ich oboje.

Jednak nigdy tego nie kupiliśmy.

– Dlaczego?

– Ponieważ mieliśmy dowody – całkiem sporo dowodów – że Zaczęsany też szuka Lemay i Rangora. Nawet energiczniej niż my. Przez pewien czas był to istny wyścig, kto znajdzie ich pierwszy. Kiedy nigdy ich nie znaleziono, uznaliśmy, że przegraliśmy ten wyścig.

– Ten Zaczęsany wciąż jest na wolności?

– Tak.

– A co z Clyde'em Rangorem?

– Nie mamy pojęcia, gdzie jest. – Yates poprawił się na krześle. – Clyde Rangor był prawdziwym świrem. Zarządzał kilkoma klubami striptizowymi Zaczęsanego i mówiono, że czasem lubi ostre... hm... sesje.

– Jak ostre?

Yates splótł dłonie i złożył je na podołku.

– Podejrzewamy, że niektóre dziewczęta ich nie wytrzymały.

– Mówiąc „nie wytrzymały”...

– Jedna wpadła w katatonię. Jedna, co najmniej jedna naszym zdaniem umarła. Loren skrzywiła się.

– I poszliście na ugodę z tym facetem?

– A co, mieliśmy poszukać kogoś miłego? – warknął Yates.

– Ja...

– Naprawdę muszę pani wyjaśnić, na czym opiera się taka ugoda, inspektor Muse? Steinberg przerwał im.

– Nie ma potrzeby.

– Nie chciałam sugerować... – Loren urwała, zaczerwieniona, zła na siebie za tak nieprofesjonalną uwagę. – Proszę mówić dalej.

– Co jeszcze? Nie wiemy, gdzie znajduje się Clyde Rangor, ale uważamy, że wciąż może nam dostarczyć cennych informacji, a nawet pomóc wsadzić Zaczęsanego.

– A co z Charlesem Talleyem i detektywem Maksem Darrowem? Co ich łączy z tą sprawą?

– Charles Talley to oprych notowany za pobicia. Zajmował się dziewczynami w klubach, pilnował, żeby robiły swoje, nie kradły za dużo i dzieliły się z firmą swoimi... hm... napiwkami. Kiedy słyszano o nim ostatnio, pracował w knajpie zwanej Eager Beaver. Domyślamy się, że Talleya wynajęto, żeby zabił Emmę Lemay.

– Wynajął go Zaczęsany?

– Tak. Według naszej teorii Zaczęsany dowiedział się jakoś, że Emma Lemay udaje siostrę Mary Rosę. Posłał do niej Talleya, żeby ją zabił.

– A co z Maksem Darrowem? – zapytała Loren. – Wiemy, że był w pokoju Lemay. Jaką odegrał w tym wszystkim rolę?

Yates rozprostował nogi i usiadł.

– Po pierwsze, uważamy, że Darrow, chociaż był dość dobrym policjantem, mógł zejść na złą drogę. Zamilkł. Odchrząknął.

– A po drugie...? – zachęciła Loren.

Yates westchnął.

– No cóż, Max Darrow... – Spojrzał na Thurston. Nie skinęła głową, nie poruszyła się, lecz Loren odniosła wrażenie, że Yates czekał na jej zgodę, tak jak Loren wcześniej czekała na zgodę Steinberga. – Powiedzmy, że Max Darrow jest powiązany z tą sprawą w inny sposób.

Czekali. Minęło kilka sekund. W końcu Loren spytała:

– W jaki?

Yates rękami potarł twarz, nagle bardzo zmęczony.

– Już wspominałem, że Clyde Rangor lubił ostre zabawy. Loren skinęła głową.

– Uważamy też, że zabił swoją ostatnią ofiarę.

– Tak.

– Ofiarą była podrzędna striptizerka i zapewne dziwka, która nazywała się... chwileczkę, mam to zapisane... – Yates wyjął z tylnej kieszeni spodni oprawiony w skórę notesik, poślinił palec i zaczął przewracać kartki. – Nazywała się Candace Porter, pseudonim Candi Cane. – Zatrzasnął notes. – Emma Lemay i Clyde Rangor zniknęli wkrótce po tym, jak znaleziono jej zwłoki.

– A co ma z tym wspólnego Darrow?

– Max Darrow prowadził śledztwo w sprawie tego zabójstwa. Wszyscy zamarli.

– Chwileczkę – zaczął Ed Steinberg. – Zatem ten Clyde Rangor morduje striptizerkę. Darrow prowadzi sprawę. Po kilku dniach Rangor i jego dziewczyna Lemay znikają. A teraz, po dziesięciu latach, nagle znajdujemy odciski palców Darrowa w pokoju zamordowanej Emmy Lemay?

– Tak można to podsumować.

Znowu zapadła cisza. Loren próbowała to przetrwać.

– Jest pewien ważny szczegół – ciągnął Yates, pochylając się. – Jeśli Emma Lemay wciąż miała jakieś materiały dotyczące tej sprawy lub jeśli pozostawiła informacje na temat miejsca pobytu Clyde'a Rangora – uważamy, że inspektor Muse ma największe szansę je znaleźć.

– Ja?

Yates odwrócił się twarzą do niej.

– Ma pani kontakt z jej koleżankami. Lemay przez siedem lat mieszkała z grupką tych zakonnic. Matka przełożona najwyraźniej pani ufa. Chcemy, żeby poprowadziła pani sprawę pod tym kątem i spróbowała się dowiedzieć, co Lemay wiedziała.

Steinberg spojrział na Loren i wzruszył ramionami. Joan Thurston przeszła za biurko. Otworzyła minilodówkę.

– Czy ktoś chce drinka? – zapytała. Nie odpowiedzieli. Thurston wzruszyła ramionami, wyjęła butelkę i zaczęła nią potrząsać.

– A ty, Adamie? Chcesz się czegoś napić?

– Tylko wody. Rzuciła mu butelkę.

– Ed? Loren?

Oboje pokręcili głowami. Joan Thurston odkręciła zakrętkę i pociągnęła spory łyk. Znow wyszła zza biurka.

– W porządku, pora kończyć zabawę – powiedziała. – Czego jeszcze się dowiedziałas, Loren?

Loren. Już mówiła jej po imieniu. Loren znowu spojrzała na Steinberga. Ponownie skinął głową.

– Znaleźliśmy powiązania między tym wszystkim a byłym więźniem, niejakim Mattem Hunterem – odparła Loren. Thurston zmrużyła oczy.

– Dlaczego to nazwisko wydaje mi się znajome?

– Jest stąd, z Livingston. Jego sprawa przed laty była na pierwszych stronach gazet. Wdał się w bójkę na zabawie studenckiej...

– Ach, racja, przypominam sobie – przerwała jej Thurston. – Znałam jego brata, Berniego. Dobry prawnik, umarł o wiele za młodo. Zdaje się, że kiedy Matt Hunter wyszedł z więzienia, Bernie załatwił mu pracę w firmie Carter Sturgis.

– Nadal tam pracuje.

– I jest w to zamieszany?

– Są powiązania.

– Na przykład?

Powiedziała im o telefonie ze St Margarefs do domu Marshy Hunter. Wydawało się, że nie zrobiło to na nich wrażenia. Kiedy zaczęła mówić o tym, że Matt Hunter najprawdopodobniej wdał się w bójkę z Charlesem Talleyem w hotelu Howard Johnson's – wszyscy nastawili uszu. Yates po raz pierwszy zaczął pisać w swoim notesie.

– I co o tym sądzisz, Loren? – Thurston zapytała.

– Mam powiedzieć prawdę? Jeszcze nie wiem.

– Powinniśmy sprawdzić, czy Hunter nie poznał go w więzieniu – rzekł Yates. – Wiemy, że Talley też siedział. Może się spotkali. A może Hunter jakoś spiknął się z ludźmi Zaczesanego.

– Racja – przytaknęła Thurston. – Może Hunter pracuje dla Zaczesanego. Loren milczała.

– Nie zgadzasz się z tym, Loren?

– Nie wiem.

– W czym problem?

– Może to zabrzmiało beznadziejnie naiwnie, ale nie sądzę, żeby Matt Hunter pracował jako najemny zabójca. Ma za sobą odsiadkę, owszem, ale za bójkę na studenckiej zabawie przed piętnastoma laty. Wcześniej nie był notowany i od tamtej pory pozostał czysty.

Nie powiedziała im, że chodzili razem do szkoły ani że instynkt podpowiada jej, iż to błędna teoria. Kiedy inni inspektorzy używali tego uzasadnienia, robiło jej się niedobrze.

– No to jak wyjaśnisz powiązania Huntera z tą sprawą? – zapytała Thurston.

– Nie wiem. Może to sprawa osobista. Według recepcjonisty żona Huntera mieszkała sama w tym hotelu.

– Myślisz, że to mogła być kłótnia z kochankiem?

– Niewykluczone. Thurston miała wątpliwości.

– Tak czy inaczej, wszyscy zgadzamy się, że Matt Hunter jest w to zamieszany.

– Bez wątpienia – powiedział Ed Steinberg. Yates energicznie skinął głową. Loren milczała.

– I w tym momencie – ciągnęła Thurston – mamy więcej niż dość dowodów, żeby go aresztować i oskarżyć. Mamy bójkę, telefon, wszystko. Wynik badania DNA powiąże go z zastrzelonym.

Loren wahała się. Ed Steinberg nie.

– Mamy dość, żeby go aresztować.

– A jako były więzień Hunter nie wyjdzie za kaucją. Możemy go wsadzić i trochę potrzymać, prawda, Ed?

– Jasne, że tak – rzekł Steinberg.

– No to zgarnijcie go – powiedziała Joan Thurston. – Weźcie go migiem za tyłek i wsadźcie z powrotem za kraty.

Matt i Olivia byli sami w gościnnym pokoju Marshy.

Dziewięć lat temu właśnie w tym pokoju Matt spędził swoją pierwszą noc na wolności. Bernie przywiózł go do domu. Marsha była pozornie uprzejma, ale patrząc na to z perspektywy lat, musiała mieć poważne obiekcje. Wprowadzasz się do takiego domu, żeby uciec przed takim jak Matt. Nawet jeśli wiesz, że był niewinny, nawet jeśli uważasz go za porządnego faceta, który miał pecha, nie chcesz go w swoim życiu. Jest jak wirus lub nosiciel jakiejś choroby. Masz dzieci. Chcesz je chronić. Chcesz wierzyć, tak jak Lance Banner, że wypielegnowane trawniki zdołają powstrzymać niepożądany element.

Pomyślał o swoim starym kumplu z college'u, Duffie. Kiedyś Matt uważał, że Duff jest twardy. Teraz wiedział, że nie. Teraz mógłby skopać mu tyłek i nawet się przy tym nie spocić. Nie chępnął się. Nie myślał o tym z dumą. To po prostu był fakt. Jego koledzy, którzy uważali się za twardzieli – Duffowie tego świata – po prostu nie mieli o niczym pojęcia.

Chociaż jednak Matt stał się twardy, pierwszą noc na wolności przeleżał w tym pokoju, płacząc. Nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego. W więzieniu nigdy nie płakał. Niektórzy powiedzieliby, że po prostu bał się okazywać słabość w takim okropnym miejscu. Pewnie częściowo mieliby rację. Może po prostu powstrzymywał się, a teraz wypłakiwał te długie lata udręki.

Matt jednak tak nie uważał.

Podejrzewał, że prawdziwym powodem był lęk i niewiara. Nie potrafił zaakceptować faktu, że naprawdę jest wolny, że więzienie to już przeszłość. Wszystko wydawało się okrutnym żartem, a ciepłe łóżko złudzeniem. Zaraz zawłoką go z powrotem i na zawsze zamkną za kratami.

Czytał o tym, jak różni oprawcy i terroryści próbują złamać ducha ofiar, przeprowadzając pozorowane egzekucje. Matt uważał, że to może działać, ale niewątpliwie skuteczniejszą metodą, która z pewnością doprowadziłaby do załamania, byłoby postępowanie wprost przeciwne – pozorne wypuszczenie na wolność. Każecie komuś się ubrać, mówicie mu, że wychodzi na wolność, żegnacie się z nim, zawiązujecie mu oczy, wozicie go w kółko, a potem zatrzymujecie samochód, wprowadzacie więźnia do celi i zdejmujecie mu opaskę. Wtedy przekonuje się, że znów jest, tam gdzie był, a cała ta zabawa była chorym żartem. Właśnie tak czuł się teraz.

Siedział na tym samym podwójnym materacu. Olivia stała plecami do niego. Miała spuszczoną głowę. Ramiona wciąż trzymała dumnie wyprostowane. Kochał te jej ramiona, te proste plecy, muskularne ciało i gładką skórę.

Pragnął, może w tej chwili najbardziej, powiedzieć: „Zapomnijmy o tym. Nie chcę wiedzieć. Powiedziałaś, że mnie kochasz. Właśnie powiedziałaś mi, że jestem jedynym mężczyzną, którego kochałaś i kochasz. To wystarczy”.

Kiedy przyjechali, Kyra wyszła i powitała ich przed domem. Była zatroskana. Matt pamiętał, jak wprowadziła się do pokoju nad garażem. Zauważył, że jest „taka sama jak Fonz” [Artur Fonzarelli, bohater serialu Happy Days, grany przez Henry’ego Winklera. Zawsze opanowany i obojętny. Dzięki charakterystycznemu gestowi unoszenia kciuka, okrzykowi i skórzanej kurtce cieszył się popularnością wśród młodzieży. Wiecznie majstrował przy swoim motorze i z czasem stał się archetypem rockersa.]. Kyra nie miała pojęcia, o czym mówił. Zabawne, co człowiekowi przychodzi do głowy, kiedy się boi. Marsha też wyglądała na zaniepokojoną, szczególnie kiedy zobaczyła bandażę Matta i zauważyła, jak ostrożnie stawia kroki. Jednak znała go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że teraz nie czas na zadawanie pytań. Olivia przerwała milczenie.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie.

– Przez telefon mówiłeś, że otrzymałeś jakieś zdjęcia.

– Tak.

– Mogę je zobaczyć?

Wyjął telefon komórkowy i podał jej. Olivia odwróciła się i wzięła aparat, nie dotykając jego ręki. Obserwował jej twarz. Była skupiona w ten, tak dobrze mu znany, sposób. Głowę lekko przechyliła na bok, jak zawsze kiedy coś ja zaskakiwało.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Czy to ty? – zapytał. – W tej peruce?

– Tak. Jednak to nie było tak.

– A jak?

Nie odrywała oczu od wyświetlacza. Nacisnęła klawisz odtwarzania, ponownie obejrzała film i pokręciła głową.

– Cokolwiek sobie o mnie pomyślisz, nigdy cię nie oszukiwałam. I ten człowiek, z którym się spotkałam. On też nosił perukę. Pewnie po to, żeby wyglądać, jak ten facet ze zdjęcia.

– Wpadłem na to.

– Jak?

Matt pokazał jej okno, szare niebo, obrączkę na palcu. Powiedział o suszy i o tym, jak powiększyli zdjęcia w biurze Cingle.

Olivia usiadła przy nim na łóżku. Wyglądała tak cholernie pięknie.

– A więc wiedziałeś.

– O czym?

– W głębi serca, pomimo tego, co tu zobaczyłeś, wiedziałeś, że nigdy bym cię nie zdradziła.

Pragnął wyciągnąć ręce i wziąć ją w ramiona. Widział, jak jej pierś unosi się szybko, gdy Olivia próbowała wziąć się w garść.

– Zanim zaczniesz, muszę zadać ci dwa pytania, dobrze? – powiedział. Kiwnęła głową.

– Jesteś w ciąży? – zapytał.

– Tak – odparła. – I zanim zadasz drugie pytanie – Tak, jest twoje.

– Zatem nic więcej mnie nie obchodzi. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, nie musisz. To nieważne. Możemy po prostu uciec i wszystko zostawić.

Potrząsnęła głową.

– Nie sędzę, żebym znów mogła uciec, Matt – rzekła znużonym głosem. – I ty też nie możesz. A co z Paulem i Ethanem? Co z Marsha?

Oczywiście, miała rację. Nie wiedział, jak to ująć. Wzruszył ramionami i powiedział:

– Po prostu nie chcę, żeby coś się zmieniło.

– Ja też nie. I gdybym zdołała znaleźć na to jakiś sposób, tak by było. Boję się, Matt. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

Odwróciła się, wyciągnęła rękę i przyciągnęła go do siebie. Przysunęła się i pocałowała go. Pocałowała go mocno. Znał ten pocałunek. To był wstęp. Pomimo tego, co się działo, jego ciało odpowiedziało, zaczęło śpiewać. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Przycisnęła się do Matta, pociemniało mu w oczach.

Poruszyli się i nagle odezwał się ból żeber. Przeszył bok. Matt zeszywniał. Jego cichy jęk spłoszył Olivię. Puściła go i odsunęła się. Opuściła oczy.

– Wszystko, co ci o sobie opowiadałam – rzekła – było kłamstwem.

Nie zareagował. Nie był pewien, co spodziewał się usłyszeć – na pewno nie to – ale siedział i czekał.

– Nie wychowałam się w Northways w Wirginii. Nie studiowałam na uniwersytecie, a nawet nie chodziłam do szkoły średniej. Mój ojciec nie był lekarzem – nawet go nie znałam. Nigdy nie miałam niani Cassie ani niczego. Wszystko to wymyśliłam.

Jakiś samochód skręcił w uliczkę, blask jego reflektorów wpadł przez okno i przesunął się po ścianie. Matt siedział nieruchomy jak głaz.

– Moją prawdziwą matką była nałogowa narkomanka, która oddała mnie opiece społecznej, kiedy miałam trzy lata. Umarła w wyniku przedawkowania dwa lata później. Przechodziłam z jednej rodziny zastępczej do drugiej. Nie chcesz wiedzieć, jakie były. Uciekłam, kiedy miałam szesnaście lat. Wylądowałam niedaleko Las Vegas.

– Kiedy miałaś szesnaście lat?

– Tak.

Głos Olivii stał się teraz dziwnie monotony. Oczy miała jasne, ale patrzyła prosto przed siebie, w dal. Zdawała się czekać na jego reakcję. Matt wciąż usiłował uporać się z tym wszystkim.

– Więc te wszystkie opowieści o doktorze Joshui Murrayu...?

– Masz na myśli te o młodej dziewczynie, zmarłej matce, dobrym ojcu i koniach? – Prawie się uśmiechnęła. – Daj spokój, Matt. Wzięłam je z książki, którą czytałam, kiedy miałam osiem

lat.

Otworzył usta, ale odebrało mu głos. Spróbował ponownie.

– Dlaczego?

– Dlaczego kłamałam?

– Nie tyle kłamałam, ile... – Urwała, spojrzała w dal. – Ile umarłam. Wiem, że to brzmi melodramatycznie. Jednak stając się Olivią Murray, nie tylko zaczęłam nowe życie. To było tak, jakbym nigdy nie była tamtą osobą. Tamta sierota umarła. Jej miejsce zajęła Olivia Murray z Northways w Wirginii.

– Zatem wszystko... – Rozłożył ręce. – To wszystko było kłamstwem?

– Nie my – powiedziała. – Nie to, co do ciebie czuję. Nie to, co przy tobie robię. Nic z tego, co wiąże się z nami, nigdy nie było kłamstwem. Ani jeden pocałunek. Ani jeden uścisk. Ani jedno uczucie. Nie kochałeś kłamstwa. Kochałeś mnie.

Kochałeś, powiedziała. Kochałeś mnie. Czas przeszły.

– Zatem kiedy spotkaliśmy się w Las Vegas, nie chodziłaś do college'u?

– Nie – powiedziała.

– A tamta noc? W klubie?

Spojrzała mu w oczy.

– Miałam pracować.

– Nie rozumiem.

– Tak, Matt. Rozumiesz.

Przypomniał sobie tę stronę internetową. Witrynę striptizerek.

– Tańczyłaś?

– Tańczyłam? Tak, politycznie poprawne określenie to taniec egzotyczny. Wszystkie dziewczyny używają tego określenia. Jednak byłam striptizerką. A czasem, kiedy mi kazali... – Olivia potrząsnęła głową. Łzy stanęły jej w oczach. – Nigdy nie zdołamy o tym zapomnieć.

– A tamtej nocy – powiedział Matt, czując nagły przypływ gniewu – wyglądałem na faceta przy forsie?

– To nie jest zabawne.

– Wcale nie próbuję być zabawny. W jej głosie zabrzmiała stalowa nuta.

– Nie masz pojęcia, ile znaczyła dla mnie tamta noc, Zmieniła moje życie. Nigdy tego nie rozumiałeś, Matt.

– Czego nigdy nie rozumiałem?

– Twojego świata – odparła. – Warto o niego walczyć. Nie był pewien, co miała na myśli ani czy chce to wiedzieć.

– Mówiłaś, że miałaś rodziny zastępcze.

– Tak.

– I że w końcu uciekłaś?

– W ostatniej rodzinie zastępczej zachęcano do takiej pracy. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam się stamtąd wyrwać. Powiedzieli, dokąd się udać. Siostra tej przybranej matki, prowadziła klub. Wyrobiła nam fałszywe dokumenty.

Potrząsnął głową.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś prawdy.

– Kiedy, Matt?

– Co kiedy?

– Kiedy miałam ci powiedzieć? Tamtego pierwszego wieczoru w Las Vegas? A może kiedy przyszedłam do twojego biura? Na drugiej randce? Przy zaręczynach? Kiedy powinna ci powiedzieć?

– Nie wiem.

– To nie było takie łatwe.

– Mnie też nie było łatwo mówić ci o tym, że siedziałem w więzieniu.

– W mojej sytuacji nie chodzi tylko o mnie – powiedziała. – Zawarłam umowę.

– Jaką umowę?

– Musisz zrozumieć. Mogłabym zaryzykować, gdyby chodziło tylko o mnie. Jednak nie mogłam narażać jej.

– Kogo?

Olivia odwróciła głowę i przez długą chwilę nic nie mówiła. Potem wyjęła z tylnej kieszeni jakiś skrawek papieru, powoli rozprostowała go i podała Mattowi. Znow odwróciła głowę.

Matt wziął kawałek papieru i obrócił go w palcach. Był to wydruk artykułu wziętego z witryny „Nevada Sun News”. Przeczytał go. Nie zajęło mu to dużo czasu.

Zamordowano kobietę Las Vegas, NV – Candace Porter, lat 21, znaleziono zamordowaną na parking przy przyczep mieszkalnych przy Route 15. Przyczyną zgonu było uduszenie. Policja nie komentuje pogłosek o seksualnym tle morderstwa. Pani Potter pracowała jako tancerka w Young Thangs, nocnym klubie na przedmieściu. Używała scenicznego pseudonimu Candi Cane. Policja prowadzi śledztwo i twierdzi, że natrafiła na kilka obiecujących tropów.

Matt podniósł głowę.

– Wciąż nie rozumiem. – Olivia nadal nie patrzyła na niego. – Obiecałaś to tej całej Candace? Zachichotała bez cienia wesołości.

– Nie.

– Więc komu?

– Jak ci już mówiłam. Właściwie wcale cię nie okłamywałam. Raczej umarłam. Olivia odwróciła się twarzą do niego.

– To ja – powiedziała. – To ja byłam Candace Potter.

Kiedy Loren wróciła do biura prokuratora okręgowego, Roger Cudahy, jeden z techników, którzy pojechali do biura Cingle, siedział z nogami na jej biurku i rękami splecionymi za głową.

– Dobrze ci? – zapytała Loren.

– Och tak – odparł z szerokim uśmiechem.

– Czy nie wyglądamy jak przysłowiowy kot, który zjadł przysłowiowego kanarka? Nie przestawał się uśmiechać.

– Nie jestem pewien, czy to przysłowie pasuje do sytuacji, ale powtórzę: och tak.

– Co masz?

Wciąż ze splecionymi rękami, Cudahy ruchem głowy wskazał laptop.

– Popatrz.

– W laptopie?

– Och tak.

Poruszyła myszą. Ciemny wyświetlacz ożył. Pojawiło się na nim zdjęcie Charlesa Talleya, zajmujące cały ekran. Miał podniesioną rękę. I kruczoczarne włosy. Na twarzy drwiący grymas.

– Znalazłeś to w komputerze Cingle?

– Och tak, zgrane z telefonu komórkowego.

– Dobra robota.

– Zaczekaj.

– Co?

Cudahy wciąż się uśmiechał.

– Jak śpiewali Bachman Turner Overdrive, jeszcze niczego nie widziałaś. – Co? – powtórzyła Loren.

– Wciśnij strzałkę. Prawą.

Loren zrobiła to. Zaczął się kiepski film. Jakaś kobieta w platynowej peruce wyszła z łazienki. Podeszła do łóżka. Kiedy krótki film się skończył, Cudahy zapytał:

– Jakies komentarze?

– Tylko jeden. Cudahy wyciągnął rękę.

– Przybij.

Loren przybiła mu piątkę.

– Och tak.

– To było chyba rok po tym, jak cię poznałam – powiedziała Olivia.

Stała na drugim końcu pokoju. Jej twarz odzyskała naturalny kolor. Stała sztywno wyprostowana. Jakby nabierała sił, mówiąc mu to wszystko. Ze swej strony Matt starał się niczego nie analizować. Na razie chciał tylko chłonać.

– Miałam osiemnaście lat, ale już od dwóch lat byłam w Vegas. Wiele dziewczyn mieszkało w przyczepach mieszkalnych. Zarządca klubu, okropny człowiek, Clyde Rangor, miał kilka akrów ziemi przy drodze. Zupełna pustynia. Ogrodził ten teren siatką i ściągnął trzy lub cztery najbardziej sfatygowane przyczepy mieszkalne, jakie widziałeś w życiu. Mieszkałyśmy w nich. Dziewczyny przychodziły i odchodziły, ale w tym czasie dzieliłam przyczepę z dwiema. Jedną była nowa dziewczyna, niejaka Cassandra Meadows. Miała może szesnaście albo siedemnaście lat. Druga nazywała się Kimmy Dale. Tamtego dnia jej nie było. Widzisz, Clyde posyłał nas w trasy. Rozbierałyśmy się w jakimś miasteczku, dawałyśmy trzy pokazy dziennie. Dla niego to były łatwe pieniądze. Dla nas niezłe napiwki, chociaż większość z nich też on zabierał.

Matt próbował to ogarnąć, ale nie mógł.

– Kiedy zaczęłaś, ile miałaś lat? – zapytał.

– Szesnaście.

Próbował nie zamknąć oczu.

– Nie rozumiem, jak to mogło przejść.

– Clyde miał powiązania. Nie wiem dokładnie, jak działali, ale znajdowali dziewczyny w rodzinach zastępczych w Idaho.

– Stamtąd pochodzisz? Kiwnęła głową.

– Mieli kontakty również w innych stanach. W Oklahomie. Cassandra chyba była z Kansas. Przesyłała dziewczyny do klubu Clyde'a. On wyrabiał im fałszywe dokumenty i kazał pracować. To nie było trudne. Oboje wiemy, że nikt tak naprawdę nie przejmuje się biedakami, ale małe dzieci zawsze budzą współczucie. My byłyśmy tylko ponurymi nastolatkami. Nie miałyśmy nikogo.

– W porządku, mów dalej – powiedział Matt.

– Clyde miał dziewczynę, niejaka Emmę Lemay. Emma była dla dziewcząt kimś w rodzaju matki. Wiem, jak to brzmi, ale kiedy wziąć pod uwagę, przez co przeszłyśmy wcześniej, można było w to uwierzyć. Clyde często ją bił. Kiedy przechodził obok, Emma się kulila. Wtedy tego nie rozumiałam, ale jej cierpienia... chyba to nas zbliżyło. Kimmy i ja lubiłyśmy ją. Wszystkie mówiłyśmy, że pewnego dnia z tym zerwiemy – tylko o tym potrafiłyśmy mówić. Opowiedziałam jej i Kimmy o tym, że cię poznałam. O tym, co ta noc dla mnie znaczy. Słuchały. Wszystkie wiedziałyśmy, że nigdy nic z tego nie będzie, ale słuchały mnie.

Z głębi domu doleciał jakiś dźwięk. Cichy płacz. Olivia odwróciła się.

– To tylko Ethan – powiedział Matt.

– Często to robi?

– Tak.

Zaczekali. W domu znów zapanowała cisza.

– Pewnego dnia źle się czułam – kontynuowała Olivia. Znów zaczęła mówić tym monotonnym głosem. – Nie dawali nam wolnych wieczorów, ale mdliło mnie tak, że ledwie mogłam ustać, a dziewczyna wymiotująca na scenie popsułaby interes. Ponieważ Clyde'a i Emmy nie było, zgłosiłam to bramkarzowi. Powiedział, że mogę iść. Wróciłam do Zagrody – tak nazywaliśmy parking przyczep mieszkalnych. Słońce wciąż prażyło. Miałam wrażenie, że się upiekę.

Olivia uśmiechnęła się smutno.

– Wiesz, co było dziwne? No, wszystko to jest dziwne, ale wiesz, co mnie właśnie uderzyło?

– Co?

– To kwestia drobiazgów. Nie przedmiotów. Tylko drobiazgów, które wszystko zmieniają. Tych drobnych szczegółów które zmieniają się w wielkie rzeczy. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Gdybyś pojechał prosto do Bowdoin. Gdyby Duff nie rozlał tego piwa. Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak.

– Tak samo z tym. Gdybym nie miała mdłości. Gdybym tańczyła tak jak każdej nocy. Tylko że w moim przypadku, cóż, chyba ludzie różnie by o tym mówili. Jednak moim zdaniem te drobiazgi uratowały mi życie.

Stała przy drzwiach. Patrzyła na klamkę, jakby chciała uciec.

– Co się stało, kiedy wróciłaś do Zagrody? – zapytał Matt.

– Nikogo nie zastałam – odparła Olivia. – Większość dziewcząt była już w klubie albo w mieście. Zazwyczaj kończyłyśmy o trzeciej rano i spałyśmy do południa. Zagroda wpływała na nas tak przygnębiająco, że wynosiłyśmy się stamtąd w diabły, kiedy tylko mogłyśmy. Tak więc wróciłam tam i wszędzie było cicho. Otworzyłam drzwi mojej przyczepy mieszkalnej i od razu zobaczyłam krew na podłodze.

Przyglądał jej się uważnie. Olivia oddychała szybciej, lecz jej twarz pozostała spokojna.

– Zawołałam. Chyba głupio postąpiłam. Zapewne powinnam z wraskiem rzucić się do ucieczki, nie wiem. Kolejne gdyby, co? Potem rozejrzałam się. W przyczepie były dwa pokoje, ale połączone szeregowo, więc najpierw wchodziło się do sypialni, w której spałyśmy we trzy. Ja zajmowałam dół piętrowego łóżka. Kimmy górę. Cassandra, ta nowa dziewczyna, spała na łóżku pod ścianą. Kimmy była porządnicka. Zawsze karciała nas, że nie sprzątam. Nasze życie to śmietnisko, mówiła, ale to nie oznacza, że musimy mieszkać w śmietniku.

W przyczepie panował okropny bałagan. Wszystko powysypywane z szuflad, wszędzie porozrzucane rzeczy. A tam, przy łóżku Cassandry, do którego prowadziły ślady krwi, zobaczyłam dwie nogi na podłodze. Podbiegłam tam i stanęłam jak wryta. Olivia spojrzała mu prosto w oczy.

– Cassandra nie żyła. Nie musiałam sprawdzać pulsu. Leżała na boku, niemal w embrionalnej pozycji. Oczy miała otwarte, wpatrzone w ścianę. Twarz purpurową i obrzmiałą. Na ramionach ślady poparzeń. Ręce wciąż związane na plecach taśmą izolacyjną. Musisz pamiętać, Matt, że miałam dopiero osiemnaście lat. Może czułam się staro i wyglądałam na starszą. Może miałam spory bagaż życiowych doświadczeń. Pomyśl jednak, stałam tam i patrzyłam na martwą dziewczynę. Skamieniałam. Nie mogłam się ruszyć. Nawet kiedy usłyszałam jakieś dźwięki w sąsiednim pokoju i krzyk Emmy: „Clyde, nie!”. Umilkła, zamknęła oczy, wypuściła powietrze z płuc.

– Odwróciłam się i zobaczyłam zbliżającą się do mojej twarzy pięść. Nie zdążyłam się uchylić. Clyde uderzył z całej siły. Pięść wylądowała na moim nosie. Raczej usłyszałam trzask, niż poczułam cios. Głowa odskoczyła mi do tyłu. Straciłam równowagę i upadłam na Cassandrze, co chyba było najgorsze z tego wszystkiego. Upadek na jej martwe ciało. Jej skóra się lepiała. Próbowałam odpełznąć. Miałam usta pełne krwi.

Olivia urwała, przełykając ślinę i próbując złapać oddech. Matt nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny. Nie ruszał się, nie odzywał. Po prostu czekał, aż Olivia się pozbiera.

– Clyde podbiegł i spojrzał na mnie. Jego twarz... Chcę powiedzieć, że on zawsze uśmiechał się drwiąco. Wiele razy widziałam, jak bił Emmę. Wiem, że to wydaje ci się dziwne. Dlaczego na to pozwalałyśmy? Dlaczego nic nie zrobiliśmy? Ale bicie nie było dla nas niczym niezwykłym, było czymś normalnym. Musisz to zrozumieć. Tylko to znałyśmy.

Matt kiwnął głową, co absolutnie nie wyrażało tego, co czuł, ale rozumiał ten sposób myślenia. W więzieniach często spotyka się takie rozumowanie – nie zrobiłem nic strasznego, ponieważ straszne rzeczy po prostu są czymś normalnym.

– W każdym razie – ciągnęła Olivia – ten szyderczy uśmiech znikł. Jeśli myślisz, że grzechotniki są niebezpieczne, nigdy nie spotkałeś Clyde’a Rangora. Teraz jednak, stojąc nade mną, wyglądał na przerażonego. Ciężko dyszał. Miał krew na koszuli. Za nim – i tego widoku nigdy nie zapomnę – stała Emma ze spuszczoną głową. Leżałam, krwawiąca i obolała, i nie patrzyłam na tego psychologa, lecz na jego inną ofiarę. Na jego prawdziwą ofiarę.

– „Gdzie kasetka?” – zapytał mnie Clyde. Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Mocno przydepnął mi stopę. Zawyłam z bólu. Wtedy Clyde wrzasnął: „Pogrywasz sobie ze mną, suko? Gdzie ona jest?”.

Próbowałam się odczołgać i wcisnęłam się w kąt. Clyde kopniakiem odrzucił ciało Cassandry na bok i ruszył na mnie.

Byłam w pułapce. Słyszałam w oddali głos Emmy, łagodnej jak owieczka: „Nie rób tego, Clyde. Proszę”. Wciąż patrząc na mnie, Clyde z całej siły uderzył na odlew. Grzbietem dłoni rozciął Emmie policzek. Zatoczyła się i znikła mi z oczu.

Jednak to mi wystarczyło. Na moment odwróciła jego uwagę, co dało mi szansę. Kopnęłam i udało mi się trafić we właściwe miejsce pod kolaniem. Clyde stracił równowagę. Zerwałam się z podłogi i przetoczyłam po łóżku. Widzisz, miałam konkretny cel. Kimmy miała broń. Nie podobało mi się to, ale jeśli sądzisz, że ja miałam ciężkie życie, to jej było jeszcze gorsze.

Zawsze była uzbrojona. Miała dwa pistolety. Dwudziestkędwójkę nosiła w bucie. Nawet na scenie. A drugi trzymała pod materacem.

Olivia umilkła i uśmiechnęła się do niego.

– Co? – zapytał Matt.

– Tak jak ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Myślałeś, że nie wiem o twoim pistolecie?

Zupełnie o nim zapomniał. Sprawdził kieszenie spodni. Zdejmowali mu je w szpitalu. Olivia spokojnie otworzyła torebkę.

– Masz – powiedziała. Oddała mu pistolet.

– Nie chciałam, żeby policja go znalazła.

– Dzięki – powiedział. Spojrzał na pistolet i schował go.

– Po co ci on? – zapytała. – Nie wiem.

– Sądzę, że Kimmy też nie wiedziała. Jednak miała broń. I kiedy Clyde upadł, rzuciłam się po nią. Nie miałam dużo czasu. Mój kopniak nie obezwładnił Clyde'a, dał mi tylko kilka sekund. Wsunęłam rękę pod materac. Usłyszałam jego krzyk: „Ty stuknięta zdziro, zabiję cię!”. Nie miałam wątpliwości, że to zrobi. Widziałam Cassandrę. Widziałam jego twarz. Gdyby mnie złapał, gdybym nie zdążyła sięgnąć po broń, byłabym martwa.

Olivia spoglądała w dal, wyciągając rękę, jakby znów była w przyczepie i szukała broni.

– Stałam z ręką wsuniętą pod materac. Niemal czułam jego oddech na karku. Ale nie mogłam znaleźć pistoletu. Clyde chwycił mnie za włosy. W chwili gdy pociągnął, poczułam pod palcami metal. Rozpaczliwie złapałam go, gdy Clyde szarpnął mnie w tył. Wyciągnęłam broń spod materaca. Clyde ją zobaczył. Jeszcze nie zdążyłam jej chwycić jak należy. Trzymałam rękę kciukiem i palcem wskazującym. Próbowałam wsunąć palec pod osłonę spustu. Jednak Clyde był szybszy. Chwycił mnie za nadgarstek. Usiłowałam z nim walczyć. Był zbyt silny. Jednak nie puszczałam. Trzymałam. Wtedy wbił mi paznokieć w ciało. Clyde miał długie i ostre paznokcie. Widzisz to?

Olivia zacisnęła pięść i odchyliła ją, pokazując białą bliznę w kształcie półksiężyca na przegubie. Matt widział ją już. Wcześniej Olivia mówiła mu, że to po upadku z konia.

– Clyde Rangor mi to zrobił. Wbił paznokieć tak głęboko, że popłynęła krew. Upuściłam pistolet. Clyde trzymał mnie za włosy, później pchnął na łóżko i skoczył. Złapał mnie za szyję i zaczął dusić. Płakał. Pamiętam to. Clyde dusił mnie i płakał. Nie dlatego, że się tym przejmował czy coś. Bał się. Dusił mnie i jednocześnie prosił: „Tylko powiedz mi, gdzie ona jest. Tylko powiedz mi...”. Olivia ostrożnie dotknęła swojej szyi.

– Walczyłam. Kopałam i biłam go, ale czułam, że opadam z sił. Moim ciosom brakowało rozmachu. Czułam, jak jego kciuki wbijają mi się w krtań. Umierałam. I wtedy usłyszałam huk strzału.

Jej dłoń opadła. Zabytkowy zegar w jadalni, ślubny prezent Berniego i Marshy, zaczął bić. Olivia zaczęła, aż skończy.

– To nie był głośny huk. Raczej jak trzaśnięcie z bata. Pewnie dlatego, że to była dwudziestkadwójka, nie wiem. Przez sekundę Clyde ścisnął mnie jeszcze mocniej. Na jego twarzy zobaczyłam raczej zdziwienie niż ból. Potem mnie puścił. Zaczęłam się krztusić i kaszleć. Przetoczyłam się na bok, łapiąc powietrze. Emma Lemay stała za nim. Celowała w niego i było tak, jakby te wszystkie lata uderzeń i bicia nagle wylały się z niej. Nie cofnęła się. Nie opuściła głowy. Clyde obrócił się do niej, rozwścieczony, a ona znów strzeliła, tym razem prosto w twarz.

– Potem Emma jeszcze raz nacisnęła spust i Clyde Rangor skonał.

Motyw.

Teraz Loren miała motyw. Ten krótki film wyraźnie dowodził, że Charles Talley, skończony śmieć, nie tylko spał z żoną Matta Huntera – bo Loren była gotowa się założyć, że na tym filmie to Olivia Hunter nosiła platynową perukę – ale jeszcze zadał sobie trud i przesłał Mattowi dowody.

Drwiąc z niego.

Wkurzając go.

Prowokując, jeśli kto woli.

Wszystko pasowało. Układało się w sensowną całość.

Tylko że zbyt wiele rzeczy w tej sprawie w pierwszej chwili miało sens. A potem, po kilku minutach, już nie. Na przykład Max Darrow napadnięty przez prostytutkę. Albo śmierć Charlesa Talleya, wyglądająca na zabójstwo dokonane przez zazdrosnego męża. Jeśli tak było, to jak wyjaśnić powiązanie z Emma Lemay, obecność FBI z Nevady i wszystko, czego dowiedziała się w gabinecie Joan Thurston?

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Dzwoniący miał zastrzeżony numer.

– Halo!

– Co z tym nakazem aresztowania Huntera? Dzwonił Lance Banner.

– Czy ty w ogóle sypiasz?

– Nie w lecie. Preferuję zimowy sen. Jak niedźwiedź. No o co chodzi?

– Szukamy go.

– Nie zasypuj mnie tyloma szczegółami. Naprawdę, nie mogę wszystkich ogarnąć.

– To długa historia, Lance, a ja mam za sobą długą noc.

– Poszukiwania objęły głównie rejon Newark.

– Co z tego?

– Czy ktoś szukał Huntera u jego bratowej?

– Nie sądzę...

– Mieszkam w pobliżu – powiedział Lance Banner. – Już tam jadę.

Ani Matt, ani Olivia nie poruszyli się. Ta opowieść wykończyła ją. Widział to. Już chciał przysunąć się do niej, ale powstrzymała go, unosząc dłonie.

– Kiedyś widziałam stare zdjęcie Emmy Lemay – zaczęła Olivia. – Była taka piękna. I mądra. Jeśli ktoś miał szansę wyrwać się z tego bagna, to Emma. Nikomu się to jednak nie udaje. Miałam osiemnaście lat, Matt. I czułam się tak, jakby moje życie już się kończyło. I byliśmy tam: ja wymiotowałam, a Emma wciąż trzymała broń. Przez długą chwilę patrzyła na Clyde'a i czekała, aż złapię oddech. Trwało to kilka minut. Potem odwróciła się do mnie, zupełnie spokojna, i powiedziała: „Musimy ukryć zwłoki”.

– Pamiętam, że pokręciłam głową. Powiedziałam jej, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ona nie rozzłościła się ani nie podniosła głosu. To było takie dziwne. Była taka... anielsko spokojna.

– Właśnie zabiła swojego dręczyciela.

– Pewnie dlatego.

– Ale?

– Niemal jakby czekała na tę chwilę. Jakby wiedziała, że pewnego dnia to się zdarzy. Powiedziałam, że powinnyśmy wezwać policję. Emma potrząsnęła głową, spokojna, opanowana. Wciąż trzymała broń w ręku. Nie celowała we mnie. „Możemy powiedzieć im prawdę – powiedziałam. – To była samoobrona. Pokażemy im sińce na mojej szyi. Do diabła, pokażemy im Cassandrze”.

Matt poruszył się na fotelu. Olivia zauważyła to i uśmiechnęła się.

– Wiem – powiedziała. – Zdaję sobie sprawę, jak to śmiesznie zabrzmiało. Samoobrona. Tak jak w twoim przypadku. Chyba oboje znaleźliśmy się na tych samych rozstajach. Może ty nie miałeś wyboru, bo wokół było tylu świadków. Ale nawet gdybyś go miał, przychodziłeś z innego świata. Ufałeś policji. Uczono cię, że prawda zatriumfuje. My wiedziałyśmy lepiej. Emma wpakowała Clyde'owi trzy kule, jedną w plecy, dwie w twarz. Nikt nie uwierzyłby w samoobronę. A nawet gdyby, Clyde zarabiał kupę forsy dla swojego kuzyna z mafii. Ten by nam nie darował.

– Co więc zrobiłyście?

– Ja chyba byłam zupełnie rozkojarzona, ale Emma tłumaczyła mi to, aż zrozumiałam. Nie miałyśmy innego wyjścia. Żadnego. I wreszcie wytoczyła najlepszy argument.

– Jaki?

– Spytała: „A jeśli wszystko dobrze pójdzie?”.

– Co miałyby dobrze pójść? – zapytał Matt.

– Gdyby policja nam uwierzyła, a kuzyn Clyde'a zostawił nas w spokoju. Zamilkła

i uśmiechnęła się.

– Nie rozumiem – rzekł Matt.

– Co by to dało? Emmie i mnie. Co by z nami było, gdyby wszystko dobrze poszło? Teraz Matt zrozumiał.

– Dla was nic by się nie zmieniło.

– Właśnie. To była nasza szansa, Matt. Clyde miał schowane w domu sto tysięcy dolarów. Emma powiedziała, że je zabierzemy. Rozdzielimy się i uciekniemy. Zaczniemy nowe życie. Emma już wiedziała, dokąd się uda. Od lat planowała ucieczkę, ale nigdy nie miała odwagi. Ja też. Żadna z nas.

– Teraz jednak musiałyście to zrobić. Olivia kiwnęła głową.

– Emma powiedziała, że jeśli ukryjemy ciało Clyde'a, pomyślą, że uciekli we dwoje. Będą szukali pary. Albo pomyślą, że oboje zostali zabici, a ich zwłoki ukryte. Jednak potrzebowała mojej pomocy. „A co ze mną? – zapytałam. – Przyjaciele Clyde'a wiedzą, jak wyglądam. Dopadną mnie. I jak wyjaśnimy śmierć Cassandry?”

Emma już znalazła na to sposób. Powiedziała: „Daj mi swój portfel”. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam go. Wzięła moje prawo jazdy – w tamtych czasach w Nevadzie prawo jazdy było bez zdjęcia – i wepchnęła je do kieszeni Cassandry. „Kiedy wraca Kimmy?” – zapytała mnie. „Za trzy dni” – odparłam. Na to ona, że to mnóstwo czasu. Potem powiedziała: „Posłuchaj mnie. Ani ty, ani Cassandra nie macie żadnych bliskich krewnych. Matka Cassandry porzuciła ją przed wieloma laty. Nie utrzymują żadnych kontaktów”.

Odrzekłam, że nie rozumiem.

„Myślałam o tym od lat – ciągnęła Emma. – Zawsze, kiedy mnie bił. Kiedy mnie dusił, aż mdlałam. Kiedy mówił, że przeprasza, obiecywał, że to już się nie powtórzy, i twierdził, że mnie kocha. Kiedy mówił, że mnie znajdzie i zabije, jeśli od niego ucieknę. Myślałam... co by było, gdybym zabiła Clyde'a, zakopała ciało, wzięła jego pieniądze i uciekła w jakieś bezpieczne miejsce? Gdybym naprawiła to, no wiesz, co zrobiłam wam, dziewczynom? Ty też miałeś takie myśli, prawda, Candi? Marzenia o ucieczce?”

– Miałaś je – rzekł Matt. Olivia podniosła palec.

– Z jedną różnicą. Już powiedziałam, że czułam się tak, jakby moje życie się skończyło. Chowałam się w moich książkach. Próbowałam być na bieżąco. Wyobrażałam sobie coś innego. Ponieważ miałam coś, co mnie trzymało przy życiu. Posłuchaj, nie chcę przypisywać zbyt wielkiego znaczenia tamtej nocy w Vegas, wciąż jednak o niej myślałam, Matt. Myślałam o tym, jak wtedy czułam się przy tobie. Myślałam o świecie, w którym żyłeś. Pamiętam wszystko, co powiedziałeś – o swojej rodzinie, dorastaniu, przyjaciołach i szkole. Nie rozumiałeś i nadal tego nie rozumiesz, że opisywałeś coś, czego ja nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić.

Matt milczał.

– Nie masz pojęcia, jak często po tamtej nocy myślałam o tym, żeby cię odnaleźć.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś? Pokręciła głową.

– Ty lepiej niż ktokolwiek powinieneś wiedzieć, co mnie powstrzymywało.

Kiwnął głową, bojąc się odezwać.

– W tym momencie to już nie miało znaczenia – powiedziała Olivia. – Było już na to za późno. Mimo wszystko musiałyśmy działać. Wymyśliłyśmy plan. Bardzo prosty, naprawdę. Najpierw zawinęłyśmy ciało Clyde'a w koc i wrzuciłyśmy do bagażnika. Zamknęłyśmy Zagrodę na kłódkę. Emma знаła pewne miejsce na pustyni. Powiedziała, że Clyde pozbył się tam co najmniej dwóch ofiar. Pogrzebałyśmy go w płytkim grobie na pustkowiu. Potem Emma zadzwoniła do klubu. Postarała się, żeby wszystkie dziewczyny były zajęte do późna i żadna nie wróciła wcześniej do Zagrody. Pojechaliśmy do niej, żeby wziąć prysznic. Weszłam pod strumień ciepłej wody myśląc... sama nie wiem, że to będzie dziwne, zmywać z siebie krew, jak w Makbecie.

Rozciągnęła wargi w nikłym uśmiechu.

– Jednak wcale tak nie było? – spytał Matt. Olivia powoli pokręciła głową.

– Właśnie pogrzebałam trupa na pustyni. W nocy szakale wykopią go i pożrą. Rozwloką kości. Tak powiedziała Emma. A ja wcale się tym nie przejęłam.

Spojrzała na niego, jakby czekając na wyrzuty.

– I co zrobiłaś potem?

– Nie domyślasz się?

– Powiedz mi to.

– Ja... to znaczy Candace Potter, była nikim. Nie było nawet kogo zawiadomić o jej przedwczesnej śmierci. Emma jako jej pracodawczyni i prawie opiekunka zawiadomiła policję. Powiedziała, że jedna z jej dziewcząt została zamordowana. Policja przyjechała. Emma pokazała im ciało Cassandry. Prawo jazdy było w kieszeni. Emma zidentyfikowała zamordowaną i potwierdziła, że to jedna z jej dziewczyn, Candace „Candi Cane” Potter. Niemająca bliskich krewnych. Nikt tego nie kwestionował. Bo i dlaczego? Czemu ktoś miałby interesować się tą sprawą? Podzieliliśmy się z Emma pieniędzmi. Dostałam pięćdziesiąt tysięcy. Możesz to sobie wyobrazić? Wszystkie dziewczyny w klubie miały fałszywe dokumenty, więc zdobycie nowych nie było dla mnie żadnym problemem.

– I po prostu uciekłaś?

– Tak.

– A co z Cassandrą? – zapytał Matt.

– Co miało być?

– Czy nikt się nie zastanawiał, co się z nią stało?

– Milion dziewczyn przychodziło i odchodziło. Emma powiedziała wszystkim, że Cassandra

odeszła, wystraszona morderstwem. Dwie inne dziewczyny też się przestraszyły i uciekły.

Matt potrząsnął głową, usiłując to wszystko poskładać.

– Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, przedstawiłaś się jako Olivia Murray.

– Tak.

– Wróciłaś do tego nazwiska?

– Posłużyłam się nim tylko wtedy. Tylko tamtej nocy z tobą. Czytałeś *Wrinkle in Time*!

– Jasne. Chyba w piątej klasie.

– Kiedy byłam mała, to była moja ulubiona książka. Jej bohaterka nazywała się Meg Murray.

Dlatego przybrałam jej nazwisko.

– A Olivia? Wzruszyła ramionami.

– Brzmiało zupełnie niepodobnie do Candi.

– I co było potem?

– Zawarliśmy z Emma pakt. Nigdy nikomu nie powiemy prawdy, choćby nie wiem co, ponieważ gdyby któraś z nas się wygadała, spowodowałaby śmierć drugiej. Tak więc przysięgłyśmy, że będziemy milczeć. Musisz zrozumieć, jak poważnie traktowałam tę przysięgę.

Matt nie wiedział, co powiedzieć.

– Potem pojechałaś do Wirginii?

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ tam żyła Olivia Murray. Daleko od Vegas i Idaho. Zaczęłam nowe życie. Chodziłam na zajęcia na uniwersytecie stanowym. Oczywiście, nie byłam studentką, ale to było jeszcze przed wprowadzeniem dodatkowych środków bezpieczeństwa. Spokojnie wchodziłam na sale wykładowe. Siedziałam w bibliotece i bufecie. Poznawałam ludzi. Wszyscy brali mnie za studentkę. Po kilku latach udałam, że skończyłam studia. Znalazłam pracę. Nie oglądałam się za siebie i nie myślałam o Candi. Candace Porter umarła.

– A potem co, spotkałaś mnie?

– Coś w tym rodzaju, tak. Słuchaj, byłam przerażonym dzieciakiem. Uciekłam i próbowałam ułożyć sobie życie. Prawdziwe. I prawdę mówiąc, nie interesowali mnie mężczyźni. Zatrudniście DataBetter, pamiętasz?

Matt skinął głową.

– Tak.

– Miałam dość mężczyzn. Jednak zobaczyłam ciebie i... sama nie wiem. Może chciałam wrócić do tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy. Do jakiegoś głupiego marzenia. Ty krzywisz się na myśl o zamieszkiwaniu tutaj, Matt. Nie rozumiesz, że to miejsce, to miasto, to najlepszy z możliwych światów.

– I dlatego chcesz tu zamieszkać?

– Z tobą – rzekła, patrząc na niego pytająco. – Nie rozumiesz? Nigdy nie wierzyłam w prawdziwe braterstwo dusz. Kiedy widzi się to, co ja widziałam... może jednak, nie wiem, może zbliżyły nas nasze przeżycia. Może cierpienie uczyniło nas wrażliwsi. Uczysz się walczyć o to, co inni uważają za naturalne. Kochasz mnie, Matt. Nie uwierzyłeś, że mam romans. Właśnie dlatego szukałeś prawdy – ponieważ mimo tego, co teraz ci mówię, tylko ty jeden naprawdę mnie znasz. Jesteś jedynym mężczyzną mojego życia. I tak, chcę tutaj zamieszkać i wychowywać twoje dzieci. Tylko tego chcę.

Matt otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– W porządku – powiedziała ze słabym uśmiechem. – Trudno to ogarnąć.

– Nie o to chodzi. Po prostu... – Nie potrafił tego wyrazić. Wciąż przeżywał burzę uczuć. Musiał się uspokoić. – I co poszło nie tak? – spytał. – Jak znaleźli cię po tylu latach?

– Nie znaleźli mnie – odparła. – To ja ich znalazłam.

Matt miał już zadać następne pytanie, gdy znów światła reflektorów zaczęły przesuwac się po ścianie. Samochód przejechał odrobinę zbyt wolno. Matt podniósł rękę, uciszając Olivię. Oboje nasłuchiwali. Odgłos pracującego silnika był cichy, ale wyraźny. Nie było mowy o pomyłce.

Popatrzyli na siebie. Matt podszedł do okna i zerknął.

Samochód stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Miał wyłączone światła. Po kilku sekundach kierowca zgasił silnik. Matt natychmiast rozpoznał ten wóz. Przyszło mu to z łatwością, gdyż siedział w nim kilka godzin wcześniej.

Samochód należał do Lance'a Banner'a.

Loren wpadła jak burza do pokoju przesłuchań. Cingle oglądała swoje paznokcie.

– Adwokat jeszcze nie przyszedł.

Loren tylko patrzyła na nią przez chwilę. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy wygląda się tak jak Cingle Shaker, kiedy wszyscy mężczyźni oglądają się za tobą, a ty doskonale wiesz, jak sobie z nimi radzić. Matka Loren miała trochę tej pewności siebie, ale jak to jest, kiedy wygląda się jak Cingle Shaker? Czy to przyjemne, czy nie? Czy zaczynasz liczyć na to, że te walory zapewnią ci przewagę nad innymi? Loren nie sądziła, żeby tak było w przypadku Cingle, lecz to czyniło ją jeszcze groźniejszą przeciwniczką.

– Zgadnij, co znaleźliśmy w twoim biurowym komputerze? – zapytała Loren.

Cingle zmrużyła oczy. Nieznacznie, ale to wystarczyło. Wiedziała. Loren wyjęła zdjęcie Charlesa Talleya. Wyjęła również kilka wybranych ujęć z filmu wideo. Położyła je na stole przed Cingle. Ta ledwie na nie spojrzała.

– Nic nie powiem – mruknęła.

– A kiwniesz głową?

– Co?

– Ja będę mówić. Możesz kiwać głową, jeśli chcesz. Ponieważ teraz chyba wszystko jest jasne. – Loren usiadła, splótła dłonie i położyła je na stole. – Nasi chłopcy z laboratorium powiedzieli, że to zdjęcia zrobione aparatem z telefonu komórkowego. Tak więc sądzimy, że było tak: Charles Talley był czubkiem. Wiemy o tym. Miał bogatą przeszłość kryminalną. Gdzieś poznał Olivię Hunter. Jeszcze nie wiem jak. Może ty nam to powiesz, kiedy przyjdzie twój adwokat. Nieważne. Tak czy inaczej, z jakichś chorych powodów przesyła zdjęcie i film naszemu wspólnemu znajomemu, Mattowi Hunterowi. Matt przynosi je tobie. Ty, ponieważ jesteś dobra w swoim fachu, odkrywasz, że facet na zdjęciach to Charles Talley, który obecnie zatrzymał się w hotelu Howard Johnson's przy lotnisku Newark. A może dowiedziałaś się, że przebywa tam Olivia Hunter. Nie wiem, jak było.

– Nie tak – powiedziała Cingle.

– Jednak to bliskie prawdy. Nie znam szczegółów i nic mnie nie obchodzi, dlaczego i po co Hunter do ciebie przyszedł. Jasne jest, że to zrobił i że to on dał ci zdjęcie oraz film. Ty znalazłaś Charlesa Talleya. Potem oboje pojechaliście do hotelu, żeby się z nim spotkać. Tam doszło do bójki między Talleyem a Hunterem. W rezultacie Hunter został ranny, a Talley zginał. Cingle odwróciła głowę.

– Masz coś do dodania? – zapytała Loren. Znow zadzwonił jej telefon komórkowy. Wyjęła go, otworzyła i powiedziała: – Halo!

– Tu twój dobry sąsiad Lance.

- Co jest?
- Zgadnij, gdzie jestem.
- Przed domem Marshy Hunter?
- Trafiłaś. Teraz zgadnij, czy samochód stoi na jej podjeździe.

Loren się wyprostowała.

- Wezwałeś wsparcie?
- Już jedzie.

Wyłączyła się i zamknęła telefon komórkowy. Cingle ją obserwowała.

- Chodzi o Matta? Loren skinęła głową.
- Zaraz go aresztujemy.
- To go załamię.

Loren wzruszyła ramionami, czekała. Cingle przygryzła wargę.

- Mylisz się.
- W czym?
- Myślisz, że to Charles Talley przysłał te zdjęcia Mattowi.
- A nie zrobił tego?

Cingle bardzo wolno pokręciła głową.

- Więc kto to zrobił?
- Dobre pytanie.

Loren usiadła. Przypomniała sobie fotografię Charlesa Talleya. Miał poniesioną rękę, niemal jakby był zaskoczony tym, że ktoś robi mu zdjęcie. Nie zrobił go sam.

– Nieważne. Za kilka minut będziemy mieli Matta. Cingle wstała. Zaczęła przechadzać się po pokoju. Założyła ręce na piersi.

- Może – zaczęła znowu – te zdjęcia to lipa.
- Co?
- Daj spokój, Loren. Zaczynaj myśleć. Nie sądzisz, że to wszystko jest trochę zbyt proste?
- Jak większość morderstw.
- Bzdura.

– Znajdujesz zabitego mężczyznę, sprawdzasz jego kochanki. Znajdujesz martwą kobietę, sprawdzasz jej chłopca lub męża. Zazwyczaj to wystarcza.

- Tylko że Charles Talley nie był kochankiem Olivii Hunter.
- Jak na to wpadłaś?
- Nie ja. Odkrył to Matt.
- Wciąż chcę wiedzieć jak.
- Ponieważ te zdjęcia to fotomontaż.

Loren otworzyła usta, zamknęła je i postanowiła zaczekać.

– Właśnie dlatego Matt przyjechał dziś wieczorem do mojego biura. Chciał powiększyć te zdjęcia. Zrozumiał, że coś jest z nimi nie tak. Wpadł na to, kiedy zaczął padać deszcz.

Loren usiadła wygodniej i rozłożyła ręce.

– Może wyjaśnisz mi wszystko od początku. Cingle podniosła fotografię Charlesa Talleya.

– Dobrze, widzisz to okno i to, jak świeci przez nie słońce...?

Samochód Lance'a Bannera wciąż stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy naprzeciwko domu Marshy Hunter.

– Znasz go? – zapytała Olivia.

– Tak. Chodziliśmy razem do szkoły. Jest w tym mieście policjantem.

– Przyjechał tu zapytać, kto cię napadł?

Matt nie odpowiedział. Chyba miałyby to sens. Po aresztowaniu Cingle policja zapewne chciała mieć jego zeznanie. A może nazwisko Matta, ofiary lub świadka, podano przez radio i Lance to usłyszał. Albo znów chciał go zniechęcić do osiedlenia się tu.

Tak czy inaczej to nic takiego. Jeśli Lance zadzwoni do drzwi, Matt go spławi. Ma do tego prawo. Nie mogą aresztować ofiary za to, że nie złożyła natychmiast zeznania.

– Matt?

Odwrócił się do Olivii.

– Mówiłaś, że oni cię nie znaleźli. To ty znalazłaś ich.

– Tak.

– Nie jestem pewien, czy nadażam.

– Ponieważ to najtrudniejsza część tego wszystkiego – powiedziała Olivia.

Myślał – nie, miał nadzieję – że żartowała. Starał się opanować, szukać wyjaśnień, uzasadnień albo po prostu nie dopuszczać do siebie żadnych wątpliwości.

– Naopowiadałam ci mnóstwo kłamstw – ciągnęła. – Jednak to ostatnie było najgorsze. Matt pozostał przy oknie.

– Stałam się Olivią Hunter. Już ci mówiłam. Dla mnie Candace Potter umarła. Tylko że... pewnego fragmentu jej życia nigdy nie mogłam zapomnieć.

Zamilkła.

– Jakiego? – zapytał cicho Matt.

– Kiedy miałam piętnaście lat, zaszłam w ciążę. Zamknął oczy.

– Byłam tak przestraszona, że ukrywałam to, aż zrobiło się za późno. Kiedy odeszły wody, moja zastępcza matka zaprowadziła mnie do lekarza. Kazali mi podpisać stos papierów. Zapłacono jakąś sumę, nie wiem ile, ponieważ nigdy nie zobaczyłam tych pieniędzy. Lekarz dał mi znieczulenie. Urodziłam dziecko. Kiedy się ocknęłam...

Złamał jej się głos. Zbyła to wzruszeniem ramion i dodała:

– Nigdy nawet się nie dowiedziałam, czy to był chłopiec, czy dziewczynka.

Matt nie odrywał oczu od samochodu Lance'a. Miał wrażenie, jakby coś pękało mu w piersi.

– A co z ojcem?

– Uciekł, kiedy usłyszał, że jestem w ciąży. Złamał mi serce. Zginął w wypadku

samochodowym kilka lat później.

– I nigdy się nie dowiedziałas, co się stało z dzieckiem?

– Nigdy. Żadnych wiadomości. Pod pewnymi względami tak było lepiej. Nawet gdybym chciała znaleźć miejsce w jej życiu, nie mogłabym – w mojej sytuacji. To jednak wcale nie oznaczało, że się tym nie przejmowałam. Wciąż zastanawiałam się, co się z nią stało.

Zapadła cisza. Matt odwrócił się i spojrzał na żonę.

– Powiedziałaś „nią”.

– Co?

– Przed chwilą. Najpierw powiedziałaś, że nie wiedziałaś, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Potem powiedziałaś, że nie chciałaś wkraczać w jej życie, ale zastanawiałaś się, co się z nią stało.

Olivia nie odpowiedziała.– Od jak dawna wiesz, że urodziłaś dziewczynkę?

– Zaledwie od kilku dni.

– Jak się dowiedziałas? Olivia wyjęła drugą kartkę.

– Słyszałaś o internetowych grupach dyskusyjnych pomagających adoptowanym dzieciom?

– Nie, chyba nie.

– Są takie witryny, na których mogą zamieszczać ogłoszenia dzieci szukające swoich biologicznych rodziców i vice versa. Zawsze je przeglądałam. Po prostu z ciekawości. Nigdy nie przypuszczałam, że coś tam znajdę. Candace Potter od dawna nie żyła. Gdyby nawet jej dziecko szukało biologicznej matki, dowiedziałoby się, że ta nie żyje i zaprzestałoby poszukiwań. Ponadto i tak nie mogłam nic powiedzieć. Zawarłam pakt. Gdyby moje dziecko mnie odnalazło, tylko przysporzyłoby sobie kłopotów.

– A mimo to przeglądałaś te witryny?

– Tak.

– Jak często?

– Czy to ważne, Matt?

– Chyba nie.

– Nie rozumiesz, dlaczego to robiłam?

– Ależ rozumiem – odparł, chociaż nie był pewien, czy to prawda. – No i co się stało?

Olivia wręczyła mu kolejną kartkę.

– Znalazłam takie ogłoszenie.

Kartka była pomięta i najwyraźniej wielokrotnie rozkładana i składana. Na górze widniała data sprzed czterech tygodni. Tekst brzmiał następująco:

To pilna wiadomość, która musi pozostać poufna. Nasza córka została adoptowana osiemnaście lat temu za pośrednictwem biura doktora Erica Tequesta w Meridian w stanie Idaho, dwunastego lutego. Biologiczną matką była nieżyjąca Candace Potter. Nie mamy żadnych

informacji o ojcu.

Nasza córka jest ciężko chora. Jedynym ratunkiem jest przeszczep nerki od spokrewnionego dawcy. Szukamy jakichkolwiek żyjących krewnych, którzy mogliby jej pomóc. Prosimy ewentualnych krewnych zmarłej Candace Potter, aby skontaktowali się z nami...

Matt kilkakrotnie przeczytał ogłoszenie.

– Musiałam coś zrobić – powiedziała Olivia. Bez słowa skinął głową.

– Wysłałam e-mail do rodziców. Z początku przedstawiłam się jako dawna przyjaciółka Candace Potter, ale nie chcieli mi nic powiedzieć. Nie wiedziałam, co robić. Tak więc napisałam ponownie i przyznałam się, że jestem jej krewną. A potem sprawy przybrały dziwny obrót.

– Jak to?

– Myśle... nie wiem... nagle rodzice zrobili się podejrzliwi. Umówiliśmy się na spotkanie. Uzgodniliśmy miejsce i czas.

– W Newark?

– Tak. Nawet zarezerwowali tam dla mnie pokój. Miałam się zameldować i czekać, aż się ze mną skontaktują. Tak też zrobiłam. W końcu zadzwonił jakiś mężczyzna i kazał mi iść do pokoju pięćset osiem. Kiedy tam weszłam, powiedział, że musi przeszukać moją torebkę. Pewnie wtedy wyjął mój telefon. Potem kazał mi się przebrać w łazience, zmienić sukienkę i włożyć perukę. Nie rozumiałam po co, ale powiedział, że pojedziemy gdzieś i nie chce, żeby ktoś nas rozpoznał. Byłam zbyt przestraszona, żeby się opierać. On też włożył perukę, czarną. Kiedy wyszłam z łazienki, kazał mi usiąść na łóżku. Podszedł do mnie, tak jak widziałeś. Kiedy doszedł do łóżka, przystanął i powiedział, że wie, kim jestem. Jeśli chcę uratować córce życie, mam przelać pieniądze na jego konto. Miałam je przygotować.

– Zrobiłaś to?

– Tak.

– Ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Skinął głową z udawanym spokojem. Ich wszystkie pieniądze.

– I co potem?

– Oświadczył mi, że potrzebuje więcej. Następne pięćdziesiąt tysięcy. Powiedziałam mu, że nie mam tyle. Kłóciliśmy się. W końcu oznajmiłam, że dostanie więcej pieniędzy, kiedy zobaczę swoją córkę. Matt odwrócił głowę.

– Co? – zapytała.

– Nie zaczęłaś się zastanawiać?

– Nad czym?

– Czy to nie jest zwyczajne oszustwo.

– Oczywiście – odparła Olivia. – Czytałam o tych oszustach, którzy twierdzą, że mają jakieś

informacje o zaginionych w Wietnamie. Namawiają rodziny, żeby przekazały im pieniądze na kontynuowanie poszukiwań. Rodziny tak bardzo chcą w to wierzyć, że nie widzą, że to bujda.

– A zatem?

– Candace Potter umarła – powiedziała Olivia. – Dlaczego ktoś miałby wyłudzać pieniądze od zmarłej?

– Może ktoś się dowiedział, że żyjesz.

– Skąd?

– Nie wiem. Może Emma Lemay się wygadała.

– Załóżmy, że tak. Co wtedy? Nikt nie wiedział, Matt. Jediną osobą w Vegas, której o tym powiedziałam, była moja przyjaciółka Kimmy, ale nawet ona nie wiedziała wszystkiego: daty urodzin, nazwy miasteczka w Idaho, jak nazywał się lekarz. Nawet nie pamiętałam jego nazwiska, dopóki nie zobaczyłam go w tym ogłoszeniu. Jedydami ludźmi, którzy wiedzieli to wszystko, była moja córka lub jej przybrani rodzice. A nawet jeśli to wszystko było oszustwem, z tą peruką i w ogóle, musiałam podjąć tę grę. Moja córka była w to zamieszana w taki czy inny sposób. Nie widzisz tego?

– Widzę – rzekł. Dostrzegł również pewien błąd w jej rozumowaniu, ale nie była to odpowiednia chwila, żeby jej to wytykać. – I co dalej?

– Upierałam się, że chcę zobaczyć córkę. Ustalił miejsce spotkania. Mam tam przynieść resztę pieniędzy.

– Kiedy?

– Jutro o północy.

– Gdzie?

– W Reno.

– W Nevadzie?

– Tak. Znowu Nevada.

– Czy znasz niejakiego Maksa Darrowa? Nie odpowiedziała.

– Olivio?

– To on był tym mężczyzną w czarnej peruce. Tym, z którym się spotkałam. Znałam go z Vegas. Kręcił się w klubie! Matt nie wiedział, co ma o tym myśleć.

– Gdzie w Reno?

– Center Lane Drive czterysta osiemdziesiąt osiem. Mam bilet lotniczy. Darrow zabronił mi komukolwiek o tym mówić. Jeśli mnie tam nie będzie... Nie wiem, Matt. Powiedzieli, że zrobią jej krzywdę.

– Twojej córce?

Olivia kiwnęła głową. Znow miała łzy w oczach.

– Nie wiem, co się stało. Nie mam pojęcia, czy ona jest chora, czy została porwana, czy też

wpakowała się w coś. Jednak ona istnieje, żyje i muszę ją odnaleźć.

Matt próbował poukładać to sobie, ale nie zdążył. Zadzwoił jego telefon komórkowy. Machinalnie chciał go wyłączyć, ale zmienił zdanie. O tej porze zapewne dzwoniła Cingle. Może miała kłopoty i potrzebowała jego pomocy. Sprawdził numer dzwoniącego. Zastrzeżony. Może to z posterunku policji – Halo!

– Matt?

Zmarszczył brwi. Głos zdawał się należeć do Kawusia.

– Mike, to ty?

– Matt, właśnie miałem telefon od Cingle – Co?

– Jadę teraz do biura prokuratora okręgowego – rzekł Kawuś. – Chcą ją przesłuchać.

– Dzwoniła do ciebie?

– Tak, owszem, ale chyba bardziej chodziło jej o ciebie.

– O czym ty mówisz?

– Chciała cię ostrzec.

– Przed czym?

– Zaczekaj, zapisałem to sobie. W porządku, po kolei, pytałeś ją o niejakiego Maksa Darrowa? Został zamordowany. Znaleźli go zastrzelonego w Newark. Matt spojrzał na Olivię.

– Co się stało? – zapytała. Kawuś mówił dalej.

– Gorzej, Charles Talley też nie żyje. Znaleźli jego ciało w hotelu Howard Johnson's. Znaleźli również zakrwawiony kastet. Teraz wykonują badania DNA. A za godzinę będą mieli zdjęcia z twojego telefonu komórkowego...

Matt nic nie powiedział.

– Czy ty rozumiesz, co ja mówię, Matt?

Rozumiał. Nie musiał długo myśleć. Poukładają to w logiczną całość: Matt, były więzień, który już siedział za zabójstwo, otrzymuje te prowokujące zdjęcia przez telefon komórkowy. Najwyraźniej jego żona puszcza się z Charlesem Talleyem. Matt wynajmuje prywatnego detektywa, żeby ustalić, gdzie oni są. Wpada w nocy do hotelu. Dochodzi do bójki. Będą mieli co najmniej jednego świadka – recepcjonistę. Może nagranie z kamery wideo. A ponadto niepodważalny dowód DNA. Zabity pewnie miał wszędzie na sobie jego krew.

W oskarżeniu będą luki. Matt mógłby pokazać im szare okno i powiedzieć o suszy. Nie wiedział również, o której Talley został zabity. Matt miałby szczęście, gdyby tamtego zamordowano wtedy, kiedy on był w karetce lub w szpitalu. Albo gdyby alibi zapewnił mu taksówkarz lub żona.

Jakby to mogło wystarczyć.

– Matt?

– Co jest?

– Policja zapewne już cię szuka.

Zerknął przez okno. Policyjny radiowóz zatrzymał się za wozem Lance'a.

– Myślę, że już mnie znaleźli.

– Mam ci załatwić spokojne oddanie się w ręce władz? Spokojnie oddać się w ręce władz. Zaufać, że prawda wyjdzie na jaw. Postąpić jak praworządny obywatel. Już raz tak zrobił, prawda?

Raz mnie oszukasz, wstydz się. Oszukasz mnie po raz drugi... Załóżmy, że udowodniłby swoją niewinność. Co wtedy?

Musieliby powiedzieć o wszystkim, również o przeszłości Oliwii. Zapomnieć o tym, że Matt przysiągł, iż już nigdy nie wróci do więzienia. Olivia z kolei popełniła przestępstwo. W najlepszym razie pomogła ukryć zwłoki. Nie wspominając już o tym, że szantażował ją zamordowany Max Darrow. Jakby to wyglądało?

– Mike?

– Tak?

– Jeśli dowiedzą się, że kontaktowałeś się ze mną, dorwą cię za pomoc i współudział.

– Nie, Matt, w żadnym razie. Jestem twoim adwokatem. Przekazuję ci fakty i radzę ci się oddać w ręce władz. Ale jak postąpisz... cóż, nie mam na to żadnego wpływu. Mogę być tylko zaskoczony oraz oburzony. Rozumiesz?

Rozumiał. Znowu spojrzął przez okno. Podjechał następny radiowóz. Matt pomyślał o powrocie za kraty. W szybie zobaczył odbicie ducha Stephena McGratha. Stephen mrugnął do niego. Matt poczuł, że zaczyna się dusić.

– Dzięki, Mike.

– Powodzenia, kolego.

Kawuś rozłączył się. Matt odwrócił się do Olivii.

– Co się stało? – zapytała.

– Musimy uciekać.

Lance Banner podszedł do drzwi frontowych domu Marshy Hunter.

Teraz towarzyszyło mu dwóch zmęczonych mundurowych. Obaj nosili krótki zarost, będący czymś pośrednim między abnegacją a pogonią za modą, rezultat monotonnej nocnej służby w Livingston. Byli młodzi, od niedawna w policji. Podeszli w milczeniu. Słyszał ich ciężkie oddechy. Obaj niedawno przytyli. Lance nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, dlaczego nowi rekruci zawsze przybierali na wadze w ciągu pierwszego roku służby, ale trudno byłoby mu znaleźć odstępstwa od tej reguły.

Lance miał mieszane uczucia. Trochę żałował swojej wczorajszej rozmowy z Mattem. Cokolwiek Hunter zrobił, kimkolwiek się stał, nie zasłużył sobie na niezdarne i głupie pogrożki. Teraz nie miał cienia wątpliwości, że postąpił głupio, ostrzegając potencjalnego przestępcę niczym jakiś tępawy szeryf z kiepskiego filmu.

Zeszłej nocy Matt Hunter wykpił jego pozornie naiwne próby powstrzymania zła poza granicami spokojnego Livingston. Matt jednak się mylił. Lance nie był naiwny. Rozumiał, że nie ma żadnego pola siłowego, które chroniłoby tę miłą podmiejską dzielnicę. Właśnie w tym sęk. Ciężko pracujesz, zarabiając na życie. Spotykasz podobnie myślących ludzi i razem tworzycie społeczność. Potem walczyacie w jego obronie. Dostrzegasz potencjalny problem, nie zamykasz oczu. Usuwasz go. Działasz. Właśnie to robił, rozmawiając z Mattem Hunterem. Tak postępowali w obronie swoich domów ludzie tacy jak Lance Banner. Byli żołnierzami na pierwszej linii frontu, tymi nielicznymi czuwającymi, żeby inni – włącznie z rodziną Lance'a – mogli spać spokojnie.

Dlatego musiał coś zrobić, kiedy koledzy policjanci zaczęli na ten temat mówić, a jego żona Wendy, która chodziła do szkoły z młodszą siostrą Matta i uważała ją za „skończoną sukę”, wspomniała o mordercy mającym zamieszkać na sąsiedniej ulicy. Toteż jeden z radców miejskich głośno wyraził największą z obaw mieszkańców przedmieść: „Lance, czy zdajesz sobie sprawę, jak to wpłynie na wartość nieruchomości?”.

A teraz nie był pewien, czy tego żałuje, czy nie.

Myślał o swojej niedawnej rozmowie z Loren Muse. Pytała go o młodego Matta Huntera. Czy Lance dostrzegał w nim wczesne objawy psychozy? Odpowiedzią było stanowcze nie. Hunter był łagodny. Lance pamiętał, jak płakał, kiedy przepuścił podanie na meczu ligi juniorów. Ojciec pocieszał go, a Lance dziwił się, że z niego takie duże dziecko. Jednak – co być może przeczyło teorii Loren o wczesnych oznakach przyszłych kłopotów – ludzie naprawdę się zmieniają. Nie wszystko jest już przesądzone w wieku pięciu lat.

A gdy się zmieniają, to zawsze na gorsze.

Jeśli ktoś za młodu jest psychopatą, nigdy się nie zmieni i nie będzie normalny. Nigdy.

Możesz jednak znaleźć mnóstwo porządnych facetów, miłych gości, którzy wychowali się w dobrych rodzinach, przestrzegali prawa i kochali sąsiadów, łagodnych facetów, którzy brzydzili się przemocą i nigdy nie zamierzali zejść na złą drogę – a jednak w końcu popełnili straszliwe zbrodnie.

Kto wie dlaczego? Czasem, jak w przypadku Huntera, była to tylko kwestia pecha, ale pech to nie wszystko, prawda? Wychowanie, geny, doświadczenia życiowe, warunki, wszystkie takie rzeczy – to kupa bzdur. Matt Hunter znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Teraz to już nie miało znaczenia. Można było to dostrzec w jego oczach, chodzie, przedwcześnie posiwiątych skroniach, w zmrużeniu oczu, słabym uśmiechu.

Zło podąża za niektórymi ludźmi. Przyczepia się do nich i nigdy ich nie opuszcza.

A ty po prostu nie chcesz mieć takich ludzi w pobliżu.

Lance zapukał do drzwi Marshy Hunter. Dwaj mundurowi stali tuż za nim, nieco z boku. Słońce zaczęło wschodzić. Nasłuchiwali.

Nic.

Spojrzał na przycisk dzwonka. Wiedział, że Marsha Hunter ma dwóch małych synów. Jeśli Matta tu nie ma, będzie mu przykro, że ich zbudził, ale nie miał innego wyjścia. Nacisnął przycisk i usłyszał melodyjny dźwięk dzwonka.

Wciąż nic.

Na wszelki wypadek Lance spróbował obrócić klamkę w nadziei, że drzwi są otwarte. Nie były.

Towarzyszający mu policjant podniósł nogę.

– Wykopać je?

– Jeszcze nie. Nie wiemy, czy tam jest. Ponownie nacisnął dzwonek i tym razem przytrzymał palec dłużej, aż dzwonek zadzwonił trzeci raz.

– Detektywie? – odezwał się drugi z gliniarzy.

– Dajmy im jeszcze kilka sekund – rzekł.

Jakby w odpowiedzi w przedpokoju zapaliło się światło. Lance próbował dojrzeć coś przez matowe szkło, ale obraz był zbyt zniekształcony. Przycisnął nos do szyby, wypatrując, czy ktoś się tam porusza.

– Kto tam?

Kobieco, ostrożny głos – co było najzupełniej zrozumiałe w tych okolicznościach.

– Tu detektyw Lance Banner z policji w Livingston. Może pani otworzyć drzwi?

– Kto?

– Detektyw Lance Banner z policji w Livingston. Proszę otworzyć drzwi.

– Jedną chwileczkę.

Czekali. Lance wciąż zerkał przez matową szybę. Dostrzegł niewyraźną postać schodzącą po

schodach. Zapewne Marsha Hunter. Jej kroki były równie ostrożne jak głos. Usłyszał zgrzyt odsuwanej zasuwki i grzechot łańcucha. Potem drzwi się otworzyły.

Marsha Hunter miała na sobie szlafrok, ściągnięty w talii paskiem. Szlafrok był stary i frotowy. Wyglądał na męski. Lance przez sekundę zastanawiał się, czy należał do jej zmarłego męża. Była rozczochrana. Nie miała makijażu i chociaż Lance zawsze uważał ją za atrakcyjną kobietę, przydałby się jej mały retusz.

Spojrzała na Lance'a, potem na dwóch towarzyszących mu policjantów, i znów na Lance'a.

– Czego chcecie o tak wczesnej porze?

– Szukamy Matta Huntera. Zmrużyła oczy.

– Ja pana znam. Lance nic nie powiedział.

– W zeszłym roku był pan trenerem mojego syna. Ma pan chłopca w wieku Paula.

– Tak, proszę pani.

– Nie pani – ucięła ostro. – Nazywam się Marsha Hunter.

– Tak, wiem.

– Jesteśmy sąsiadami, do licha. – Marsha znów zmierzyła wzrokiem dwóch mundurowych, po czym spojrzała na Lance'a. – Wie pan, że mieszkam sama z dwoma małymi chłopcami – i mimo to budzi nas pan o takiej nieludzkiej porze?

– Musimy porozmawiać z Mattem Hunterem.

– Mamusiu?

Lance poznał schodzącego po schodach chłopca. Marsha obrzuciła Lance'a ponurym spojrzeniem, po czym odwróciła się do syna.

– Idź do łóżka, Ethanie.

– Ależ, mamusiu...

– Zaraz do ciebie przyjdę. Wracaj do łóżka. – Znów odwróciła się do Lance'a. – Dziwię się, że pan nie wie.

– Czego nie wiem?

– Matt tu nie mieszka – powiedziała. – Mieszka w Irvington.

– Jego samochód stoi na pani podjeździe.

– No i co z tego?

– No to jest tutaj?

– Co się dzieje?

Na schodach pojawiła się inna kobieta.

– Kim pani jest? – zapytał Lance.

– Nazywam się Olivia Hunter.

– Olivia Hunter, czyli żona Matta Huntera?

– Słucham?

Marsha spojrzała na szwagierkę.

– On tylko pyta, dlaczego twój samochód stoi na podjeździe.

– O tej porze? – zdziwiła się Olivia Hunter. – A co panu do tego?

– Szukają Matta.

– Czy pani wie, gdzie jest pani mąż, pani Hunter? – zapytał Lance Banner.

Olivia zaczęła schodzić ze schodów. Ona również poruszała się ostrożnie. Może to dało mu do myślenia. A może jej ubranie, ponieważ mimo późnej pory była ubrana. W zwyczajne ubranie. Dżinsy i podkoszulek. Nie w nocny strój. Nie miała na sobie szlafroka ani piżamy. O tej godzinie.

To nie miało sensu.

Kiedy Lance znów spojrzał na Marszę Hunter, dostrzegł to. Ten wiele mówiący wyraz jej twarzy. Niech to szlag, jak mógł być taki głupi? To zwlekanie z zapalaniem światła, powolne zejście po schodach, podejście do drzwi... Wszystko to trwało tak długo.

Obrócił się na pięcie do mundurowych.

– Sprawdźcie tyły domu. Szybko.

– Chwileczkę! – zawołała zbyt głośno Olivia. – Co pańscy ludzie zamierzają robić na tyłach domu?

Policjanci pobiegli – jeden w prawo, drugi w lewo. Lance spojrzał na Marszę. Odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem.

Wtedy usłyszeli krzyk.

– Co się dzieje? – spytała Olivia.

– Dzwonił Kawuś – rzekł Matt. – Charles Talley i Max Darrow nie żyją.

– O mój Boże.

– I jeśli się nie mylę – ciągnął, wskazując na okno – ci faceci tam chcą mnie aresztować.

Olivia zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy.

– Co zamierzasz zrobić?

– Muszę się stąd wydostać.

– Chcesz powiedzieć, że musimy się stąd wydostać.

– Nie.

– Idę z tobą, Matt.

– To nie ciebie szukają. Nic na ciebie nie mają. W najgorszym razie mogą ci zarzucić, że zdradzałeś męża. Po prostu odmówisz odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Nie mogą cię zatrzymać w areszcie.

– A więc chcesz uciec?

– Nie mam wyboru.

– Dokąd się udasz?

– Coś wymyślę. Ale nie możemy się kontaktować. Będą obserwowali dom, podsłuchiwali rozmowy telefoniczne.

– Musimy wymyślić jakiś plan, Matt.

– Spotkajmy się w Reno.

– Co?

– Jutro o pomocy. Pod adresem, który podałaś: Center Lane Drive czterysta osiemdziesiąt osiem.

– Twoim zdaniem istnieje możliwość, że jest nadzieja, że moja córka...

– Wątpię – odparł Matt. – Ale wątpię również, by Darrow i Talley działali sami. Olivia zawahała się.

– No co?

– Jak zamierzasz tak szybko tam się dostać?

– Nie wiem. Jeśli nie zdołam, później coś wymyślimy. Posłuchaj, to nie jest doskonały plan, ale nie mamy czasu obmyślić lepszego.

Olivia zrobiła krok naprzód. Znowu poczuł w piersi to ciche dudnienie. Nigdy nie wydawała się równie piękna ani tak krucha.

– Czy mamy jeszcze dość czasu, żebyś powiedział, że mnie kochasz?

– Kocham cię. Bardziej niż kiedykolwiek.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – powiedział.

– Nawet po tym...?

– Nawet po tym. Potrząsnęła głową.

– Jesteś dla mnie zbyt dobry.

– Tak, jestem prawdziwym księciem z bajki. Olivia zaśmiała się przez łzy. Wziął ją w ramiona.

– Porozmawiamy o tym później, ale teraz musimy odnaleźć twoją córkę.

Coś, co powiedziała o tym życiu, o które warto walczyć. Wciąż miał w uszach te słowa, zagłuszały wyjawione przez Olivie rewelacje. Będzie walczył. Musi walczyć za nich oboje.

Olivia kiwnęła głową, otarła łzy.

– Weź. Mam tylko dwadzieścia dolarów.

Wziął je. Zaryzykowali i zerknęli przez okno. Lance Banner w towarzystwie dwóch mundurowych podchodził do drzwi frontowych. Olivia wysunęła się przed Matta, jakby chciała zasłonić go własnym ciałem.

– Wymknij się tylnymi drzwiami – powiedziała. – Ja obudzę Marszę i powiem jej, co się dzieje. Spróbujemy ich zatrzymać.

- Kocham cię – powiedział. Posłała mu krzywy uśmiech.
- Miło słyszeć. – Pocałowali się mocno i szybko. – Nie pozwól, żeby coś ci się stało.
- Nie pozwolę.

Ruszył na dół i do tylnych drzwi. Olivia już była w pokoju Marshy. Nie powinni jej w to wciągać, ale czy mieli inne wyjście? Z kuchni zobaczył kolejny radiowóz podjeżdżający pod dom.

Ktoś zapukał do drzwi.

Nie było czasu do stracenia. Matt już miał plan. Dom znajdował się niedaleko East Orange Water Reseryation, który w większości był porośnięty lasem. Jako dziecko Matt chodził tam mnóstwo razy. Kiedy tam dotrze, trudno będzie go znaleźć.

Powinien dotrzeć do Short Hills Road, a potem... no cóż, będzie potrzebował pomocy.

Wiedział, gdzie jej szukać.

Chwytał klamkę. Usłyszał, że Lance Banner dzwoni do drzwi. Matt przekreślił klamkę i otworzył drzwi.

Ktoś tam stał w progu. Matt o mało nie zemdlał.

– Matt? To była Kyra.

– Matt, czego oni...?

Uciszył ją gestem i skinął, żeby weszła do środka.

– Co się dzieje? – szepnęła Kyra.

– Dlaczego nie śpisz?

– Ja... – Wzruszyła ramionami. – Zobaczyłam radiowozy. Co się dzieje?

– To długa historia.

– Ta detektyw, która była tu dzisiaj. Pytała mnie o ciebie.

– Wiem.

Oboje usłyszeli, jak Marsha woła:

– Chwileczkę!

Kyra szeroko otworzyła oczy.

– Zamierzasz uciec?

– To długa historia.

Spojrzała mu w oczy. Zastanawiał się, co ona tu robi. Nie chciał jej w to wplątywać. Zrozumiałby, gdyby zaczęła krzyczeć. Była jeszcze dzieckiem. Nie miała z tym nic wspólnego, żadnego powodu, żeby mu ufać.

– Idź – szepnęła Kyra.

Nie czekał i nie dziękował. Ruszył do drzwi. Kyra poszła za nim, kierując się w przeciwną stronę, do swojego pokoju nad garażem. Matt zauważył huśtawkę, którą wieki temu zamontowali z Berniem. Robili to w wyjątkowo skwarny dzień. Obaj zdjęli koszule. Marsha czekała na ganku

z piwem. Bernie chciał zainstalować jedną z tych stalowych huštawek, ale Marsha sprzeciwiła się, twierdząc, zdaniem Matta najzupełniej słusznie, że są niebezpieczne.

Dziwne rzeczy się pamięta.

Podwórze było zbyt otwartym terenem – bez drzew, krzaków czy głązów. Bernie wykarczował wszystkie zarośla, zamierzając zrobić tu basen – jeszcze jedno niespełnione marzenie, które umarło wraz z nim. Nakreślone kredą białe linie wytyczały dwie bazy baseballowe i dwie bramki. Matt ruszył przez podwórze.

Kyra zniknęła w garażu. Matt usłyszał jakiś hałas.

– Chwileczkę! – Ten głos należał do Olivii. Celowo mówiła zbyt głośno, żeby ją usłyszał. – Co pańscy ludzie zamierzają robić na tyłach domu?

Nie było czasu do stracenia. Znajdował się na otwartej przestrzeni. Rzucić się biegiem przed siebie? Nie miał wyboru. Pobiegł w kierunku podwórka sąsiadów. Omijał rabaty, co było dziwactwem w tej sytuacji, ale i tak to robił. Zaryzykował i obejrzał się za siebie.

Zza narożnika domu wyszedł policjant.

Niech to szlag.

Nie zauważył Matta. Jeszcze nie. Matt gorączkowo rozejrzał się, szukając jakiejś kryjówki. Sąsiedzi mieli altanę. Matt skoczył za nią. Przyłgnął plecami do ściany, jak to widział na wielu filmach. Bezsensowny odruch. Sięgnął za pasek spodni.

Broń tam tkwiła.

Matt zaryzykował i wyjrzał.

Gliniarz patrzył prosto na niego.

A przynajmniej tak się wydawało. Matt pospiesznie schował głowę. Czy policjant go zauważył? Trudno powiedzieć. Matt czekał na okrzyk: „Hej, tam jest, tuż obok, na sąsiednim podwórku za tą altaną!”.

Nic się nie stało.

Chciał wyrzeć ponownie.

Nie mógł tak ryzykować.

Został na miejscu i czekał.

Nagle usłyszał głos – zapewne innego policjanta:

– Sam, widzisz coś...?

Głos zamilkł jak nagle wyłączone radio.

Matt wstrzymał oddech. Nasłuchiwał. Kroki? Czyżby słyszał kroki? Nie był tego pewien. Zastanawiał się, czy zaryzykować i znowu wyrzeć zza węgła. Czy to by mu zaszkodziło, jeśli już szli w jego kierunku? Tak czy owak, zaraz go dopadną.

Wokół było zbyt cicho.

Gdyby policjanci gorączkowo go szukali, powinni się nawoływać. Jeśli zachowywali się tak

cicho, można było to wytłumaczyć tylko w jeden sposób.

Zauważyli go i skradali się.

Matt znów zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał jakiś brzęk. Jakby czegoś wiszącego przy policyjnym pasie.

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości – szli po niego. Serce zaczęło mu bić szybciej. Czuł, jak łomocze mu w piersi. Schwytyany. Znowu. Zobaczył, co się stanie: brutalne szarpanie, kajdanki, tylne siedzenie radiowozu...

Więzienie.

Poczuł strach. Nadchodzili. Zaraz zabiorą go i ponownie wtrącą do celi. Nie będą go słuchać. Zamkną go. Był byłym więźniem. Kolejny mężczyzna nie żył po bójce z Mattem Hunterem. Zapomnij o wszystkim. Tym razem wsadzą go na dobre.

I co się stanie z Olivią, jeśli da się złapać?

Nawet nie mógł powiedzieć im prawdy, choćby chciał, ponieważ wtedy to ją wsadziliby do więzienia. A tego obawiał się bardziej niż odsiadki...

Matt sam nie wiedział jak, ale nagle mauser znalazł się w jego dłoni.

Spokojnie, powiedział sobie. Nie będziemy do nikogo strzelać.

Mógł jednak nim postraszyć. Tylko że gliniarzy było kilku, co najmniej czterech lub pięciu, a następni w drodze. Oni też wyciągną broń. I co wtedy? Czy Paul i Ethan nie śpią?

Przesunął się wzdłuż tylnej ściany altanki. Zaryzykował i wyjrzał zza rogu.

Dwaj policjanci znajdowali się nie dalej niż dwa metry od niego.

Zauważyli go. Na pewno. Zmierzali prosto na niego.

Nie zdoła uciec.

Matt ścisnął kolbę pistoletu i szykował się do skoku, gdy jego wzrok przykuło coś na tylnym podwórku Marshy.

Kyra.

Widocznie cały czas obserwowała przebieg wydarzeń. Stała przy drzwiach garażu. Ich spojrzenia się spotkały. Matt dostrzegł nikły uśmiech na jej ustach. Chciał przecząco pokręcić głową, ale nie zdążył.

Kyra wrzasnęła.

Jej rozziewający krzyk przerwał głuchą ciszę. Obaj policjanci odwrócili się do niej. Dziewczyna znów krzyknęła. Policjanci rzucili się biegiem w jej stronę.

– Co się stało? – zawołał jeden z nich.

Matt nie wahał się. Skorzystał z wywołanego przez Kyre zamieszania i pobiegł w przeciwną stronę, w kierunku lasu. Dziewczyna znów krzyknęła. Matt nie oglądał się za siebie, dopóki nie znalazł się w głębi lasu.

Siedząc z nogami na biurku, Loren Muse postanowiła zadzwonić do wdowy po Maksie Darrowie.

W Nevadzie była trzecia lub czwarta rano – Loren nigdy nie mogła zapamiętać, czy w Nevadzie jest dwie, czy trzy godziny wcześniej – ale podejrzewała, że kobieta, której zamordowano męża, zapewne ma kłopoty z zaśnięciem.

Wybrała numer. Zgłosiła się poczta głosowa. Męski głos powiedział: „Max i Gertie nie mogą w tej chwili rozmawiać. Prawdopodobnie jesteśmy na rybach. Zostaw wiadomość, dobrze?”.

Głos zza grobu sprawił, że zawahała się. Max Darrow, emerytowany policjant, był ludzką istotą. To oczywiste, ale czasem o tym zapominasz. Absorbują cię szczegóły, układanie fragmentów łamigłówki. Człowiek stracił życie. Gertie będzie musiała zmienić treść wiadomości. Już nigdy nie pojedzie z Maksem na ryby. Wydawało się, że to drobiazg, lecz było częścią życia, istnienia, roztrzaskanym teraz światem.

Loren zostawiła wiadomość, podając numer swojego telefonu, po czym się rozłączyła.

– Hej, nad czym pracujesz?

Był to Adam Yates, szef filii FBI w Vegas. Po spotkaniu w biurze Joan Thurston przyjechał z nią do biura prokuratora okręgowego. Loren spojrzała na niego.

– Tylko nad kilkoma dziwnymi faktami.

– Na przykład?

Opowiedziała mu treść rozmowy z Cingle Shaker. Yates przysunął krzesło stojące przy sąsiednim biurku. Usiadł, nie odrywając od niej oczu. Był jednym z tych facetów, którzy potrafią nawiązać kontakt wzrokowy.

Kiedy skończyła, Yates zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, co ten cały Hunter ma z tym wspólnego.

– Wkrótce powinien znaleźć się w areszcie. Może wtedy czegoś się dowiemy. Yates kiwnął głową, nie spuszczając z niej oczu.

– Co takiego? – spytała Loren.

– Ta sprawa – odparł Yates. Mówił cicho. – Ma dla mnie ogromne znaczenie.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Czy masz dzieci? – zapytał.

– Nie.

– Jesteś mężatką?

– Nie.

– Homo?

– Jezu, Yates. Podniósł rękę.

- To było głupie, przepraszam.
- Po co te wszystkie pytania?
- Nie masz dzieci. Sądzę, że tego nie zrozumiesz.
- Mówisz poważnie? Yates ponownie podniósł rękę.
- Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Na pewno jesteś miłą osobą i w ogóle.
- O rany, dzięki.
- Po prostu... jeśli masz dzieci, to wszystko zmienia.
- Zrób coś dla mnie, Yates. Proszę, nie wciskaj mi tego kitu o dzieciach, które cię zmieniają.

Wystarczająco często słyszę ten bzdurny tekst od moich żałośnie nielicznych przyjaciół.

– Nie o to chodzi. – Zamilkł na chwilę. – Prawdę mówiąc, uważam, że samotni ludzie są znacznie lepszymi policjantami. Mogą się skupić na swojej pracy.

– Skoro o tym mowa...

Podniosła kilka papierów i udała zajęta.

– Pozwól, że o coś cię zapytam, Muse. Czekala.

– Kiedy się budzisz – ciągnął Yates – o kim najpierw myślisz?

– Słucham?

– W porządku, jest rano. Otwierasz oczy. Zaczynasz wstawać z łóżka. O kim najpierw myślisz?

– Może ty mi powiesz?

– Cóż, nie chcę cię obrazić, ale o sobie, prawda? I nie ma w tym nic złego. Myślisz o sobie. Wszyscy samotni ludzie ta robią. Budzisz się i zastanawiasz, co będziesz robić tego dnia. Och, pewnie, możesz opiekować się starymi rodzicami lub coś takiego. Ale właśnie o to chodzi. Kiedy masz dzieci, już nie jesteś numerem jeden. Ktoś jest ważniejszy od ciebie. To zmienia twój sposób widzenia świata. Musi. Uważasz, że umiesz służyć i chronić. Kiedy jednak masz rodzinę...

– Co właściwie chcesz mi powiedzieć? Adam Yates w końcu zerwał kontakt wzrokowy.

– Mam syna, Sama, czternastolatka. Kiedy miał trzy lata, przeszedł zapalenie opon mózgowych. Myśleliśmy, że umrze. Leżał w szpitalu, w tym wielkim białym łóżku. Było dla niego za duże, wiesz? Wyglądało tak, jakby miało go połknąć. A ja tylko siedziałem przy nim i patrzyłem, jak jego stan się pogarsza.

Głośno odetchnął i przełknął ślinę. Loren nie poganiała go.

– Po kilku godzinach podniosłem Sama i trzymałem na rękach. Nie spałem. Nie położyłem go. Po prostu go trzymałem. Moja żona mówi, że przez trzy dni. Nie wiem. Wiedziałem tylko, że jeśli będę trzymał Sama na rękach, jeśli będę go strzegł, śmierć nie zdoła mi odebrać syna.

Yates zamilkł i zamyślił się.

– Nadal nie widzę związku – powiedziała łagodnie Loren.

– No cóż, oto on – rzekł, znów normalnym głosem. Znowu spojrzął jej w oczy. Źrenice miał jak główki szpilek. – Zagrozili mojej rodzinie.

Yates podniósł dłoń na wysokość twarzy i zaraz ją opuścił, jakby nie był pewien, gdzie chce ją położyć.

– Kiedy zacząłem zajmować się tą sprawą – dodał – wzięli na cel moją żonę i dzieci. Teraz rozumiesz. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Zadzwoił telefon na jej biurku. Loren podniosła słuchawkę.

– Zgubiliśmy Matta – poinformował ją Lance Banner.

– Co takiego?

– Ta mała, która z nimi mieszka. Kyra czy jakoś tak. Zaczęła krzyczeć i... W każdym razie jego żona jest tutaj. Twierdzi, że to ona prowadzi samochód, nie on, i że nie wie, gdzie jest jej mąż.

– Bzdura.

– Wiem.

– Przywieź ją tu.

– Nie chce jechać.

– Słucham?

– Nic na nią nie mamy.

– Jest ważnym świadkiem w sprawie morderstwa.

– Wezwała adwokata. Mówi, że musimy ją aresztować albo zostawić w spokoju.

Zaćwierkał jej telefon komórkowy. Loren sprawdziła numer dzwoniącego. Dzwoniono z domu Maksa Darrowa.

– Zaraz do ciebie oddzwonię. – Odłożyła słuchawkę służbowego telefonu i włączyła komórkę. – Inspektor Muse.

– Mówi Gertie Darrow. Zostawiła mi pani wiadomość. Loren usłyszała, że tamta mówi przez łązy.

– Współczuję pani.

– Dziękuję.

– Nie chcę niepokoić pani w takiej okropnej chwili, ale naprawdę muszę zadać kilka pytań.

– Rozumiem.

– Dziękuję – powiedziała Loren. Chwyciła długopis. – Czy wie pani, co mąż robił w Newark, pani Darrow?

– Nie – z trudem wykrztusiła. – Mówił mi, że odwiedzi przyjaciela na Florydzie. Mieli się wybrać na ryby.

– Rozumiem. Był na emeryturze, prawda?

– Zgadza się.

– Może mi pani powiedzieć, czy pracował nad jakąś sprawą?

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z jego zamordowaniem?

– To tylko rutynowe...

– Proszę, inspektor Muse – przerwała jej tamta odrobinę ostrzejszym tonem. – Mój mąż był policjantem, pamięta pani? Nie dzwoni pani o tej porze, żeby zadać kilka rutynowych pytań.

– Próbuję znaleźć motyw – odparła Loren.

– Motyw?

– Tak.

– Przecież... – Zamilkła. – Tamten inspektor. Ten, który dzwonił wcześniej. Inspektor Wineę.

– Tak. Pracuje tutaj.

– Powiedział mi, że Max był w samochodzie i... – Głos się załamał, ale tylko na moment. – I miał spuszczone spodnie. Loren zamknęła oczy. A więc Wineę już jej o tym powiedział. Chyba należało to zrozumieć. W dzisiejszych czasach powszechnej jawności wszystkiego nie da oszczędzać uczuć wdowy.

– Pani Darrow?

– Co?

– Sądzę, że to było sfigowane. Myślę, że nie było żadnej prostytutki. Podejrzewam, że pani mąż został zamordowany z konkretnego powodu. I uważam, że to miało coś wspólnego ze sprawą, którą się kiedyś zajmował. Dlatego pytam panią: czy prowadził teraz jakąś sprawę?

Przez chwilę panowała cisza.

– Ta dziewczyna – odezwała się Gertie Darrow.

– Słucham?

– Wiedziałam. Od razu wiedziałam.

– Przepraszam, pani Darrow. Nie wiem, czy panią rozumiem.

– Max nigdy nie rozmawiał ze mną o swojej pracy. Nigdy nie przynosił jej do domu. I był na emeryturze. Nie miała żadnego powodu, żeby do nas przychodzić.

– Kto?

– Nie znam jej nazwiska. Była młoda. Najwyżej dwudziestoletnia.

– Czego chciała?

– Mówiłam, że nie wiem. Jednak Max... kiedy poszła, jakby oszalał. Zaczął przeglądać akta starych spraw.

– Czy pani wie, czego dotyczyły te akta?

– Nie. – A potem dodała: – Naprawdę pani sądzi, że to miało coś wspólnego z zamordowaniem Maksa?

– Tak, proszę pani. Myślę, że na pewno miało z tym coś wspólnego. Czy nazwisko Rangor coś pani mówi?

– Nie, przykro mi.

– A Emma Lemay lub Charles Talley?

– Nie.

– Candace Potter? Cisza.

– Pani Darrow?

– Widziałam to nazwisko.

– Gdzie?

– Na jego biurku. W aktach. Chyba miesiąc temu. Zauważyłam tylko to nazwisko „Potter”.

Zapamiętałam je, ponieważ tak nazywa się ten zły facet w tym wspomniałym życiu. Pamięta pani?

Pan Potter?

– Czy pani wie, gdzie teraz są te akta?

– Zajrzę do szafy, pani inspektor. Jeśli nadal tam są, znajdę je i oddzwonię.

W więzieniu Matt nauczył się kraść samochody. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Dwie cele dalej siedział niejaki Saul, który uwielbiał przejażdżki kradzionymi wozami. Był chyba najporządniejszym gościem, jakiego można spotkać w więzieniu. Miał swoje przywary – zdecydowanie mniej szkodliwe niż u większości skazanych – ale właśnie one zaprowadziły go za kratki. Został aresztowany za jazdę kradzionym samochodem, kiedy miał siedemnaście lat, a ponownie w wieku dziewiętnastu. Uciekając przy trzeciej próbie zatrzymania, Saul stracił panowanie nad kierownicą i zabił kogoś. Jako recydywista dostał dożywocie.

– Wszystko, co widziałeś w telewizji to bzdury, chyba że chcesz zwinąć brykę konkretnej marki – powiedział Mattowi Saul. – W przeciwnym razie nie sforsujesz zamka. Nie używasz żadnych narzędzi. Nie zwierasz przewodów. To i działa tylko w starych wozach. Przy dzisiejszym stanie technik jeśli spróbujesz którejś z tych metod, instalacja alarmowa unieruchomi samochód.

– No to co robisz? – zapytał Matt.

– Używasz kluczyków. Otwierasz drzwi jak zwyczajni człowiek. I odjeżdżasz. Matt skrzywił się.

– Tak po prostu?

– Nie, wcale nie po prostu. Musisz znaleźć zatłoczony parking. Te przy centrach handlowych są doskonałe, chociaż trzeba uważać na ochroniarzy. Wielkie galerie są jeszcze lepsze. Wybierasz miejsce, gdzie nie będziesz na widoku. Idziesz między rzędami samochodów i przesuwasz dłońią po przednich nadkolach lub pod zderzakiem. Ludzie zostawiają tam kluczyki. Albo przyczepiają je na magnesach pod podwoziem od strony kierowcy. Nie wszyscy. Jednak co najmniej jeden na pięćdziesięciu. Sprawdzisz dostatecznie dużo samochodów, znajdziesz kluczyk. Yoild.

Matt zastanawiał się. Te więzienne informacje pochodziły sprzed dziewięciu lat i mogły być nieaktualne. Był na nogach od ponad godziny, najpierw przedzierał się przez las, a teraz krążył bocznymi uliczkami. Kiedy dotarł do Livingston Avenue, złapał autobus do miasteczka uniwersyteckiego Bergen Community College w Paramus. Jazda trwała prawie godzinę. Większość tego czasu Matt przespał.

Bergen Community była szkołą dla dojeżdżających. Stały tam setki samochodów należących do beztruskich nastolatków obojga płci. Środki bezpieczeństwa praktycznie nie istniały. Matt rozpoczął poszukiwania. Zajęły mu prawie godzinę, ale tak jak obiecywał Saul, w końcu znalazł skarb w postaci białego isuzu z jedną czwartą baku benzyny. Nieźle. Kluczyki były przyczepione na magnesie do przedniego nadkola. Matt wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku Route 17. Nie znał zbyt dobrze okręgu Bergen. Może zrobiłby mądrzej, jadąc na północ przez Tappan Zee,

ale wybrał znaną mu drogę przez most Waszyngtona.

Zmierzał do Westport w Connecticut.

Kiedy dojechał do mostu Waszyngtona, zaniepokoił się, że rozpoznają go poborcy opłat w kasach – nawet zdjął z głowy bandaż i zastąpił go czapczką z emblematem nowojorskich Rangersów, znalezioną na tylnym siedzeniu – ale nic takiego się nie zdarzyło. Włączył radio i wysłuchał wiadomości – najpierw dwudziestodwuminutowych 1010WINS, a potem CBS 880. Na filmach zawsze przerywają nadawanie wiadomości komunikatem o ucieczce podejrzanego. Żadna z rozgłośni nie wymieniła jego nazwiska. Nawet nie wspomniano o całej tej sprawie, o Maksie Darrowie, Charlesie Talleyu czy uciekającym podejrzanym.

Potrzebował pieniędzy, miejsca, gdzie mógłby się przespać, i lekarstw. Podwyższony poziom adrenaliny tłumił ból. Teraz ból powoli wracał. Przez ostatnią dobę Matt spał zaledwie godzinę, a poprzedniej nocy, po otrzymaniu tych zdjęć przesłanych przez telefon, też nie zmrużył oka.

Przeliczył pieniądze. Miał trzydzieści osiem dolarów. Za mało. Nie mógł skorzystać z karty kredytowej. Policja by go wytropiła. Tak samo, gdyby próbował skorzystać z pomocy przyjaciół lub krewnych, chociaż niewielu miał takich, na których naprawdę mógłby polegać.

Była jedna osoba, która mogła mu pomóc, a której policja nigdy by o to nie podejrzewała.

Kiedy dotarł do zjazdu do Westport, zwolnił. Nigdy go tu nie zapraszano, ale znał adres. Zaraz po wyjściu z więzienia kilkakrotnie tędy przejechał, ale nigdy nie znalazł w sobie dość odwagi, żeby zjechać z głównej drogi.

Teraz skręcił w prawo, potem jeszcze raz i powoli pojechał cichą uliczką, szpalerem drzew. Serce znów zaczęło mu szybciej bić. Spojrzał na podjazd. Stał na nim tylko jej samochód. Już chciał użyć telefonu komórkowego, ale nie, policja też mogła mieć go na podsłuchu. Może po prostu powinien zadzwonić do drzwi. Zastanawiał się nad tym, ale w końcu postanowił zachować ostrożność. Pojechał z powrotem w kierunku miasta i znalazł budkę telefoniczną. Wybrał numer.

Sonya McGrath odebrała po pierwszym sygnale.

– Halo!

– To ja – powiedział. – Jest pani sama?

– Tak.

– Potrzebuję pomocy.

– Gdzie jesteś?

– Pięć minut od pani domu.

Matt wjechał na podjazd McGrathów. Na ścianie obok garażu była umocowana zardzewiała obręcz kosza. Postrzępiona siatka od dawna wymagała wymiany. Ta stara i zaniedbana obręcz nie pasowała do otoczenia, reszta domu była elegancka i wymuskana. Matt przystanął na moment i zapatrzył się na kosz. Stephen McGrath był tam. Właśnie rzucał, skupiony, nie odrywając oczu od obręczy. Matt widział wirującą w powietrzu piłkę. Stephen uśmiechał się.

– Matt?

Odwrócił się. Sonya McGrath stała na frontowych schodach. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i natychmiast spochmurniała.

– Mów – powiedziała.

Zaczął opowiadać, ale zauważył, że z jej twarzy nie znikło przygnębienie. Widział, jak przyjmowała takie ciosy. Zawsze podnosiła się, jeśli nie całkiem, to wystarczająco. Nie tym razem. Jej twarz wciąż była przeraźliwie blada. Rumieńce nie wracały, Matt widział to, ale nie mógł się powstrzymać. Wyjaśniał, co tu robi. W pewnej chwili doznał dziwnego wrażenia, że patrzy na to gdzieś z boku, słucha swoich słów i doskonale rozumie, jak one brzmią w jej uszach. Pomimo to mówił dalej. Mówił, chociaż cichy głos płynący z podświadomości nalegał, żeby po prostu się zamknął. Nie słuchał go. Brnął dalej, do samego końca.

Lecz w rezultacie, jeśli pominąć zbędne szczegóły, wszystko sprowadzało się do tego: następna bójka, następna śmierć.

Kiedy wreszcie umilkł, Sonya McGrath spoglądała na niego przez kilka sekund. Matt w duchu kurczył się i umierał pod tym palącym spojrzeniem.

– Chcesz, żebym ci pomogła? – zapytała.

No właśnie. Takie zwyczajne słowa, ale poczuł, że jego prośba była nie tylko śmieszna, ale wręcz obrzydliwa i mogła rozwścieczyć Sonyę.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Clark dowiedział się o naszych spotkaniach – poinformowała go.

Chciał powiedzieć, że mu przykro albo coś takiego, ale żadne słowa nie wydawały się odpowiednie. Milczał i czekał.

– Myśli, że szukam pocieszenia. Pewnie ma trochę racji, ale nie całkiem. Sądzę, że chcę zamknąć przeszłość. Myślę, że chcę ci przebaczyć. I nie mogę.

– Powinienem już iść.

– Powinieneś się oddać w ręce władz, Matt. Jeśli jesteś niewinny, oni...

– Oni co? – odparł nieco ostrzej, niż zamierzał. – Już raz to zrobiłem, pamięta pani?

– Pamiętam. – Sonya McGrath przechyliła głowę na bok. – Tylko czy wtedy byłeś niewinny, Matt?

Znowu spojrzał na obręcz. Stephen miał piłkę w ręce. Zastygł w połowie rzutu, obrócił się i czekał na jego odpowiedź.

– Przepraszam – powiedział Matt, odwracając się plecami do nich obojga. – Muszę iść.

Zaćwierkał telefon komórkowy Loren Muse. Dzwoniła wdowa po Maksie Darrowie.

– Znalazłam coś – oznajmiła. – To wygląda na protokół sekcji zwłok Candace Potter – powiedziała Gertie Darrow. – Chcę powiedzieć, że to jest protokół z sekcji zwłok. Podpisany przez starego patologa. Pamiętam go. Był bardzo miłym człowiekiem.

– Co jest w tym protokole?

– Mnóstwo rzeczy. Wzrost, waga. Mam pani wszystko przeczytać?

– A co z przyczyną zgonu?

– Tu napisano coś o uduszeniu. A także o ciężkim pobiciu i urazach czaszki.

To zgadzało się z tym, co już wiedzieli. Co więc takiego Max Darrow dostrzegł po tylu latach? Co sprawiło, że udał się do Newark, do Emmy Lemay znanej jako siostra Mary Rose?

– Pani Darrow, czy ma pani faks?

– Stoi w gabinecie Maksa.

– Może mi pani przefaksować ten protokół?

– Oczywiście.

Loren podała jej numer biurowego faksu.

– Inspektor Muse?

– Tak?

– Czy jest pani mężatką?

Loren powstrzymała westchnienie. Najpierw Yates, teraz pani Darrow.

– Nie, nie jestem.

– A była pani?

– Nie. Dlaczego pani pyta?

– Sądzę, że ten drugi inspektor, pan Wine, jest żonaty?

– Zgadza się.

– To, co powiedział, że Max był w samochodzie z... no, z kobietą podejrzaną konduity, jak kiedyś się mówiło.

– Tak.

– Chciałam tylko, żeby pani wiedziała.

– Co takiego, pani Darrow?

– Widzi pani... Max... no cóż, nie zawsze był dobrym mężem, rozumie pani, co mam na myśli?

– Tak sądzę – odparła Loren.

– Chcę powiedzieć, że Max robił to w przeszłości. W samochodzie. Nieraz. Dlatego tak szybko w to uwierzyłam. Pomyślałam, że powinna pani o tym wiedzieć. Na wypadek gdyby

miała pani rację.

– Dziękuję, pani Darrow.

– Już wysyłam faks.

Kobieta rozłączyła się bez słowa. Loren stała przy telefaksie i czekała.

Adam Yates wrócił, niosąc dwie cole. zaproponował jej jedną, ale pokręciła przecząco głową.

– Hm, to, co powiedziałem wcześniej, że kiedy ma się dzieci...

– Zapomnij o tym – rzekła Loren. – Wiem, co chciałeś mi powiedzieć.

– Mimo wszystko głupio to wyraziłem.

– Tak. Owszem.

– Co się dzieje?

– Max Darrow przeglądał protokół sekcji zwłok Candace Potter.

Yates zmarszczył brwi.

– A co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Jeszcze nie wiem, ale wątpię, żeby to był przypadek. Telefon zadzwonił i telefaksy zaczęły swoje popiskiwanie.

Powoli wysunęła się pierwsza strona. Bez nagłówka. Dobrze. Loren nie znosiła marnowania papieru. Chwyciła kartkę i zaczęła szukać końcowych wniosków. Prawdę mówiąc, niewiele więcej czytała w protokołach sekcji. Ciężar wątroby i serca może być interesujący dla niektórych ludzi, ale ją tylko interesowało, co oznaczał w tym konkretnym przypadku.

Adam Yates czytał jej przez ramię. Wszystko wyglądało najzupełniej zwyczajnie.

– Widzisz coś? – zapytała.

– Nie.

– Ja też nie.

– To może być ślepa uliczka.

– Pewnie jest.

Faks wypuł następną kartkę. Oboje zaczęli czytać.

Yates pokazał coś w połowie prawej kolumny.

– Co to takiego?

Ktoś zaznaczył ptaszkiem fragment opisu zwłok. Loren przeczytała na głos:

– Brak jajników, ukryte jądra, prawdopodobnie ZNA.

– ZNA?

– Czyli Zespół Niedoboru Androgenów – wyjaśniła Loren. – Jedna z moich koleżanek z college’u go miała.

– Jakie znaczenie ma ten fakt? – spytał Yates.

– Nie wiem. Osoby mające ZNA wyglądają i zachowują się jak typowe kobiety i za takie są

uważane. Mogą legalnie wychodzić za mąż i adoptować dzieci.

Zamilkła, zastanawiając się.

– Ale?

– Krótko mówiąc, to oznacza, że genetycznie Candace Potter była mężczyzną. Miała jądra i chromosomy XY. Skrzywił się.

– Chcesz powiedzieć, że była obojnakiem?

– Nie.

– No to kim, facetem?

– Genetycznie tak. Jednak zapewne pod żadnym innym względem. Przeważnie kobieta z ZNA nie wie, że jest odmienna, dopóki nie osiągnie wieku dojrzewania i nie dostanie miesiączki. Ten zespół występuje dość często. Kilka lat temu miała go amerykańska Miss Nastolatków. Wielu uważa, że występował u angielskiej królowej Elżbiety Pierwszej, Joanny d'Arc oraz wielu supermodelek i aktorek, ale to tylko spekulacje. Osoby dotknięte tym zespołem mogą prowadzić zupełnie normalne życie. Prawdę mówiąc, chociaż to zabrzmiało dziwnie, jeśli Candace Porter była prostytutką, ułatwiłby jej życie.

– W jaki sposób? Loren spojrzała na niego.

– Kobiety z ZNA nie mogą zajść w ciążę.

Matt odjechał. Sonya McGrath weszła do domu. Ich znajomość, jeśli tak można było to nazwać, zakończyła się. Od początku stanowiła coś dziwnego. Zrodziła się z wielkiej tragedii i pomimo wzajemnej szczerości i głębokich uczuć nie mogła się utrzymać jako zbyt krucha. Po prostu byli dwojgiem ludzi potrzebujących czegoś, czego nie mogli znaleźć u siebie wzajemnie.

Zastanawiał się, czy Sonya zadzwoni na policję. I czy to ma jakieś znaczenie.

Boże, jak głupio postąpił, przyjeżdżając tutaj.

Był cały obolały. Powinien odpocząć, ale nie miał na to czasu. Musiał działać. Sprawdził, ile ma paliwa. Prawie się kończyło. Podjechał na najbliższą stację Shella i za resztę pieniędzy napełnił bak.

Podczas jazdy myślał o rewelacjach, które ujawniła mu Olivia. Po całym dniu, jakkolwiek dziwnie lub naiwnie mogło to zabrzmieć, zastanawiał się, czy to cokolwiek zmienia. Wciąż kochał Olivię. Kochał sposób, w jaki marszczyła brwi, przeglądając się w lustrze, jak przewracała oczami, kiedy popełnił jakąś gafę, jak podwijiała nogi przy czytaniu, jak głośno oddychała, niemal niczym postać z kreskówki, gdy była zirytowana, jak łyzy stawały jej w oczach, kiedy się kochali, jak serce zaczynało mu szybciej bić, kiedy się śmiała, jak przyłapywał ją na tym, że ukradkiem mu się przyglądała, jak łagodnie przymykała oczy przy słuchaniu ulubionych utworów w radiu, jak w każdej chwili potrafiła bez wahania czy zmieszania wziąć go za rękę. Kochał gładkość jej skóry, elektryzujący dotyk, sposób, w jaki przytulała się do niego w niedzielne poranki, to jak wymykając się rano z łóżka, całowała go w policzek i sprawdzała, czy jest przykryty kołdrą.

Czy coś się zmieniło?

Prawda nie zawsze wyzwała. Przeszłości nie da się zmienić. Na przykład on nie opowiedział jej o swojej odsiadce po to, żeby „pokazać jej prawdziwego Matta” lub „przejsć do kolejnej fazy ich związku”. Powiedział jej o tym, ponieważ niewątpliwie i tak by się dowiedziała. Nie miało to żadnego znaczenia. Czy gdyby jej nie powiedział, ich związek byłby równie silny?

A może tylko to sobie wmawiał?

Zatrzymał się przy bankomacie niedaleko domu Soni. Teraz nie miał innego wyjścia. Potrzebował pieniędzy. Jeśli zadzwoniła na policję, to i tak już wiedzieli, że jest w tej okolicy. Zanim wytropią transakcję, jego już tu dawno nie będzie. Nie chciał korzystać z karty kredytowej na stacji benzynowej. Mogliby ustalić, jaki numer rejestracyjny ma jego samochód. A tak, jeśli zdoła podjąć pieniądze i szybko oddalić się od bankomatu, nic złego nie powinno się wydarzyć.

Bankomat mógł wydać maksymalnie tysiąc dolarów. Mart podjął je.

Potem zaczął się zastanawiać, jak dotrzeć do Reno.

Loren prowadziła. Adam Yates siedział na fotelu pasażera.

– Wyjaśnij mi to jeszcze raz – poprosił.

– Mam informatora. Nazywa się Len Friedman. Rok temu znaleźliśmy dwie martwe kobiety w zaułku, gdzie wystają dziwki. Obie młode, czarne i obu obcięto dłonie, żebyśmy nie mogli pobrać odcisków palców i zidentyfikować ofiary. Jednak jedna z nich miała dziwny tatuaż na wewnętrznej stronie uda, godło uniwersytetu Princeton.

– Princeton?

– Tak. Pokręcił głową.

– Zamieściliśmy jej rysopis w gazetach. Zgłosił się tylko ten Len Friedman. Zapytał, czy miała również wytatuowany na prawej stopie płatek róży. Tego szczegółu nie ujawniliśmy. Tak więc, łagodnie mówiąc, facet obudził nasze zainteresowanie.

– Myśleliście, że jest sprawcą.

– Jasne, czemu nie? Jednak okazało się, że obie kobiety były striptizerkami – albo, jak nazywa je Friedman, tancerkami egzotycznymi – w norze zwanej Honey Bunny w Newark. Friedman jest ekspertem od wszystkiego, co ma związek ze striptizerkami. To jego hobby. Zbiera plakaty, biografie i rozmaite informacje: o ich prawdziwych nazwiskach, tatuażach, znamionach, bliznach, o wszystkim. Ma bogatą bazę danych. I nie tylko o miejscowych. Zakładam, że byłeś na Vegas Strip?

– Pewnie.

– Wiesz, że tam rozdają ulotki reklamujące striptizerki, prostytutki i tym podobne?

– Hej, ja tam mieszkam, pamiętasz? Kiwnęła głową.

– Cóż, Len Friedman je kolekcjonuje. Jak karty z baseballistami. Gromadzi informacje o nich. Jeździ tam i tygodniami odwiedza te lokale. Pisze pracę naukową na ten temat. Ponadto zbiera różne pamiątki. Ma biustonosz Gypsy Rose Lee. Oraz inne przedmioty, niektóre sprzed stu lat.

Yates skrzywił się.

– Na przyjęciach pewnie jest duszą towarzystwa. Loren uśmiechnęła się.

– Nie masz pojęcia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zobacysz.

Zamilkli.

Po chwili Yates rzekł:

– Jeszcze raz przepraszam. Za to, co przedtem powiedziałem.

Zbyła to machnięciem ręki.

– Skoro o tym mowa, ile masz dzieci?

– Troje.

– Chłopcy, dziewczynki?

– Dwie dziewczynki, jeden chłopiec.

– W jakim wieku?

– Córki mają szesnaście i siedemnaście lat. Sam ma czternaście.

– Szesnaste – i siedemnastoletnie córki – powiedziała Loren. – Straszne. Yates uśmiechnął się.

– Nie masz pojęcia jak.

– Pokaż ich zdjęcia.

– Nigdy nie noszę przy sobie zdjęć.

– O!

Yates niespokojnie poruszył się na fotelu. Loren zerknęła na niego kątem oka. Nagle zeszywniał.

– Jakieś sześć lat temu – zaczął – ukradziono mi portfel. Wiem, kieruję filią FBI, a jestem taki głupi, że daję się okraść kieszonkowcowi. Możesz się śmiać. W każdym razie dostałem szafu. Nie z powodu pieniędzy czy kart kredytowych. Myślałem tylko o tym, że jakiś oślizły gad ma zdjęcia moich dzieci. Moich dzieci. Pewnie tylko wziął pieniądze i rzucił portfel do śmietnika. A może nie. Może zatrzymał zdjęcia. No wiesz, dla zabawy. Może, sam nie wiem, lubieżnie im się przyglądał, dotykał palcami ich twarzy, pieścił je.

Loren zmarszczyła brwi.

– I ty mówiłeś coś o duszy towarzystwa. Yates zachichotał bez cienia rozbawienia.

– W każdym razie dlatego nigdy nie noszę przy sobie zdjęć. Zjechali z Northfield Avenue w West Orange. Było ładnie starzejące się miasteczko. Większość nowych przedmieść ma dziwnie sztuczny wygląd, jak świeżo przeszczepione włosy. West Orange miało zielone trawniki i mury porośnięte bluszczem. Drzewa wysokie i rozłożyste. Architektura nie powalała nowoczesnością – domy były w stylu Tudorów, trochę przypominając te z Przylądka Dobrej Nadziei, trochę te z obszaru śródziemnomorskiego. Wszystkie miały już najlepsze lata za sobą i nie były w najlepszym stanie, ale też niezaniebane.

Na podjeździe stał trójkołowy rowerek. Loren zatrzymała samochód za nim. Oboje wysiedli. Ktoś rozwiesił na podwórku dwie siatki mające zatrzymywać piłki. Na trawniku w pozycjach płodowych leżały dwie rękawice.

– Tutaj mieszka twój informator? – zapytał Yates.

– Mówiłam ci, że nie masz pojęcia.

Yates wzruszył ramionami.

Drzwi otworzyła im kobieta prosto z poradnika Suzy Homemaker. Miała fartuszek w kratę i uśmiech, który Loren zwykle kojarzyła z dewocją.

– Len jest w swojej pracowni na dole – powiedziała.

– Dziękuję.

– Napijcie się państwo kawy?

– Nie, dziękujemy.

– Mamo!

Do pokoju wpadł najwyżej dziesięcioletni chłopczyk.

– Kevin, mamy gości.

Kevin uśmiechnął się tak jak jego mama.

– Jestem Kevin Friedman.

Wyciągnął rękę i spojrzął Loren w oczy. Mocno uściśnął jej dłoń. Potem odwrócił się do Yatesa, który wyglądał na zaskoczonego. Jemu też uściśnął dłoń i przedstawił się.

– Bardzo miło mi pana poznać – powiedział. – Mama i ja robimy chleb bananowy. Mają państwo ochotę na kawałek?

– Może później – odpowiedziała Loren. – My, hm...

– Jest tam, na dole – powiedziała Suzy Homemaker.

– Racja, dzięki.

Otworzyli drzwi do piwnicy. Yates wymamrotał:

– Co oni zrobili temu chłopcu? Ja nawet nie mogę zmusić moich dzieci, żeby witały się ze mną, nie mówiąc już o obcych. Loren stłumiła śmiech.

– Panie Friedman! – zawołała.

Pojawił się w ich polu widzenia. Miał trochę więcej siwych włosów niż wtedy, kiedy widziała go ostatnio. Nosił jasnoniebieski blezer i spodnie khaki.

– Miło mi znów panią widzieć, inspektor Muse.

– Mnie pana również.

– To pani przyjaciel?

– To agent specjalny Adam Yates z Las Vegas.

Kiedy Friedman usłyszał nazwę miasta, w jego oczach zapalił się błysk.

– Vegas! Witam. Proszę wejść. Zobaczymy, czy zdołam wam pomóc.

Otworzył zamknięte na klucz drzwi. W środku wszystko dotyczyło striptizerek. Na ścianie wisały fotografie. Różne dokumenty. Oprawione w ramki majteczki i biustonosze. Boa i wachlarze z piór. Stare plakaty, włącznie z tymi reklamującymi Lili St Cyr i jej taniec w kieliszku szampana oraz Dixie Evans, czyli „Marilyn Monroe burleski”, która występowała w lokalu Minsky’ego Adamsa w Newark. Przez chwilę Loren i Yates tylko gapili się z rozdziawionymi ustami.

– Czy wiecie, co to jest? – Friedman wskazał wielki wachlarz z piór, który trzymał w oszklonej muzealnej gablocie.

– Wachlarz? – powiedziała Loren. Zaśmiał się.

– To nie jest zwykły wachlarz. Nazywać go wachlarzem to jak... – Zastanowił się. – To jak nazwać Deklarację Niepodległości kawałkiem pergaminu. Nie, tego wachlarza używała wielka Sally Rand w Paramount Club w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku.

Friedman czekał na ich reakcję, ale nie doczekał się.

– Sally Rand wymyśliła taniec z wachlarzem. Nawet pokazała go w filmie z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, zatytułowanym Bolero. Ten wachlarz jest zrobiony z prawdziwych strusich piór. Możecie w to uwierzyć? A ten bat używała go Bettie Page. Była nazywana „królową więzów”.

– Przez swoją matkę? – nie zdołała się oprzeć Loren.

Friedman zmarszczył brwi, wyraźnie rozczarowany. Loren przeprasząco podniosła rękę. Friedman westchnął i podszedł do komputera.

– Zakładam, że chodzi o jakąś tancerkę z okolic Vegas?

– Być może – odparła Loren.

Usiadł przed komputerem i postukał w klawiaturę.

– Znacie jej nazwisko?

– Candace Porter. Przestał stukać.

– Ofiara morderstwa?

– Tak.

– Przecież ona nie żyje od dziesięciu lat.

– Tak, wiemy.

– Większość ludzi uważa, że została zabita przez niejakiego Clyde’a Rangora – zaczął Friedman. – On i jego przyjaciółka Emma Lemay umieli wyszukiwać młode talenty. Zarządzali kilkoma z najlepszych klubów dla dżentelmenów, tanich, ale pełnych utalentowanych artystek.

Loren ukradkiem zerknęła na Yatesa. Ten kręcił głową ze zdumienia lub odrazy. Trudno powiedzieć. Friedman też to zauważył.

– Hej, niektórzy z gości figurują w NASCAR – powiedział, wzruszając ramionami.

– Taak, co za strata – rzekła Loren. – Co jeszcze?

– Krążyły dziwne plotki o Clydzie Rangorze i Emmie Lemay.

– Wykorzystywali dziewczyny?

– Pewnie. Chcę powiedzieć, że mieli powiązania z mafią. Niestety, w tym interesie często tak bywa. To psuje czystość doznań estetycznych, rozumiecie, co mam na myśli?

– Uhm – mruknęła Loren.

– Jednak nawet złodzieje mają swój kodeks. Tych dwoje z rozmysłem go złamało.

– W jaki sposób?

– Widzieliście kiedyś nowe reklamy Las Vegas? – zapytał Friedman.

– Chyba nie.

– Tę, która głosi „co się dzieje w Vegas, w Vegas zostaje”?

– Och, chwileczkę – powiedziała Loren. – Widziałam je.

– No cóż, kluby dla dżentelmenów wręcz fanatycznie przestrzegają tej dewizy. Pełna i całkowita dyskrecja.

– A Rangor i Lemay złamali tę regułę? Friedman spochmurniał.

– Gorzej. Ja...

– Wystarczy – wtrącił Yates, przerywając mu.

Loren spojrzała na Yatesa. Znacząco wzruszyła ramionami.

– Słuchajcie – rzekł Yates, spoglądając na zegarek. – To wszystko jest bardzo ciekawe, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Co może nam pan powiedzieć o tej Candace Potter?

– Mogę o coś zapytać? – zaczął Friedman.

– Niech pan strzela.

– Ona od dawna nie żyje. Czy wyszły na jaw jakieś nowe okoliczności?

– Niewykluczone – odparła Loren.

Friedman założył ręce na piersi i czekał. Loren zaryzykowała.

– Czy wiedział pan, że Candace Porter mogła być... – Postanowiła użyć bardziej popularnego, choć niewłaściwego określenia. – Mogła być hermafrodytą?

To go zaskoczyło.

– O!

– Tak.

– Jest pani pewna?

– Widziałam protokół sekcji zwłok.

– Chwileczkę! – wykrzyknął Friedman niczym redaktor z jakiegoś starego filmu wołający „Wstrzymać druk!”. – Macie ten protokół?

– Tak.

Obliznął wargi, starając się ukryć zaciekawienie.

– Czy mógłbym dostać kopię?

– Pewnie dałoby się to załatwić – rzekła Loren. – Co jeszcze może nam pan o niej powiedzieć? Friedman zaczął stukać w klawisze.

– Informacje na temat Candace Potter są nadzwyczaj skąpe. Przeważnie występowała na scenie pod pseudonimem Candi Cane, który, spójrzmy prawdzie w oczy, jest okropny dla tancerki egzotycznej. Zbyt ostentacyjny, prawda? Zbyt oczywisty. Wiecie, jaki pseudonim jest dobry? Na przykład Jenna Jameson. Zapewne o niej słyszeliście. Cóż, Jenna zaczynała jako tancerka, wiecie, zanim została gwiazdą filmów porno. Nazwisko Jameson wzięła z etykiety irlandzkiej whisky. Widzicie? Ma więcej klasy. Bardziej działa na wyobraźnię, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

– Racja – powiedziała Loren, chcąc podtrzymać rozmowę.

– I solowy występ Candi też nie był szczególnie oryginalny. Przebierała się za pielęgniarkę i trzymała duży lizak. Chwytacie? Candi Cane? No wiecie, zwyczajny banał. – Potrząsnął głową jak nauczyciel rozczarowany odpowiedzią swojego najlepszego ucznia. – Pod względem zawodowym znacznie lepiej przedstawiały się jej występy w duecie, miała wówczas pseudonim Brianny Piccolo.

– Brianny Piccolo?

– Tak. Pracowała z inną tancerką, posagową Afroamerykanką zwaną Kimmy Dale. Kimmy w tym duecie występowała jako Gayle Sayers.

Loren załapała. Yates też.

– Piccolo i Sayers? Proszę mi powiedzieć, że to żart.

– Skądże. Brianna i Gayle wykonywały numer będący taneczną wersją filmu Pieśń Briana. No wiecie, Gayle ze łzami w oczach mówiła: „Kocham Briannę Piccolo”, jak Billy Dee w tym filmie. Potem Brianna leżała chora w łóżku. Rozbierały się wzajemnie. Żadnego seksu. Nic takiego. Po prostu artystyczny eksperyment. To robiło wrażenie na tych, dla których fetyszem są stosunki między kochankami o różnym kolorze skóry, czyli – szczerze mówiąc – na wszystkich. Myślę, że był to jeden z najlepszych manifestów politycznych w tańcu egzotycznym, wczesny przejaw walki z rasizmem. Nigdy nie widziałem go na własne oczy, ale moim zdaniem był to poruszający przykład socjoekonomicznego...

– Taak, poruszający, rozumiem – przerwała mu Loren. – Jeszcze coś?

– Pewnie, oczywiście, a co chcecie wiedzieć? Numer Sayers-Piccolo zwykle poprzedzał występy Countess Allison Beth Weiss IV, lepiej znanej jako Żydowska Królowa. Jej numer – posłuchajcie – nosił tytuł „Powiedz mamie, że to koszerne”. Pewnie o nim słyszeliście.

Z góry napłynął zapach bananowego chleba. Był cudowny, nawet w tej odbierającej apetyt atmosferze. Loren spróbowała naprowadzić Friedmana na właściwy temat.

– Chodzi mi o informacje o Candace Potter, mogące wyjaśnić to, co się z nią stało. Friedman wzruszył ramionami.

– Ona i Kimmy Dale były partnerkami nie tylko na scenie, ale również współlokatorkami. W rzeczy samej, Kimmy zapłaciła za pogrzeb, aby nie pochowano Candi w bezimiennym grobie. Zdaje się, że została pogrzebana na cmentarzu w Coaldale. Byłem tam kiedyś, żeby złożyć kwiaty na nagrobku. Poruszające doświadczenie.

– Z pewnością. Czy śledzi pan losy tych tancerek, które wypadły z interesu?

– Oczywiście – odparł tonem księdza zapytanego, czy był kiedyś na mszy. – Często to najciekawsza część. Nie uwierzycie, jak różne bywają koleje ich życia.

– No właśnie, a co się stało z Kimmy Dale?

– Wciąż występuje. Prawdziwa weteranka. Jej uroda nieco przeminęła. Kimmy trochę się –

wybaczcie to określenie – posunęła. Najlepsze dni ma już za sobą. Pomimo to ma grupkę wiernych fanów. Braki urody i techniki nadrabia doświadczeniem. Jednak już wyjechała z Vegas.

– Dokąd?

– Ostatnio chyba była w Reno.

– Jeszcze coś?

– Właściwie nie – odparł Friedman. Potem pstryknął palcami. – Chwileczkę, chcę wam coś pokazać. To moja duma.

Zaczekali. W kącie pomieszczenia stały trzy wysokie szafki. Otworzył drugą szufladę środkowej i zaczął w niej szperać.

– Występ Piccolo i Sayers. To rzadkość i mam tylko kolorową reprodukcję zdjęcia wykonanego polaroidem. Naprawdę chciałbym mieć coś więcej. – Kontynuując poszukiwania, głośno odkaszlnął. – Pani inspektor, czy sądzi pani, że mógłbym dostać kopię tego protokołu z sekcji zwłok?

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Naprawdę przydałaby mi się do mojej pracy.

– Do pracy. Dobrze.

– O, jest. – Wyjął fotografię i położył na stole przed nimi, Yates spojrział na nią i kiwnął głową. Potem obrócił się Loren i zobaczył jej minę.

– Co takiego? – zapytał.

– Pani inspektor? – zawtórował mu Friedman.

Nie tutaj, pomyślała Loren. Ani słowa. Spoglądała na zmarłą Candace Porter, czyli Candi Cane, czyli Briannę Piccolo, i ofiarę morderstwa.

– To na pewno Candace Porter? – zdołała wykrztusić.

– Tak.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście.

Yates patrzył na nią pytająco. Loren próbowała zbyć go, mrużąc oczy.

Candace Potter. Jeśli to naprawdę była Candace Porter, nie padła ofiarą morderstwa. Wcale nie umarła. Była cała i zdrowa, i mieszkała w Indngton w stanie New Jersey ze swoim mężem Mattem.

Wszystko było nie tak. To nie Matt Hunter łączył się z tą sprawą. Fragmenty w końcu zaczęły układać się w sensowną całość.

Ponieważ Candace Potter miała teraz inny pseudonim.

Teraz była Olivią Hunter.

Adam Yates próbował zachować spokój.

Byli już na zewnątrz, przed domem Friedmana. A tak niewiele brakowało. Kiedy ten przeklęty Friedman zaczął paplać o dyskrecji, no cóż, w tym momencie wszystko mogło się skończyć – kariera Yatesa, jego małżeństwo, a nawet wolność. Wszystko.

Musiał przejąć kontrolę.

Zaczekał, aż wróci do samochodu. Wtedy spokojnie zapytał:

– Co się stało?

– Candace Potter wciąż żyje – powiedziała Muse.

– Słucham?

– Jest cała i zdrowa. To żona Matta Huntera. Yates wysłuchał wyjaśnień Loren. W środku cały się trząsł. Kiedy skończyła, poprosił o protokół sekcji zwłok. Dała mu go.

– Żadnych zdjęć ofiary?

– To nie jest cały protokół – powiedziała Loren. – Tylko te strony, które dotyczą Maksa Darrowa. Podejrzewam, że jakoś dowiedział się prawdy – odkrył, że Candace Potter nie zginęła przed laty. Może miało z tym coś wspólnego to, że prawdziwą ofiarą była kobieta ze ZNA.

– Dlaczego Darrow miałby to teraz sprawdzać? No wiesz, po dziesięciu latach?

– Nie wiem. Jednak musimy porozmawiać z Olivią Hunter. Adam Yates kiwnął głową, próbując to ogarnąć. Nie potrafił tego pojąć. Olivia Hunter to zabita striptizerka, niejaka Candace Potter. Candi Cane. Na pewno była tam owej nocy.

Bardzo możliwe, że to Olivia Hunter ma tę kasetę wideo. Co oznaczało, że musi wyeliminować Loren Muse z gry. Natychmiast.

Yates ponownie zerknął na protokół sekcji zwłok. Muse prowadziła. Wzrost, masa ciała i kolor włosów zgadzały się, ale prawda była teraz zupełnie oczywista. Wtedy zginęła Cassandra Meadows. To ona nie żyła przez cały ten czas. Powinien wcześniej na to wpaść. Brakowało jej sprytu, żeby tak zniknąć bez śladu.

Len Friedman trafił w sedno, mówiąc o honorze złodziei. Chyba właśnie na to liczył Yates, co z perspektywy czasu uważał za niewybaczalną głupotę. Ludzie siedzący w tym interesie przestrzegali dyskrecji nie z poczucia honoru, lecz dla zysku. Jeśli masz reputację gadatliwego, tracisz klientelę. Proste. Tyle że Clyde Rangor i Emma Lemay znaleźli sposób, żeby nawet na tym zbijać pieniądze. I bzdurny „złodziejski honor” natychmiast poszedł w diabły.

Yates nieczęsto to robił, ale w ciągu minionych lat czasem zdradzał Bess. Nigdy nie przywiązywał do tego wagi. Nawet nie próbował tego uzasadniać typowym rozumowaniem: „Uprawiać seks to jedno, a kochać co innego”. Seks z żoną był przyjemny. Nawet po tylu latach. Jednak mężczyzna potrzebuje czegoś więcej. Sprawdźcie we wszystkich podręcznikach historii –

to pewnik. Żaden z wielkich ludzi nie był monogamistą. To proste, a jednocześnie skomplikowane.

I naprawdę nie było w tym nic złego. Czy żony rzeczywiście się złością, jeśli ich mężowie czasem obejrzą sobie na przykład film dla dorosłych? Czy to zbrodnia? Powód do rozwodu? Zdrada?

Oczywiście, że nie.

Korzystanie z usług prostytutki niczym się od tego nie różni. Mężczyznę mogą podniecać zdjęcia, filmy lub inne bodźce. I tyle. Wiele żon to rozumie. Yates może nawet zdołałby wytłumaczyć to Bess.

Gdyby tylko o to chodziło.

Rangor i Lemay – niech się smażą w piekle.

Yates przez dziesięć lat szukał Rangora, Lemay, Cassandry i tej przeklętej kasety. Teraz był blisko. Co najmniej dwoje z nich nie żyło. A Candace Potter nagle znalazła się w centrum tego wszystkiego.

Co wiedziała?

Odkasznął i spojrzał na Loren Muse. Pierwszy krok: odsunąć ją od sprawy. Jak to zrobić...?

– Mówiłaś, że znasz Matta Huntera.

– Tak.

– Zatem nie powinnaś była przesłuchiwać jego żony. Loren zmarszczyła brwi.

– Ponieważ kiedyś go znałam?

– Tak.

– To było w szkole podstawowej, Adamie. Nie wydaje mi się, żebym rozmawiała z nim, od kiedy mieliśmy po dziesięć lat.

– Mimo wszystko. Jesteś jego znajomą.

– Co z tego?

– To, że obrona może to wykorzystać.

– W jaki sposób? Yates potrząsnął głową.

– Co?

– Sprawiasz wrażenie kompetentnego inspektora, Muse. Ale od czasu do czasu wykazujesz zdumiewającą naiwność.

Zacisnęła dłoń na kierownicy. Wiedział, że zabolą ją ta uwaga.

– Wracaj do biura – powiedział. – Cal i ja przejmujemy tę część dochodzenia.

– Cal? Ten kloc, który rano był w biurze Joan Thurston?

– Jest cholernie dobrym agentem.

– Na pewno.

Zamilkli. Loren próbowała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Yates czekał, wiedząc już, jak

to załatwić.

– Posłuchaj, znam drogę – powiedziała Loren. – Zawiozę cię do domu Hunterów i zaczekam na zewnątrz, na wypadek...

– Nie.

– Chcę tylko...

– Chcesz? – przerwał jej Yates. – Co to za gadanie, pani inspektor?

Wściekała się w milczeniu.

– Teraz to federalne śledztwo. Większość tropów chyba prowadzi do Nevady. Tak czy inaczej, wykracza poza granicę stanu, a na pewno granicę tego zakichanego okręgu. Jesteś inspektorem prokuratury okręgowej. Rozumiesz? Jest prokuratura okręgowa, stanowa i federalna. Mogę pokazać ci to na wykresie, jeśli chcesz. Nie ty tu wydajesz rozkazy, ale ja. Wrócisz do swojego biura, a jeśli uznam za stosowne, to będę cię informował o tym, jak przebiega moje śledztwo. Czy wyrażam się jasno?

Loren starała się zachować spokój.

– Gdyby nie ja, nie dowiedziałbyś się o tym, że Olivia Hunter to Candace Potter.

– Och, rozumiem. Czy właśnie o to chodzi, Muse? O twoje ego? Chcesz być doceniona? Świetnie, będziesz. Jeśli chcesz, umieszczę złotą gwiazdkę na tabliczce z twoim nazwiskiem.

– Nie o to mi chodzi.

– Jednak tak to zabrzmiało. Naiwna i żądna sławy. Zabójcza kombinacja.

– To nie fair.

– To nie...? – Yates roześmiał się. – Żartujesz? Fair? Ile ty masz lat, Muse, dwanaście? To federalne dochodzenie w sprawie morderstwa i wymuszeń, a ciebie denerwuje to, że nie gram fair z niskiej rangi inspektorem prokuratury okręgowej? Natychmiast zawieszysz mnie do swojego biura i... – trochę kija, trochę marchewki – jeśli chcesz uczestniczyć w tym dochodzeniu, spróbujesz teraz dowiedzieć się wszystkiego, co się da, o tej drugiej kurwie, tej czarnej, z którą dzieliła pokój.

– Kimmy Dale.

– Właśnie. Dowiedz się, gdzie ona jest, co ma do powiedzenia, wszystkiego. Ale nie próbuj rozmawiać z nią, nie uprzedzając mnie o tym. Jak ci się nie podoba, mogę odsunąć cię od sprawy. Zrozumiano?

– Zrozumiano – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Wiedział, że go posłucha. Loren chciała pozostać na boisku. Zadowolili się marginalną pozycją w nadziei, że znów znajdzie się w centrum wydarzeń. Problem w tym, że była cholernie dobrym inspektorem. Kiedy to wszystko się skończy, Yates zamierzał ją podkraść. Będzie ją komplementował, pozwoli, aby to jej przypadła cała zasługa, a wtedy, chociaż tak dobra, nie będzie zbyt dokładnie przyglądała się szczegółom.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Ponieważ ci, którzy dotychczas zginęli, nie byli niewinni. Próbowali go skrzywdzić. Z Loren Muse było inaczej. Naprawdę nie chciał zrobić jej krzywdy. Ale jak głosi stare powiedzenie, kiedy musimy wybierać oni czy my, zawsze stawiamy na siebie.

Loren Muse zaparkowała samochód i wysiadła bez słowa. Yates pozwolił jej odejść. Zadzwoił do Cala Dollingera, jedyne go człowieka, któremu mógł powierzyć tego rodzaju informację. Szybko wyjaśnił, czego potrzebuje. Cal nie potrzebował szczegółowych instrukcji.

Adam przypomniał sobie te okropne chwile w szpitalu, kiedy Sam miał zapalenie opon mózgowych. W historii, którą opowiedział Loren, pominął udział Cala w tej sprawie. Cal również nie opuścił szpitala. Najstarszy przyjaciel Adama przyniósł sobie twarde metalowe krzesło i przez całe trzy dni siedział na korytarzu pod drzwiami pokoju Sama. Nic nie mówił, tylko siedział tam na straży, chcąc mieć pewność, że gdyby Adam czegoś potrzebował, on będzie na miejscu.

– Mam tam jechać sam? – zapytał Cal.

– Nie, spotkamy się pod domem Hunterów – powiedział ściszym głosem Yates. – Odzyskamy kasetę. Potem zakończymy tę sprawę.

Olivia Hunter trzymała się, dopóki Kawuś nie zdołał wyrwać jej z rąk detektywa Lance'a Bannera. Teraz, kiedy wróciła do swojego domu, opuściła tarczę. Cicho płakała. Łzy spływały jej po policzkach. Nie mogła ich powstrzymać. Nie wiedziała, czy to łzy radości, ulgi, strachu, czy czegoś innego. Wiedziała tylko, że siedząc i próbując je powstrzymać, traciłaby czas.

Musią działać.

Jej walizka wciąż znajdowała się w hotelu Howard Johnson's. Spakowała drugą. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie może zwlekać. Policjanci wrócą. Będą domagali się odpowiedzi na wiele pytań.

Musią natychmiast udać się do Reno.

Nie mogła przestać płakać, co było niepodobne do niej, ale chyba całkiem zrozumiałe w tych okolicznościach. Olivia gonila resztką sił. Po pierwsze, była w ciąży. Po drugie, martwiła się o córkę, którą oddała do adopcji. I w końcu, po tylu latach, wyznała Mattowi prawdę o swojej przeszłości.

Pakt został zerwany. Olivia zerwała go, odpowiadając na ogłoszenie w Internecie. Co więcej, była bezpośrednio odpowiedzialna za śmierć Emmy Lemay. To Olivia ponosiła za to winę. Emma zrobiła w swoim życiu wiele złego. Skrzywdziła wielu ludzi. Olivia wiedziała, że Emma próbowała to naprawić, że ostatnie lata swego życia spędziła na pokucie. Nie wiedziała, czy to okaże się wystarczające dla świętego Piotra, ale uważała, że jeśli ktoś zasłużył sobie na darowanie win, to na pewno Emma Lemay.

Jednak tym, z czym nie mogła się uporać, co wywoływało te strumienie łez spływające jej po policzkach, był wyraz twarzy Matta, kiedy powiedziała mu prawdę.

Wcale nie taki, jak sobie wyobrażała.

Powinien być zły. Zapewne był. Jak mógłby nie być? Od ich pierwszego spotkania w Vegas Olivia zawsze lubiła sposób, w jaki na nią patrzył – jakby Bóg nigdy nie stworzył niczego piękniejszego, bardziej – z braku lepszego słowa – czystego. Naturalnie Olivia spodziewała się, że to skończy się lub przynajmniej zmieni, kiedy Matt dowie się prawdy. Myślała że spojrzenie tych jasnoniebieskich oczu stanie się twarde i zimne. Ale nie. Nic się nie zmieniło. Matt dowiedział się, że jego żona go okłamywała, że robiła okropne rzeczy. Słyszac to, większość mężczyzn z obrzydzeniem odeszłoby na zawsze. A on wciąż niezmiennie ją kochał.

Spoglądając na swoje życie z perspektywy czasu, Olivia rozumiała, że okropne dzieciństwo – tak jak wielu dziewcząt, z którymi pracowała – obudziło w niej autodestrukcyjne skłonności. Chłopcy tak wychowywani w różnych sierocińcach i warunkach, które w najlepszym razie można było nazwać nieodpowiednimi, zwykle stawali się agresywni. Jako mężczyźni w ten sposób wyrażali swój gniew – agresją, przemocą fizyczną.

Kobiety były inne. Stosowały subtelniejsze formy okrucieństwa lub często kierowały gniew przeciwko sobie, nie mogąc skrzywdzić kogoś innego. Tak było z Kimmy. Z Olivią a raczej z Candi – również.

Dopóki nie spotkała Matta.

Może sprawił to ten okres, który spędził w więzieniu. Możliwe, jak już mówiła, miało to coś wspólnego z tym, że życie poraniło ich oboje. Matt był jednak najlepszym mężczyzną, jakiego znała. Nie był małostkowy. Potrafił cieszyć się życiem. Wiedział, co w życiu jest naprawdę ważne. Nie przejmował głupstwami. Nie zważał na pozory i potrafił dostrzec pod nimi prawdę. Dzięki niemu ona też zdołała ją dojrzeć – przynajmniej w sobie.

Matt nie widział jej wad – nawet teraz! – tak więc ich nie miała.

Ale pakując się teraz, Olivia zdawała sobie sprawę z przykrych rzeczywistości. Pomimo tych wszystkich lat i udawania nie pozbyła się swych autodestrukcyjnych skłonności. Bo jak inaczej wytłumaczyć jej postępowanie? Jak mogła być taka głupia i szukać w Internecie Candace Porter?

I spójrzcie, ile narobiła złego. Emmie, oczywiście. Sobie także, ale co ważniejsze, jednemu mężczyźnie, którego kochała.

Dlaczego uparła się, żeby grzebać w przeszłości?

Ponieważ, bądźmy szczerzy, nie mogła się oprzeć. Można czytać wszystkie te wypowiedzi w obronie możliwości wyboru, adopcji, ochrony życia – przez te minione lata Olivia naczytała się ich do obrzydzenia – lecz jest jedna podstawowa prawda: kiedy zachodzisz w ciążę, stajesz na rozstaju dróg. Którąkolwiek wybierzesz, zawsze będziesz się zastanawiać, czy ta druga nie okazałaby się lepsza. Chociaż była wtedy bardzo młoda, chociaż nie zdołałaby utrzymać dziecka, chociaż decyzję podjęli za nią inni, nie było dnia, żeby Olivia nie zadawała sobie tego pytania.

Żadna kobieta nie umiałaby zbyć tego wzruszeniem ramion.

Ktoś zapukał do drzwi.

Olivia znieruchomiała. Zapukano po raz drugi. W drzwiach nie było wczoraj, więc podeszła do okna, odchyliła firankę i zerknęła.

Przed drzwiami stali dwaj mężczyźni. Jeden wyglądał tak, jakby zszedł ze strony katalogu L.L. Beana. Drugi był prawdziwym olbrzymem. Miał na sobie garnitur, który niezbyt dobrze na nim leżał, ale na takim wielkoludzie chyba nie leżałby dobrze żaden garnitur. Włosy miał ścięte na rekruta i byczy kark.

Wielkolud spojrział w okno i zauważył ją. Trącił łokciem niższego. Ten też się obrócił.

– FBI – powiedział. – Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

– Nie mam nic do powiedzenia.

Mężczyzna z katalogu L.L. Beana zrobił krok ku niej.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne nastawienie, pani Hunter.

– Proszę kierować pytania do mojego adwokata, pana Mike’a Kiera. Mężczyzna uśmiechnął

się.

– Może powinniśmy zacząć od nowa.

Olivii nie spodobał się sposób, w jaki to powiedział.

– Jestem agentem specjalnym i kieruję filią FBI w Las Vegas. Nazywam się Adam Yates. To – wskazał na olbrzyma – jest agent specjalny Cal Dollinger. Bardzo chcielibyśmy porozmawiać z Olivią Hunter albo – jeśli pani woli – możemy aresztować niejaką Candace Potter.

Na dźwięk dawnego nazwiska pod Olivią ugięły się nogi. Kamienną twarz wielkoluda przecięła szczelina uśmiechu. Najwyraźniej dobrze się bawił.

– To zależy od pani, pani Hunter. Nie miała wyboru. Była w potrzasku. Musiała ich wpuścić i odpowiedzieć na pytania.

– Proszę pokazać legitymacje.

Wielkolud ruszył w kierunku okna. Olivia o mało nie cofnęła się o krok, ale jakoś zdołała się powstrzymać. Sięgnął do kieszeni, wyjął legitymację i tak mocno uderzył odznaką o szybę, że Olivia podskoczyła. Drugi mężczyzna, który przedstawił się jako Yates, zrobił to samo. Legitymacje wyglądały na prawdziwe, ale dobrze wiedziała, jak łatwo można kupić podrobione.

– Proszę wsunąć wizytówkę przez szparę pod drzwiami. Chcę zadzwonić do waszego biura i sprawdzić, czy jesteście tymi, za których się podajecie.

Olbrzym Dollinger wruszył ramionami, wciąż uśmiechając się krzywo. Odezwał się po raz pierwszy:

– Jak sobie chcesz, Candi.

Przełknęła ślinę. Wielkolud sięgnął do portfela, wyjął wizytówkę i wsunął ją pod drzwi. Nie było powodu, żeby rzeczywiście dzwonić do ich biura. Wizytówka miała wytłoczony emblemat i wyglądała na prawdziwą, a ponadto Olivia nie zauważyła ani śladu wahania u Cala Dollingera, który – według tego, co widniało na wizytówce – rzeczywiście był agentem specjalnym z Las Vegas.

Otworzyła drzwi. Adam Yates wszedł pierwszy. Cal Dollinger schylił głowę, jakby wchodził do namiotu. Stanął przy drzwiach i założył ręce na piersi.

– Ładna dzisiaj pogoda – powiedział Yates.

Wtedy Dollinger zamknął drzwi.

Loren Muse wściekła się.

Już miała zadzwonić do Eda Steinberga i poskarżyć się na zachowanie Yatesa, ale rozmyśliła się. Panienska nie potrafi zadbać o siebie. Musi wezwać szefa na pomoc. Nie, sama sobie poradzi.

Nadal brała udział w dochodzeniu. Świetnie, właśnie tego chciała. Jakiegoś punktu zaczepienia. Zaczęła szukać informacji na temat Kimmy Dale, współlokatorki. Znalazła je bez trudu. Kimmy była notowana za prostytutkę. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, prostytutka jest nielegalna w okręgu Clark, w którym leży Las Vegas.

Jeden z dawnych kuratorów Kimmy Dale, weteran nazwiskiem Taylor, wcześniej przyszedł do pracy. Pamiętał ją.

– Co mogę powiedzieć? – zaczął. – Kimmy Dale miała smutne dzieciństwo, ale która z dziewczyn go nie ma? Słucha pani czasem radiowych wywiadów Howarda Sterna?

– Jasne.

– Słyszała pani kiedyś, jak rozmawiał ze striptizerkami? Zawsze niby żartem pyta: „A w jakim wieku była pani molestowana seksualnie po raz pierwszy?” i że zawsze otrzymuje odpowiedź. Zawsze. Siedzą tam i opowiadają, jak to fajnie jest się rozbierać do naga, że taki wybrały sobie zawód, ble, ble, ale zawsze coś się za tym kryje. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Tak.

– Kimmy Dale była jeszcze jednym klasycznym przykładem. Uciekła z domu i zaczęła się rozbierać wieku czternastu, najwyżej piętnastu lat.

– Czy wie pan, gdzie ona jest teraz?

– Wyjechała do Reno. Mam jej adres, jeśli pani chce.

– Chcę.

Podał adres Kimmy Dale.

– Kiedy słyszałem o niej ostatnio, pracowała w lokalu zwanym Eager Beaver, który, niech mi pani wierzy lub nie, wcale nie jest tak szacowny, jak sugeruje jego nazwa.

Eager Beaver, pomyślała Loren. Czy Yates nie wspominał, że to tam pracował Charles Talley?

– Miłe miasto to Reno – powiedział Taylor. – Nie takie jak Vegas. Niech mnie pani źle nie zrozumie. Uwielbiam Vegas jak wszyscy. Jest okropne, straszne i pełno tu mafii, ale nie wyjeżdżamy stąd. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Dzwonię z Newark w New Jersey – rzekła. – Zatem tak, rozumiem, co ma pan na myśli. Taylor roześmiał się.

– W każdym razie Reno jest teraz bardzo przyjemnym miejscem zamieszkania. Ma dobry klimat, ponieważ leży u podnóża Sierra Nevada. Kiedyś było stolicą rozwodów i jest tu więcej

milionerów niż w jakimkolwiek innym mieście Stanów. Była tu pani kiedyś?

- Nie.
- Jest pani ładna?
- Urocza.
- Więc proszę przyjechać do Las Vegas. Oprowadzę panią.
- Lecę następnym samolotem.
- Chwila, nie jest pani jedną z tych nienawidzących mężczyzn feminazistek, co?
- Tylko kiedy jestem niewyspana.
- No dobrze, więc o co tu chodzi? Zadzwoił jej telefon komórkowy.
- Wyjaśnię panu później, dobrze? Dzięki, Taylor.
- Zatrzymamy się w Mandalay Bay. Znam tam faceta. Spodoba się pani to miejsce.
- Świetnie, na razie, cześć.

Rozłączyła się i nacisnęła klawisz połączenia.

– Halo!

Bez żadnych wstępów matka Katherine powiedziała:

– Została zamordowana, prawda?

Loren już szykowała wymijającą odpowiedź, lecz słysząc ton głosu matki Katherine, zrozumiała, że byłaby to tylko strata czasu.

- Tak.
- Zatem muszę się z tobą zobaczyć.
- Po co?
- Przedtem nie mogłam nic powiedzieć. Siostra Mary Rosę stanowczo nalegała.
- Na co?
- Proszę, przyjedź do mnie najszybciej, jak możesz, Loren. Muszę ci coś pokazać.
- Co mogę dla pana zrobić, agencie Yates? – zapytała Olivia.

Stojąc przy drzwiach, Cal Dollinger omiół wzrokiem pokój. Adam Yates usiadł i oparł łokcie na udach.

- Macie mnóstwo książek – zauważył.
- Jest pan bardzo spostrzegawczy.
- Są pani czy męża? Olivia wzięła się pod boki.
- No tak, rozumiem, że to może mieć ogromne znaczenie, więc rozwieję pańskie wątpliwości. Większość książek należy do mnie. Skończyliśmy?

Yates uśmiechnął się.

- Jest pani zabawna – rzekł. – Czy ona nie jest zabawna, Cal? Cal kiwnął głową.
- Striptizerki i dziwki zazwyczaj są ponure. Jednak nie ona. Ona jest promienna.
- Rzeczywiście promienna – dodał Yates. Olivii nie podobał się ton jego głosu.

– Czego chcecie?

– Upozorowała pani własną śmierć – odparł Yates. – To przestępstwo. Nie odpowiedziała.

– Ta dziewczyna, która naprawdę umarła – ciągnął. – Jak miała na imię?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Miała na imię Cassandra, tak? – Yates nachylił się ku niej. – Czy to pani ją zamordowała?

Olivia nie poddawała się.

– Czego chcecie?

– Dobrze wiesz.

Yates zacisnął pięści, ale zaraz rozprostował palce. Zerknęła w kierunku drzwi. Cał pozostał nieruchomy jak posąg.

– Przykro mi – powiedziała. – Nie wiem. Yates spróbował się uśmiechnąć.

– Gdzie jest kasetka?

Olivia zeszywniała. Na moment wróciła myślami do przyczepy mieszkalnej. Kiedy wprowadziły się do niej z Kimmy, panował w niej okropny smród, jakby jakieś zwierzątka pozdychały w ściankach. Kimmy kupiła jakiś mocny środek zapachowy – o wiele za intensywny. Próbowaly nim zamaskować coś, czego nie można się było pozbyć. Teraz znów poczuła ten zapach. Zobaczyła skurczone ciało Cassandry. Przypomniała sobie strach na twarzy Clyde'a, gdy pytał: „Gdzie jest ta kasetka?”.

Próbowała opanować drżenie głosu.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Dlaczego pani uciekła i zmieniła nazwisko?

– Chciałam zacząć nowe życie.

– Tak po prostu?

– Nie. Nic w tym nie było „tak po prostu”. – Wstała. – I nie zamierzam już odpowiadać na żadne pytania, dopóki nie pojawi się tu mój adwokat.

Yates spojrzał na nią.

– Siadaj.

– Chcę, żebyście obaj stąd wyszli.

– Powiedziałem: siadaj.

Znów spojrzała na Cala Dollingera. Wciąż stał nieruchomo jak posąg. Oczy miał bez wyrazu. Olivia zrobiła to, co jej kazał Yates. Usiadła.

– Zamierzałem powiedzieć coś w stylu: „Wiedzisz tu całkiem przyjemne życie, chyba nie chcesz, żebym ci je zniszczył” – zaczął Yates. – Jednak nie jestem pewien, czy to ma sens. Ta okolica to śmietnik. Ten dom to rudera. Twój mąż to kryminalista poszukiwany za trzy morderstwa. – Uśmiechnął się do niej. – Można by sądzić, że potrafisz wykorzystać szansę na nowe życie, Candi. To dziwne, ale nie.

Z rozmysłem usiłował ją rozzłościć. Olivia nie zamierzała dać się wyprowadzić z równowagi.

- Chciałabym, żebyście obaj stąd wyszli.
- Nie dbasz o to, kto pozna twój sekret?
- Proszę wyjść.
- Mógłbym cię aresztować.

W tym momencie Olivia postanowiła zaryzykować. Wyciągnęła obie ręce, jakby dawała się zakuć. Yates nie poruszył się. Oczywiście mógł ją aresztować. Nie wiedziała, jak w świetle prawa wygląda jej sytuacja, ale niewątpliwie utrudniła śledztwo w sprawie morderstwa, a nawet udawała jego ofiarę. To z pewnością wystarczyłoby, żeby ją zatrzymać.

Jednak nie tego chciał Yates.

Błagalny krzyk Clyde'a: „Gdzie jest ta kasetka?”.

Yates chciał czegoś innego. Czegoś, przez co zginęła Cassandra. Czegoś, dla czego zabił Clyde Rangor. Spojrzała Yatesowi w twarz. Miał nieruchome spojrzenie. Zaciskał i prostował palce.

Wciąż trzymała ręce przed sobą. Zaczekała jeszcze moment, po czym je opuściła.

– Nic nie wiem o żadnych kasetach – powiedziała. Teraz z kolei Yates uważnie jej się przyjrzał. Trwało to chwilę.

– Wierzę ci.

I z jakiegoś powodu to przeraziło ją bardziej niż wszystko inne.

– Proszę z nami – zakomenderował Yates.

– Dokąd?

– Aresztuję cię.

– Pod jakim zarzutem?

– Mam wyliczyć w kolejności alfabetycznej?

– Muszę zadzwonić po mojego adwokata.

– Możesz zadzwonić po niego z posterunku. Nie wiedziała, jak to rozegrać. Cal Dollinger zrobił krok w jej kierunku. Kiedy się cofnęła, powiedział:

– Chyba nie chcesz, żebym wywlókł cię stąd w kajdankach? Olivia znieruchomiała.

– To nie będzie konieczne.

Wyszli. Yates szedł pierwszy. Dollinger trzymał się tuż przy niej. Olivia rozejrzała się. Wielka brązowa butelka wciąż sterczała na tle nieba. Z jakiegoś powodu było to pocieszające. Yates szedł przodem. Otworzył drzwiczki samochodu, wsiadł i włączył silnik. Odwrócił się, spojrzał na Olivię i nagle przypomniała sobie.

Poznała go.

Nazwiska szybko ulatywały jej z pamięci, ale twarze zapamiętywała na całe życie. Kiedy

tańczyła, był to rodzaj znieczulenia. Przyglądała się twarzom. Zapamiętywała je, klasyfikowała według stopnia znużenia lub rozbawienia, próbowała zapamiętać, ile razy tam byli. Ćwiczenie spostrzegawczości, odwracające uwagę.

Adam Yates bywał w klubie Clyde'a.

Może zawahała się, a może Cal Dollinger był niezwykle wyczulony na to, co się wokół niego dzieje. Już miała rzucić się do ucieczki, pobiec przed siebie ile sił w nogach, gdy mocno złapał ją za ramię. Nacisnął splot nerwów nad łokciem na tyle mocno, żeby zwrócić jej uwagę. Usiłowała się wyrwać, ale równie dobrze mogłaby próbować wyciągnąć rękę z bryły betonu.

Nie mogła się ruszyć.

Zbliżali się do samochodu. Cal przyspieszył kroku. Olivia powiodła wzrokiem po ulicy i jej spojrzenie zatrzymało się na Lawrensie. Stał na rogu, kołyszając się, z jakimś innym mężczyzną, którego nie знаła. Obaj trzymali w rękach brązowe papierowe torebki. Lawrence spojrział na nią i zaczął podnosić rękę, żeby jej pomachać.

Olivia bezgłośnie powiedziała: pomóż mi.

Lawrence nie zmienił wyrazu twarzy. W ogóle nie zareagował. Ten drugi mężczyzna rzucił jakiś żart. Lawrence parsknął głośnym śmiechem, klepiąc się po udach.

Nie zauważył.

Podeszli do samochodu. Olivia gorączkowo szukała jakiegoś wyjścia. Nie chciała jechać z tymi dwoma mężczyznami. Zwolniła kroku. Dollinger natychmiast mocno i boleśnie ścisnął jej rękę.

– Nie zatrzymuj się – warknął.

Doszli do tylnych drzwi. Dollinger je otworzył. Próbowała się opierać, ale był zbyt silny. Wepchnął ją na tylne siedzenie.

– Hej, masz dolara?

Wielkolud szybko odwrócił głowę. Za nim stał Lawrence. Dollinger zaczął się odwracać, ignorując żebraka, ale Lawrence chwycił go za ramię.

– Hej, człowieku, jestem głodny. Masz dolara?

– Spadaj.

– Dolara. Czy to zbyt wiele dla...

Dollinger puścił jej rękę.

Olivia wahała się zaledwie sekundę. Gdy Dollinger oburącz złapał Lawrence'a za koszulę na piersi, była gotowa. Wskoczyła z wozu i zaczęła uciekać.

– Uciekaj, Liv!

Lawrence nie musiał jej tego dwa razy powtarzać.

Dollinger puścił go i obrócił się na pięcie. Lawrence skoczył mu na plecy. Wielkolud strząsnął go z siebie jak łupież. Wtedy Lawrence zrobił coś naprawdę głupiego. Uderzył

Dollingera brązową torebką. Olivia usłyszała brzęk ukrytej w torbie butelki piwa. Dollinger odwrócił się i rąbnął Lawrence'a w splot słoneczny. Lawrence upadł.

– Stać! – wrzasnął Dollinger. – FBI!

Nie sądzę, drażalu.

Olivia usłyszała warkot ruszającego samochodu. Yates wystartował z piskiem opon. Zerknęła przez ramię.

Dollinger biegł za nią. W ręku trzymał broń.

Miała nad nim około piętnastu metrów przewagi. Gnała ile sił w nogach. Znała tę okolicę. To dawało jej przewagę. Skręciła w boczną uliczkę. Ta była pusta – wokół ani żywej duszy. Dollinger pobiegł za nią. Zaryzykowała i obejrzała się. Zmniejszyła dzielącą ich odległość i wcale nie wyglądał na zasapanego.

Odwróciła się i pobiegła jeszcze szybciej, miarowo poruszając rękami.

Kula świsnęła jej nad głową. Potem druga.

O Boże. On strzela!

Musiała wydostać się z tej uliczki. Znaleźć ludzi. Przecież nie zastrzeli jej na oczach tłumu.

A może?

Wybiegła na sąsiednią ulicę. Ujrzała nadjeżdżający samochód. Yates przyspieszył. Przetoczyła się po masce zaparkowanego samochodu i na chodnik. Znajdowali się niedaleko starego browaru Pabsta. Wkrótce miano go rozebrać, a na jego miejscu postawić jeszcze jedno molochowate centrum handlowe. Teraz jednak te ruiny mogły dać jej schronienie.

Chwileczkę, gdzie była ta stara knajpa?

Skręciła w lewo. Lokal znajdował się przy drugiej uliczce. Przypomniała sobie gdzie. Olivia nie odważyła się spojrzeć za siebie, ale teraz słyszała jego kroki. Doganiał ją.

– Stój!

Akurat, pomyślała. Knajpa. Gdzie, do diabła, jest ta knajpa?

Skręciła w prawo.

No, jest tam!

Drzwi były po prawej. Niedaleko. Pobiegła jeszcze szybciej. Chwyliła klamkę w chwili, gdy Dollinger mijał narożnik. Szarpnęła drzwi i wpadła do środka.

– Pomocy!

W lokalu był tylko jeden człowiek. Wycierał kieliszki za barem. Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Olivia podniosła się i szybko zasunęła rygiel.

– Hej! – krzyknął barman. – Co się tu dzieje?

– Ktoś chce mnie zabić. Drzwi zatrzęsły się.

– FBI. Otwierać!

Olivia potrząsnęła głową. Barman zawahał się, po czym ruchem głowy wskazał pokój na

zapleczu. Skoczyła w tym kierunku. Barman chwycił dubeltówkę w tej samej chwili, Dollinger kopniakiem wyważył drzwi.

Widok olbrzymiego mężczyzny zaskoczył barmana.

– Jezu Chryste!

– FBI! Rzuć broń.

– Spokojnie, koleś...

Dollinger wycelował broń w barmana i strzelił dwa razy.

Barman padł, pozostawiając rozbryzg krwi na ścianie.

O mój Boże, mój Boże, mój Boże!

Olivia otworzyła usta do krzyku.

Nie. Uciekaj. Szybko.

Pomyślała o dziecku, które nosiła pod sercem. Ta dodała jej sił. Rzuciła się w kierunku pokoju na zapleczu, który wskazał jej barman.

Kule rozerwały ścianę tuż za nią. Olivia upadła na podłogę. Na czworakach dotarła do tylnych drzwi. Były z grubej blachy. Klucz tkwił w zamku. Jednym szybkim ruchem otworzył je na oścież i przekręciła klucz tak mocno, że złamał się w zamku. Wytoczyła się z powrotem w słoneczny blask. Drzwi zamknęły się za nią. Usłyszała trzask automatycznego zamka, a potem sapanie Dollingera, który szarpał klamkę. Kiedy to odniosło skutku, zaczął walić w drzwi. Te jednak nie ustąpiły tak łatwo jak poprzednie. Olivia pobiegła, trzymając się bocznych ulic, wypatrując samochodu Yatesa lub ścigającego ją Dollingera.

Nie napotkała ich. Czas wynieść się stąd w cholerę.

Truchcikiem pokonała jeszcze trzy kilometry. Kiedy nadjechał autobus, wskoczyła do niego, nie sprawdzając nawet dokąd ją zawiezie. Wsiadła w centrum, przy Elizabeth. Na postoju stał rząd taksówek.

– Dokąd? – zapytał taksówkarz. Próbowała złapać oddech.

– Na lotnisko Newark, proszę.

Matt przejechał białym isuzu granicę Pensylwanii, dziwiąc się, jak wiele informacji, które dotychczas uważał za nieprzydatne, wyniósł z pobytu w więzieniu. Oczywiście, wbrew temu, co myśli większość ludzi, więzienie wcale nie jest taką dobrą szkołą wszelakich przestępstw. Należy pamiętać o tym, że wszyscy jego pensjonariusze zostali – no cóż – schwytani, co rzuca cień na wiedzę, którą się chwala.

Ponadto nigdy nie słuchał zbyt uważnie. Działalność przestępcza po prostu go nie interesowała. Zamierzał – i przez dziewięć lat udawało mu się realizować ten plan – trzymać się z daleka od wszystkiego, co nielegalne.

Teraz to się zmieniło.

Zachwalana przez Saula metoda kradzieży samochodów była skuteczna. A teraz Matt przypomniał sobie inną przestępczą naukę, wyniesioną z czasów pobytu za kratkami. Zajeżdżał na parking Great Western przy Route 80. Żadnych środków bezpieczeństwa, co wcale go nie zdziwiło. Nie zamierzał kraść następnego samochodu, tylko tablice rejestracyjne. Potrzebował rejestracji zawierającej literę P. Miał szczęście. Na parkingu dla personelu stał samochód mający rejestrację rozpoczynającą się na literę P. Wóz pracownika to dobry wybór, pomyślał Matt. Była jedenasta. Większość zaparkowanych samochodów z pewnością należała do personelu pracującego na pierwszej zmianie. Właściciel tego wozu zapewne nie wyjdzie z budynku wcześniej niż za kilka godzin.

Matt wszedł do Home Depot i kupił cienką taśmę izolacyjną taką, jaką naprawia się przewody telefoniczne. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, oderwał kawałek i dokleił do litery P, zamieniając ją w B. Dokładniejsze oględziny ujawniłyby ten zabieg, który jednak powinien wystarczyć, żeby dojechać tam, dokąd chciał dotrzeć.

Do Harrisburga w Pensylwanii.

Matt nie miał innego wyjścia. Musiał dostać się do Reno. A to oznaczało przelot samolotem. Wiedział, że to ryzykowne.! Więzienne rady, jak uniknąć zdemaskowania, nawet jeśli kiedyś były naprawdę przydatne, pochodziły z czasów sprzed jedenastego września. Od tej pory środki bezpieczeństwa bardzo się zmieniły, ale wciąż można je było obejść. Musiał tylko dobrze to przemyśleć, szybko działać i liczyć na więcej niż odrobinę szczęścia.

Najpierw spróbował narobić trochę zamieszania. Z budki telefonicznej na granicy stanu New Jersey zarezerwował sobie bilet na przelot z Newark do Toronto. Może wytropią to i wezmą go za amatora. Może nie. Rozłączył się, poszedł do innej budki i zrobił inną rezerwację. Zapisał sobie numer, odwiesił słuchawkę i pokręcił głową.

To nie będzie łatwe.

Matt wjechał na parking lotniska w Harrisburgu. Mauser M2 wciąż tkwił w jego kieszeni.

W żaden sposób nie mógł go zabrać ze sobą. Wepchnął pistolet pod fotel pasażera, ponieważ gdyby sprawy nie potoczyły się tak, jak zaplanował, mógł wrócić po samochód. Isuzu dobrze mu służył. Matt miał ochotę napisać liścik do właściciela, wyjaśniając, co zrobił i dlaczego. Jeśli dopisze mu szczęście, będzie mógł zrobić to później.

A teraz trzeba sprawdzić, czy jego plan się powiodł...

Przede wszystkim jednak potrzebował snu. W sklepiku z pamiątkami kupił czapkę baseballową. Potem znalazł wolny fotel w sali przylotów, założył ręce na piersi, zamknął oczy i naciągnął daszek czapki na czoło. Wiedział, że w sali przylotów zawsze śpią jacyś ludzie. Dlaczego ktoś miałby go tu niepokoić?

Obudził się godzinę później, czując się koszmarne. Wszedł na górę, do sali odlotów. Kupił super silny tylenol i motrin, po czym wziął po trzy tabletki. Umył się w toalecie.

Przed okienkiem sprzedaży biletów stała długa kolejka. Doskonale, jeśli tylko dobrze wyliczył czas. Chciał, żeby personel był bardzo zajęty. Kiedy przyszła jego kolej, kobieta za kontuarem obdarzyła go tym roztargnionym uśmiechem.

– Do Chicago, lot sto osiemdziesiąt osiem – powiedział.

– Ten samolot odlatuje za dwadzieścia minut – powiedziała.

– Wiem. Były korki i...

– Mogę zobaczyć jakiś dokument ze zdjęciem?

Podał jej prawo jazdy. Wystukała „Hunter, M.”, Nadeszła chwila prawdy. Stał zupełnie nieruchomo. Zmarszczyła brwi i znów zaczęła stukać w klawiaturę. Nic.

– Nie widzę tu pańskiego nazwiska, panie Hunter.

– To dziwne.

– Ma pan numer rezerwacji?

– Oczywiście.

Wręczył jej ten, który otrzymał, dokonując rezerwacji przez telefon. Wystukała YTIQZ2. Matt wstrzymał oddech. Kobieta westchnęła.

– Już widzę, co się stało.

– Tak? Pokręciła głową.

– Pańskie nazwisko zostało przekrecone. Na liście figuruje pan jako Mike” nie Matt. I jako Huntman, a nie Hunter.

– Zwyczajna pomyłka – zauważył Matt.

– Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział jak częsta.

– Mnie już nic nie zdziwi – odparł.

Wymienili uśmiechy oznaczające „świat jest pełen głupków”. Wydrukowała jego bilety i przyjęła pieniądze. Matt uśmiechnął się, podziękował i poszedł do samolotu.

Nie było bezpośredniego przelotu z Harrisburga do Reno, ale to może i dobrze. Matt nie

wiedział, w jakim stopniu system komputerowy linii lotniczych jest zintegrowany z rządowym, ale dwa krótkie loty chyba były bezpieczniejsze niż jeden długi. Czy system komputerowy natychmiast wychwyci jego nazwisko? Matt wątpił w to – choć mogła to być płonna nadzieja. Logicznie rzecz biorąc, powinno to trochę potrwać – zebranie informacji, posortowanie ich, przekazanie właściwej osobie. Co najmniej kilka godzin.

A jemu wystarczy godzina, żeby dolecieć do Chicago.

W teorii wyglądało to nieźle.

Kiedy bezpiecznie wylądował na lotnisku O'Hare w Chicago, serce znów zaczęło mu mocniej bić. Wysiadł, starając się nie rzucać w oczy, obmyślając trasę ucieczki, na wypadek gdyby ujrzał kordon policjantów przy bramce. Jednak nikt go nie aresztował, kiedy wysiadł z samolotu. Matt odetchnął z ulgą. Zatem nie zlokalizowali go – jeszcze. Teraz jednak czekało go najtrudniejsze. Lot do Reno był dłuższy. Jeśli się zorientują, co zrobił za pierwszym razem, będą mieli mnóstwo czasu, żeby go dopaść.

Tak więc spróbował trochę innego sposobu.

Znów kolejka do punktu sprzedaży biletów. Może mu się przydać. Czekał, przechadzając się za aksamitnymi sznurami. Obserwował pracownice, wypatrując najbardziej zmęczonej lub zadowolonej z siebie. Znalazł taką po prawej stronie. Sprawiała wrażenie okropnie znudzonej. Oglądała dokument; ale bez błysku w oczach. Wciąż wzdychała. Wciąż rozgląda się wokół, wyraźnie roztargniona. Może ma jakieś problemy osobiste, pomyślał Matt. Może pokłóciła się z mężem, stoletnią córką lub Bóg wie kim?

A może to potworna pedantka, tylko ma taką znudzoną miną.

Ale czy miał inne wyjście? Kiedy znalazł się na czele kolejki i wybrana przez niego urzędniczka była zajęta, udał, że czegoś szuka i przepuścił stojącą za nim rodzinę. Po chwili powtórzył to, a potem jego urzędniczka powiedziała: „Następny”.

Podszedł spokojnie.

– Nazywam się Matthew Huntler.

Podał jej kartkę z numerem rezerwacji. Wzięła ją i zaczęła stukać w klawisze.

– Chicago do Reno/Tahoe, panie Huntler.

– Tak.

– Dokument proszę.

To był najgorszy moment. Starał się załatwić to jak najsprawniej. Pan Huntler był stałym klientem tej linii lotniczej – kilka godzin wcześniej Matt zapisał go do ich klubu. Komputerom obce są takie subtelności. Ludziom czasami nie.

Podał jej swój portfel. W pierwszej chwili nie spojrzała. Jeszcze wpisywała coś do komputera. Może będzie miał szczęście. Może nawet nie spojrzy na jego dokumenty.

– Ma pan jakiś bagaż?

– Nie, dzisiaj nie.

Kiwnęła głową, wciąż pisząc. Potem popatrzyła na jego prawo jazdy. Żołądek podszedł mu do gardła. Przypomnił sobie coś, co Bernie przed kilkoma laty przysłał mu pocztą elektroniczną. Tekst głosił:

Proponujemy zabawny test. Przeczytaj poniższe zdanie:

OPUBLIKOWANE PRACE SĄ REZULTATEM LAT BADAŃ NAUKOWYCH
POŁĄCZONYCH Z WIELOLETNIM DOŚWIADCZENIEM.

A teraz powiedz, ile jest „O” w tym zdaniu.

Zrobił to i wyszło mu cztery. Naprawdę było ich siedem. Nie widzisz wszystkich liter. Nie tak działa ludzki mózg. Teraz właśnie na to liczył. Hunter, Huntler. Czy ktoś jest w stanie dostrzec różnicę?

Kobieta powiedziała:

– Przejście czy okno? – spytała kobieta.

– Przejście.

Udało się. Bramkę kontrolną pokonał jeszcze łatwiej – przecież już pokazywał dokumenty przy kontuarze, prawda? Strażnik spojrział na jego zdjęcie, na twarz, ale nie zauważył, że w prawie jazdy figuruje Hunter, a na karcie pokładowej Huntler. I tak wciąż się zdarzają takie literówki. Na kartach pokładowych codziennie widuje się ich setki lub tysiące. Naprawdę nie zwraca się na nie uwagi.

Matt znów wszedł do samolotu tuż przed zamknięciem automatycznej bramki. Usiadł w fotelu w przejściu, zamknął oczy i obudził się dopiero wtedy, gdy pilot oznajmił, że zaraz wylądają w Reno.

Drzwi gabinetu matki Katherine były zamknięte.

Tym razem Loren nie cofała się myślami w przeszłość, mocno zapukała do drzwi i chwyciła klamkę. Kiedy usłyszała, jak matka Katherine mówi „wejść”, była gotowa.

Matka przełożona stała plecami do drzwi. Nie odwróciła się, kiedy Loren weszła do gabinetu. Zapytała tylko:

– Jesteś pewna, że siostra Mary Rosę została zamordowana?

– Tak.

– Czy wiecie, kto to zrobił?

– Jeszcze nie.

Matka Katherine powoli pokiwała głową.

– Znacie już jej prawdziwe nazwisko?

– Tak – odparła Loren. – Jednak byłoby nam znacznie łatwiej, gdyby mi je pani podała.

Spodziewała się, że matka Katherine zacznie się spierać, ale przełożona nie zrobiła tego.

– Nie mogłam.

– Dlaczego?

– Niestety, nie miałam prawa.

– Powiedziała pani.

– Niezupełnie. Ale wiedziałam dostatecznie dużo.

– Jak pani na to wpadła?

Stara zakonnica wzruszyła ramionami.

– W tym, co mówiła o swojej przeszłości, nie zgadzały się niektóre szczegóły.

– Przyparła ją siostra do muru?

– Nie, skądże. A ona nigdy nie wyjawiała mi swojego prawdziwego nazwiska. Powiedziała, że narażaby innych. Jednak wiedziałam, że robiła okropne rzeczy. Siostra Mary Rosę postanowiła zerwać z przeszłością. Chciała odpokutować. Naprawić swoje błędy. I robiła to. Wiele dała tej szkole, tym dzieciom.

– Swoją pracą czy dosłownie?

– I tak, i tak.

– Dała pani pieniądze?

– Parafii – poprawiła matka Katherine. – Owszem, przekazała sporą sumę.

– Zapewne brudne pieniądze. Matka Katherine uśmiechnęła się.

– A czy są inne?

– Zatem ta historia o masażu serca...?

– Wiedziałam już o implantach piersi. Powiedziała mi o nich. Wyjaśniła mi również, że jeśli ktoś się dowie, kim ona naprawę jest, zabija ją.

– Jednak nie sądziła pani, że tak się stało.

– To wyglądało na śmierć z przyczyn naturalnych. Pomyślałam, że najlepiej będzie zostawić tę sprawę w spokoju.

– Co sprawiło, że zmieniła pani zdanie?

– Plotki – odparła.

– Jakie?

– Jedna z sióstr wyznała mi, że widziała mężczyznę w pokoju siostry Mary Rosę. To rzecz jasna obudziło moje podejrzania, ale niczego nie mogłam udowodnić. Ponadto musiałam chronić dobre imię szkoły. Należało wszcząć dyskretne śledztwo, nie nadużywając zaufania siostry Mary Rosę.

– Dlatego zwróciła się siostra do mnie.

– Tak.

– A teraz, kiedy już siostra wie, że Mary Rosę została zamordowana?

– Zostawiła list.

– Do kogo?

Matka Katherine pokazała jej kopertę.

– Do kobiety, która nazywa się Olivia Hunter.

Adam Yates był bliski paniki.

Zaparkował spory kawałek od starego browaru i czekał, podczas gdy Cal pospiesznie zacierał ślady. Nie zostawia żadnych. Pochodzenia broni Cala nie da się ustalić. Numery rejestracyjne ich samochodu też nie figurowały w żadnej bazie danych.

Może jakiś menel zapamiętał olbrzymiego mężczyznę goniącego kobietę, ale nikt nie powiąże ich z martwym barmanem.

Może.

Nie, żadne może. Bywał w gorszych opałach. Barman celował do Cala z dubeltówki. Na broni znajdują odciski palców. Pistolet z zatartymi numerami zostanie w knajpie. Za kilka godzin obaj przekroczą granicę stanu.

Obaj wyjdą z tego bez szwanku.

Kiedy Cal usiadł na fotelu pasażera, Adam rzekł:

– Schrzaniłeś. Cal kiwnął głową.

– Masz rację.

– Nie powinieneś do niej strzelać. Jego partner znów kiwnął głową.

– Błąd – przyznał. – Jednak nie możemy pozwolić jej uciec. Jeśli wyjdzie na jaw, kim była...

– To i tak wyjdzie na jaw. Wie o tym Loren Muse.

– Racja, ale bez Olivii Hunter ten ślad prowadzi donikąd. Jeżeli zostanie aresztowana, będzie próbowała się ratować. A to może doprowadzić do tego, że ktoś zainteresuje się wydarzeniami sprzed lat.

Yates miał wrażenie, że coś w nim pęka.

– Nie chcę nikomu robić krzywdy.

– Adamie?

Spojrzał na olbrzymiego mężczyznę.

– Na to już za późno – powiedział Dollinger. – My albo oni, pamiętasz?

Yates powoli skinął głową.

– Musimy znaleźć Olivię – rzekł Dollinger. – Mówiąc „my”, mam na myśli nas. Jeśli aresztują ją inni agenci... Yates dokończył za niego.

– Może zacząć mówić.

– Właśnie.

– Zatem podamy, że ona jest koronnym świadkiem – zaproponował Yates. – Powiemy, żeby pilnowali pobliskich lotnisk i dworców, ale niczego nie robili bez naszej zgody.

Cal kiwnął głową.

– Zrobione.

Adam Yates zastanowił się, jakie ma możliwości.

– Wróćmy do prokuratury okręgowej. Może Loren znalazła coś użytecznego o tej Kimmy Dale.

Zadzwoił telefon. Cal podniósł słuchawkę i warknął:

– Agent Dollinger. Uważnie wysłuchał.

– Dajcie jej wylądować. Potem niech Ted ją śledzi. Tylko nie próbujcie, powtarzam, nie próbujcie się do niej zbliżyć. Przyleć pierwszym samolotem.

Odłożył słuchawkę.

– Co?

– Olivia Hunter – odparł. – Jest już w samolocie do Reno.

– Znów Reno – mruknął Yates.

– Rodzinne strony Charlesa Talleya i Maksa Darrowa.

– Może tam jest kaseta. – Yates wyciągnął rękę. – Wszystkie tropy wiodą na zachód, Cal. Myślę, że my też powinniśmy udać się do Reno.

51

Taksówkarz pracował dla przedsiębiorstwa Reno Rides. Zatrzymał samochód, zgasił silnik, obrócił się i zmierzył Olivię wzrokiem.

– Jest pani pewna, że to tutaj, proszę pani? Olivia spoglądała przed siebie.

– Proszę pani?

Na lusterku był zawieszony ozdobny krzyżyk. Drzwiczki schowka były oklejone świętymi obrazkami.

– Czy to Center Lane Drive czterysta osiemdziesiąt osiem? – zapytała.

– Tak.

– A więc to tutaj.

Olivia sięgnęła do torebki. Wręczyła mu pieniądze. On dał jej broszurkę.

– Nie musi pani tego robić – powiedział.

Broszurkę wydało jakieś kościelne wydawnictwo. Na okładce był cytat z Ewangelii świętego Jana. Olivia uśmiechnęła się z przymusem.

– Jezus panią kocha – rzekł taksówkarz.

– Dziękuję.

– Zawiozę panią, dokądkolwiek pani zechce. Za darmo.

– Nie trzeba – odparła Olivia.

Wysiadła z taksówki. Kierowca spojrział na nią ze smutkiem.

Pomachała mu ręką, gdy odjeżdżał. Potem osłoniła dłonią oczy. Wyblakły neon głosił:

EAGER BEAYER – TANIEC EROTYCZNY Zadrzała. Chyba na samo wspomnienie. Nigdy tu nie była, ale znała to miejsce. Znała te brudne półciężarówki stłoczone na parkingu, tych kręcących się bez celu mężczyźni, przyćmione światła, nieprzyjemną lepkość stalowej rury. Ruszyła do drzwi, dobrze wiedząc, co znajdzie w środku.

Matt obawiał się powrotu do więzienia. Tutaj, przed nią, było jej więzienie.

W nim mieszkała Candi Cane.

Przed laty Olivia Hunter próbowała odesłać w niebyt Candace „Candi Cane” Porter. Teraz ta dziewczyna wróciła z całym bagażem złych doświadczeń. Zapomnijcie o tym, co mówią wam znawcy: można zapomnieć o przeszłości. Olivia wiedziała o tym. Mogła wepchnąć Candi do jakiegoś zakamarka, zamknąć drzwi, wyrzucić klucz. Prawie to zrobiła – chciała zrobić – ale było coś, co sprawiało, że te drzwi nie dawały się zamknąć, choćby nie wiadomo jak mocno je pchała.

Jej dziecko.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. O Boże, pomyślała. Czyżby moja córka tu pracowała?

Błagam, nie.

Była czwarta po południu. Wciąż sporo czasu przed spotkaniem o północy. Mogła pójść gdzie indziej, na przykład znaleźć restaurację Starbucks lub pokój w motelu i przespać się trochę. Zdrzemnęła się w samolocie, ale wciąż była niewyspana.

Zaraz po lądowaniu Olivia zadzwoniła do biura FBI i poprosiła o rozmowę z Adamem Yatesem. Kiedy połączono ją z gabinetem dyrektora, odłożyła słuchawkę.

Zatem Yates naprawdę pracował w FBI. Zapewne Dollinger też.

Co oznaczało, że dwaj agenci FBI próbowali ją zabić.

Nie aresztują jej ani nie zatrzymają. Za dużo wiedziała.

Przypomniały jej się ostatnie słowa Clyde'a: „Tylko powiedz mi, gdzie jest ta...”.

Wszystko zaczynało nabierać sensu. Krążyły plotki o tym, że Clyde nagrywa i szantażuje klientów. Pewnie próbował szantażować niewłaściwego faceta – Yatesa albo jakiegoś jego znajomego. Ten jakoś trafił do biednej Cassandry. Czy ona miała te kasety? Czy była na nich?

Stojąc tam i patrząc na napis BUFET EAGER BEAYER 4.99 \$, Olivia skinęła głową do swoich myśli.

Pewnie tak było.

Ruszyła w kierunku drzwi frontowych.

Powinna poczekać i wrócić tu później.

Nie.

Bramkarz obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. Kobiety nie przychodzą do takich lokali same. Czasem jakiś facet przyprowadzi tu swoją dziewczynę. Ta udaje wyzwoloną. A może ma lesbijskie skłonności. Wszystko jedno, kobiety nie przychodzą tu same.

Kiedy weszła, obróciło się w jej stronę kilka głów, ale nie tyle, ile można by się spodziewać. W takich miejscach ludzie mają spowolnione reakcje. Powietrze było lepkie jak syrop, zatechłe. Światła przygaszone. Gęby rozdziawione. Większość klientów zapewne wzięła ją za pracującą tu dziewczynę lub lesbijkę, czekającą, aż kochanka skończy pracę.

Z głośników płynęły dźwięki Don't You Want Me Human League, utworu zaliczanego do klasyki już wtedy, kiedy Olivia jeszcze tańczyła. Retro, ale zawsze lubiła tę piosenkę. W takim lokalu muzyka miała być dodatkową seksualną podniętą, ale jeśli dobrze wsłuchałeś się w słowa, Paul Oakley, lider zespołu, dawał ci odczuć ból złamanego serca. Tytułowe słowa nie były zachętą. Wyrażały bezgraniczną rozpacz.

Olivia wybrała stół z tyłu. Na scenie występowały trzy tancerki. Dwie spoglądały w dal. Jedna zajmowała się klientem, udając namiętność, zachęcając go, żeby wetknął jej kilka banknotów w stringi. Zrobił to. Olivia popatrzyła na widownię i zdała sobie sprawę z tego, że nic się tu nie zmieniło od czasu, gdy przed dziesięcioma laty pracowała w takich salach jak ta. Mężczyźni należeli do tego samego rodzaju. Jedni mieli obojętne twarze. Inni głupawe uśmiechy. Niektórzy udawali beztroskich lub wyniosłych, jakby byli ponad to. Jeszcze inni agresywnie

trzaskali kuflami o stoły, z nieskrywaną wrogością spoglądając na dziewczyny, jakby domagając się odpowiedzi na odwieczne pytanie: „I to już wszystko?”.

Dziewczyny na scenie były młode i naćpane. To się rzucało w oczy. Jej dawna współlokatorka, Kimmy, miała dwóch braci, którzy przedawkowali. Kimmy nie tolerowała ćpania. Dlatego Olivia – a raczej Candi – zaczęła pić, ale Clyde Rangor zabronił jej tego, kiedy zaczęła zataczać się na scenie. Clyde jako terapeuta. Niesamowite, ale tak bywa.

Tłuszcz z podłego żarcia unosił się w powietrzu, raczej przywierając do skóry, niż drażniąc powonienie. Kto jada takie świństwa? – zastanawiała się w duchu. Kotlety pamiętały kadencję Cartera. Hot dogi gotowane aż do kompletnego zaniku. Frytki tak tłuste, że prawie nie dawało się ich chwycić palcami. Spasieni mężczyźni tłoczyli się wokół półmisków i nakładali całe sterty tego obrzydlistwa na styropianowe tacki. Nawet w tym słabym świetle Olivia niemal widziała, jak zapychają się ich tętnice.

Niektóre takie lokale nazywały się „klubami dla dżentelmenów”. Chodzili do nich biznesmeni w garniturach, zachowujący się bardziej cywilizowanie. Eager Beaver nie miał takich pretensji. Tu było więcej tatuaży niż zębów. Wybuchaly bójki. Bramkarze mieli więcej sadła niż mięśni, ponieważ muskuły są tylko na pokaz, a ci faceci naprawdę mogli skopać komuś tyłek.

Olivia nie była przestraszona ani przytłoczona, ale zastanawiała się, co właściwie tu robi. Dziewczyny się zmieniły. Tańcząca przy pierwszej rurze zeszła ze sceny. Przy trzeciej stanęła radosna nastolatka. W żadnym razie nie mogła być pełnoletnia. Nogi miała po samą szyję i na wysokich obcasach poruszała się niezgrabnie jak żrebak. Jej uśmiech wydawał się niemal szczerzy, więc Olivia domyśliła się, że jeszcze nie pozbawiono jej chęci życia.

– Podać coś?

Kelnerka czujnie spoglądała na wybryk natury, jakim była tu Olivia.

– Proszę coca-colę.

Odeszła. Olivia nie odrywała oczu od promiennej nastolatki. Nie wiadomo czemu przypomniała jej się biedna Cassandra.

Pewnie tylko dlatego, że była w zbliżonym wieku. Cassandra była o wiele ładniejsza. A potem, patrząc na trzy dziewczyny na scenie, zadała sobie oczywiste w tej sytuacji pytanie: Czy jedna z nich jest moją córką?

Szukała w ich twarzach jakiegoś podobieństwa i nie znalazła. Oczywiście to nie miało żadnego znaczenia. Zdawała sobie z tego sprawę. Kelnerka przyniosła colę. Olivia jej nie tknęła. Nie zamierzała pić z żadnej z tych szklanek.

Po dziesięciu minutach dziewczyny znów się zmieniły, i pojawiła się następna nowa dziewczyna. Zapewne pracowały w piątkę – trzy na scenie, dwie odpoczywają, na zmianę, może w szóstkę. Pomyślała o mężu, o tym, czy tutaj dotrze. Był taki pewny siebie, kiedy mówił, że zrobi to z łatwością, a może udawał pewność siebie, żeby dodać jej otuchy?

Tańcząca na trzeciej pozycji zaczęła obrabiać faceta w tak kiepsko dopasowanym tupeciku, że wyglądał jak zapinany na ekler. Pewnie wciska mu ulubiony tekst o tym, że dorabiał sobie tutaj, żeby móc studiować, pomyślała Olivia. Zawsze zdumiewało ją to, że faceci podniecają się na myśl o tym, że dziewczyna jest studentką. Czyżby potrzebowali czegoś czystego, co zrównoważyłoby ich brudne myśli?

Dziewczyna, która tańczyła przy pierwszej rurze, kiedy Olivia weszła, wróciła z zaplecza. Podeszła do mężczyzny, któremu z ust sterczało kurze skrzydełko. Wypluł je i otarł dłonie o dżinsy. Dziewczyna wzięła go za rękę i zniknęli w kącie. Olivia chciała pójść za nią. Chciała złapać wszystkie te dziewczyny i wyciągnąć je na słońce.

Dość.

Dała kelnerce znak, żeby przyniosła rachunek. Kelnerka porzuciła grupkę roześmianych miejscowych.

– Trzy pięćdziesiąt – powiedziała.

Olivia wstała, sięgnęła do torebki i wyjęła piątkę. Już miała dać ją kelnerce, już miała opuścić to mroczne, okropne miejsce, gdy tancerki znów się zmieniły. Z zaplecza wyszła nowa dziewczyna.

Olivia zamarła. Potem z jej ust wyrwał się cichy jęk.

– Proszę pani, wszystko w porządku? – spytała kelnerka. Na scenie Kimmy zajmowała miejsce numer trzy.

– Proszę pani?

Pod Olivią ugięły się nogi. Usiadła z powrotem.

– Proszę następną colę.

Nawet nie tknęła poprzedniej, ale jeśli ten fakt zdziwił kelnerkę, to nic nie dała po sobie poznać. Olivia patrzyła jak urzeczona. Przez kilka sekund pozwoliła się nieść fali różnych emocji. Żalu, oczywiście. Smutku na widok Kimmy po tylu latach wciąż tańczącej na scenie. Poczucia winy z powodu tego, że musiała ją zostawić. Czuła jednak też radość na widok starej przyjaciółki. W ciągu ostatnich tygodni Olivia odwiedziła kilka stron internetowych, próbując ustalić, czy Kimmy wciąż tańczy. Niczego się nie dowiedziała. Miała nadzieję, że Kimmy odeszła z zawodu. Teraz poznała prawdę: Kimmy po prostu nie była atrakcją zasługującą na wzmiankę.

Olivia nie była w stanie się ruszyć.

Wbrew temu, co można by przypuszczać, jak prowadzi się tego rodzaju życie, nie jest trudno nawiązać przyjaźnie. Większość dziewcząt naprawdę się lubi. Są jak towarzysze broni zwierający szeregi, żeby pozostać przy życiu. Jednak nie było drugiej takiej jak Kimmy Dale. Kimmy była jej najlepszą przyjaciółką, jedyną, za którą nadal tęskniła, o której wciąż myślała, z którą chciałaby porozmawiać. Kimmy ją rozśmieszała. Kimmy nie pozwoliła jej zażywać kokainy,

Kimmy trzymała w przyczepie mieszkalnej broń, co w końcu ocaliło życie Olivii.

Olivia uśmiechnęła się w ciemności. Kimmy Dale, fanatyczka czystości, czasem jej partnerka w tańcu, jej powierniczka.

A potem poczucie winy i smutek znów doszły do głosu.

Minione lata nie były łaskawe dla Kimmy Dale, ale dla kogo były? Jej skóra zwiotczała. Miała zmarszczki wokół oczu i ust. Uda usiane sinymi plamkami. Za mocno się malowała, jak jedna „weteranek”, którymi bały się zostać. Tego obawiały się najbardziej: że staną się weterankami nierozumiejącymi, że pora już zejść ze sceny.

Taniec Kimmy niewiele się zmienił – te same kroki, teraz nieco wolniejsze ruchy, bardziej letargiczne. Te same wysokie czarne buty, które zawsze najbardziej lubiła. Kiedyś Kimmy potrafiła rozruszać tłum lepiej niż jakakolwiek dziewczyna – miała niesamowity uśmiech – lecz ten gdzieś znikł. Olivia nie ruszała się z krzesła.

Kimmy myśli, że ja nie żyję.

Zastanawiała się, jak Kimmy zareaguje na widok... ducha? Olivia nie wiedziała, co robić. Czy powinna się pokazać, czy też pozostać w cieniu, odczekać kolejne trzydzieści minut i wymknąć się tak, by Kimmy jej nie zauważyła?

Siedziała, obserwując swoją najlepszą przyjaciółkę i zastanawiając się nad następnym krokiem. Był oczywisty. Wszystko stawało się jasne. Pakt z Emmą został zerwany. Yates i Dollinger znali jej prawdziwe nazwisko. Nie miała powodu, aby nadal się ukrywać. Nie miała już kogo chronić, a może, tylko może, pozostał jeszcze ktoś, kogo mogła uratować.

Kiedy Kimmy kończyła swoją zmianę, Olivia skinęła na kelnerkę.

– Ta tancerka po prawej – powiedziała.

– Ta czarna?

– Tak.

– Nazywamy ją Magie.

– W porządku, dobrze. Chcę mieć z nią prywatny pokaz. Kelnerka uniosła brew.

– Na zapleczu?

– Właśnie. W pokoju.

– Pięćdziesiąt dolców ekstra.

– Żaden problem – powiedziała Olivia.

Podjęła pieniądze z bankomatu. Teraz dała dziewczynie dziesiątkę za fatygę.

Kelnerka wepchnęła banknot w dekolt i wzruszyła ramionami.

– Na tyły i w prawo. Drugie drzwi. Jest na nich duże „B”. Za pięć minut przyślę tam Magie.

Trwało to trochę dłużej. W pokoiku była kanapa i łóżko. Olivia nie usiadła. Stała i czekała. Drżała. Słyszała przechodzących korytarzem ludzi. W głośnikach Tears for Fears informowali, że każdy chce rządzić światem. Wolne żarty.

Pukanie do drzwi.

– Jesteś tam?

Ten głos. Nie było cienia wątpliwości, do kogo należy. Olivia otarła łzy.

– Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się. Kimmy weszła do środka.

– W porządku, cena za... Urwała.

Przez kilka sekund obie tylko stały i pozwalały łzom płynąć po policzkach. Kimmy z niedowierzaniem kręciła głową.

– To niemożliwe.

Candi – teraz nie Olivia – w końcu wykrztusiła:

– To ja.

– Przecież...

Kimmy przycisnęła dłoń do ust i zaczęła szlochać. Candi rozłożyła ręce. Kimmy prawie osunęła się w jej ramiona. Candi złapała ją i trzymała.

– Już dobrze – szepnęła.

– To niemożliwe...

– Już dobrze – powtórzyła Olivia, gładząc włosy przyjaciółki. – Jestem tu. Wróciłam.

Loren leciała do Reno przez Houston.

Kupiła bilet za własne pieniądze. Bardzo ryzykowała – w razie niepowodzenia mogła naprawdę zostać zwolniona lub przeniesiona gdzieś do Nowego Meksyku lub Arizony – ale fakty mówiły same za siebie. Steinberg musiał trzymać się przepisów. Rozumiała to i w pewnym stopniu aprobowała.

Pomimo to wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Yates, wpływowy agent federalny, coś knuł.

Jej podejrzania obudziło nagle nieprzyjemne zachowanie Yatesa, kiedy opuścili dom Lena Friedmana. Nagle zaczął udawać bezmyślnego dupka i chociaż wiedziała, że wśród agentów federalnych takich nie brakuje, nie zdołał jej zwieść. Przejrzała jego grę. Yates tylko udawał opanowanego, ale dostrzegła, że czegoś się bał. Ten strach niemal można było poczuć.

Najwyraźniej Yates nie chciał, żeby zobaczyła się i porozmawiała z Olivią Hunter.

Dlaczego?

Co wywołało ten jego nagły atak? Przypomniała sobie coś, co zdarzyło się w piwnicy Friedmana, co wówczas wydawało się nieistotnym drobiazgiem. Yates starał się zmienić temat, kiedy Friedman wspomniał o tym, że Rangor i Lemay robili gorsze rzeczy od plotkowania o klientach. W tym momencie tylko zirytowało ją zachowanie Yatesa. Teraz jednak, w połączeniu z tym nagłym odsunięciem jej od śledztwa...

No dobrze, nadal nie masz nic konkretnego.

Po rozmowie z matką Katherine Loren zadzwoniła na komórkę Yatesa. Nie odbierał. Spróbowała zadzwonić do domu Olivii Hunter. Tam również nikt nie podnosił słuchawki. A potem usłyszała meldunek o morderstwie w Irvington, w knajpie niedaleko domu Hunterów. Jeszcze nie było dokładniejszych informacji, ale wspomniano o jakimś olbrzymim mężczyźnie goniącym kobietę.

Olbrzymi mężczyzna. Cal Dollinger, którego Yates zamierzał zabrać ze sobą na przesłuchanie Olivii Hunter, był ogromnym mężczyzną.

To również niewiele oznaczało.

Ale w połączeniu z innymi faktami...

Zadzwoniła do Steinberga i zapytała:

– Czy wiesz, gdzie jest teraz Yates?

– Nie.

– A ja wiem – powiedziała. – Sprawdziłam u mojego informatora na lotnisku. – W końcu lotnisko Newark znajduje się w okręgu Essex. Biuro prokuratora miało tam swoje kontakty. – On i ten goliat są w samolocie lecącym na lotnisko Reno/Tahoe.

– I z jakiego powodu ma mnie to obchodzić?

– Chciałabym ich śledzić – oświadczyła.

– Możesz powtórzyć?

– Yates coś knuje.

Opowiedziała Steinbergowi wszystko, co wiedziała. Niemal widziała, jak zmarszczył brwi.

– Niech to pozbięram – powiedział jej szef. – Uważasz, że Yates jest w to zamieszany?

Adam Yates, wielokrotnie odznaczony agent FBI. Nie, skreśl to: oddany swej pracy agent specjalny, kierujący biurem w Nevadzie. Opierasz to: a) na jego nagłej zmianie nastroju, b) na tym, że tego olbrzyma widziano nawet nie na miejscu zbrodni, lecz w pobliżu tej knajpy w Indngton oraz c) że właśnie wraca do swojego stanu. To chyba wszystko?

– Powinieneś go słyszeć, jak odgrywał złego i dobrego policjanta, szefie.

– Uhm.

– Chciał mnie odsunąć od sprawy i Olivii Hunter. Mówię ci, szefie: Yates nie jest czysty. Ja to wiem.

– I wiesz, co ci teraz powiem, no nie?

– Zbieraj dowody – odparła Loren.

– Właśnie.

– Wyświadcz mi grzeczność, szefie.

– Jaką?

– Sprawdź to, co Yates mówił, że Rangor i Lemay obiecał być świadkami koronnymi.

– Po co?

– Sprawdź, czy to nie kit.

– A co, uważasz, że to zmyślił?

– Po prostu sprawdź. Zastanowił się.

– Wątpię, czy to coś da. Jestem prokuratorem okręgowym. Tymi sprawami zajmuje się RICO. Oni nie lubią mówić.

– No to zapytaj Joan Thurston.

– Pomyśli, że jestem świrem.

– A teraz tak nie myśli?

– No cóż, masz rację. Odkasznął. – Jeszcze jedno.

– Tak, szefie.

– Zamierzasz zrobić coś głupiego?

– Kto, ja?

– Wiesz, że jako twój szef nie wyrażę na to zgody. Jednak jeśli robisz coś po pracy i ja nic o tym nie wiem...

– Nic więcej nie mów.

Rozłączyła się. Wiedziała, że odpowiedzi znajdzie w Reno. Charles Talley pracował w Eager Beaver w Reno. Kimmy Dale też. Teraz lecieli tam Yates i Dollinger. Tak więc Loren zgłosiła, że kończy pracę. Potem zarezerwowała bilet i pognąła na lotnisko. Przed wejściem na pokład przeprowadziła jeszcze jedną rozmowę. Len Friedman wciąż siedział w swoim gabinecie w piwnicy.

– Cześć – powiedział. – Chodzi o ten protokół sekcji zwłok Candi Cane?

– Jest pański, jeśli odpowie pan jeszcze na kilka pytań. Mówił pan coś o tym, że co się dzieje w Vegas, zostaje w Vegas.

– Tak.

– A kiedy spytałam, czy to oznacza, że Clyde Rangor i Emma Lemay opowiadali o swoich klientach, powiedział pan „gorzej”.

Cisza.

– Co pan miał na myśli, panie Friedman?

– Po prostu coś słyszałem – rzekł.

– Co?

– Mówiono, że Rangor kombinował na boku.

– Chce pan powiedzieć, że szantażował klientów?

– Tak, coś w tym rodzaju. Znów zamilkł.

– Jak? – zapytała.

– Kręcił filmy.

– Jakie?

– Takie jak pani myśli.

– Z klientami uprawiającymi seks z kobietami? Znowu zapadła krótka cisza.

– Panie Friedman?

– Tak – odparł. – Tylko że...

– Tylko że co?

– Tylko że – Friedman ściszył głos – nie jestem pewien, czy można je nazwać kobietami.

Zmarszczyła brwi.

– Z mężczyznami?

– Nie, nic takiego – rzekł Friedman. – Proszę posłuchać, nawet nie wiem, czy to prawda.

Ludzie wciąż wymyślają różne rzeczy.

– Uważa pan, że to także?

– Ja tylko mówię, że nie wiem.

– Jednak słyszał pan plotki?

– Tak.

– No więc co głoszą plotki? – zapytała Loren. – Co Rangor miał na tych kasetach?

Matt wysiadł z samolotu i pospiesznie opuścił lotnisko. Nikt go nie zatrzymał. Poczł przyplływ nowych sił. Udało się. Dotarł do Reno kilka godzin przed czasem.

Złapał taksówkę.

– Center Lane Drive czterysta osiemdziesiąt osiem.

Jechali w milczeniu. Kiedy samochód dojechał pod podany adres, Matt spojrział przez szybę na lokal Eager Beaver. Zapłacił kierowcy, wysiadł i wszedł do knajpy.

Wszystko pasuje, doszedł do wniosku.

Chociaż nie spodziewał się, że pod Center Lane Drive 488 znajdzie lokal za striptizem, nie był tym szczególnie zdziwiony. Olivia pominęła coś w swojej opowieści. Rozumiał to. Nawet pojmował, dlaczego to zrobiła. Chciała znaleźć swoje dziecko. To ją trochę zaślepiło. Nie dostrzegała rzeczy dla niego oczywistych: tu chodziło o coś więcej niż adopcję czy nawet próbę wyłudzenia okupu.

Wszystko łączyło się z tymi zdjęciami, które przysłano mu na komórkę.

Rodzina mająca chorą córkę nie próbowałaby wzbudzić zazdrości w mężu. Szumowiny próbujące wyłudzić okup nie próbują rozbić małżeństwa.

Jednak za tym kryło się znacznie więcej. Matt nie był jeszcze pewien co, ale wiedział, że chodzi o coś złego – coś, co sprawiło, że stojąca za tym wszystkim osoba chciała ściągnąć ich w takie miejsce.

Przeszedł przez salę i znalazł sobie stół w kącie. Rozejrzał się w nadziei, że zobaczy Olivię. Nie zobaczył. Trzy dziewczyny powoli wiły się na scenie. Próbował sobie wyobrazić tańczącą w ten sposób swoją piękną żonę, która sprawiała, że każdy, kto miał szczęście ją spotkać, czuł się wyróżniony. Dziwne, ale przyszło mu to bez trudu. I zamiast zbić go z tropu, sprawiło, że szokujące wyznania Olivii nagle stworzyły logiczną całość. To dlatego z takim zapałem robiła rzeczy, które większość ludzi uważa za zwyczajne, dlatego tak bardzo chciała mieć rodzinę, dom, mieszkać na przedmieściu. Tęskniła za tym, co dla nas jest normalnością i zarazem marzeniem. Teraz lepiej to rozumiał. Teraz miało to sens.

Miała rację: warto było walczyć o życie, które próbowali sobie ułożyć.

Podeszła kelnerka i Matt zamówił kawę. Potrzebował kofeinowego kopa. Przyniosła mu ją. Kawa była zaskakująco dobra. Sączył ją, przyglądał się dziewczynom i próbował połączyć niektóre fakty w logiczną całość. Nic mu nie wychodziło.

Wstał i zapytał, czy jest tu budka telefoniczna. Bramkarz, ospowaty grubas, wskazał mu kciukiem drogę. Matt miał kartę telefoniczną. Zawsze nosił taką przy sobie – zapewne jeszcze jedna korzyść z rad wyniesionych z więzienia. Chociaż rozmowę opłaconą taką kartą można wytropić, jednak potrzeba na to czasu. Można ustalić, gdzie została kupiona karta, a nawet kto ją

kupił. Czasem. Najlepszym przykładem jest ta historia z bombą podłożoną w Oklahomie, kiedy schwytano sprawcę posługującego się taką kartą. Później może stać się dowodem w sądzie, ale tym Matt już się nie przejmował.

Już wcześniej wyłączył swój telefon komórkowy. Gdyby tego nie zrobił, mogliby go znaleźć. W dzisiejszych czasach z łatwością można zlokalizować właściciela telefonu komórkowego, nawet jeśli z niego nie dzwoni. Matt wybrał 800, potem kierunkowy, a wreszcie zastrzeżony numer telefonu w biurze Kawusia.

– Mike Kier.

– To ja.

– Nie mów nic, czego nikt inny nie powinien usłyszeć.

– Zatem ty mów, Mike.

– Z Olivią wszystko w porządku.

– Zatrzymali ją?

– Nie. Ona... hm, wyjechała. Miło to słyszeć.

– I?

– Zaczekaj.

Oddał komuś słuchawkę.

– Cześć, Matt. Cingle.

– Rozmawiałam z tą twoją znajomą panią inspektor. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, ale musiałam chronić własny tyłek.

– W porządku.

– I tak nie powiedziałam niczego, co mogłoby ci zaszkodzić.

– Nie przejmuj się tym – powiedział.

Matt spoglądał w kierunku wejścia do klubu. Cingle zaczęła mówić jeszcze coś, coś o Darrowie i Talleyu, ale nagle zaszumiało mu w uszach.

O mało nie wypuścił z ręki telefonu, gdy zobaczył, kto właśnie wszedł do lokalu.

Loren Muse.

Loren Muse błysnęła odznaką grubasowi przy drzwiach.

– Szukam jednej z waszych tancerek. Nazywa się Kimmy Dale.

Grubas tylko na nią patrzył.

– Słyszałeś?

– Taak.

– I co?

– To, że to odznaka z New Jersey.

– I tak reprezentuję prawo. Grubas pokręcił głową.

– Jest pani poza obszarem swojej jurysdykcji.

– Co to, jesteś prawnikiem?

Grubas wycelował w nią palec.

– A to dobre. Żegnam.

– Powiedziałaś, że szukam Kimmy Dale.

– A ja powiedziałem, że to nie pani teren.

– Mam przyprowadzić kogoś z miejscowych? Wzruszył ramionami.

– Jeśli to cię rajcuje, kochana, czemu nie.

– Mogę wam narobić kłopotów.

– A to dobre. – Grubas uśmiechnął i stuknął się palcem w pierś. – Ale się boję.

Zadzwoił telefon komórkowy Loren. Odeszła na bok. Muzyka grała zbyt głośno. Loren przycisnęła aparat do prawego ucha, a lewe zatkała palcem. Zmrużyła oczy, jakby to miało poprawić słyszalność.

– Halo!

– Chcę zawrzeć z tobą umowę. To był Matt Hunter.

– Słucham.

– Poddam się tobie i tylko tobie. Pójdziemy gdzieś i zaczekamy do pierwszej w nocy.

– Dlaczego akurat do pierwszej?

– Uważasz, że zabiłem Darrowa albo Talleya?

– Z pewnością szukają cię i chcą przesłuchać.

– Nie o to pytam. Zapytałem, czy uważasz, że ich zabiłem. Zmarszczyła brwi.

– Nie, Matt. Nie sądzę, że miałeś z tym coś wspólnego. Myślę jednak, że twoja żona miała. Znam jej prawdziwe nazwisko. Wiem, że od dawna się ukrywała. Przypuszczam, że Max Darrow w jakiś sposób odkrył, że ona wciąż żyje. Prawdopodobnie chcieli ją dopaść, a ty zostałeś w to wplątany.

– Olivia jest niewinna.

– Tego nie jestem pewna.

– Moja propozycja jest nadal aktualna. Oddam się w twoje ręce. Pójdziemy gdzie indziej i porozmawiamy o tym do pierwszej w nocy.

– Pójdziemy gdzie indziej? Przecież nawet nie wiesz, gdzie jestem.

– Owszem – rzekł Matt. – Dobrze wiem, gdzie jesteś.

– Jak to?

Usłyszała trzask. Do licha, rozłączył się. Już miała nacisnąć klawisz powtórnego połączenia, kiedy ktoś klepnął ją w ramię. Odwróciła się, a on stał przed nią, jakby wyrósł spod ziemi.

– No i co – powiedział Matt. – Dobrze zrobiłem, że ci zaufałem?

Kiedy samolot wylądował, Cal Dollinger przejął dowodzenie. Yates był do tego przyzwyczajony. Większość ludzi brała Dollingera za mięśniaka, a Yatesa za mózg. W rzeczywistości ich partnerstwo bardziej przypominało sojusz polityczny. Adam Yates był kandydatem na najwyższy stołek i zawsze pozostawał czysty. Cal Dollinger był szarą eminencją, nie stronił od nieczystych zagrań.

– No już dzwoń – powiedział Dollinger. Yates zadzwonił do Teda Stevensa, agenta, któremu polecono śledzić Olivie Hunter.

– Cześć, Ted, nie zgubiłeś jej? – zapytał Yates.

– Nie.

– Gdzie ona jest?

– Nie uwierzycie. Pani Hunter wysiadła z samolotu i skierowała się prosto do lokalu striptizowego Eager Beaver.

– Jeszcze tam jest?

– Nie, wyszła z jakąś czarną striptizerką. Pojechałem za nimi na jakieś śmietnisko w zachodniej części miasta. Stevens podał im adres. Yates powtórzył go Dollingerowi.

– A więc Olivia Hunter jest teraz w tej przyczepie mieszkalnej? – spytał Yates.

– Tak.

– Jest tam ktoś jeszcze?

– Nie, tylko one.

Yates spojrział na Dollingera. Już wcześniej rozmawiali o tym, jak odsunąć Stevensa od tej sprawy i zrobić to, co trzeba.

– W porządku, Ted, dzięki. Możesz już je zostawić. Spotkaj się ze mną w biurze za dziesięć minut.

– Przejmie je ktoś inny? – zapytał Stevens.

– To nie jest konieczne – odparł Yates.

– O co tu chodzi?

– Olivia Hunter pracowała w klubach Zaczęsanego. Przesłuchaliśmy ją wczoraj.

– Dużo wie?

– Wystarczająco – powiedział Yates.

– A co robi z tą czarną laską?

– No cóż, obiecała nam, że namówi niejaką Kimmy Dale, czarną tancerkę pracującą w Eager Beaver, żeby również złożyła zeznania. Hunter twierdzi, że ta Dale też dużo wie. Dlatego daliśmy jej trochę luzu, żeby zobaczyć, czy zamierza dotrzymać słowa.

– Wygląda na to, że tak.

– Owszem.

– No to coś mamy.

Yates spojrział na Dollingera.

– Jeśli Zaczęsany się o tym nie dowie, to tak, chyba naprawdę coś mamy. Spotkamy się za dziesięć minut w biurze, Ted. Musimy porozmawiać.

Yates zakończył rozmowę. Byli już w holu lotniska i kierowali się do wyjścia. Szli ramię w ramię, jak zawsze od czasu szkoły podstawowej. Mieszkali blisko siebie w Henderson, na przedmieściu Las Vegas. Ich żony w college'u zajmowały jeden pokój i nadal były nierozłącznymi przyjaciółkami. Najstarszy syn Dollingera przyjaźnił się z córką Yatesa, Annę. Codziennie rano odwoził ją do szkoły.

– Musi być inny sposób – powiedział Yates.

– Nie ma.

– Przekraczamy granicę, Cal.

– Już nieraz to robiliśmy.

– Nie aż tak.

– Nie, nie tak – przyznał Cal. – Mamy rodziny.

– Wiem.

– Musisz to skalkulować. Po jednej stronie jedna osoba. Candace Potter, była striptizerka, zapewne była dziwka, która zadawała się z takimi szumowinami jak Clyde Rangor i Emma Lemay. To jedna strona równania, prawda?

Yates kiwnął głową, wiedząc, do czego to zmierza.

– Po drugiej stronie dwie rodziny. Dwóch mężów, dwie żony, troje twoich dzieci i dwoje moich. Ty i ja. Może nie jesteśmy niewinni, jednak pozostali są. Tak więc pozbawimy życia jedną byłą dziwkę, może dwie, jeśli nie zdołam jej odseparować od tej Kimmy Dale, albo pozwolimy zniszczyć życie siedmiu innych wartościowych osób.

Yates stał ze spuszczoną głową.

– My albo oni – powiedział Dollinger. – W tym wypadku rachunek jest prosty.

– Powinienem pojechać z tobą.

– Nie. Musisz być w biurze i porozmawiać z Tedem. Uwiarygodnić nasz scenariusz morderstwa. Kiedy znajdą ciało Hunter, będzie wyglądało na to, że załatwiła ją mafia, by zamknąć jej usta.

Wyszli na zewnątrz. Zapadała noc.

– Przepraszam – rzekł Yates.

– Wiele razy wyciągałeś mój tyłek z ognia, Adamie.

– Musi być jakiś inny sposób – powtórzył Yates. – Powiedz mi, że jest inny sposób.

– Jedź do biura – odparł Dollinger. – Zadzwoń do ciebie, kiedy będzie po wszystkim.

W przyczepie mieszkalnej Kimmy Dale unosił się zapach potpourri.

Ilekróć w ciągu ostatnich dziesięciu lat Olivia poczuła ten zapach, wracała myślami do tej przyczepy na przedmieściu Vegas. W nowym mieszkaniu Kimmy wciąż unosiła się ta woń. Olivia miała wrażenie, że przeniosła się w przeszłość.

Jeśli w pobliżu znajdowały się tory kolejowe, to ta okolica zdecydowanie leżała w gorszej części miasta. Siding przyczepy był w opłakanym stanie. Okna zabite dyktą. Przed wejściem zardzewiały samochód warował niczym porzucony pies. Piasek podjazdu był poplamiony olejem. Jednak wewnątrz przyczepy było czyste i urządzone ze smakiem i unosił się w nim ten zapach. Oczywiście, nie było tam nic kosztownego. Ale ładne poduszcзки i posążki świadczyły o dobrym guście.

Krótko mówiąc, dom.

Kimmy wzięła dwa kieliszki i butelkę wina. Usiadły na miękkiej kanapie i Kimmy napełniła kieliszki. Mruczała klimatyzacja. Kimmy odstawiła kieliszek. Wyciągnęła ręce i delikatnie ujęła w nie twarz Olivii.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – wyszeptwała.

A Olivia opowiedziała jej wszystko.

Zabrało jej to dobrą chwilę. Zaczęła od tego, jak źle się poczuła w klubie, wróciła wcześniej do przyczepy, znalazła ciało Cassandry i zaatakował ją Clyde. Kimmy uważnie słuchała. Nie odzywała się. Czasem zapłakała. Drżała. Jednak nie przerywała.

Kiedy Olivia powiedziała jej o umieszczonym w Internecie ogłoszeniu, zauważyła, że Kimmy zeszywniała.

– Co?

– Widziałam się z nią – powiedziała Kimmy. Olivia miała wrażenie, że ziemia rozstąpiła jej się pod nogami.

– Z moją córką?

– Przyszła tu – odparła Kimmy. – Do mojego domu.

– Kiedy?

– Dwa miesiące temu.

– Nie rozumiem. Przyszła tu? Po co?

– Powiedziała, że zaczęła szukać swojej biologicznej matki. No wiesz, z ciekawości. Jak to dzieci. Powiedziałam jej, jak umiałam najłagodniej, że nie żyjesz, ale ona już o tym wiedziała. Odparła, że chce znaleźć Clyde'a i pomścić cię, albo coś w tym rodzaju.

– Skąd mogła o nim wiedzieć?

– Mówiła... niech się zastanowię... Mówiła, że najpierw zwróciła się do tego policjanta, który

prowadził sprawę twojego zabójstwa.

– Do Maksa Darrowa?

– Właśnie, chyba tak się nazywał. Poszła do niego. Powiedział jej, że jego zdaniem zabił cię Clyde, ale nikt nie wie, gdzie Clyde się podział. – Kimmy pokręciła głową. – Po tylu latach. Ten sukinsyn od tylu lat nie żyje?

– Tak – potwierdziła Olivia.

– To jakby usłyszeć, że szatan umarł, rozumiesz? Rozumiała.

– Jak nazywa się moja córka?

– Nie powiedziała mi.

– Czy wyglądała na chorą?

– Chorą? Och, zczekaj. To ogłoszenie w Internecie. Nie, wyglądała na zdrową jak ryba. – Kimmy uśmiechnęła się. – Była ładna. Nieoślńiewająca, ale śliczna. Tak jak ty. Dałam jej to zdjęcie. No wiesz, to z nami odstawiającymi numer Sayers-Pić. Pamiętasz?

– Taak. Tak, pamiętam. Kimmy tylko pokręciła głową.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. To jak sen albo coś. Boję się, że zaraz znikniesz i obudzę się w tej zapchlonej dziurze sama.

– Jestem tu – zapewniła ją Olivia.

– I jesteś mężatką, na dodatek w ciąży. – Znowu pokręciła głową i uśmiechnęła się promiennie. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Kimmy, czy znasz niejakiego Charlesa Talleya?

– Mówisz o Challym? Stuknięty palant. Pracuje w klubie.

– Kiedy ostatnio go widziałas?

– Och, nie wiem. Co najmniej przed tygodniem. – Zmarszczyła brwi. – Czemu pytasz? Co ten drań ma z tym wspólnego?

Olivia milczała.

– O co chodzi, Candi?

– Oni nie żyją.

– Kto?

– Charles Talley i Max Darrow. W jakiś sposób byli w to wplątani. Nie wiem w jaki. Pojawienie się mojej córki naprowadziło ich na mój ślad. Pewnie to oni zamieścili to ogłoszenie w Internecie. – Olivia zmarszczyła brwi. Coś tu nie pasowało, ale na razie dała temu spokój. – Darrow chciał pieniędzy. Dałam mu pięćdziesiąt tysięcy. Charles Talley też był w to zamieszany.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Miałam dzisiaj się z kimś spotkać – powiedziała Olivia. – Mieli pokazać mi moją córkę. Tylko że teraz Darrow i Chally nie żyją. I ktoś wciąż szuka jakiejś kasety.

Kimmy znów wydłużyła się mina.

– Kasety?

– Kiedy Clyde mnie bił, wciąż pytał: „Gdzie jest ta kasetka?”. A dzisiaj...

– Zaczekaj chwilkę. – Kimmy podniosła rękę. – Clyde pytał cię o to?

– Tak.

– I dlatego zabił Cassandrę? Chciał znaleźć kasetę wideo?

– Chyba tak. Wściekał się, że nie może jej znaleźć. Kimmy zaczęła ogryzać paznokcie.

– Kimmy?

Jednak jej stara przyjaciółka tylko wstała i podeszła do stojącej w kącie szafki.

– Co robisz? – spytała Olivia.

– Wiem, dlaczego Clyde chciał mieć tę kasetę – oświadczyła Kimmy opanowanym głosem.

Otworzyła drzwi szafki. – I wiem, gdzie ona jest.

Matt zaprowadził Loren do stolika w ciemnym kącie Eager Beaver. Usiedli, gdy ABC zaczęli śpiewać The Look of Love. W sali było ciemno. Striptizerki nagle wydały się oddalone.

– Nie jesteś uzbrojona, prawda? – powiedział Matt.

– Nie miałam czasu starać się o zezwolenie.

– Ponadto jesteś tutaj nieoficjalnie.

– Co z tego?

Matt wzruszył ramionami.

– Gdybym chciał, pewnie mógłbym cię ogłuszyć i uciec.

– Jestem twardsza, niż wyglądam.

– Nie wątpię. Zawsze byłaś twarda.

– Ty nie. Skinął głową.

– No więc co wiesz o mojej żonie?

– Dlaczego ty nie zaczniesz, Mart?

– Ponieważ dotychczas to ja zrobiłem wszystko, żeby okazać ci zaufanie – odparł. – Ty nie.

– Racja.

– No i?

Loren zastanawiała się, ale niezbyt długo. Nie miała powodu się wahać. Szczerze wierzyła, że jest niewinny, a gdyby się myliła, dowody wykażą jego winę. Wtedy się już nie wykręci. Recydywiści nie mają na to szans.

– Wiem, że twoja żona naprawdę nazywała się Candace Potter.

Zacząła mówić. On też. Przerywał jej, zadając pytania i wyjaśniając niektóre sprawy. Kiedy Loren doszła do protokołu sekcji zwłok Candace Potter i ZNA, Matt zeszywniał i szeroko otworzył oczy.

– Powtórz to.

– Max Darrow zaznaczył fragment mówiący o tym, że ofiara miała ZNA.

– Czyli, jak powiedziałaś, była prawie obojnakiem?

– Tak jakby, owszem. Kiwnął głową.

– A więc w ten sposób Darrow na to wpadł.

– Na co wpadł?

– Na to, że Candace Potter żyje. Posłuchaj, moja żona w wieku piętnastu lat urodziła córkę. Dziecko zostało oddane do adopcji.

Teraz Loren pokiwała głową.

– I Darrow jakoś to odkrył.

– Właśnie.

– A potem przypomniał sobie ten fragment protokołu, w którym była mowa o ZNA. Jeśli Candace Potter była kiedyś w ciąży...

– To nie mogła być tą, która została zamordowana – dokończył Matt.

– Twoja żona ma się dzisiaj spotkać tu z córką?

– O północy.

– Dlatego zawarłeś ze mną taką umowę. Do pierwszej godziny. Żeby twoja żona mogła spotkać się z córką.

– Właśnie – potwierdził Matt.

– Ładnie z twojej strony. Takie poświęcenie.

– Tak, jestem prawdziwym księciem, tylko... – Matt urwał. – O Chryste, przypomnij sobie, co przed chwilą mówiliśmy. To pułapka. Nie może być inaczej.

– Nie nadążam.

– No dobrze, powiedzmy, że jesteś Maksem Darrowem. Załóżmy, że odkryłaś, że Candace Potter żyje i ukrywa się. Jak znaleźć ją po tylu latach?

– Nie wiem.

– Trzeba ją jakoś zwabić, no nie?

– Pewnie tak.

– Jak? Zmuszając, żeby sama się ujawniła. Zamieszczasz w sieci ogłoszenie, że jej dawno utraconej córce śmierć zagląda w oczy. Jako były policjant może dowiedzieć się, jaki to był szpital, miasteczko, lekarz. Może nawet poznać aktualne personalia adoptowanej córki.

– Ryzykowne – zauważyła Loren.

– Dlaczego ryzykowne?

– Czemu miałby zakładać, że ona surfuje po sieci w poszukiwaniu swego dawnego nazwiska? Zastanowił się.

– Nie jestem pewien. Oczywiście nie ograniczasz się wyłącznie do tego. Próbujesz sprawdzić stare tropy. Krok po kroku powtarzasz całe śledztwo. Jednak jeśli ona gdzieś tam jest, jeżeli ma komputer jak prawie każdy w wolnym świecie, może czasem z ciekawości wprowadza do Google'a swoje nazwisko. Wtedy musi natrafić na to ogłoszenie, no nie?

Loren zmarszczyła brwi. Matt też. Niepokoiła go ta sama myśl.

– Te zdjęcia przesłane mi przez telefon – rzekł.

– Co z nimi?

Zastanawiał się, jak to ująć, gdy przy ich stoliku pojawiła się kelnerka.

– Jeszcze jednego drinka?

Matt wyjął portfel. Wyciągnął z niego dwudziestodolarowy banknot i pokazał jej.

– Znasz Kimmy Dale? Zawahała się.

– Chcę tylko usłyszeć tak lub nie – rzekł Matt. – Dwadzieścia dolców.

– Tak.

Wręczył jej dwudziestkę i wyjął następną.

– Jest tutaj?

– Znów tak czy nie?

– Właśnie.

– Nie.

Dał jej banknot. Wyjął jeszcze trzy.

– Dostaniesz je, jeśli mi powiesz, gdzie ona jest. Kelnerka zastanawiała się. Matt trzymał pieniądze tak, żeby mogła je zobaczyć.

– Kimmy może być w domu. Chcę powiedzieć, że to było dziwne. Powinna zejść ze zmiany dopiero o jedenastej, ale już godzinę temu zmyła się z jakąś kobietą.

Loren spojrzała na Matta, lecz on nawet nie mrugnął okiem. Zachował kamienną twarz. Wyjął następną dwudziestkę. Wyjął również zdjęcie Olivii.

– Czy to z nią wyszła Kimmy?

Kelnerka nagle się przestraszyła. Nie odpowiedziała. Nie musiała. Loren już wstała i ruszyła do drzwi. Matt upuścił banknot na stół i poszedł za nią.

– Co jest? – zapytał.

– Chodź! – zawołała Loren. – Mam już adres Kimmy Dale.

Kimmy włożyła kasetę do magnetowidu.

– Powinam była wiedzieć – powiedziała. Olivia siedziała na kanapie i czekała.

– Pamiętasz tę szafkę w kuchni? – zapytała Kimmy.

– Tak.

– Trzy, może cztery tygodnie po twojej śmierci kupiłam dużą puszkę oleju jadalnego. Wzięłam drabinę, żeby postawić go na najwyższej półce i za górną krawędzią framugi zobaczyłam... – Ruchem brody wskazała na magnetowid. – Była przyklejona taśmą izolacyjną.

– Obejrzałaś ją?

– Tak – odparła cicho. – Powinam... sama nie wiem... pozbyć się jej. Oddać ją policji albo co.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś? Kimmy tylko wzruszyła ramionami.

– Co na niej jest?

Wydawało się, że zamierza wyjaśnić, ale potem tylko pokazała ręką na ekran.

– Patrz.

Olivia siedziała. Kimmy kręciła się po pokoju, wyłamując palce, nie patrząc na ekran. Przez kilka sekund był na nim tylko biały szum. Potem pojawiła się aż nazbyt znana scena.

Sypialnia.

Film był czarno-biały. W rogu widniała data i czas. Na skraju łóżka siedział mężczyzna. Nie

poznała go.

Męski głos szepnął:

– To jest pan Alexander.

Pan Alexander – jeśli naprawdę tak się nazywał – zaczął się rozbierać. Po prawej stronie ekranu pojawiła się kobieta i zaczęła mu pomagać.

– Cassandra – powiedziała Olivia.

Kimmy kiwnęła głową. Olivia zmarszczyła brwi.

– Clyde filmował klientów?

– Tak – powiedziała Kimmy. – W specyficzny sposób.

– Dlaczego specyficzny?

Para na ekranie była już naga. Cassandra siedziała na mężczyźnie. Wyginała się. Miała otwarte usta. Słysząc było jej okrzyki udawanej rozkoszy, które nie brzmiałyby bardziej fałszywie, gdyby wydawała je postać z kreskówki.

– Chyba widziałam już dość – powiedziała Olivia.

– Nie – zaprzeczyła Kimmy. – Nie sędzę.

Nacisnęła przycisk szybkiego podglądu. Postacie na ekranie zaczęły się poruszać szybciej. Zmiany pozycji i ról. Nie trwało to długo. Mężczyzna skończył i ubrał się w mgnieniu oka. Kiedy opuścił pokój, Kimmy puściła przycisk. Taśma zwolniła do normalnej prędkości.

Cassandra podeszła bliżej kamery. Uśmiechnęła się do obiektywu. Olivia zaczęła oddychać nieco szybciej.

– Spójrz na nią, Kimmy. Była taka młoda. Kimmy przestała krążyć po pokoju. Przyłożyła palec do ust, a potem wskazała na ekran. Usłyszały męski głos.

– To pamiątka dla pana Alexandra. Olivia skrzywiła się. Mówiącym chyba był Clyde Rangor, który próbował zmienić swój głos.

– Dobrze się bawiłaś, Cassandro?

– Bardzo dobrze – odparła beznamietnie Cassandra. – Pan Alexander był po prostu świetny.

Nastąpiła krótka przerwa. Cassandra oblizwała wargi i zerknęła na kogoś, kto był poza kadrem, jakby czekała na jakiś znak. Najwidoczniej zaraz go otrzymała.

– Ile masz lat, Cassandro?

– Piętnaście.

– Na pewno?

Cassandra kiwnęła głową. Ktoś spoza kadru podał jej kartkę papieru.

– W zeszłym tygodniu skończyłam piętnaście. Oto moja metryka.

Podsunęła dokument przed obiektyw. Przez moment obraz był niewyraźny, potem wyostrzył się. Cassandra trzymała metrykę prawie przez trzydzieści sekund. Urodzona w Mercy Medical Center w Nampie, Idaho. Rodzicami byli Mary i Sylvester. Daty były wyraźnie widoczne.

– Pan Alexander powiedział, że chce czternastoletnią – powiedziała Cassandra, jakby po raz pierwszy czytała ten tekst z kartki – ale potem powiedział, że mogę to być ja.

Ktoś wyłączył kamerę.

Olivia siedziała i milczała. Kimmy też. Dopiero po chwili dotarło do niej, co zrobił Clyde Rangor.

– Mój Boże – szepnęła. Kimmy skinęła głową.

– Clyde nie tylko szantażował ich, filmując stosunki z prostytutkami – powiedziała Olivia. – Podsuwał im nieletnie dziewczyny. Na dowód miał świadectwa urodzenia. A nawet sugerował, że to frajerzy domagali się nieletnich, ale tak czy inaczej, nawet gdyby twierdzili, że uważali je za osiemnastoletnie, popełnili poważne przestępstwo. Temu facetowi, panu Alexandrowi, ujawnienie tego filmu groziło nie tylko kompromitacją. Byłby skończony. Poszedłby do więzienia.

Kimmy znów kiwnęła głową.

Na ekranie znowu pojawił się obraz.

– To jest pan Douglas – szepnął głos. Olivia poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

– Och nie.

– Candi?

Przysunęła się do ekranu. Ten mężczyzna. Ten mężczyzna na łóżku. Nie było cienia wątpliwości. Panem Douglasem był Adam Yates. Olivia patrzyła jak skamieniała. Cassandra znów weszła do pokoju. Pomogła mu się rozebrać. A więc to tak. To dlatego Clyde był tak zdesperowany. Sfilmował agenta federalnego wysokiej rangi. Pewnie o tym nie wiedział – bo nawet Clyde Rangor nie byłby taki głupi – i kiedy próbował go szantażować, sprawy przybrały fatalny obrót.

– Znasz go? – zapytała Kimmy.

– Tak – powiedziała Olivia. – Niedawno go spotkałam. Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem. Olivia i Kimmy odwróciły głowy w kierunku wejścia.

– Co do...? – krzyknęła Kimmy. Cal Dollinger zamknął za sobą drzwi, wyjął pistolet i wycelował.

Loren miała wypożyczony samochód.

– Jak myślisz, co się właściwie stało? – zapytał Matt. – Darrow wprowadził to wszystko w ruch?

– Bardzo prawdopodobne – przyznała. – Darrow jakoś dowiaduje się, że twoja żona miała córkę. Przypomina sobie protokół z sekcji zwłok. Potem zaczyna się domyślać, co naprawdę się stało. Wie, że były w tym jakieś pieniądze. Wynajmuje mięśniaka, żeby pomógł mu je zdobyć.

– Czyli Charlesa Talleya?

– Właśnie, Talleya.

– I myślisz, że to on znalazł Olivie, kiedy odpowiedziała na to ogłoszenie w Internecie?

– Tak, ale... – Loren urwała.

– Co?

– Najpierw znaleźli Emmę Lemay.

– Czyli siostrę Mary Rosę.

– Tak.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Może próbowała odkupić swoje winy. No wiesz, znam całą jej historię od matki przełożonej. Siostra Mary Rosę wiodła cnotliwe i skromne życie, od kiedy zmieniła nazwisko. Może, nie wiem, może ona też natrafiła na to ogłoszenie.

– I próbowała pomóc?

– Tak. To mogłoby wyjaśnić tę sześciominutową rozmowę między St Margarefs a domem twojej bratowej.

– Chciała ostrzec Olivie?

– Niewykluczone, nie wiem. Ale prawdopodobnie najpierw znaleźli Emmę Lemay. Policyjny patolog mówi, że była torturowana. Może szukali pieniędzy. A może chcieli wiedzieć, jak się teraz nazywa Candace Porter. Tak czy inaczej, Emma Lemay zginęła. A kiedy próbowałam ustalić jej tożsamość, ktoś się zaniepokoił.

– Ten facet z FBI. Yates. To on?

– Tak. A może wiedział już o Emmie Lemay. Może wykorzystał to jako pretekst, żeby przylecieć tu i przejąć sprawę. Nie jestem pewna.

– Ale uważasz, że Yates próbuje coś zatuszować?

– Mam informatora, który powiedział mi o używaniu do szantażu filmów z nieletnimi dziewczętami. Nie był pewien, czy to prawda. Jednak jeśli tak, to owszem, sądzę, że on jest w to zamieszany. Myślę, że odsunął mnie od sprawy, ponieważ byłam zbyt blisko prawdy. Teraz jest w Reno.

Matt spojrzął przed siebie.

– Daleko jeszcze?

– Za następną przecznicą.

Samochód minął róg, gdy Loren zauważyła przyczepę mieszkalną i Cala Dollingera. Pochylał się, zaglądając przez okno. Przydepnęła hamulec.

– Niech to szlag.

– Co jest?

– Potrzebna nam broń.

– Dlaczego? Co się stało?

– To człowiek Yatesa. Ten przy oknie.

Dollinger wyprostował się. Zobaczyli, jak sięga pod marynarkę i wyciąga broń. Z zaskakującą u człowieka o jego posturze szybkością Dollinger dopadł drzwi, pchnął je i znikł w środku.; Matt nie wahał się ani chwili.

– Zaczekaj, dokąd?

Nie odwrócił się i nie zwolnił kroku. Pobiegł w kierunku przyczepy. Przez okno widział jej wnętrze. Olivia tam była.

Nagle wstała i podniosła ręce. Inna kobieta – domyślił się, że to Kimmy Dale – też tam była. Otworzyła usta do krzyku. Dollinger trzymał je na muszce.

Strzelił.

Och nie...!

Kimmy upadła. Olivia zniknęła mu z oczu. Matt nie zatrzymał się. Dollinger stał niedaleko okna. Z całym impetem, wiedząc, że nie ma ani sekundy do stracenia, Matt rzucił się na okno. Przyciągnął brodę do klatki piersiowej i osłonił głowę rękami.

Szybka rozleciała się z zaskakującą łatwością.

Matt ugiął nogi. Wylądował na kawałkach szkła i znów nie zawahał się ani na moment. Dollinger wciąż trzymał w ręku broń. Lekko otworzył usta ze zdziwienia. Matt nie chciał stracić przewagi zaskoczenia. Skoczył na niego.

Jakby rzucił się na cementowy blok. Dollinger ledwie się zachwiał.

– Uciekaj! – krzyknął Matt.

Dopiero wtedy Dollinger zareagował. Chciał wycelować w Matta, który oburącz chwycił go za nadgarstek. Zaczął ciągnąć. Dollinger też. I chociaż Matt robił to dwiema rękami, a Dollinger jedną, Matt przegrywał ten pojedynek. Wolną ręką Dollinger uderzył Matta hakiem w żebra. Matt poczuł przeszywający ból i powietrze ze świstem uszło mu z płuc. Chciał upaść, żeby wic się na podłodze.

Nie mógł.

Ponieważ była tu Olivia.

Dlatego z całej siły ścisnął przegub tamtego.

Następne uderzenie w żebra. Mgła zasnuła mu oczy. Zaczął zapadać się w ciemność, tracić przytomność, rozluźniać chwyt.

Ktoś krzyknął:

– Stój! Policja! Rzuć broń!

To była Loren Muse.

Dollinger puścił go. Matt osunął się na podłogę. Jednak tylko na moment. Spojrzał na Dollingera. Ten miał dziwną minę. Rozglądał się.

Nigdzie nie było widać Loren Muse.

Matt wiedział, co się teraz stanie, Dollinger zacznie się zastanawiać, dlaczego ona się nie pokazuje. Przypomni sobie, że dopiero co przyleciała z Newark, że jest inspektorem prokuratury okręgowej i nie wolno jej podróżować z bronią.

Zrozumie, że Loren nie ma broni. Przejrzy jej bluff.

Olivia czołgała się do Kimmy Dale. Matt spojrzał na nią. Popatrzyli sobie w oczy.

– Uciekaj – wypowiedział niemo. Znow spojrzał w górę, na Dollingera. Ten już dodał dwa do dwóch. Ponownie wycelował w Olivię.

– Nie! – krzyknął Matt.

Podkurczył nogi i wyprostował je jak dwa tłoki. Wiedział coś o prawdziwych bójkach. Wiedział, że sprawny duży mężczyzna niemal zawsze pokona sprawnego małego mężczyznę. Ale nie chodziło mu o zwycięstwo. Chciał uratować życie żonie. Wystarczy, jeśli na moment odwróci uwagę przeciwnika, żeby Olivia mogła uciec.

I wiedział jeszcze coś.

Nawet najwięksi, najsilniejsi ludzie mają słabe punkty, tak jak wszyscy.

Matt wygiął palce do uderzenia nasadą dłoni. Zerwał się z podłogi i uderzył Dollingera w krocze. Olbrzym głośno sapnął i zgiął się wpół, jednak zdążył jeszcze chwycić Matta. Ten próbował się wyprostować. Dollinger był za ciężki.

Wrażliwe miejsca, pomyślał Matt. Mierz w czułe miejsca.

Uderzył głową. Trafił Dollingera w nos. Dollinger zawył i wyprostował się. Matt zerknął na żonę.

Co ona...?

Olivia nie uciekła. Nie mógł w to uwierzyć. Wciąż była przy Kimmy, robiąc coś przy nodze przyjaciółki, gorączkowo próbując – jak sądził – powstrzymać krwotok.

– Wynoś się stąd! – wrzasnął.

Dollinger doszedł do siebie. Wycelował broń w Matta.

Loren Muse nagle wyrosła za Dollingerem i z krzykiem skoczyła mu na plecy. Chwyliła go rękami za twarz. Olbrzym zatoczył się w tył, krwawiąc z nosa i ust. Jak wierzgający koń, strząsnął z siebie Loren. Z łoskotem uderzyła o ścianę. Matt skoczył.

Mierz we wrażliwe...

Próbował wbić Dollingerowi palce w oczy, ale nie zdołał. Nie sięgnął. Zaciśnął je na szyi wielkoluda.

Tak jak kiedyś.

Tak jak przed laty, w miasteczku uniwersyteckim w Massachusetts, na szyi Stephena McGratha.

Matt nie zawahał się.

Ścisnął ze wszystkich sił. Wbił kciuk w krtań. I ścisnął jeszcze mocniej.

Dollingerowi oczy wyszły na wierzch. Ale miał teraz wolne ręce. Zaczął kierować broń w głowę Matta. Matt jedną ręką puścił jego szyję. Próbował wytrącić mu pistolet. Broń mimo to wypaliła. Coś gorącego wbiło się w ciało Matta tuż nad biodrem.

Nogi ugięły się pod nim. Puścił Dollingera.

Ten już znów zdążył w niego wycelować. Spojrzał Mattowi w oczy i zaczął ściągać spust.

Padł strzał.

Dollinger jeszcze bardziej wybałuszył oczy. Kula trafiła go w skroń. Olbrzym osunął się na podłogę. Matt błyskawicznie odwrócił się i spojrzał na żonę.

W rękę miała mały pistolet. Matt na czworakach podpełznął do niej. Oboje popatrzyli na Kimmy Dale, która wcale nie dostała w nogę. Krew płynęła jej z rany tuż poniżej łokcia.

– Pamiętałaś – powiedziała Kimmy. Olivia uśmiechnęła się.

– O czym? – zapytał Matt.

– Jak ci mówiłam – odparła Olivia. – Kimmy zawsze trzymała broń w bucie. Potrzebowałam tylko kilku sekund, żeby ją wyjąć.

Loren Muse siedziała naprzeciw Harrisa Grimesa, zastępcy dyrektora naczelnego filii FBI w Los Angeles. Grimes należał do jednego z najważniejszych funkcjonariuszy w tym rejonie i wcale nie był teraz szczęśliwy.

– Zdaje sobie pani sprawę, że Adam Yates to mój przyjaciel – odezwał się.

– Powiedział mi pan to już trzy razy – odparła Loren.

Korzystali z pokoju na drugim piętrze Washoe Medical Center w Reno. Grimes zmrużył oczy i przygryzł dolną wargę.

– Czyżby była pani niesubordynowana, Muse?

– Już trzy razy mówiłam, co się stało.

– I powie pani jeszcze raz. Teraz.

Zrobiła to. Było sporo do opowiadania. Trwało to kilka godzin. Sprawa jeszcze nie była zamknięta. Wciąż brakowało odpowiedzi na wiele pytań. Yates znikł. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Jednak Dollinger nie żył. Loren dowiedziała się, że on również był bardzo lubiany przez kolegów.

Grimes wstał i potarł brodę. W pokoju byli inni agenci, wszyscy z notatnikami, wszyscy mieli opuszczone głowy i pilnie notowali. Już wiedzieli. Nikt nie chciał w to uwierzyć, ale kasetę wideo z Yatesem i Cassandrą mówiła sama za siebie. Niechętnie zaczęli akceptować teorię Loren. Po prostu nie podobało im się to.

– Nie domyśla się pani, gdzie mógł się podziać Yates? – zapytał Grimes.

– Nie.

– Po raz ostatni widziano go w naszym biurze na Kietzke Lane w Reno około piętnastu minut przed wypadkami w przyczepie pani Dale. Spotkał się tam z agentem specjalnym Tedem Stevensenem, któremu kazano śledzić Olivie Hunter po jej przybyciu na lotnisko.

– Właśnie. Mówił mi pan to. Mogę już odejść? Grimes odwrócił się do niej plecami i machnął ręką.

– Zejdź mi z oczu, Muse.

Wstała i zeszła po schodach na pierwsze piętro, na oddział urazowy. Olivia Hunter siedziała w rejestracji.

– Hej – powiedziała Loren.

– Cześć. – Olivia zdołała się uśmiechnąć. – Właśnie przyszłam sprawdzić, jak się czuje Kimmy.

Olivia nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. Kimmy Dale kończyła rozmowę na drugim końcu korytarza. Miała rękę na temblaku. Kula ominęła kość, ale poważnie uszkodziła mięśnie. Rana była bolesna i będzie wymagała wielu godzin rehabilitacji. Ale w obecnych

czasach, kiedy pacjentów jak najszybciej chcą się pozbyć ze szpitala – sześć dni po tym, jak rozcięto klatkę piersiową Billowi Clintonowi, wygłaszał mowę na swoim podwórku – błyskawicznie skończyli zadawać pytania i powiedzieli Kimmy, że może iść do domu, ale „powinna pozostać w mieście”.

– Gdzie Matt? – spytała Loren.

– Właśnie opuścił chirurgię – odparła Olivia.

– Jak przebiegł zabieg?

– Lekarz powiedział, że nic mu nie będzie.

Kula z pistoletu Dollingera otarła się o szyjkę kości udowej Matta tuż poniżej stawu biodrowego. Lekarze musieli wkręcić tam kilka śrub. Drobnny zabieg, powiedzieli. Za dwa dni będzie na nogach.

– Powinnaś odpocząć – zauważyła Olivia.

– Nie mogę – odparła Loren. – Jestem zbyt spięta.

– Tak, ja też. Może usiądziesz przy łóżku Matta, na wypadek gdyby się obudził? Ja tylko zajmę się Kimmy i zaraz wracam na górę.

Loren wjechała windą na trzecie piętro. Usiadła przy łóżku Matta. Myślała o tej sprawie, o Adamie Yatesie, o tym, gdzie jest i co może zrobić.

Kilka minut później Matt zamrugał i otworzył oczy. Spojrzał na nią.

– Hej, bohaterze – powiedziała Loren. Matt zdołał się uśmiechnąć. Obrócił głowę.

– Olivia?

– Jest na dole z Kimmy.

– Czy Kimmy...?

– Nic jej nie będzie. Olivia tylko pomaga jej się pozbierać. Zamknął oczy.

– Jest coś, o co chciałbym cię prosić.

– Czemu teraz nie odpoczniesz?

Matt pokręcił głową. Powiedział słabym głosem:

– Chcę, żebyś zdobyła dla mnie kilka rejestrów rozmów telefonicznych.

– Teraz?

– Te materiały – rzekł. – Zdjęcie. Film. To wszystko wciąż nie ma sensu. Dlaczego Yates i Dollinger mieliby robić te zdjęcia?

– Nie robili. To Darrow.

– Po co... – Znów zamknął oczy. – Po co miałby to robić?

Loren zastanawiała się nad tym. Nagle Matt szeroko otworzył oczy.

– Która godzina? Spojrzała na zegarek.

– Jedenasta trzydzieści.

– W nocy?

– Oczywiście.

I wtedy Loren sobie przypomniała. Spotkanie o pomocy. W Eager Beaver. Szybko chwyciła telefon komórkowy i zadzwoniła do rejestratorki oddziału urazowego.

– Mówi inspektor Muse. Kilka minut temu byłam na dole z niejaką Olivią Hunter. Czekala na pacjentkę, Kimmy Dale.

– Zgadza się – powiedziała rejestratorka. – Widziałem panią.

– Są tam jeszcze?

– Kto, panna Dale i panna Hunter?

– Tak.

– Nie, wyszły zaraz po pani odejściu.

– Wyszły?

– Do taksówki.

Loren odłożyła słuchawkę.

– Odjechały.

– Daj mi telefon – poprosił Matt, wciąż leżąc na plecach. Przyłożyła mu telefon do ucha. Matt podał jej numer komórki Olivii. Telefon zadzwonił trzy razy, zanim Matt usłyszał głos żony.

– To ja – powiedział.

– Nic ci nie jest? – spytała Olivia.

– Gdzie jesteś?

– Wiesz gdzie.

– Wciąż myślisz...

– Dzwoniła do mnie, Matt.

– Co?

– Zadzwoniła na komórkę Kimmy. Albo ktoś inny to zrobił. Powiedziała, że spotkanie jest nadal aktualne, tylko bez glin, mężów, nikogo. Jedziemy tam teraz.

– Olivio, to na pewno zasadzka. Przecież wiesz.

– Nic mi nie będzie.

– Loren już tam jedzie.

– Nie. Proszę, Matt. Wiem, co robię. Proszę. A potem Olivia się rozłączyła.

**23.50 EAGER BEAVER RENO,
NEVADA**

Kiedy Olivia i Kimmy przybyły na miejsce, grubas przy drzwiach wskazał na Kimmy.

– Wyszłaś za wcześnie. Masz kilka godzin do odpracowania – oświadczył.

Kimmy pokazała mu rękę na temblaku.

– Jestem ranna.

– I co, nie możesz się rozebrać?

– Poważnie?

– Pewnie. – Wskazał na swoją twarz. – Widzisz, jak poważnie. Niektórych facetów kręca takie rzeczy.

– Ręka w gipsie?

– Jasne. Są tacy, których podniecają amputowane kończyny.

– Niczego mi nie amputowano.

– Hej, niektórym staje nawet na wietrze, wiesz? – Grubas zatarł ręce. – Znałem kiedyś takiego, którego rajcował zapach brudnych stóp. Stóp.

– Pięknie.

– Kim jest twoja przyjaciółka?

– Nikim. Wzruszył ramionami.

– Pytała o ciebie jakaś policjantka z New Jersey.

– Wiem. Już wszystko w porządku.

– Chcę, żebyś wystąpiła. Z ręką na temblaku.

Kimmy popatrzyła na Olivię.

– Wiesz co, może ze sceny będę lepiej widziała. Nikt nie zwróci na mnie uwagi. Olivia kiwnęła głową.

– Jak chcesz.

Kimmy zniknęła na zapleczu. Olivia usiadła przy stole. Nie obserwowała tłumu. Nie szukała w twarzach tancerek rysów swojej córki. W głowie kłębiły jej się rozmaite myśli. Czuła smutek, przytłaczający smutek.

Daj spokój, pomyślała. Odejdź.

Była w ciąży. Jej mąż leżał w szpitalu. Miała teraz inne życie. To była przeszłość. Powinna zostawić ją w spokoju.

Jednak nie mogła tego zrobić.

Olivia znów pomyślała o tym, jak maltretowane dzieci zawsze zdradzają autodestrukcyjne skłonności. Po prostu nie potrafią się powstrzymać. Robią to, nie bacząc na konsekwencje, nie

zważając na niebezpieczeństwo. A może, tak jak w jej przypadku, robią to z wręcz przeciwnego powodu – ponieważ życie usiłuje je stłamsić, nie potrafią się wyzbyć nadziei.

Czy naprawdę nie było cienia szansy, że tej nocy odnajdzie dziecko, które przed laty oddała do adopcji?

Kelnerka podeszła do jej stolika.

– Pani Candace Potter? Bez wahania odpowiedziała:

– Tak, to ja.

Dziewczyna wręczyła jej karteczkę i odeszła. Wiadomość była zwięzła i jasna:

Idź zaraz do pokoju B. Zaczekaj dziesięć minut.

Szła jak pijana. Kręciło jej się w głowie. Ścisnęło ją w żołądku. Potrąciła jakiegoś mężczyznę i powiedziała „przepraszam”, na co on odpowiedział: „Cała przyjemność po mojej stronie, mała”. Jego koledzy przyjęli to pohukiwaniem. Olivia poszła dalej. Dotarła na zaplecze. Znalazła drzwi oznaczone literą „B”, te same, za którymi była kilka godzin wcześniej.

Otworzyła je i weszła do środka. Zadzwoił jej telefon komórkowy. Odebrała i powiedziała „halo”.

– Nie rozłączaj się. Dzwonił Matt.

– Jesteś w klubie?

– Tak.

– Uciekaj stamtąd. Chyba wiem, co się dzieje...

– Cii.

– Co?

Olivia rozplakała się.

– Kocham cię, Matt.

– Olivio, cokolwiek myślisz, proszę, po prostu...

– Kocham cię bardziej niż cokolwiek na świecie.

– Posłuchaj. Wyjdź...

Rozłączyła się i wyłączyła telefon. Stała twarzą do drzwi. Minęło pięć minut. Wciąż stała, nie ruszając się, nie kołyszac, nie rozglądając. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – powiedziała.

I drzwi się otworzyły.

Chociaż Matt bardzo chciał, nie mógł podnieść się z łóżka.

– Idź! – powiedział do Loren.

Połączyła się przez radio z policją w Reno i pobiegła do samochodu. Była trzy kilometry od Eager Beaver, gdy zadzwoniła jej komórka. Odebrała i warknęła:

– Muse.

– Zatem wciąż jesteś w Reno?

To był Adam Yates. Mówił niewyraźnie.

– Jestem.

– Czy wszyscy wychwalają twój geniusz?

– Powiedziałabym, że wprost przeciwnie. Yates zachichotał.

– Niestety, zawsze mnie uwielbiali. Niewątpliwie był wstawiony.

– Powiedz mi, gdzie jesteś, Adamie...

– Mówiłem prawdę. Wiesz o tym, no nie?

– Jasne, Adamie. Wiem.

– O tym, że grozili mojej rodzinie. Nie mówiłem tego dosłownie. Dla mojej żony, dzieci, pracy ta kasetka była jak armata. Wielka lufa wycelowana w nas wszystkich, rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak – powiedziała Loren.

– Pracowałem jako tajny agent, udając bogatego handlarza nieruchomości. Dlatego Clyde Rangor uznał mnie za idealną ofiarę. Nie miałem pojęcia, że ta dziewczyna jest nieletnia musisz mi uwierzyć.

– Gdzie jesteś, Adamie? Zignorował to pytanie.

– Ktoś zadzwonił. Zażądał pieniędzy w zamian za kasetę. Razem z Cal'em pojechaliśmy zobaczyć się z Rangorem. Mocno go przycisnęliśmy. Ach, kogo chcę oszukać? To Cal go przycisnął. Był dobrym człowiekiem, ale czasem go ponosiło. Kiedyś zatłukł podejrzanego. Wtedy uratowałem mu tyłek. On ocalił mój, ja jego. Tak rodzi się przyjaźń. Teraz nie żyje, prawda?

– Tak.

– Niech to szlag. – Zaczął płakać. – Cal pobił Emmę Lemay. Mocno uderzył ją w nerki. To było ostrzeżenie. Weszliśmy i myślałem, że idziemy tylko pogadać, a on od razu łapie Lemay i obrabia jej plecy jak worek treningowy. Rangora to specjalnie nie obeszło. Sam też tłukł ją do nieprzytomności. Była zadowolony, że oberwała ona, nie on, wiesz?

Loren już prawie wjeżdżała na parking.

– No i Rangor zsikał się w gacie. Dosłownie. Był tak przerażony, że podbiegł do swojej

szafy, żeby oddać nam tę kasetę. Tylko że jej tam nie było. To dziewczyna, powiedział, ta, co była na filmie. Miała na imię Cassandra. Twierdził, że to ona ją ukradła. Obiecał, że ją odzyska. Cal i ja doszliśmy do wniosku, że wystarczająco napędziliśmy mu stracha. Zrobi, co mu każemy. A tymczasem Rangor, Lemay i ta cała Cassandra znikli. Mijają lata. Wciąż o tym myślę. Myślę o tym codziennie. Aż tu nagle dzwonią do nas z NCIC. Znaleziono ciało Lemay. I wszystko powraca. Tak jak zawsze się tego spodziewałem.

– Adamie, jeszcze nie jest za późno.

– Tak, jest.

Zatrzymała wóz na parkingu.

– Wciąż masz przyjaciół.

– Wiem. Dzwoniłem do nich. Dlatego dzwonię do ciebie.

– Słucham?

– Grimes zniszczy tę kasetę.

– O czym ty mówisz?

– Gdyby to wyszło na jaw, zniszczyłoby moją rodzinę.

A także wszystkich innych facetów na tej kasecie. Byli ofiarami, wiesz.

– Nie możecie tak po prostu zniszczyć tej kasety.

– Nikomu nie jest już potrzebna. Grimes i jego ludzie zrobią to dla mnie. Potrzebują tylko twojej zgody. Nagle zrozumiała, co Yates zamierza zrobić. Przeraziła się.

– Zaczekaj, Adamie, posłuchaj mnie.

– Cal i ja zginiemy w strzelaninie.

– Adamie, nie rób tego. Musisz mnie wysłuchać.

– Grimes to załatwi.

– Pomyśl o swoich dzieciach...

– Myślę. Nasze rodziny otrzymają renty w pełnej wysokości.

– Mój ojciec, Adamie. – Łzy ciekły po policzkach Loren. – On się zabił. Proszę, nie masz pojęcia, jaki to ma... On jednak nie słuchał.

– Musisz zatrzymać to dla siebie, dobrze? Jesteś dobrym detektywem. Jednym z najlepszych. Proszę, zrób to dla moich dzieci.

– Do diabła, Adamie, posłuchaj mnie!

– Żegnaj, Loren.

I rozłączył się.

Loren Muse wyłączyła silnik. Wyszła z samochodu, płacząc i klęcząc, i była pewna, że w oddali usłyszała głuchy huk wystrzału.

Otworzyły się drzwi pokoju B. Olivia czekała.

Kiedy do pokoju weszła Kimmy, obie kobiety tylko popatrzyły na siebie. Obie miały łzy w oczach. Tak jak zaledwie kilka godzin wcześniej.

Teraz jednak było zupełnie inaczej.

– Wiedziałaś – powiedziała Kimmy. Olivia potrząsnęła głową.

– Domyślałam się.

– Jak?

– Udawałaś, że nie znałaś Maksa Darrowa. A kiedyś należał do twoich klientów. Jednak najważniejsze było to, że wszyscy myślą, iż to Darrow umieścił to ogłoszenie w Internecie. Ale on nie mógł wiedzieć, że ono mnie zmusi do ujawnienia się. Tylko ktoś, kto mnie dobrze znał, moja najlepsza przyjaciółka, zdawał sobie sprawę, że wciąż będę szukać mojej córki.

Kimmy weszła do pokoju.

– Zostawiłaś mnie, Candi.

– Wiem.

– Miałyśmy uciec razem. Opowiadałam ci o moich marzeniach. Ty mi o swoich. Zawsze pomagałyśmy sobie, pamiętasz? Olivia kiwnęła głową.

– Obiecałaś mi to.

– Wiem.

Kimmy potrząsnęła głową.

– Przez te wszystkie lata myślałam, że nie żyjesz. Pochowałam cię, wiesz? Zapłaciłam za twój pogrzeb. Opłakałam cię. Płakałam miesiącami. Robiłam z Maksem różne rzeczy za darmo – wszystko, co chciał – tylko żeby mieć pewność, że spróbuje znaleźć twój zabójcę.

– Musisz zrozumieć. Nie mogłam nic powiedzieć. Emma i ja...

– Dlaczego? – krzyknęła Kimmy. Krzyk odbił się echem w ciszy. – Ponieważ coś jej obiecałaś? Olivia nie odpowiedziała.

– Umarłam razem z tobą. Rozumiesz? Te marzenia. Nadzieje na skończenie z takim życiem. Wszystkie umarły wraz z tobą. Straciłam wszystko. Na tyle lat.

– Jak...?

– Jak się dowiedziałam, że żyjesz? Olivia skinęła głową.

– Dwa dni po tym, jak ta dziewczyna stanęła w moich drzwiach, pojawił się Max. Powiedział, że to on ją przysłał, że wcale nie była twoją córką. Przysłał ją, żeby mnie sprawdzić.

Olivia usiłowała znaleźć w tym jakiś sens.

– Sprawdzić cię?

– Tak. Wiedział, że się przyjaźniłyśmy. Doszedł do wniosku, że wiem, gdzie jesteś. Dlatego

zastawił pułapkę. Przesłał mi jakąś dziewczynę, żeby udawała twoją dawno utraconą córkę. Potem obserwował, czy zadzwonię do ciebie albo w jakiś inny sposób spróbuję się z tobą skontaktować. Jednak ja tylko pojechałam na twój grób i płakałam.

– Przykro mi, Kimmy.

– Wyobraź to sobie, dobrze? Wyobraź sobie, jak Max przychodzi do mnie i pokazuje mi protokół z sekcji zwłok. Mówi, że zabita dziewczyna miała jakąś wadę wrodzoną i nie mogła mieć dzieci. Twierdzi, że wcale nie umarłaś. I wiesz, co ja robię? Tylko kręcę głową. Nie wierzę mu. No wiesz, jak mogłabym uwierzyć? Candi nigdy by mi tego nie zrobiła, mówię mu. Nigdy nie zostawiłaby mnie w taki sposób. Jednak Max pokazuje mi zdjęcia zabitej dziewczyny. To Cassandra. Wtedy zaczynam rozumieć. Zaczynam kojarzyć fakty.

– I pragniesz zemsty – powiedziała Olivia.

– Tak. To znaczy... No tak. – Kimmy pokręciła głową. Tylko że wszystko kompletnie się pomieszało.

– To ty pomogłaś Darrowowi mnie znaleźć. Ty wpadłaś na pomysł, żeby umieścić to ogłoszenie w sieci. Wiedziałaś, że się na to złapię.

– Tak.

– Zatem to ty zorganizowałaś to spotkanie. W hotelu.

– Nie sama. Gdybym zrobiła to sama... – Kimmy urwała i tylko patrzyła na Olivię. – Byłam tak zraniona, wiesz. Olivia milcząco przytaknęła.

– No więc tak, chciałam rewanżu. I zapłaty. Tym razem to ja miałam zacząć nowe życie. W końcu przyszła moja kolej. Tylko że kiedy Max i Chally polecili do Jersey... – Kimmy zamknęła oczy i potrząsnęła głową, jakby chciała się czegoś pozbyć... sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Chciałaś mnie skrzywdzić – powiedziała Olivia. Kimmy kiwnęła głową.

– Dlatego najpierw spróbowałaś rozbić moje małżeństwo, wysyłając ten film na komórkę mojego męża.

– Właściwie wymyślił to Max. Zamierzał użyć swojego telefonu, ale potem doszedł do wniosku, że lepiej będzie posłużyć się twoim. Widzisz, gdyby coś poszło nie tak, to Chally byłby facetem z filmu. Na niego spadłaby wina. Jednak na razie Max potrzebował pomocy Chally'ego.

– Żeby przycisnąć Emmę Lemay.

– Właśnie. Chally był tępym osiłkiem. Razem z Maksym polecili tam, żeby zmusić Emmę do mówienia. Ona jednak nic nie chciała powiedzieć. Bez względu na to, co jej robili. Przyciskali ją i przycisnęli za mocno.

Olivia zamknęła oczy.

– Zatem to – wskazała ręką pokój – że teraz tutaj jesteśmy, to miał być twój wielki finał, tak, Kimmy? Bierzesz moje pieniądze. Łamiesz mi serce, udowadniając, że nie znajdę córki, mojego

dziecka. I co potem?

Kimmy milczała przez chwilę.

– Nie wiem.

– Ależ wiesz, Kimmy.

Tamta potrząsnęła głową, ale bez przekonania.

– Darrow i Chally nie pozostawiliby mnie przy życiu – powiedziała Olivia.

– Darrow – odparła cicho Kimmy – nie miałby w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Ponieważ go zabiłaś?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Czy wiesz, ile razy ten skurwysyn przeleciał mnie w samochodzie?

– Dlatego go zabiłaś?

– Nie.

– No to dlaczego?

– Musiałam to powstrzymać – powiedziała Kimmy. – I musiałam uderzyć pierwsza.

– Myślałaś, że on by cię zabił?

– Dla takich pieniędzy Max Darrow zabiłby własną matkę. Tak, byłam zraniona, kiedy się dowiedziałam... chociaż nie, to był raczej... raczej szok. Natomiast Max... myślałam, że działamy razem. Tymczasem on zaczął prowadzić własną grę. Musiałam go powstrzymać.

– O czym ty mówisz?

– Po prostu... – Z całej jej postaci emanowało znużenie. – Zapomnij o tym – powiedziała Kimmy. – Ważne jest tylko to, że Max nie zostawiłby świadków. Byłam dla niego dziwką, której nie można ufać. Myślisz, że chciałby ryzykować?

– A Charles Talley?

– Twój mąż go wytropił. Bili się, a potem Chally uciekł. Zadzwoił do mnie. Wiesz, zatrzymałam się w tym hotelu piętro niżej niż ty. Chally wpadł w panikę, bał się glin. Był na zwolnieniu warunkowym. Następne oskarżenie i dostałby dożywocie. Zrobiłby wszystko, żeby tego uniknąć. Kazałam mu poczekać na klatce schodowej.

– Zrobiłaś wszystko, żeby wyglądało na to, że zabił go Matt.

– Max właśnie przez cały czas chciał załatwić Chally'ego i twojego męża. – Wzruszyła ramionami. – Pomyślałam, że mogę zrealizować ten plan wcale nie gorzej od niego.

Olivia patrzyła na swoją starą przyjaciółkę. Zrobiła krok w jej kierunku.

– Myślałam o tobie – powiedziała. – Wiesz.

– Wiem – odparła Kimmy. – Jednak to za mało.

– Bałam się. Emma powiedziała, że jeśli odkryją, co się stało, zabiją nas. Znow zaczną szukać tej kasety. Nie miałyśmy jej. Zabiliby nas.

– Spójrz na mnie – rzekła Kimmy.

– Patrzę. Wyjęła broń.

– Zobacz, kim się stałam.

– Kimmy?

– Co?

– Nie zaplanowałam tego – powiedziała Olivia. – Myślałam, że zginę.

– Teraz to wiem.

– I jestem w ciąży. Kimmy kiwnęła głową.

– O tym też wiem.

Broń w jej dłoni drżała. Olivia podeszła jeszcze bliżej.

– Nie zabijesz mojego dziecka.

Kimmy patrzyła na nią z przygnębieniem. Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

– To przez tę kasetę.

– Co takiego, Kimmy? – Nagle Olivia zrozumiała. – Och. Och nie...

– Ta przeklęta kasetę – jęknęła Kimmy z twarzą zalaną łzami. – To przez nią zginęła Cassandra. Od niej to wszystko się zaczęło.

– O Boże! – Olivia przełknęła ślinę. – To nie Cassandra ukradła ją Clyde’owi – rzekła. – Ty to zrobiłaś.

– Dla nas, Candi. Nie rozumiesz? – spytała błagalnie. – Ta kasetę była naszym biletem do innego życia. Miałybyśmy mnóstwo forsy. Wyrwałybyśmy się z bagna, ty i ja, tak jak planowałyśmy. Przyszłaby nasza kolej, wiesz? A potem wracam do domu i okazuje się, że ktoś cię zamordował...

– Przez cały ten czas, przez te wszystkie lata ty... – Olivia znów miała wrażenie, że serce jej pęka. – Obwiniłaś się o moją śmierć.

Kimmy zdołała skinąć głową.

– Tak mi przykro, Kimmy.

– Tak bardzo mnie zabolęło, kiedy odkryłam, że ty wciąż żyjesz. Rozumiesz? Tak bardzo cię kochałam.

Teraz Olivia zrozumiała. Kimmy żałowała nie tylko zmarłej, ale i siebie, tego, co mogło być. Myśl o tym, że najlepsza przyjaciółka, jedyna osoba, z którą dzieliłaś marzenia... zginęła przez ciebie. Żyjesz z tym poczuciem winy przez dziesięć lat, aż nagle pewnego dnia dowiadujesz się, że to wszystko kłamstwo...

– Możemy wszystko naprawić – odezwała się Olivia.

Kimmy wyprostowała się.

– Spójrz na mnie.

– Chcę ci pomóc. Ktoś załomotał w drzwi.

– Otwierać! Policja!

– Zabiłam dwóch ludzi – powiedziała Kimmy. Potem uśmiechnęła się tym cudownym uśmiechem, który przeniósł Olivie w przeszłość. – Spójrz na moje życie. Teraz moja kolej, pamiętasz? Moja kolej uciec.

– Proszę, Kimmy...

Kimmy skierowała jednak lufę w podłogę i strzeliła. Na korytarzu wybuchło krótkie zamieszanie, a potem drzwi otworzyły się, wyważone kopniakiem. Kimmy odwróciła się na pięcie i wycelowała.

– Nie! – krzyknęła Olivia.

Huk wystrzałów zagłuszył jej krzyk. Kimmy jeszcze raz obróciła się na pięcie jak marionetka, a potem upadła na podłogę. Olivia osunęła się na klęczki i wzięła w dłonie głowę przyjaciółki. Nachyliła się i błagalnie szepnęła jej do ucha:

– Nie...

Teraz, po tak długim czasie, przyszła kolej na Kimmy.

Dwa dni później Loren Muse była w swoim mieszkaniu. Robiła sobie kanapkę z szynką i serem. Wzięła dwie kroniki chleba i położyła je na talerzu. Jej matka siedziała na kanapie w sąsiednim pokoju, oglądając Entertainment Tonight. Loren usłyszała znajomy motyw muzyczny. Nabrała majonezu, zaczęła smarować nim chleb i wtedy zaczęła płakać.

Szlochała cicho. Zaczekała, aż jej przejdzie i odzyska głos.

– Mamo.

– Oglądam mój program.

Loren stanęła za plecami matki. Carmen zajadała chrupki. Spuchnięte nogi opierała na poduszce ułożonej na ławie. Loren czuła dym papierosów i słyszała chrapliwy oddech matki.

Adam Yates popełnił samobójstwo. Grimes nie zdołała tego zatuszować. Te dwie dziewczynki, Ella i Annę, oraz chłopczyk, Sam, ten, którego Adam trzymał na rękach w szpitalu, broniąc przed śmiercią – dowiedzą się prawdy. Nie o tej kasecie. Pomimo obaw Adama Yatesa to nie te obrazy będą widywać jego dzieci w koszmarnych snach.

– Zawsze winałam cię – powiedziała Loren. Matka nie odpowiedziała. Słysząc było tylko dźwięki płynące z telewizora.

– Mamo?

– Słyszałam.

– Ten człowiek, którego niedawno poznałam. Zabił się. Miał troje dzieci.

Carmen w końcu odwróciła głowę.

– Widzisz, obwinałam cię, ponieważ w przeciwnym razie... – Urwała, łapiąc oddech.

– Wiem – odparła łagodnie Carmen.

– Jak to możliwe... – głos Loren się załamał, po policzkach pociekły jej łzy. – Jak to możliwe, że tatuś nie kochał mnie wystarczająco, żeby chcieć żyć?

– Och, kochanie.

– Ty byłaś jego żoną. Mógł cię opuścić. Ale ja byłam jego córką.

– Bardzo cię kochał.

– Nie na tyle, żeby chciał żyć.

– To nie tak – rzekła Carmen. – Tak bardzo cierpiał. Nikt nie mógł go uratować. Byłaś najlepszym, co zdarzyło mu się w życiu.

– A ty. – Loren otarła twarz rękawem. – Pozwoliłaś, żebym cię za to winała.

Carmen tę uwagę przemilczała.

– Próbowalaś mnie chronić.

– Musiałaś kogoś o to winić – powiedziała jej matka.

– I przez te wszystkie lata... dźwigałaś ten ciężar. Myślała o Adamie Yatesie, o tym, jak

bardzo kochał swoje dzieci, o tym, że to również nie wystarczyło. Wytarła oczy.

– Powinnam do nich zadzwonić – doszła do wniosku Loren.

– Do kogo?

– Do jego dzieci.

Carmen pokiwała głową i rozłożyła ręce.

– Jutro, dobrze? Teraz chodź tu. Usiądź przy mnie na kanapie.

Loren usiadła na kanapie. Matka przysunęła się do niej.

– Tak dobrze – szepnęła Carmen.

Nakryła Loren afgańskim kocem. Zaczęły się reklamy. Loren oparła się na ramieniu matki. Poczula zapach papierosów, ale teraz już jej nie drażnił. Carmen głaskała jej włosy. Loren zamknęła oczy. Po kilku sekundach matka zaczęła zmieniać pilotem kanały.

– Nie ma nic ciekawego – rzekła Carmen. Wciąż nie otwierając oczu, Loren uśmiechnęła się i przysunęła jeszcze bliżej.

Matt i Olivia tego samego dnia odlecieli do domu. Matt chodził o lasce. Utykał, ale to nie miało minąć. Kiedy wysiadali z samolotu, Matt powiedział:

– Myślę, że powinienem pojechać tam sam.

– Nie – odparła Olivia. – Zrobimy to razem.

Nie spierał się.

Pojechali tym samym zjazdem do Westport, zatrzymali na tej samej ulicy. Tego ranka na podjeździe stały dwa samochody. Matt spojrzął na obręcz kosza. Nigdzie nie było widać Stephena McGratha. Nie dziś.

Razem podeszli do drzwi. Olivia trzymała go pod rękę. Nacisnął dzwonek. Minęła minuta. Potem drzwi otworzył Clark McGrath.

– Co ty tu robisz, do diabła?

Zza jego pleców Sonya McGrath zapytała:

– Kto tam, Clark?

Stanęła jak wryta, kiedy zobaczyła kto.

– Matt?

– Ścisnąłem za mocno – powiedział Matt. Wszystko ucichło. Nie było wiatru, przejeżdżających samochodów, przechodniów. Tylko czworo ludzi i może jeden duch.

– Nie mogłem puścić. Tak bardzo się bałem. I myślałem, że Stephen jest jednym z nich. A kiedy upadliśmy, sam już nie wiem. Chyba mogłem coś zrobić. Trzymałem go za długo. Teraz to wiem. Nie potrafię powiedzieć, jak mi przykro.

Clark McGrath zirytował się i poczerwieniał.

– I uważasz, że to wszystko naprawi?

– Nie – odparł Matt. – Wiem, że nie. Moja żona jest w ciąży. Dlatego lepiej to rozumiem.

Jednak to musi się skończyć, tu i teraz.

– O czym ty mówisz, Matt? – spytała Sonya. Pokazał im kartkę.

– Co to jest? – spytała Sonya.

– Rejestr rozmów telefonicznych.

Kiedy Matt ocknął się w szpitalu, poprosił Loren, żeby go zdobyła. Może miał przeczucie – nic więcej. Jednak coś w ułożonym przez Kimmy planie zemsty... Matt miał wrażenie, że sama nie dałaby rady go zrealizować. Ten plan wydawał się zbyt okrutny, zbyt skoncentrowany nie tylko na zniszczeniu ...ale również Matta.

– Ten numer telefonu należał do niejakiego Maksa Darrowa, który mieszkał w Reno w Nevadzie – oświadczył Matt. – W zeszłym tygodniu osiem razy dzwonił do pani męża.

– Nie rozumiem – powiedziała Sonya. Odwróciła się do męża. – Clark? Clark zamknął oczy.

– Max Darrow był policjantem – ciągnął Matt. – Kiedy odkrył, kim jest Olivia, zaczął prywatne śledztwo. Dowiedział się, że jej mąż jest byłym przestępcą. Skontaktował się z panem. Nie wiem, ile mu pan zapłacił, panie McGrath, ale to wszystko układa się w sensowną całość. Darrow mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Jak powiedziała mojej żonie jego współniczka, prowadził własną grę. Z panem.

– Clark? – Sonya popatrzyła na męża.

– Powinien siedzieć w więzieniu – prychnął na nią Clark. – A nie jadać z tobą lunch.

– Coś ty zrobił, Clark? Matt podszedł krok bliżej.

– To już koniec, panie McGrath. Zamierzam jeszcze raz przeprosić za to, co się stało. Wiem, że pan nie przyjmie moich przeprosin. Rozumiem to. Bardzo mi przykro z powodu Stephena. Jednak jest coś, co chyba pan zrozumie.

Matt zrobił jeszcze krok. Teraz stali dosłownie oko w oko.

– Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mojej rodziny, zabiję cię – obiecał Matt.

Potem odszedł. Olivia została jeszcze sekundę. Popatrzyła najpierw na Clarka McGratha, a potem na Sonyę, jakby potwierdzając słowa męża. Potem odwróciła się, wzięła Matta za rękę i już się nie odwróciła.

Matt ruszył spod domu McGrathów. Przez długą chwilę jechali w milczeniu. Radio grało O Damiena Rice'a. Olivia pochyliła się i wyłączyła je.

– Czuję się tak dziwnie – powiedziała.

– Wiem.

– I co, będziemy żyli dalej, jakby nic się nie stało? Matt pokręcił głową.

– Nie sędzę.

– Zaczniemy od nowa? Matt pokręcił głową.

– Nie sędzę.

– No, chyba najgorsze mamy za sobą. Uśmiechnął się.

– Wiesz co?

– Co?

– Będzie dobrze.

– Dobrze to dla mnie za mało.

– Dla mnie też.

– Będzie wspaniale – powiedziała Olivia.

Dojechali do domu Marshy. Wybiegła im na spotkanie i objęła oboje. Paul i Ethan przybiegli za nią. Kyra stała przy drzwiach z założonymi rękami.

– Mój Boże, co wam się stało? – spytała Marsha. – Mam ci wiele do powiedzenia.

– Twoja noga...

Matt zbył to machnięciem ręki.

– Nic mi nie jest.

– Ta laska jest fajna, wujku – powiedział Paul.

– Tak, fajowa – dorzucił Ethan.

Doszli do drzwi, przy których stała Kyra. Matt przypomniał sobie, jak pomogła mu uciec z podwórza na tyłach domu.

– Hej, dzięki za tamten okrzyk. Zarumieniła się.

– Nie ma za co.

Kyra zabrała chłopców na podwórko. Matt i Olivia zaczęli wyjaśniać. Marsha uważnie słuchała. Opowiedzieli jej wszystko. Niczego nie ukrywali. Chyba była im za to wdzięczna. Kiedy skończyli, Marsha powiedziała:

– Pozwólcie, że przygotuję wam lunch.

– Nie trzeba...

– Siedźcie.

Usłuchali. Olivia patrzyła przed siebie. Matt wiedział, że w całej tej historii pozostała jeszcze

jedna wielka dziura.

– Dzwoniłem już do Cingle – powiedział.

– Dziękuję.

– Znajdziemy twoje dziecko.

Olivia skinęła głową, ale już w to nie wierzyła.

– Chcę pojechać na grób Emmy. Złożyć jej uszanowanie.

– Rozumiem.

– Nie mogę uwierzyć, że umarła tak blisko nas.

– Jak to?

– To była część naszej umowy. Oczywiście, znałyśmy swoje nowe nazwiska. Jednak nigdy się nie kontaktowałyśmy. Myślałam, że ona wciąż jest w tej parafii w Oregonie.

Dreszcz przebiegł Mattowi po plecach. Usiadł.

– O co chodzi? – spytała Olivia.

– Nie wiedziałas, że ona była w St Margarefs?

– Nie.

– Przecież do ciebie dzwoniła.

– Co?

– Jako siostra Mary Rose. To jest w rejestrze rozmów. Dzwoniła do ciebie.

Olivia wzruszyła ramionami.

– Pewnie jakoś się dowiedziała, gdzie mieszkam. Znała moje nazwisko. Może próbowała mnie ostrzec. Matt pokręcił głową.

– Sześć minut.

– Co?

– Rozmowa trwała sześć minut. I nie dzwoniła do naszego domu. Dzwoniła tutaj.

– Nie rozumiem.

– Dzwoniła do mnie – ktoś się odezwał. Oboje odwrócili się. Kyra weszła do pokoju. Marsha stała za nią.

– Zastanawiałam się, jak wam to powiedzieć – ciągnęła Kyra.

Matt i Olivia siedzieli jak skamieniali.

– Ty nie złamałaś umowy, Olivio – rzekła Kyra. – Zrobiła to siostra Mary Rose.

– Nie rozumiem – powtórzyła Olivia.

– Widzicie, zawsze wiedziałam, że byłam adoptowana – kontynuowała Kyra.

Olivia przycisnęła dłoń do ust.

– O mój Boże...

– I kiedy zaczęłam sprawdzać, szybko odkryłam, że moja biologiczna matka została zamordowana.

Z ust Olivii wyrwał się jęk. Matt siedział oszołomiony. Olivia, myślał. Pochodziła z Idaho. A Kyra... z jednego z tych środkowozachodnich stanów na literę „I”...

– Ale chciałam dowiedzieć się więcej. Dlatego dotarłam do policjanta, który prowadził dochodzenie w sprawie tego morderstwa.

– Do Maksa Darrowa – rzekł Matt. Kyra kiwnęła głową.

– Powiedziałam mu, kim jestem. Wydawało się, że naprawdę chciał mi pomóc. Zebrał wszystkie dane – gdzie się urodziłam, jak nazywał się lekarz, wszystko. Dał mi adres Kimmy Dale. Odwiedziłam ją.

– Zaczekaj – przerwał Matt. – Zdawało mi się, że Kimmy mówiła...

Kyra spojrzała na niego, ale Matt ugryzł się w język. Odpowiedź była oczywista. Darrow i w tym wypadku prowadził swoją grę, nic nie mówiąc o tym Kimmy. Po co miałby jej mówić, że córka Olivii rzeczywiście się znalazła? Może Kimmy, i tak rozchwiana emocjonalnie, zmieniłaby zdanie, gdyby wiedziała, że dziewczyna, która ją odwiedziła, naprawdę była rodzoną córką Candi.

– Przepraszam – powiedział Matt. – Mów dalej. Kyra powoli znów odwróciła się do Olivii.

– Tak więc odwiedziłam Kimmy w jej przyczepie. Była bardzo miła. I rozmawiając z nią, postanowiłam dowiedzieć się więcej o tobie. Chciałam... Wiem, jak to zabrzmieć, ale chciałam znaleźć twój zabójcę. Dlatego szukałam dalej. Zadawałam pytania. A potem zadzwoniła do mnie siostra Mary Rose.

– Skąd...?

– Przypuszczam, że próbowała pomóc niektórym ze swoich dawnych dziewczyn. Odkupić winy. Usłyszała, co próbuję zrobić. Dlatego do mnie zadzwoniła.

– Powiedziała ci, że ja wciąż żyję?

– Tak. To był dla mnie prawdziwy szok. Myślałam, że zostałam zamordowana. A potem siostra Mary Rose powiedziała, że jeśli zrobię to, co mi każe, może zdołam cię znaleźć. Jednak musimy zachować ostrożność, przestrzegła. Nie chciałam cię narażać na niebezpieczeństwo. Ja tylko chciałam... tylko chciałam cię poznać.

Matt spojrzał na Marszę.

– Wiedziałaś?

– Do wczoraj nie. Kyra mi powiedziała.

– Jak to się stało, że zamieszkałaś tutaj?

– Miałam trochę szczęścia – odparła Kyra. – Chciałam być jak najbliżej ciebie. Siostra Mary Rose próbowała znaleźć mi pracę w DataBetter. Potem jednak usłyszałyśmy, że Marsha potrzebuje pomocy domowej. Wtedy siostra Mary Rose zadzwoniła do kogoś w St Philomena’s. Podała im moje nazwisko.

Teraz Matt przypomniał sobie, że Marsha znalazła Kyre za pośrednictwem kościoła.

Zakonnica z łatwością mogła to zrobić. Kto by kwestionował taką rekomendację?

– Chciałam wam powiedzieć – mówiła Kyra, patrząc tylko na Olivię. – czekałam tylko na odpowiednią chwilę, potem jednak zadzwoniła siostra Mary Rose. Tak jak powiedział Matt. Trzy tygodnie temu. Twierdziła, że jeszcze za wcześnie, że nie powinnam nic mówić, dopóki znów się ze mną nie skontaktuje. Bałam się, ale jej ufałam. Dlatego posłuchałam. Nawet nie wiedziałam, że została zabita. A tamtej nocy, kiedy oboje przyjechaliście tu późno, zamierzałam wam powiedzieć. Już wracałam z garażu, kiedy zobaczyłam uciekającego Matta.

Olivia wstała, otworzyła usta, zamknęła je i spróbowała jeszcze raz.

– Zatem jesteś... jesteś moją...?

– Córką. Tak.

Olivia ostrożnie zrobiła krok w kierunku Kyry. Wyciągnęła rękę. Potem rozmyśliła się i opuściła ją.

– Wszystko w porządku, Kyro? – zapytała.

Kyra uśmiechnęła się, uśmiechem tak rozbrajająco podobnym do uśmiechu swej matki, że Matt zaczął się zastanawiać, jak mógł przedtem tego nie zauważyć.

– W najlepszym – odparła.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tak, jestem.

Olivia nic nie powiedziała. Kyra zrobiła następny krok.

– Naprawdę wszystko w porządku.

Wtedy Olivia zaczęła płakać.

Matt odwrócił głowę. To nie była jego sprawa. Słyszał szlochy i szepty dwóch kobiet próbujących się pocieszyć. Myślał o kilometrach, cierpieniach, więzieniu, biciu, latach i o tym, co Olivia powiedziała o życiu, tym zwyczajnym życiu, o które warto walczyć.

Epilog

Nazywasz się Matt Hunter.

Minął rok.

Lance Banner przeprosił cię. Przez kilka miesięcy trzymał się z daleka, aż pewnego dnia, na sąsiedzkim pikniku, poprosił cię, żebyś był jego asystentem i razem z nim trenował koszykarzy. Twój bratanek Paul, przypomniał ci Lance, klepiąc cię po plecach, też jest w drużynie. Co ty na to?

Powiedziałaś tak.

Kupiłeś jednak ten dom w Livingston. Teraz pracujesz w nim jako konsultant prawny firmy Carter Sturgis. Mike Kier jest twoim najlepszym klientem. Dobrze ci płaci.

Wszystkie zarzuty przeciwko Cingle Shaker zostały wycofane. Cingle otworzyła własną agencję detektywistyczną, którą nazwała Cingler Service. Mike Kier i Carter Sturgis kierują do niej wszystkie zlecenia. Obecnie zatrudnia trzech detektywów.

Twoja bratowa, Marsha, jest teraz poważnie zaangażowana w związek z niejakim Edem Esseyem. Ed pracuje w przemyśle. W zasadzie nie rozumiesz, na czym właściwie polega jego praca. Zamierzają wkrótce się pobrać. Ten cały Ed wydaje się miły. Próbujesz go polubić, ale nie możesz. Jednak on kocha Marshę. Zaopiekuje się nią. Zapewne będzie jedynym ojcem, którego zapamiętają Paul i Ethan. Byli za mali, żeby zapamiętać Berniego. Może tak powinno być, ale to nie daje ci spokoju.

Będziesz się starał zawsze być blisko nich, ale staniesz się tylko wujkiem. Paul i Ethan zawsze najpierw pobiegną do Eda. Kiedy ostatnio byłeś w ich domu, szukałeś zdjęcia Bernieeo na lodówce. Wciąż tam było, ale zakryte nowszymi zdjęciami wykazami stopni i rysunkami. Już nigdy nie usłyszysz o Soni i Clarku McGrathach. Ich syn, Stephen, wciąż cię czasem odwiedza. Nie tak często jak kiedyś. I czasem nawet miło go widzieć.

Kupujesz ten nowy dom, a wtedy odwiedza cię Loren Muse. Siadacie we dwoje na podwórku i pijecie piwo Corona.

– Z powrotem w Livingston – mówi ona.

– Yhm.

– Szczęśliwy?

– Nie miasto czyni szczęśliwym, Loren. Ona przytakuje. Wciąż coś ci wisi nad głową.

– Co będzie z Olivią? – pytasz.

Loren sięga do kieszeni i wyjmuję kopertę.

– Nic.

– Co to jest?

– List od siostry Mary Rose, dawniej Emmy Lemay. Dała mi go matka Katherine. Siadasz.

Ona wręcza ci list. Zaczynasz go czytać.

– Emma Lemay wszystko bierze na siebie – mówi Loren. – Ona i tylko ona zabiła Clyde’a Rangora. Sama ukryła jego ciało. Ona i tylko ona okłamała władze co do tożsamości ofiary morderstwa. Oświadcza tu, że Candace Porter nic o tym nie wiedziała. Jest tu dużo więcej treści, ale taki jest sens.

– Sądysz, że to przejdzie? Loren wzrusza ramionami.

– A kto miałby to podważać?

– Dziękuję – mówisz.

Loren kiwa głową. Odstawia butelkę piwa i siada.

– A teraz może powiesz mi coś o tych rejestrach rozmów telefonicznych, Matt?

– Nie.

– Myślisz, że nie wiem, z kim Darrow rozmawiał w Westport, Connecticut?

– To nieważne. Niczego nie możesz udowodnić.

– Skąd wiesz? McGrath na pewno posłał mu pieniądze. To mógłby być dowód.

– Zostaw to, Loren.

– Chęć zemsty to dla sądu żaden argument.

– Zostaw to.

Ona znów podnosi butelkę.

– Nie potrzebuję twojej zgody.

– Racja.

Loren odwraca głowę.

– Gdyby Kyra od razu powiedziała Olivii prawdę...

– Pewnie obie by już nie żyły.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ten telefon od Emmy Lemay. Kazała Kyrze milczeć. Myślę, że miała po temu poważny powód.

– Jaki?

– Sądzę, że Emma – czyli siostra Mary Rose – wiedziała, że tamci są blisko.

– Chcesz powiedzieć, że poświęciła się dla nich wszystkich?

Wzruszasz ramionami. Zastanawiasz się, jak znaleźli Lemay i tylko ją. Zastanawiasz się, dlaczego Lemay, skoro coś podejrzewała, nie uciekła. Dlaczego nawet torturowana nie wydała Olivii. Może Lemay uważała, że jej ofiara zakończy całą tę sprawę. Pewnie nie wiedziała o tym ogłoszeniu umieszczonym w Internecie. Zapewne sądziła, że ona jest jedynym ogniwem. I jeśli zostanie ono zerwane – siłą – nikt już nie zdoła znaleźć Olivii.

Jednak nigdy nie będziesz tego wiedział na pewno.

Loren znów odwraca głowę.

– Z powrotem w Livingston – mówi.

Oboje kręcicie głowami, oboje pijecie piwo.

Przez ten rok Loren często was odwiedza. Jeśli jest ładna pogoda, siadacie we dwoje na zewnątrz.

Tego dnia, rok później, słońce stoi wysoko na niebie. Ty i Loren wylegujecie się na leżakach. Oboje pijecie piwo Soi. Loren mówi ci, że jest lepsze niż corona.

Pociągasz łyk i przyznajesz jej rację.

Jak zwykle, Loren rozgląda się, kręci głową i powtarza ten refren:

– Z powrotem w Livingston.

Jesteście na podwórzu za domem. Twoja żona Oliwia też tam jest, pielęgnuje rabatę. Obok, na kocu, leży wasz trzymiesięczny syn Benjamin. Gaworzy radośnie. Słyszysz go z daleka. Kyra też jest w ogrodzie i pomaga matce. Od roku mieszka razem z wami. Zamierza mieszkać, dopóki nie skończy się uczyć.

Tak więc ty, Matt Hunter, spoglądasz na nich. Na całą trójkę. Olivia wyczuwa, że na nią patrzysz. Podnosi głowę i uśmiecha się. Kyra też. Wasz syn znów zaczyna gaworzyć.

Jest ci lekko na sercu.

– Tak – mówisz do Loren, uśmiechając się głupio. – Z powrotem w Livingston.

Podziękowania

Znów składam wyrazy wdzięczności Carole Baron, Mitchowi Hoffmanowi, Lisie Johnson, Karze Welsh, wszystkim z Dutton, NAL i Penguin Group USA; Johnowi Woodowi, Malcolmowi Edwardsowi, Susan Lamb, Jane Wood, Juliet Ewers, Emmie Noble i bandzie z Oriona; Aaronowi Priestowi i Lisie Erbach Yance za to, co zwykle.

Specjalne podziękowania składam senatorowi Harry'emu Reidowi z Nevady. Nieustannie pokazuje mi piękno swojego stanu i jego mieszkańców, nawet jeśli – ze względu na akcję – w książce przedstawiam je na swój sposób.

Autor dziękuje również następującym osobom za merytoryczne wsparcie:

Christopherowi J. Christie, prokuratorowi stanowemu New Jersey, Pauli T. Dow, prokurator okręgu Essex, Louiemu F. Allenowi, głównemu inspektorowi prokuratury okręgowej Essex County, Carolyn Murray, pierwszej asystentce prokuratora okręgu Essex, Elkanowi Abramowitzowi, nadzwyczajnemu adwokatowi, Davidowi A. Goldowi, nadzwyczajnemu chirurgowi, Lindzie Fairstein, nadzwyczajnej w wielu sprawach, dr Annę Armstrong-Coben, kierującej Covenant House Newark, po prostu nadzwyczajnej, a także za trzecią książkę (i poświęcony czas) dr. Stevenowi Z. Millerowi, kierującemu Pediatry Emergency Medicine, Children's Hospital w Nowym Jorku. Dałeś mi znacznie więcej niż tylko wiedzę medyczną, przyjacielu. Zawsze będzie mi Ciebie brakowało.